



Dorothea
BENTON FRANK



Powrót do marzeń

SHEM CREEK

Żyzna ziemia nabrzmiewa;
w pękniętej skórze
wzbierają wstęgi potoków,
biegną tu i tam,
uwalniając wichry,
które targają ład
na strzepy. Gdzie
słońce wypełniało szuwary,
rzędy kornie pochylonych głów,
stłoczonych na brzegach Shem Creek
kryją gniazda strzyżyków.
Morświny wynurzają się,
po czym znikają pod wodą,
jakby bawiły się w chowanego.
Rybołowy wypełniają niebo;
czaple, żurawie i mewy,
ostrygojady, pelikany,
rybitwy szybują
w zgęstniałym powietrzu.
Wijąc się po bezdrzewnych
rejonach parkingów i sklepów,
woda zbiera wszystko.
Od ropy, mydła i benzyny
do opon i popsutych lodówek.
Toksyny wypełniają siedliska ostryg.
Rtęć i arsenik dryfują w niewidzialnych obłokach.
Z dala od ulicznego zgiełku,
gwaru restauracji,

hoteli, barów i parkingów,
przycumowane kutry
podskakują na falach
tam, gdzie strumień
otwiera się na bezkresne morze.

*Marjory Heath Wentworth,
poetka z Karoliny Południowej*



Pocztówka od Lindy

Czy mogę wam opowiedzieć, dlaczego nocna podróż z New Jersey do Karoliny Południowej tak szalenie mnie cieszy? Jedziemy wciśnięte pomiędzy dwa szpalery gigantycznych ciężarówek, pędząc trasą I-95 z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Córki śpią, jedna obok mnie, druga z tyłu. Nieważne, że leje jak z cebra. Ciemności też nie robią na mnie większego wrażenia. Innym razem ogłuszający ryk klaksonów przyprawiłby mnie o zawał. Ale nie dzisiaj. Powiem wam coś jeszcze. Te ciężarówki są jak anielska eskorta, a deszcz obmywa nas do czysta. Życie dało nam popalić, najwyższa pora odczynić zły urok. Tak. „Popalić” - to za mało powiedziane.

Ach, w końcu usłyszycie całą historię: czeka nas długa podróż, którą możemy wykorzystać na poufne wyznania i refleksje o życiu. Refleksje o życiu to moja specjalność. Teraz jednak postanowiłam przetrwać bezdurne rozmyślania i wreszcie coś zrobić. Ludzie kochani, nawet ja miałam już dość własnego labidzenia. Wniosek był tylko jeden: Nie podoba ci się twoje obecne życie? Zorganizuj sobie inne i do jasnej cholery stul dziób!

Słuchajcie, wiem, że nie jestem jedyną samotną matką na świecie. I nie tylko ja muszę wiecznie zaciskać pasa, to jasne. Cóż, żaden ze mnie ryzykant, ale mam świadomość, że jeśli przegapisz konieczność zmiany perspektywy, to tak, jakbyś podcinał gałąź, na której siedzisz. Dość rzec, że czekałam ze zmianą perspektywy do czasu, gdy przetrząsając kosmetyczkę Gracie (mojej piętnastoletniej córki) w poszukiwaniu swojego tuszu do rzęs, natknęłam się na pigułki antykoncepcyjne, tabletki niewiadomego przeznaczenia oraz fiolkę trawki. Zaczęłam miotać się po domu, by wreszcie natknąć się na zrozpaczoną Lindsey - ma sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu i waży sześćdziesiąt kilogramów, tak jak Gracie. Chłopak nie chciał z nią pójść na bal maturalny ze względu na jej rzekomą nadwagę. Stała nago przed lustrem, z płaczem czytając na głos Sylvię Plath. Kojarzycie Sylvię Plath? To ta poetka, która wsadziła głowę do gazowego piekarnika i popełniła samobójstwo. Ostatnią kroplą goryczy była romantyczna kolacja w Epernay z Louie Provostem, którego żona Cherry uznała za stosowne pojawić się w naj-

mniej spodziewanej chwili. Hm, nie wiedziałam, że jest żonaty? Dzięki, Louie. Więcej się tam nie pokażę.

Powiedziałam sobie: stać cię na więcej, Linda. Nagle uświadomiłam sobie, że mam nudną pracę i bardzo głupie życie. Dlatego zadzwoniłam do siostry, która natychmiast oświadczyła: „pakujcie się w samochód i przyjeżdżajcie!”.

I tak pędzimy teraz nocą przez Wirginię pod opiekuńczymi skrzydłami ciężarówek. Umiecie dochować tajemnicy? Rzuciłam pracę. Przenosimy się do Mount Pleasant. Wiemy o tym tylko wy i ja. Dobra, może to trochę nieczyste i pochopne zagranie, ale wiecie co? Wcale nie. Gdyby New Jersey chciało nas zatrzymać, dałoby nam pretekst do pozostania. A nie dało.

Powiedziałam dziewczynkom, że jedziemy na wakacje. I że obiecałam szefowi wrócić za miesiąc. Wiedzą, że mam masę zaległego urlopu. Może się domyślają. A może nie.

Muszę znaleźć robotę. Przynajmniej z tym nie powinno być problemu, przyjaciele. Mogę się zatrudnić jako grabarz i wmówić sobie, że pracuję w Mardi Gras*. Ale nieważne, idą lepsze dni. Czuję to w kościach! Poważnie. I nie przegapię swojej szansy.

* Dosł. „Tłusty Wtorek” (fr.), trwające kilka dni ostatki w Nowym Orleanie, dla Amerykanów wychowanych w kulturze kreolskiej, okazja do hucznych zabaw połączonych z przebierankami, psikusami i dowcipami.

Prolog

Czerwiec 2003

Moja matka twierdziła, że jeśli mężczyzna może policzyć swoich przyjaciół na palcach jednej ręki, to może uchodzić za bogacza. Miała świętą rację. Opowiem wam historię o piekle i niebie oraz o tym, jak z pomocą niezawodnego przyjaciela wydostałem się z jednego i znalazłem drugie. Piekłem było małżeństwo z Loretą i praca u jej ojca. Niebo - to nasza restauracja koło Shem Creek, o której gdyby nie hojność i pomysłowość Roberta, mojego przyjaciela i wspólnika, moglibyśmy tylko pomarzyć. Nazywamy ją Rowem Jacksona, ponieważ nazywam się Jackson, lokal zaś przypomina właśnie dziurę. Gdy cały świat sprzysięga się przeciw tobie, zdrowe poczucie humoru jest jak znalazł. Jeszcze osiem miesięcy temu sprzysięgał się jak cholera. Co gorsza, robił to na moich oczach, a ja nie mogłem nawet kiwnąć palcem, aby mu przeszkodzić.

Spędzałem tu wszystkie wolne dni i przez piętnaście lat wędkowałem w wodach koło Charlestonu. W okolicy nie ma strumienia, który nie oglądał dna mojej łódki, lecz każdorazowe zarzucenie haczyka w słonym potoku bądź rzece nosiło wszelkie znamiona nowości. Krajobraz i barwy - cóż, tu zawsze występowały pewne różnice. Drobne, ale znamienne. Byłeś skłonny uwierzyć, że Bóg we własnej osobie kryje się w szuwarach, wyczekując cierpliwie, aż sobie przypomnisz o jego obecności. Wreszcie pozostawiłem łódkę w Karolinie Południowej. A serce? Cóż, patrząc wstecz, odnoszę wrażenie, że rozważałem tę sprawę tylko podczas dryfowania po wodach Lowcountry.

Wyjaśnijmy sobie kwestię nieba i piekła, ściśle związaną z moją świeżo nabytą filozofią życiową, okupioną potem i łzami. W skrócie można to ująć następująco. Jeśli tańczysz z nieodpowiednim partnerem (co dotyczy zarówno małżeństwa, jak i interesów), z całą pewnością ucierpią na tym twoje odciski.

Kobiety wyczuwają to instynktownie, w przeciwieństwie do mężczyzn. Mężczyźni od urodzenia przygotowują się do roli dostarczycieli, a miarą ich życiowego sukcesu jest powodzenie w tejże dziedzinie. Nerozerwalnie wiąże się to z wysokością naszych

zarobków oraz liczbą trofeów zgromadzonych przez całe życie. Samochody, kolejne domy, antyki, biżuteria dla żony... długo by wymieniać. Musimy kończyć odpowiednie szkoły, być współnikami w obiecujących przedsiębiorstwach, żenić się z właściwymi dziewczętami, mieć członkostwo w szacownych klubach oraz szcycić się osiągnięciami w tak szlachetnych dyscyplinach jak golf i tenis.

Prawda? Fałsz! Cały ten niemożliwy plan, przyjaciele, to kupa łajna.

Zgodzicie się ze mną? Przysięgam na wszystko, że na wspomnienie lat spędzonych na pogoni za mamoną ogarnia mnie pusty śmiech. Kasa, kasa, kasa. Nieustanna pogoń za kasą w towarzystwie mojej żony Loretty, która zawsze budziła i budzi politowanie. Tak, teraz możemy sobie pożartować, ale jeszcze parę miesięcy temu wcale nie było mi do śmiechu.

Z grubsza rzecz biorąc, córki mają znacznie więcej szczęścia niż synowie. Matki każą im słuchać głosu serca, prawda? Mówią: „Skarbie, jeśli chcesz studiować historię, proszę bardzo. Kochanie, jeśli nie chcesz zostać chemikiem, twoja wola!”. I tak kobiety kończą studia i zarabiają przyzwoite pieniądze w wymarzonym zawodzie. Oczywiście dają się przy tym nabijać w butelkę, choćby dlatego, że ich wynagrodzenie w dużej mierze odbiega od zarobków kolegów, sądzą jednak, iż czerpią z pracy więcej zadowolenia niż my. No tak, teraz pewnie powiecie, że jestem męskim feministą.

Synowie to całkiem inna para kaloszy. Aż dziw mnie bierze, kiedy patrzę na statystyki dotyczące absolwentów najbardziej obleganych kierunków. No bo niby gdzie ci nieszczęśnicy znajdą kokosy, na które tak zawzięcie liczą? I które w ich mniemaniu im się należą? Studia prawnicze? Dajcie spokój! Czy naprawdę potrzeba nam aż tylu oszustów?

Oto, co się dzieje z ludzkością. Świat stał się zły, ponieważ prawdziwe imię szatana to chciwość. Nasza zdolność usprawiedliwiania własnej chciwości jest doprawdy powalająca. Jeśli uwierzyć w to, co czytamy, słyszymy i widzimy wokół siebie, przyszłość naszych dzieci sprowadzi się do kultu mamony i nieustającego wyścigu szczurów. Serce pęka mi na samą myśl.

Na wspomnienie mojego dawnego życia ogarnia mnie niezbita pewność, że byłem niepoczytalny. Poza siedemdziesięciogodzinnym tygodniem pracy codziennie czytałem trzy gazety - „The Wall Street Journal”, „The New York Times” oraz „The Atlanta

Journal-Constitution". Nigdy więcej. Teraz przeglądam pierwszą stronę „Post & Courier” i wiecie co? Całkowicie zaspokaja to mój głód wiadomości „ze świata”. Aha, sprawdzam jeszcze prognozę pogody oraz informacje na temat przyływów.

Pozwólcie, że was o coś spytam. Byliście kiedyś we Włoszech? Czy wiecie, że to szósta potęga ekonomiczna na świecie? A mimo to sklepy zamykają tam w środku dnia na kilka godzin, wszyscy raczą się winem i espresso, kopcą marlboro i ewidentnie zbijają baki! Co jest grane, zapytacie. Hm. Oni żyją naprawdę. Na dodatek tak długo jak my. Ale, ale! Czerpią z życia nieporównanie więcej radości. No to któregoś dnia powiedziałem do siebie: Brad, ty też kiedyś umrzesz i pójdziesz do piachu. I tak postanowiłem zostać Włochem.

Pragnę uciąć sobie romans z życiem! Kochać kobiety i dzieci oraz chłonać całe piękno i dobro świata. Tyle mnie ominęło! Dlatego kubek zimnej wody okazał się wybawieniem. Inaczej dalej biegałbym w swoim kółku jak chomik, aż do śmierci.

- Panie Brad? Ktoś na pana czeka.

- Dobrze, już idę! Dzięki!

To Louise Waring. Któż to taki? Louise to najlepsza kobieta na świecie i tyle. Zarządza wszystkim i wszystkimi. Jest asystentką Duane'a, szefa kuchni, a pod jego nieobecność przejmuje ster. Chwała Bogu, zna się niemalże na wszystkim. Tydzień temu zapobiegła rozlewowi krwi pomiędzy kierowcą a pomywaczem. Jeden z nich musiał rzucić obelgę na temat pochodzenia drugiego, na co tamten wytknął mu niezdrowy stosunek do matki. Dość rzec, że potem rozmowa przeszła na hiszpański i sprawa stanęła dosłownie rzecz biorąc na ostrzu noża, ale Louise wkroczyła do akcji i zagroziła wezwaniem policji. Dobrze, że klienci nie mają pojęcia o tym, co dzieje się w kuchni. Na sali panuje wystarczający bajzel!

Kubek zimnej wody? Na samo wspomnienie czuję wstyd, ale wiele na ten temat rozmyślałem. Uważam, że skoro mogę oszczędzić jakiemuś nieszczęsnemu frustratowi drogi przez mękę, której sam doświadczyłem, warto schować dumę do kieszeni. Wyciągnąłem kilka konstruktywnych wniosków, które wzięły swój początek z separacji z Loretą i bankructwa. Byłem niegłupim (tak mi się zdawało) czterdziestodwulatkiem z

kryształowym CV i obudziłem się z ręką w nocniku, jak zwykł mawiać mój czcigodny dziadek. Ale to najlepsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić.

Pozwolicie, że zostawię was na kilka minut. Ta rozmowa raczej nie potrwa długo. Po powrocie opowiem wam, dlaczego uproszczenie sobie życia to taka świetna sprawa. Tak jest, myśl jak Włoch. Siła w prostocie. Powieście sobie to hasło na ścianie i oprawcie w ramki.



Rozdział pierwszy

Jak ryba bez wody

Kuchennymi drzwiami przeszedłem do baru, gdzie czekała moja interesantka. Zeskoczyła ze stolka i wzięła głęboki oddech. Nerwowy entuzjazm to dobry znak.

- Witam! Nazywam się Brad Jackson. Dziękuję, że pani przyszła.

- Jestem Linda Breland.

Podala mi swoje CV i uściśniła moją rękę, aż zatrzeszczały kości.

- To się nazywa krzepa.

- Boże święty, przepraszam. To od przerzucania stosów gazet. Mało kobiece, prawda? Bolało?

- Nie ma o czym mówić.

Ubiegała się o posadę kierownika, więc jej kobiecość nie odgrywała najmniejszej roli.

Louise miała pełne ręce roboty w kuchni i organizacja pracy rozlazila się w szwach. Robert, Louise i ja uznaliśmy zgodnie, że pora zatrudnić kogoś z kwalifikacjami i głową do szczegółów.

Linda Breland robiła na oko miłe wrażenie osoby, na której można polegać. Liczyła sobie jakieś trzydzieści parę lat. Jeśli jej uścisk mógł o czymkolwiek świadczyć, stanowiła okaz zdrowia. Miała brązowe włosy przetykane jasnymi pasemkami, może nawet ufarbowane specjalnie na tę rozmowę, jednakże ich kolor nie miał dla mnie najmniejszego znaczenia. Ubrana była konserwatywnie, żeby nie powiedzieć skromnie, a zarazem dość stylowo, by pokazać, że dba o wygląd zewnętrzny. I właśnie to się najbardziej liczyło. Grunt to profesjonalny wygląd. Krzepa robotnika portowego też nie zaszkodzi. Nigdy nie wiadomo, co trzeba będzie robić - przestawiać pudła z winem, skrzynie z warzywami, kartony szklanek - wszystko mogło się zdarzyć.

- Może usiądziemy przy oknie? - zaproponowałem. - Napije się pani czegoś? Może herbaty?

- Właściwie z chęcią napiłabym się coli dietetycznej, jeśli jest. - Uniosła klapy zakietu i lekko nimi poruszyła, chcąc zyskać trochę więcej powietrza. - Uff! Co za upał. W gardle mi zaschło jak na pustyni!

- Nie ma problemu. Proszę usiąść, zaraz wracam.

W jej wymowie toczyła się wojna secesyjna. W jednej chwili Linda przypominała Scarlett, po czym stawała się nieskazitelną Edith Bunker*. Zabawne. Dziwne, ale zabawne.

* Edith Bunker - bohaterka popularnego w latach siedemdziesiątych amerykańskiego serialu komediowego „All in the Family”, grana przez Jean Stapleton (wszystkie przypisy tłumaczki).

Sala niemalże świeciła pustkami, jak zwykle pomiędzy lunchem i kolacją. Mieliśmy żelazny zestaw potraw, które serwowaliśmy przez cały dzień, lecz akurat przypadał wtorek, we wtorki zaś z nieznanym mi przyczyn nie było większego ruchu.

Napełniając szklanki, rzuciłem okiem na CV Lindy i zobaczyłem, że przez wiele lat mieszkała w New Jersey. Akcent nie powinien zatem budzić zdziwienia. Była zatrudniona w dziale dystrybucji „Star-Ledgera” w Newark. Nie miałem pojęcia, jakim cudem dawało jej to kwalifikacje na stanowisko kierownika, ale ostatecznie cóż ja mogłem wiedzieć?

Gdy postawiłem przed nią szklanekę, spojrzała na mnie z uśmiechem i założyła nogę na nogę. Miała miłą twarz. W jej uśmiechu nie było nic niestosownego, jedynie zwykła życzliwość.

Usiadłem naprzeciw niej i ponownie przejrzałem CV. Znowu założyła nogę na nogę, tym razem odwrotnie. Pewnie ze zdenerwowania.

- Brakuje pani doświadczenia w zarządzaniu restauracją i to mnie trochę martwi.

- No tak, wiem, ale przecież szuka pan menedżera, prawda? Mam doświadczenie ze „Star-Ledgera”, gdzie kierowałam dystrybucją.

- To znaczy?

Raz jeszcze przełożyła nogi, wiercąc się na krześle, co trochę mnie rozpraszało.

- Wygodnie pani? Mam przynieść inne krzesło?

- Nie, nie, wszystko w porządku, naprawdę.

- Dobrze, proszę zatem opowiedzieć mi o swojej pracy. Od czego pani zaczynała dzień? Na czym właściwie polegały pani obowiązki?

- Cóż, nie było tego wiele. Wstawałam o wpół do piątej, zeskrobywałam z samochodu śnieg, lód bądź jedno i drugie i jechałam po ciemku do Jersey City, gdzie musiałam sprawdzić, czy wszyscy kierowcy są na miejscu, i dopilnować załadowania ciężarówek oraz dostarczenia papierów. Obawiam się, że to nic wielkiego, ale na rachunki wystarczało.

Każda kobieta, która w zimową noc umiała poradzić sobie z kierowcami ciężarówek, zasługiwała na miano walecznej. To mi się podobało.

- Proszę mi o siebie opowiedzieć - poprosiłem.

- O sobie? Boże, to długa historia. Zaczynijmy od tego, że dorastałam w okolicy. Potem wyjechałam z Karoliny, gdy w klasie maturalnej wyszłam za faceta z New Jersey. Wiem, że to istne wariactwo.

- Dlaczego?

- Byłam w ciąży! Porządna dziewczyna z katolickiej rodziny, rozumie pan. Szaleństwem było ot, tak po prostu rzucić szkołę. Ale zawsze wszystko jakoś się układa.

Linda Breland poczerwieniała. Pewnie nie planowała aż tak intymnych zwierzeń. Uśmiechem dodałem jej otuchy.

- Zdarza się.

- No tak. Tym sposobem weszłam w kierat i na lata utknęłam w New Jersey. Potem Fred z przerażeniem uzmysłowił sobie, że łysieje...

Postukałem się w czubek głowy, na co znów się zarumieniła.

- Rozwiedliśmy się prawie pięć lat temu i od tamtej pory sama wychowuję dziewczynki. Tak czy inaczej, w końcu do mnie dotarło, że mogę zarabiać tyle samo i nie zrywać się bladym świtem! Prawda?

- Prawda.

- I tak nie miałam widoków na awans, więc po co wypruwać sobie żyły? Nie lepiej zrobić coś, co trochę ułatwi mi życie? Czy pan rozumie, co mam na myśli? Na przykład odkąd dziewczynki poszły do liceum, ani razu nie zjadłam z nimi śniadania. Są dla mnie

najważniejsze na świecie i próbuję teraz nadgonić stracony czas. To ważne. Tak mi się wydaje.

Cóż, Linda Breland nie była najbardziej wygadana kobietą, jaką poznałem, ale przynajmniej miała głowę na karku. Wyznawała istotne zasady. Kobieta, która przewraca swoje życie do góry nogami, aby móc spędzać więcej czasu z dziećmi, nie może być złym człowiekiem.

- Podpisuję się pod tym obiema rękami. Ile pani ma dzieci?

- Dwie córki. Starsza, Lindsey, jesienią idzie do college'u, a Gracie będzie teraz w trzeciej klasie.

- Czyli przenosi się pani do Mount Pleasant?

- Tak, o ile zdołam jakoś to wszystko zorganizować. Moja siostra nadal tu mieszka, więc na razie zatrzymałyśmy się u niej, ale niedługo będę musiała się rozejrzeć za jakimś domem. No i szukam pracy. - Na chwilę zamilkła, po czym dodała: - Ma się rozumieć.

- Tak. Ma się rozumieć.

- Robiłam też inne rzeczy. Proszę zobaczyć, rozkręciłam niewielki interes pod nazwą „Jak się to robi”. Płacę rachunki i załatwiam różne sprawy kobietom z okolic Montclair. Hm, w Montclair mieszkamy bądź mieszkaliśmy, w zależności od tego, jak mi teraz idzie.

- Idzie pani wyśmienicie, pani Breland.

Nogi ponownie zmieniły pozycję, ale nie zwróciłem na to uwagi.

- Proszę mówić do mnie Linda, jak wszyscy.

- Dobrze, Linda, a ty mów mi Brad.

- Byłam też konsultantką Avonu... Brad. Takie tam, mydełka i kosmetyki. Fajnie było. Podliczałam rachunki jakiejś kobietce, po czym unosiłam wzrok i mówiłam: „Moja droga, ależ ty blado wyglądasz!”. Następnie sięgałam do swojej przepastnej torby, wyjmowałam próbki i delikwentka w jednej chwili przeobrażała się w Lopez!

- W Lopez? - O czym ona mówi?

- Jennifer. Aha!

- No tak. Jennifer Lopez, ta piosenkarka. I co, nie wściekały się za to? To znaczy, mówisz komuś, że wygląda jak koczodan i...

- Koczkodan? - Wybuchnęła dźwięcznym, rozbijającym śmiechem. Melodyjnym i zaraźliwym.

- Tak, koczkodan. Nigdy tego nie słyszałaś? Koczkodan, czyli strach na wróble...

- Nie, nie, wiem, co to znaczy. Koczkodan. Ekstra.

- Też możesz tak mówić. Gratis.

- Dzięki, nie omieszkam. Widzisz? Powiedzonka to kolejny aspekt mieszkania na Południu. Nawet zwykła rozmowa zyskuje określony koloryt. Czy nie mam racji?

- Ogólnie rzecz biorąc tak, ale zależy, z kim masz do czynienia. Tutaj możesz mówić, co ci ślina na język przyniesie, ale kiedy byłem doradcą inwestycyjnym, nikt nie przepuściłby najdrobniejszego potknięcia.

- Byłeś doradcą inwestycyjnym?

- Tak, w Atlancie. Pracowałem u teścia. Ciężki kawałek chleba. Nie tak stresujący jak zawód maklera, ale i tak miałem dosyć.

- Zatem ty też nie miałeś doświadczenia w prowadzeniu restauracji?

- Żartujesz? Mieszkałem na innej planecie!

- Czy mogę spytać, jakim cudem tu trafiłeś?

- Jasne. Moja żona odeszła z moim największym wrogiem, a teść sprzedał mu interes, który miałem odziedziczyć. Co ty na to?

Zapadła długa cisza. Wreszcie Linda odzyskała mowę.

- Boże Przenajświętszy! Nie miałeś ochoty rozszarpać ich gołymi rękami?

Rozszarpać gołymi rękami? Ta dopiero miała gadane. Nogi zastygły nieruchomo; Linda oparła się na łokciu, nie spuszczać ze mnie wzroku. Lubilem obserwować reakcje ludzi na wieść o porypanych kolejach losu, jakie przypadły mi w udziale.

- Bywało, że taka myśl pojawiała się w mojej głowie średnio co trzy sekundy.

- I co zrobiłeś? Jezu! A ja sądziłam, że Fred to gnida!

- No cóż, nie obyło się bez rozmyślań i wędkowania, które wreszcie nasunęły mi wniosek, że fuzje oraz kupno akcji to zdecydowanie nie to, co tygrysy lubią najbardziej. Któregoś dnia siedzę w łódce z moim kumplem Robertem i mówię doń: „Wiesz co? Mógłbym przez resztę życia gapić się na tę wodę i nigdy nie miałbym dosyć”. Na co on odpowiada: „Do dzieła, stary”. I tak wpadliśmy na pomysł z restauracją.

- Co do widoku, masz całkowitą rację. Używając określenia mojej córki Gracie, jest zabójczy.

Linda odchyliła się na krzesło i wyjrzała przez okno sięgające od sufitu do podłogi. Wyraz jej twarzy zmienił się w jednej chwili. Pasowała tu, bez dwóch zdań. Przez chwilę obserwowaliśmy igraszki słońca na niezliczonych kręgach słonej wody, kutry sunące wzdłuż nabrzeża, majestatyczny lot ptaków. Wydawała się bez reszty oczarowana widokiem. Trudno zresztą się dziwić. Wtedy postanowiłem ją zatrudnić. Przypadła mi do gustu i miałem zamiar dać jej szansę.

Najpierw musiała jednak przejść próbę ogniową - czyli rozmowę z Louise.

- Musisz kogoś poznać - powiedziałem. - Chodźmy.

- Jasne.

Pchnąłem wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni, gdzie Louise właśnie pastwiła się nad kucharzem.

- Doo-wayne? Ludzie nie przyjeżdżają do Shem Creek na flądę z papką z grejpfruta! Wolą rybę bez niczego!

Duane, szef kuchni, z całej siły walnął ręką w kontuar.

- U Johnsona i Walesa uczyli nas...

- Mam gdzieś te twoje...

- Spokój tam! Czy możemy omówić to później? Pozwól do mojego gabinetu, Louise. To Linda Breland, chciałbym, żebyś zamieniła z nią parę słów.

Łagodnie ująłem Louise pod ramię, jednocześnie zapewniając spojrzeniem Duane'a, że niebawem wrócę i rozstrzygniemy tę drażliwą kwestię.

Louise dalej mamrotała pod nosem.

- Smarkacze i szkoły gastronomiczne! Za moich czasów nigdy! Świat stanął do góry nogami! Grejpfрут z flądą? Paskudztwo! Ot co! Paskudztwo!

- Ba! - wtrąciła Linda.

- Louise jest nieco uprzedzona - dorzuciłem.

Linda zachichotała, Louise prychnęła, po czym wszyscy troje umilkliśmy. Louise popatrzyła zmrużonymi oczami na moją kandydatkę i nieustępliwie zacisnęła zęby.

- Ma pani na imię Linda, tak?

- Tak jest.
- I nie je pani grejpfruta z rybą?
- Nie. Nigdy. - Na poparcie tych słów wydała z siebie gardłowy jęk obrzydzenia. Louise powoli zmierzyła ją od stóp do głów.
- Podoba mi się, panie Brad. Niech ją pan zatrudni. Ma głowę na karku.
- Już się robi. Louise?
- Tak?
- Tylko nie zabij Duane'a. Niech sobie podaje flandrę, jak chce.
- Po moim trupie! Też!
- Ty diablico!

Sprawa była niemalże przesądzona. Louise wróciła do kuchennego piekielka, a ja otworzyłem drzwi do gabinetu. Usiadłem przy biurku, które być może miało się stać biurkiem Lindy, ona zaś ponownie zajęła miejsce na wprost mnie.

- Jest tylko jeden szkopuł - oznajmiłem.
- Strzelaj.
- Brak doświadczenia w branży gastronomicznej.

Raz jeszcze wychyliła się do przodu, lecz nie patrzyła na mnie ze zgrozą, jak na wieść o Loretcie. Na jej ustach zaigrał przekorny uśmiezek.

- O sobie mogłeś powiedzieć to samo - odparła. Co za tupet! Tu mnie miała.
- Jakiego oczekujesz wynagrodzenia?
- Za co? Wybuchnęliśmy śmiechem.
- Przecież musisz określić, na czym mają polegać moje obowiązki, no nie? - powiedziała. - Bóg mi świadkiem, że wolałabym nie wchodzić w drogę Louise!
- Ma się rozumieć.

Wyjaśniłem pokrótce, że miałyby zajmować się rachunkami i listą płac, pilnować dostawców i szefa kuchni, żeby nie robili żadnych przekrętów, no i mieć oko na całe gospodarstwo.

- Czyli?
- Czyli wszystko, co się dzieje poza kuchnią. Personel, a także oczywiście klientów. Załogę mamy bez zarzutu, ale należy ją trzymać w ryzach. To w większości młodzi ludzie,

którzy chcą zarobić na studia, czasami stwarzają wokół siebie za dużo szumu i trwonią czas na pogaduchy. Bywa, że zapominają przyjść do pracy. Na pewno polubisz barmana. Nazywa się Mike O'Malley. Irlandczyk.

- Irlandczyk? Naprawdę?

- Wybacz. To było idiotyczne.

- W porządku. Ja bez przerwy plotę trzy po trzy. Moja babcia była Irlandką. W razie czego służę pomocą.

- Świetnie. Z grubsza rzecz biorąc, cały interes spoczywa na barkach moich i Louise, no i teraz także twoich.

- Godziny pracy?

Oto stałem u progu zatrudnienia kobiety, która skwapliwie wytknie mi każde niedociągnięcie. No cóż. Z czasem wykorzenimy z niej tę nadgorliwość rodem z Jersey. Kobieta z Południa nigdy nie ośmieliłaby się podskoczyć szefowi, a już zwłaszcza podczas rozmowy o pracę. Ale co tam, przynajmniej będę się miał na baczności. Nie mogła być gorsza od Loretty, a myślę, że i do Louise sporo jej brakowało.

- Ruchome zmiany ośmiogodzinne, od poniedziałku do soboty. W niedziele będziesz się zmieniać ze mną i Louise.

- Nie ma sprawy. Świadczenia?

- Ubezpieczenie zdrowotne. Musimy tylko dopełnić kilku formalności.

- To w gruncie rzeczy bez znaczenia, jesteśmy ubezpieczone w Cobre. Urlop?

- Standardowo. Po roku pracy jeden tydzień. Po upływie dwóch lat - dwa. I tak aż do czterech tygodni, ale rozłożone w czasie.

- Rozumiem. Zgoda.

- Hm, Linda. Jeszcze nie omówiliśmy kwestii wynagrodzenia.

- O Boże, nie cierpię się targować.

- Tak, pieniądze to drażliwy temat. Źródło wszelkiego zła itepe. No ale... dobrze, wobec tego ile zarabiałaś w New Jersey?

- Jałmużnę, jeśli wziąć pod uwagę piekło, przez które musiałam przechodzić!

Zgrabnie powiedziane, pomyślałem.

- Czyli ile?

- U wydawcy trzydzieści cztery tysiące i około sześciu z pozostałych źródeł.
- Fiu! To daje czterdzieści tysięcy!
- Oglądasz telewizję?
- Raczej nie. Dlaczego pytasz?
- Jest taka reklama farby do włosów, w której dziewczyna mówi: „Ponieważ jestem tego warta”. Masz odpowiedź. Chcesz kupić moje serce i duszę? Czterdzieści tysięcy.

Po tych słowach Linda wybuchnęła śmiechem. Zasłoniła ręką usta, rozbawiona własną śmiałością.

- No dobrze, podaj mi numer swojego ubezpieczenia i wszyscy będą zadowoleni - skwitowałem.

- Zgoda!

Odprowadziłem ją do drzwi i patrzyłem, jak ruszyła do samochodu, kilkakrotnie pstrykając palcami. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek widziałem, jak ktoś zachowuje się w równie zabawny i spontaniczny sposób, będąc zarazem obojętnym na wścibskie spojrzenia. Odwaga Lindy Breland wzbudziła we mnie beztróskę, jakiej nie zaznałem od lat. Pomyślałem o swych niefrasobliwych poczynaniach z młodości i uśmiechnąłem się szeroko. Boje Roberta z inwestorami, żelazna wola Louise, moja determinacja i wesołość Lindy. Stworzymy gastronomiczny oddział SWAT* , ot co.

* Elitarne jednostki antyterrorystyczne, doskonale wyszkolone i uzbrojone, przeznaczone do zadań specjalnych.

Rozdział drugi

Linda i Mimi

Wjechałam na podjazd i zatrzymałam samochód. Ludzie przejeżdżający London Bridge Road z pewnością uważali, że dom Mimi wygląda jak żywcem wyjęty z bajki o idealnym świecie. Różowo-zielone caladium okalało grządki pełne azalii, przetykanej kępkami białoróżowego barwinka. Trawnik był idealnie przystrzyżony. Na niedużej, uroczej werandzie stały pomalowane na biało bujane fotele, a z wiszących koszyków spływały pędy asparagusa oraz różowe i białe kwiaty, których nazwy nie pamiętałam. Nie dawało mi to spokoju, nasuwając myśl, że pozwoliłam sobie zapomnieć o zbyt wielu rzeczach.

Jeszcze niedawno myślałam, że nigdy nie pogodzę się z powtórным ślubem Freda. Popadłam w ciężką depresję wynikającą nie tylko z faktu, że Patti (jego druga żona) jest młodsza ode mnie, a na dodatek piękna i utalentowana, co samo w sobie zasługiwało na nienawiść. Co więcej, okazała się też mądra, inteligentna i obdarzona świętą cierpliwością. Nie, ta litania cnót w pełni usprawiedliwiłaby zabójstwo w afekcie. Najgorszy ze wszystkiego był jednak głosik w mojej głowie szepczący: „Cholera! Skoro Fred to najlepsze, na co stać Patti, kto wobec tego pozostaje dla mnie? Szumowiny?”

Rzeczywistym powodem depresji było rozpaczliwe przekonanie, że w moim życiu nic się nie zmieni i dalej będzie tak jak teraz. I do końca będzie mi towarzyszyło uczucie śmiertelnego znużenia. Nienawidziłam swojej pracy, czy raczej, hm, prac. Nienawidziłam wiecznego borykania się z brakiem pieniędzy, nienawidziłam zim, jesiennych alergii, mrożonych owoców morza, korków, strachu przed terroryzmem, zatrucia środowiska oraz miliona nowojorskich atrakcji, z których nie było mi dane korzystać. Lincoln Center, muzea, restauracje, buty, na które mnie nie stać, że nie wspomnę już o cudёнkach z galerii sztuki oraz sklepów z antykami... widzieliście kiedyś matkę, która zabiera dziecko do sklepu z zabawkami, po czym oznajmia, że nic mu nie kupi? Która mówi: „Przepraszam, skarbie, ale musimy tylko wybrać prezent na urodziny tego lub owego”? A biedny

dzieciak przetyka ły. Skoro nie możesz kupić małemu nawet drobiazgu, po kiego licha ciągasz go po sklepach?

Nie musiałam być Einsteinem, aby dojść do wniosku, że nie otaczają mnie przeszkody, jakich mimo wszystko nie byłabym w stanie pokonać.

Zapragnęłam znaleźć się w miejscu, gdzie wszystkie przywileje są na wyciągnięcie ręki. A przynajmniej spróbować tego dokonać.

Być może dzięki przeprowadzce do siostry moje życie chociaż pozornie odzyska jaśniejsze barwy. Mogłabym zacząć wszystko od nowa w domu o równych podłogach i szczelnych oknach. Znajdę sobie przystań z dostateczną ilością szaf, słoneczną kuchnią oraz tycią werandą, na której będę mogła poczytać lub poplotkować z przyjaciółką.

Pewnie powiecie, że pozory to nie wszystko, i będziecie mieli rację, lecz wiem z doświadczenia, że w życiu często bywa odwrotnie. To, jak wyglądasz, w znaczący sposób wpływa na to, jak cię traktują w restauracji bądź na zebraniu rodziców. Dom Mimi mówił sam za siebie. Przynajmniej mogła uchodzić za zadowoloną i dumną ze swego życia.

Dom mojej siostry stanowił przykład amerykańskiego dziedzictwa zgodnie z najlepszymi tradycjami Południa. Starannie poustawiane fotografie w srebrnych ramkach, przedstawiające naszych dawno zmarłych rodziców i dziadków, były tylko jednym z przejawów jej szacunku dla przeszłości. Na wyeksponowanym w salonie mahoniowym sekretarzyku mamy znajdowały się inne małe, lecz drogocenne pamiątki - miniaturowa pierwsza Biblia matki, babcine okulary w drucianej oprawce, położone równo na otwartych stronicach oraz srebrny ojcowski kufel z zaszuszoną gałązką rozmarynu. Obok kufła spoczywała koronkowa czapeczka do chrztu, własnoręczne dzieło babki.

Troska bijąca z każdego detalu owej starannej aranżacji była dla mnie źródłem nieustannego zdumienia. Ja przecież od lat żyłam na walizkach, skrycie wyśmiewając siostrzane zamiłowanie do porządku. I co jej z tego przyszło, zapytywałam nieraz w duchu. Ja prowadziłam dom wariatów, ona dom lalki, a obie zostałyśmy porzucone przez mężów. Zasadnicza różnica polegała na tym, że ja miałam dwójkę dzieci oraz pełen asortyment przyczyn natury medycznej i emocjonalnej, a Mimi nie.

I tym sposobem, kiedy już zbliżyłam się do granic wytrzymałości, po cichu doszłam do wniosku, że zbudowana przez nią świątynia tradycji była wymarzonym miejscem,

gdzie nie tylko będę mogła w spokoju lizać rany, ale i dokonać radykalnych zmian w swoim życiu. Poza tym istniała mglista szansa, że Mimi wie o czymś, o czym nie wiem ja, choć prawdę mówiąc, szczerze w to wątpiłam.

Pochłonięta myślami wciąż tkwiłam za kierownicą. W ciągu niespełna godziny podjęłam decyzję, która miała nadać naszemu życiu nowy bieg. Niesamowite. Spotykasz się z kimś latami, zanim w ogóle postanie ci w głowie myśl o małżeństwie, przez lata ślęczysz nad książkami, zanim uzyskasz prawo wykonywania zawodu lekarza, ale jedna rozmowa o pracę może zmienić wszystko. Tak po prostu.

I ja właśnie tego dokonałam. Ja, Linda Breland, największy tchórz na całej kuli ziemskiej, złapałam bumerang, który miał ponownie osadzić mnie w rodzinnym mieście. Gdzieś po drodze ktoś musiał mi udzielić solidnego kredytu odwagi.

Chwyciwszy torebkę i gazety, wysiadłam z samochodu, po czym otworzyłam bagażnik, żeby wyjąć kupione przed chwilą steki. Należało jakoś uczcić ten przełomowy dzień. W chwili szaleństwa szarpnęłam się nawet na butelkę szampana.

Nie mogłam się doczekać, aż podzielę się nowiną z Mimi - będzie pod wrażeniem - lecz perspektywa rozmowy z dziewczynkami budziła we mnie przemożny lęk. Lindsey, która jesienią szła do college'u, okaże pewnie niewzruszony spokój, ale Gracie najprawdopodobniej wyjdzie z siebie. Cóż, mówi się trudno. W New Jersey nie obeszło się bez paru mrożących krew w żyłach incydentów, które jasno dały mi do zrozumienia, że moja młodsza córka potrzebuje dyktatora, który wybije jej z głowy głupoty i przywróci ją do pionu. Ja miałam być tym miłosiernym dyktatorem. Oparciem. Gracie potrzebowała oparcia. Trudno o lepsze miejsce niż Mount Pleasant w Karolinie Południowej, aby zapewnić niespokojnej istocie takiej jak moja młodsza córka warunki do właściwego rozwoju. Nie miała innego wyjścia, jak tylko jechać ze mną, i kropka.

Frontowe drzwi stanęły otworem i Lindsey wyszła na ganek, mrużąc oczy.

- Pomóc ci?

- Tak! Dzięki!

Lindsey miała na wpół rozpleciony warkocz, a jej koszulka i szorty były prze poczone i wygniecione.

- Tylko mi nie mów, że dopiero wstałaś.

- Aha. Padałam z nóg i musiałam się jeszcze położyć. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Zabierz to. Morskie powietrze, mała. Najlepszy środek nasenny pod słońcem. Ale nie powinnaś cały dzień wylegiwać się w łóżku.

- Niby dlaczego?

Typowa odpowiedź nastolatki.

Przytrzymałam drzwi i przepuściwszy córkę przodem, weszłam za nią do kuchni.

- Dlatego że przyzwoici ludzie wstają rano i nie marnują czasu, ot co! Chyba że są chorzy. Chyba nie jesteś chora, co? - Położyłam siatki na blacie i uniosłam rękę do jej czoła.

- Przestań, mammo! Jezu!

Nie zwróciłam na nią uwagi. Już dawno ogłuchłam na protesty córek.

- Jesteś zdrowa jak ryba. Gdzie Mimi?

- Poszła zrobić sobie paznokcie.

- Aha. - Wykręciłam numer telefonu komórkowego siostry, ale nie odbierała. Wiek nie byłam u manikiurzystki. - A Gracie?

- Na plaży. A gdzieżby indziej?

Niespokojnie przystąpiłam do wypakowywania zakupów. Gracie na plaży. Gracie w głębokiej wodzie! Rekiny! Zdradliwe prądy! Meduzy! Martwe, zsiniałe ciało córki dryfujące przy brzegu, obleżone przez padlinożerne kraby... Postanowiłam za wszelką cenę zachować spokój.

- Mówiła, kiedy wróci?

- Nie mam pojęcia. Trzeba by spytać gości, z którymi poszła.

- Gości?

- Tak. Spotkałyśmy jakichś chłopaków w Taco Bell i zabrała się z nimi.

- Nie lubię takich wyskoków. Ona przyprawi mnie o zawał. A jeśli to krewni Charlesa Mansona?

- Kto to jest Charles Manson?

- Maniakalny zabójca, *q'est-que c'est*.

- Masz czasami dziwne pomysły, mamó. - Lindsey zaczęła przeglądać zawartość toreb.

- Dziękuję, skarbie. Co ty właściwie robisz?

- Szukam czegoś na ząb. Dlaczego ty nigdy nie kupujesz chipsów? Ooo! Kupiłaś steki? A cóż to za okazja?

Przez chwilę walczyłam z sobą, czy powiedzieć jej od razu, czy też zgodnie z planem poczekać do kolacji. Wybrałam to pierwsze.

- No dobrze. Wiesz co?

- Nie wiem.

- Dostałam świetną pracę, kierowanie restauracją nad Shem Creek. Zapłacą mi więcej, niż zarabiałam w New Jersey!

- Czy mnie uszy nie mylą?

- Skądże znowu. Musimy natychmiast jechać do Montclair, wystawić na sprzedaż dom i wrócić tutaj.

- O w mordę! Mówisz poważnie?

- Wyrażaj się. Mówię jak najbardziej poważnie. Mamy masę rzeczy do zrobienia, bo zaczynam pracę za dziesięć dni.

- Gracie wylatuje.

- Wyrażaj się, powiedziałam!

- Przepraszam. Ale mówię ci, że wykituje. Mam nadzieję, że jesteś tego świadoma.

Wiem, że brałyśmy to pod uwagę, ale wszystko potoczyło się tak szybko. Mamó, nie mogę uwierzyć, że znalazłaś tu pracę!

- A jednak. Zróbmy porządek, w tym czasie wszystko ci opowiem.

Lindsey krążyła za mną po kuchni, a jej pomoc ograniczała się do podnoszenia mi ciśnienia.

- Posłuchaj, mamó, ja nigdzie się nie przeprowadzam. Idę na uniwersytet. Mnie to nie dotyczy. Słyszysz? No dobra. O rany! Psiakrew! Pomogę ci. Wrócę z tobą do Jersey i spakuję swoje manatki...

- Wszystkie wrócimy. Nie będę sama wszystkiego pakować, musicie najpierw posortować swoje rzeczy...

- Masz rację. Kiedy wyruszamy?

- Jutro. Pojedziemy samochodem.

- Chryste Panie! Kolejne czternaście godzin? Szlag by to. Przecież dopiero co przyjechałyśmy. Spakujemy się i będziemy gnać tu z powrotem? Tak po prostu?

- Ty zawsze miałaś głowę na karku, Lindsey! Tak sobie myślę, że mogłabyś zostawić zimowe rzeczy u taty. Może przechowa nam też inne drobiazgi, póki się tutaj nie urządzimy. Dokąd nie sprzedamy domu w Montclair, mam związane ręce. Albo pomieszkamy u cioci Mimi, albo coś wynajmiemy. Najważniejsza rzecz to wystawić na sprzedaż dom. A to oznacza...

- Niezły burdel!

- Opanuj się, Lindsey! Ale cóż, na to się właśnie zanosí. Trzeba będzie przechować gdzieś większość rzeczy.

- Boże, mamó! To takie przygnębiające! Pojadę do Montclair, wrócę tutaj, potem znowu do Nowego Jorku na Święto Pracy, zacznę szkołę, a ciebie tam nie będzie! Nie chcę spędzać weekendów z tatą i Patti! Ta kobieta doprowadza mnie do szału, a on jest stuknięty! Sama o tym dobrze wiesz!

Lindsey zachłysnęła się i zaczęła szlochać. Dawno nie widziałam, żeby tak beczała. Wiem, co tak bardzo wyprowadziło ją z równowagi - za dużo zmian w zbyt krótkim czasie. Zawsze nienawidziła zmian. Objęłam ją, żeby wypłakała mi się w rękaw.

- Posłuchaj, skarbie, wszystko się ułoży, zobaczysz. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. Rozumiesz?

- Tak - odpowiedziała, ale w jej głosie pobrzmiwała niepewność. - Będę siedzieć jak głupia w ogrodzie taty i zakopywać pieniądze w puszkach po kawie w oczekiwaniu na atak terrorystyczny.

- Nie kracz, mała. Wiesz, że to najlepsze rozwiązanie. Twoja mama nigdy nie zrobiła nic szalonego.

Lindsey podniosła głowę i popatrzyła na mnie z bladym uśmiechem.

- A jak byś nazwała tę przeprowadzkę?

- Wielkie dzięki! A wiesz, na co przeznaczymy dodatkowe pieniądze, jakie dostanę w nowej robocie?

- To ten fragment, kiedy próbujesz mnie przekupić? Chcę colę.

- Właśnie. Na bilety lotnicze. Mnie też przynieś. Dietetyczną, jeśli jeszcze jest.

Słuchaj, Mimi twierdzi, że lot z LaGuardia do Myrtle Beach kosztuje niecałe dwieście dolarów. Wystarczy na dziesięć razy. Szczerze powiedziawszy, nie sędzę, żebyś miała zamiar to wykorzystać. Będziesz tak pochłonięta studiami, że zapomnisz o starej matce.

Lindsey nasypała lodu do szklanek i nalała nam coli.

- Nie mów tak, mamó. Wiem, że mogę tu przyjechać, ale nie podoba mi się, że ty nie będziesz pod bokiem!

- Według ciebie powinnam siedzieć w Montclair i czekać, aż raczysz się zjawić na weekend?

- Mówię od rzeczy, co?

- Mówisz jak rozpieszczona dziewczynka, skarbie.

- Uch! Nie cierpię być dorosła! Zjesz ciasta?

- Pewnie, czemu nie? Ale tylko kawałeczek.

Obrzuciłam wzrokiem siostrzaną kuchnię. Wypucowane białe blaty i lśniąca dębowa podłoga robiły wrażenie. Szafki również były białe i miały przeszklone drzwiczki. Na półkach leżały stare, płócienne serwetki o koronkowych brzegach. Żadna z ustawionych równo kobaltowych szklanek nie była wyszczerbiona. Obok nich stały talerze z czerwono-niebieskim wzorkiem, dobrane pod kolor. Wszystko w tym pomieszczeniu, a zwłaszcza placek na wysokiej paterze, snuło pieśń o szczęśliwym i zorganizowanym życiu. Poczułam, że atmosfera zaczyna mi się udzielać.

Stuknęły frontowe drzwi i na progu kuchni stanęła moja siostra.

- Heeej! Co porabiacie? - Mimi wpłynęła do środka i cmoknęła Lindsey w policzek.

- Czy to ciasto nie jest najlepsze na świecie? Znika, ledwie zdążę je upiec.

- Niebo w gębie! - odrzekłam z pełnymi ustami. - Dlaczego nie odbierałaś komórki?

- No wiesz! Miałam świeżo pomalowane paznokcie! Miałam grzebać w torebce?

- Ciociu Mimi! Mama ma ci coś do zakomunikowania!

- Dostałaś pracę?

Kiwnęłam głową. Mimi krzyknęła i uściśnęła najpierw mnie, a potem Lindsey.

- Wspaniała wiadomość! Naprawdę! Jestem pod wrażeniem!

- Ja też.

Lindsey stała z boku, kręcąc głową.

Przekrzykiwałyśmy się przez chwilę, kiedy z korytarza dobiegło skrzypnięcie ostrożnie zamykanych drzwi. Gracie chwiejnie stanęła na progu, spieczona jak rak. Zalatywało od niej piwem. Na szyi miała pokaźną malinkę.

- Co tam? - rzuciła bełkotliwie.

Byłam wstrząśnięta, a moja siostra najwyraźniej straciła mowę. Milczałyśmy, nie odrywając wzroku od winowajczynie, która uznawszy, że nie ma sensu nawet udawać trzeźwej, obróciła się na pięcie, dla równowagi przytrzymując się drzwi.

- Idę do siebie - oznajmiła. - Jestem wykończona.

- Oto jedna z przyczyn, dla których tu zostaniemy - rzuciłam w przestrzeń.

- Przyda ci się pomoc - uznała Mimi. - Ona jest pijana w sztok! Moja młodsza latorośl wchodziła po schodach, podśpiewując pijacką piosenkę o dość obsceniczej treści.

- Zrobię z niej damę, choćby to była ostatnia rzecz, której dokonam - oznajmiłam.

- Powodzenia - wtrąciła Lindsey.

- To najprawdopodobniej będzie ostatnia rzecz, której dokonasz - dodała Mimi.

- Jeszcze zobaczymy - odparłam stanowczo, świadoma jałowości własnych pogroźek. - Przystąpię do boju, jak tylko wytrzeźwieje.

- Co dwie głowy, to nie jedna - powiedziała Mimi. - Pomogę ci. Minęły trzy godziny, a moja młodsza córka nie dała znaku życia.

No, jeśli nie liczyć rozgłośnego chrapania, od którego trzęsło się całe piętro. Przygotowałyśmy kolację i nadeszła pora, aby przywrócić Gracie do świata żywych. Po drodze natknęłam się na Mimi.

- Mam ją obudzić? - zapytała. - Piłuje tak od kilku godzin!

- Chyba nie mamy innego wyjścia - uznałam. - Chodźmy.

Otworzyłyśmy drzwi i naszym oczom ukazała się Gracie zwinięta w kłębek pod prześcieradłem. Oddychała miarowo. Poczulałam się rozdarta między przemożną chęcią pogłaskania jej po głowie i wytargania za włosy. Przed sobą miałam jeszcze spakowanie rzeczy oraz konieczność zakomunikowania jej nowiny.

- Tak niewinnie wygląda - szepnęła Mimi. - Jak aniołek.

- Ładny mi aniołek - odrzekłam. - To dziecko Freda Brelanda, nie moje.
- Racja - przytaknęła Mimi, a następnie potrząsnęła śpiącą za ramię. - Gracie?

Gracie? Pora wstawać, kochanie. Szybciutko. Ruszaj się.

Gracie Stęknęła i przewróciła się na drugi bok, ziewając jak hipopotam.

- Jeszcze chwilkę, dobra? Zamknijcie drzwi!
- Nie ma mowy, skarbie, musisz wstać - oznajmiła Mimi. - Kolacja na stole.
- Nie jestem głodna - odburknęła smarkula, ponownie zmieniając pozycję.

Mimi niepotrzebnie się patyczkowała. Poczulałam, że jestem u kresu wytrzymałości. Zerwałam przykrycie z Gracie i straciłam jej nogi na podłogę.

- Wstawaj i umyj twarz - rozkazałam. - Dosyć się dzisiaj napatrzyłyśmy. Jak mogłaś wrócić do domu w takim stanie? Nie pozwolę, żebyś przynosiła mi wstyd! Złóż z łóżka!

Wydawało się, że to już koniec przedstawienia, kiedy jednak usiadłyśmy przy stole (na którym stały trzy kieliszki do szampana, a jakże), wieść o mojej nowej pracy stała się przyczyną zagorzałej wymiany zdań.

- Możesz się przeprowadzać, jeśli chcesz - oświadczyła Gracie.
- Ja tam nie mam zamiaru bratać się z wieśniakami.
- Dziękuję ci bardzo, kochanie - wtrąciła moja siostra.
- Przecież wiesz, że nie mówiłam o tobie, ciociu Mimi. Kocham New Jersey i mogę mieszkać z tatą. Sam tak powiedział.

- Oho! Chcesz mieszkać z Patti? - spytała Lindsey. - Odbiło ci?
- Wykluczone. Nikt nie będzie mieszkał z tatą i jego żoną - oznajmiłam. - To mnie przyznano prawo do opieki nad wami i tak zostanie.
- Mamo, jeśli spróbujesz mnie zmusić, będziesz miała duży problem. Nie żartuję!
- Duży? - spytałam ze straszliwym spokojem.
- Żebyś wiedziała! Ogromny! Stoimy po przeciwnych stronach barykady! -

Narysowała palcem wyimaginowaną granicę.

Nie miałam ochoty do śmiechu.

- Próbujesz mi grozić, Gracie?
- Nie mów do matki takim tonem - dorzuciła Mimi.

Gracie gmerała w talerzu, kipiąc ze złości. Lindsey spróbowała mediacji.

- Posłuchaj, Gracie. Wielkie rzeczy. Będiesz mogła siedzieć całe lato na plaży. Opalisz się jak nigdy w życiu. Połowa tutejszej populacji nie dorasta ci do pięt. Będiesz mogła tańczyć w zespole baletowym w Charlestonie. To zawodowcy! Może nawet mają sekcję tańca nowoczesnego? Kto wie, może zatańczysz w Gaillard Auditorium! I za dwa lata będą się o ciebie bili ci z Juilliard!

- Już to widzę - burknęła Gracie. - Dziś po południu nagrali się na sekretarkę.

- Wiecie co, nie podobają mi się te przytyki pod adresem południowców. Ci z Północy wcale nie są...

- Boże! I po co się od razu obrażać? - przerwała Gracie.

- Miałam na myśli coś innego, ciociu Mimi. Chodziło mi o to, że Gracie z niejednego pieca chleb jadła.

- W tym sęk - wtrąciłam sarkastycznie.

- Nie będę tu mieszkać! - oświadczyła młodsza córka. - To moje ostatnie słowo.

- Nie do ciebie należy ostatnie słowo - odparowałam. - Nie masz tu nic do gadania.

- Dajcie już spokój - łagodziła Mimi. - Wiecie co, mam pomysł. Gracie, może zostaniesz ze mną, kiedy twoja mama i Lindsey pojedą do New Jersey? Chętnie poznałabym twój pogląd na sytuację.

Gracie łypnęła na mnie z ukosa; widziałam, że jej mózg pracuje pełną parą. Co było gorsze? Dwa dni morderczej podróży i pakowanie? Czy może pięć lub więcej dni w rękach bezlitosnego oprawcy? Ciężki wybór.

- Możesz zostać, jeśli chcesz - rzuciłam, siląc się na nonszalancję.

Gracie patrzyła to na mnie, to na Mimi, po czym wreszcie raczyła zabrać głos.

- No dobrze. Zostanę z ciocią Mimi pod jednym warunkiem.

- Mianowicie? - zapytała Mimi.

- Jeżeli przedstawię ci mój punkt widzenia i przyznasz mi rację, będę mogła w sierpniu wrócić do New Jersey.

Może jednak Gracie ma jakiś swój punkt widzenia. Może to ja jestem w błędzie, narzucając jej swoją wolę. Jedno pewne, przez najbliższy tydzień nie będę za nią tęsknić. O nie. Ani trochę.

- Nie ma mowy - skwitowałam. - Klamka zapadła i nie będziemy się targować. Koniec kropka. Miałam powody, aby podjąć taką, a nie inną decyzję, i tak zostanie. Mam powyżej uszu twojego pyskowania oraz głupot, jakie wyprawiałaś przez ostatnie dwa lata. Nie zamierzam dłużej tego znosić!

- Mamo! Przestań... - Gracie walnęła pięścią w stół. Nie wytrzymałam. Krew szumiała mi w skroniach.

- Nie! Nie będziesz mi mówić, czy mam przestać, czy nie. Ja nie żartuję, Gracie. Uważasz, że to przyjemne wyciągać cię z komisariatu? Odbierać telefony ze szkoły na temat twojego zachowania na lekcjach? Znosić ordynarne odzywki? I żenujące oceny? O nie. Powiedziałam koniec! Będziesz odrabiać lekcje i przyłożysz się do nauki, chyba że masz zamiar do końca życia rozwozić pizzę albo smażyć frytki! Nie musisz jechać z nami do New Jersey, bo pewnie i tak musiałabym się o ciebie zamartwiać. Nie. Zostaniesz tutaj, z moją siostrą, a Lindsey i ja w spokoju spakujemy rzeczy. I ostrzegam: jeśli jeszcze raz usłyszę o podrywaniu włóczągów w Taco Bell czy gdziekolwiek indziej i powrotach do domu po pijanemu, dostaniesz szlaban, o jakim ci się nie śniło! Rozumiemy się?

Przy stole zapadła głucha cisza. Oddychałam gwałtownie; wszystkie wiedziałyśmy, że jeszcze chwila, a Gracie dostanie w ucho. Chyba zrozumiała, że nie może liczyć na niczyje wsparcie, gdyż ku mojemu zdumieniu nie odezwała się ani słowem. W New Jersey dochodziło do awantur, od których sąsiadom wędły uszy. Bywało, że Lindsey wrzeszczała, żebyśmy przestały, i siłą powstrzymywała mnie od rękoczynów. Być może obecność Mimi oraz fakt, że przebywałyśmy w jej domu, powstrzymały Gracie przed zaprezentowaniem pełni swoich możliwości. Albo po prostu podświadomie chciała, żeby ktoś ograniczył jej ekscesy. Tę opcję zdecydowanie należało wziąć pod rozwagę. Do diabła, ostatecznie musi kiedyś dorosnąć, prawda?

Rozdział trzeci

Mówi Gracie

Mama i Lindsey wyjechały wczesnym rankiem. Szczerze mówiąc, bardzo się dziwię, że Lindsey tak łatwo dała się urobić, ale to cała ona, domowy świętoszek. Trochę było mi głupio za wczoraj, dlatego wstałam pierwsza i usmażyłam dla wszystkich naleśniki. Ciocia Mimi deptała mi po piętach, nakryła do stołu i poprzekładała noże na prawą, a widelce na lewą stronę. Czy stół zawsze musi wyglądać jak z kolorowego pisma? Kto go będzie oglądał? Ale postanowiłam się nie wychylać. Miałam nadzieję, że obejdzie się bez kazań na temat picia i randek. Mama okazała się niezawodna. Miotła się po kuchni jak kot z pęcherzem.

- Tylko bez wygłupów, Gracie - ostrzegła. - Zrozumiano?

- Zrozumiano - odpowiedziałam.

- Zadzwoń z Richmondu, żeby sprawdzić, jak się sprawujesz - obiecała. - Mamy benzynę? Ach tak, wczoraj zatankowałam. Zachowuj się, Gracie, bardzo cię proszę!

- No przecież powiedziałam, prawda?

Stałam przy kuchence, nakładając naleśniki. Na widok ironicznego uśmiešku Lindsey ukradkiem pokazałam jej środkowy palec. Odpowiedziała mi tym samym i parsknęłyśmy śmiechem.

- Co jest takie zabawne? - spytała ciocia Mimi.

- Moje córki wymieniają sprośne gesty - wyjaśniła mama. Mama miała oczy nie tylko z tyłu, ale i po bokach głowy.

- Boże przenajświętszy! Czeka mnie nie lada zadanie! - odparła z westchnieniem ciocia Mimi.

Wiedziałam, czym to pachnie: ciocia szykowała się na heroiczny wysiłek nawrócenia mnie na tutejszą modłę. A co tam. Wszystko będzie lepsze niż odparzanie tyłka w samochodzie.

Tak czy siak, po ich wyjeździe miałam szczerą ochotę wrócić do łóżka. Ale gdzie tam! Generał Mimi okazała się niewzruszona.

- Zróbmy porządek z naczyniami, Gracie.
- U nas jest tak, że kto gotuje, ten nie zmywa - zaproponowałam.
- Cóż, nie jesteśmy u was - ucięła. - Trzymaj gąbkę.

Normalnie stanęłabym okoniem, ale było za wcześnie na kłótnie, nawet dla mnie. Poza tym powiedziała to z uśmiechem, a trudno warczeć na kogoś, kto jest dla nas miły.

- Mów, jak sprawa wygląda, panno Gracie. Dlaczego nie chcesz mieszkać z ciocią Mimi? Co ci się u nas nie podoba?

- Tu nie chodzi o ciebie, ciociu. To wszystko jest takie dziwne, wiesz?
- Mów jaśniej, skarbie. Już dawno dałam sobie spokój z czytaniem w myślach.

Strumień gorącej wody wypełnił zlew obłokami pary. Ciocia splukała naczynia i ułożyła je w zmywarce. Wytarłam okruszki z blatu, po czym schowałam do lodówki mleko, masło i syrop. Jak miałam jej to wytłumaczyć, żeby nie poczuła się urażona?

- Mieszkam w New Jersey od urodzenia. Mam tam przyjaciół! Oni są inni niż tutejsi. Są różni, biali, czarni, skośnoocy! Do mojej szkoły w Montclair chodzi dwa tysiące uczniów!

- W Wando jest ich więcej.
- Naprawdę?

Skinęła głową, przekonana, że tu mnie ma, ale grubo się myliła.

- Taa, dwa tysiące smarkaczy i naiwniaków! Słuchaj, u nas są uczniowie z ranami postrzałowymi, i to nie od wypadków na polowaniu, rozumiesz?

- Jezus Maria! Kochanie...
- Znam gości, którzy trzymają gnaty w szkolnych szafkach!
- Gnaty?
- Broń.

- Co się wyprawia z tymi dziećmi? A przede wszystkim, co cię tak do nich ciągnie? Nie boisz się, że wplącesz się w jakąś aferę i zarobisz guza?

- Wcale. Posłuchaj, są u nas Harpie i Tygrysy, można też spotkać ludzi każdej możliwej narodowości. Mamy inne tematy i filozofię niż tutejsi...

- Harpie i Tygrysy? A cóż to na miłość boską...

- Gangi, ciociu Mimi. Słynne na cały kraj. Człowiek przechodzi inicjację...

- W życiu o czymś takim nie słyszałam...

- W tym rzecz. Tutaj nikt o tym nie słyszał. W zeszłym roku tematem mojej pracy semestralnej z historii było rytualne okaleczanie żeńskich genitaliów!

- Matko przenaświętsza!

- Widzisz? Tutaj jeden nie różni się od drugiego. Biali trzymają z białymi, czarni z czarnymi. W Montclair nie bawimy się w takie podziały. Znaczą się, po lekcjach, czy nawet w szkole, chodzimy swoimi ścieżkami, ale różnica polega na tym, że nikt nikogo nie lekceważy. Czujesz? Mieszkamy w globalnej wiosce, a nie w zapadłej dziurze!

- No tak, rozumiem. Panuje powszechna opinia, że na Północy jest więcej tolerancji wobec różnic kulturowych.

- Ciociu Mimi! Tu nie chodzi o tolerancję! Różnice kulturowe to po prostu nasz świat! Moim zdaniem są fascynujące! Słuchaj, powinnaś zobaczyć Murzynki z mojej klasy, jakie mają włosy i paznokcie. A buty! Nie wierzyłabyś własnym oczom! I do tego są niesamowite! Lubią mnie, ponieważ uważam, że są ekstra. Nie chcę być taka jak one, chcę tylko zrozumieć ich świat i sposób myślenia. U nas nawet grubaski paradują w obcisłych kieckach i nie mają z tego powodu żadnych kompleksów.

- Myślę, że tutaj zobaczysz to samo, Gracie.

- Akurat.

- Nie dowiesz się, póki sama nie sprawdzisz. Słuchaj, mogę cię zapisać na kurs prawa jazdy w Wando, choćby dzisiaj, i zobaczysz, kto przyjdzie. Co ty na to?

- Fajnie, ale jest mały problem. Ja tu nie pasuję i pasować nie będę.

Ciocia Mimi włączyła zmywarę i po raz setny opłukała ręce. Następnie z westchnieniem zwróciła się w moją stronę.

- Muszę ci coś wyznać, skarbie. Wygląda na to, że całe czterdzieści trzy lata życia spędziłam na roztrząsaniu kwestii swojego miejsca na ziemi. Może masz rację, ale tylko do pewnego stopnia. Cierpisz na syndrom o nazwie „Jak ich utrzymać na farmie po tym, gdy widzieli Paryż”!

- Słucham? Po angielsku, proszę.

- Nasza babka miała ten problem z dziadkiem. Poszedł na wojnę, lecz tak naprawdę przesiedział cztery lata w Paryżu, biegając do Moulin Rouge oraz Bóg wie jakich domów rozpusty.

Obie wyszczerzyłyśmy zęby, no bo przecież kto może sobie wyobrazić życie seksualne własnych dziadków.

- Rany! - powiedziałam.

- No właśnie. Po wojnie tak wielu mężczyzn odmówiło powrotu w rodzinne strony, że aż ułożono o tym piosenkę. Babcia śpiewała ją za każdym razem, gdy dziadek nie pozwalał jej korzystać z rozrywek typu obiad niedzielny wydawany w kościele czy bingo. Ty zachowujesz się tak samo! Lindsey miała rację, wiesz o świecie znacznie więcej niż twoi rówieśnicy z Wando. Ale tutejsi maturzyści też zdają na studia. Mamy też kablówkę. Czteryście kanałów!

- Wando jest nudne jak flaki z olejem! W Montclair widzę ze wzgórza Manhattan!

- Jak często tam jeździsz?

- Częściej, niż ci się wydaje. Mamy nowe połączenie, dzięki któremu można tam dojechać w pół godziny za niecałe pięć dolarów.

- Żartujesz.

- Skądże.

- Wiesz, co mi przyszło do głowy, Gracie?

Złożyła mokrą ścierkę i powiesiwszy ją na drzwiach, usiadła obok mnie przy stole, po czym trzepnęła mnie po ręce za wyskubywanie kruszonki z ciasta. Popatrzyłam na ciocię Mimi z uśmiechem. Nie była w ciemni bita i naprawdę umiała słuchać, oczywiście jak na dorosłego.

- Wal śmiało - zachęciłam.

- Myślę, że gdybym była twoją matką, owe samotne wyprawy na Manhattan bardzo by mnie martwiły, nawet pomimo twojego obycia w świecie.

- Nigdy nie jeżdżę sama - uściśliłam, w nadziei że zrozumie, iż nie robię wszystkiego w pojedynkę.

- Nie! Oczywiście, że nie. Ale powiem jasno: pobyt tutaj, gdzie - przyznaję - życie płynie znacznie wolniej, dałby ci czas na refleksję. Pozwoliłby na zastanowienie się, co

jest naprawdę istotne. Ile ci jeszcze zostało dzieciństwa, dwa lata? Potem studia, praca, małżeństwo, dzieci... Raz-dwa, jedno po drugim! Liceum to ostatnia okazja do prawdziwej zabawy!

- Nie rozumiem. Chyba nie uważasz, że nauczyciele gnębią studentów, a z licealistami obchodzą się jak z jajkiem? Albo że uczniowie sami psują sobie opinię?

- Bynajmniej. Pod tym względem wszędzie jest tak samo. Chodzi mi o to, że w szkole wszyscy korzystają z tych samych podręczników oraz testów i przynajmniej teoretycznie mają równe szanse na sukces. W prawdziwym świecie przeważają inne czynniki. Osobowość, wygląd...

- Ciociu Mimi, bez urazy, ale to główniany argument. Uniosła brwi, jednak nie zrugła mnie za brzydki wyraz.

- Osobowość i wygląd mają na nauczycieli ogromny wpływ - ciągnęłam. - Jeśli przypadniesz im do gustu, przymykają oko na niedociągnięcia. Jeśli nie, czwórka niepostrzeżenie zamienia się w trójkę.

- No cóż, pewnie masz rację. Chodzi mi jedynie o to, że został ci już tylko jeden parasol ochronny. I to właśnie szkoła jest tym parasolem, tak samo jak mieszkanie z mamą. Za kilka krótkich lat pójdiesz na swoje. Gdybyś rzeczywiście była tak mądra, jak ci się wydaje, zamiast próbować się wyrwać z uwięzi, spróbowałabyś docenić szansę, jaka ci się nadarza. Szansę na spokojne życie z mamą i ze mną, z dwiema kochającymi się osobami, od których możesz się czegoś nauczyć. Jeszcze nie musisz być dorosła. Możesz to odłożyć na później. Potem jednak powrót do dzieciństwa będzie już niemożliwy. To twoja ostatnia szansa.

Tu mnie zastrzeliła. Wiedziałam, że ma rację. Ostatnio wplątałam się w dość nieciekawą sprawę. Mimi o wszystkim wiedziała i pewnie po części dlatego zawarła sojusz z mamą w celu wyrwania mnie z Jersey.

- W porządku, mogę tu spędzić lato, ale nie ma mowy o przeprowadzce na stałe! Lindsey to ma fart! Tylko dlatego, że urodziła się dwa lata wcześniej...

- Słuchaj, Gracie, czasem musimy zrobić coś dla innych, prawda? Twoja mama też ma prawo do życia, nie sądzisz?

- Chyba tak.

- A jakie życie miała w New Jersey?

- Żadne.

- Kto jak kto, ale ty wiesz o tym najlepiej. Jaka jest prawdziwa przyczyna tej nagłej decyzji o przyjeździe tutaj? Cieszę się, oczywiście, jednak muszę przyznać, że jestem trochę zdziwiona.

Szczerze powiedziawszy, nie miałam ochoty się w to zagłębiać. Sytuacja była tak pogmatwana, że jeśli zacznę przedstawiać mój punkt widzenia, posiedzimy w kuchni do wieczora.

- Wiesz co, ciociu? Nie wiem nawet, od czego zacząć. Poza tym trudno wskazać jeden powód. Po prostu chyba miała dosyć.

- Miarka się przebrała?

- Właśnie.

- Dostrzegłam w niej zmianę tuż po ostatnim Świącie Dziękczynienia.

- To wtedy tata poinformował nas o zamiarze poślubienia Patti. Na dodatek udawał, że tak naprawdę to nic wielkiego. Myślałam, że mama padnie trupem, kiedy jej powiedziałyśmy.

- Czyżby stary Fred okazał się kiepskim dyplomatą? Spodziewał się, że to wy ją powiadomicie?

- Trafiłaś w sedno. To było nasze najgorsze Świąto Dziękczynienia, to znaczy dla Lindsey i dla mnie. Mama pojechała do ciebie: dobrze się złożyło, bo inaczej pewnie zabiłaby go na miejscu. Sama miałam ochotę to zrobić w jej imieniu.

- Nie znam kobiety, która ucieszyłaby się na wieść o tym, że jej były mąż zeni się z bogatą karierowiczką o figurze modelki, a ty?

- Coś ty. Dobrze przynajmniej, że Patti ma kasę, bo dzięki temu nie wyciągnie od taty ani centa.

- To prawda. Jednym słowem, twoja mama nagle zapragnęła przyjechać na święto do domu. Pewnie czuła, że jej obecność wiele dla mnie znaczy. Szkoda, że wszystkie nie przyjechałyście.

- Ja też żałuję. Świąto w New Jersey było kosz-mar-ne.

Nie mogłam o tym mówić. Przed oczami stanął mi tamten dzień...

Lindsey i ja doszliśmy do wniosku, że mamę dopadła ciężka depresja i wyjazd do ciotki dobrze jej zrobi. Naprawdę było z nią nietęgo. W ciągu minionego roku umówiła się tylko raz, na dodatek z facetem, który zapomniał powiedzieć, że jest żonaty. Chociaż, jeśli gość zaprasza cię na obiad na godzinę czwartą i odwozi do domu o ósmej, chyba powinno ci się zapalić ostrzegawcze światełko, nie? W każdym razie miałyśmy dosyć wysłuchiwania, jak płacze za ścianą, i stwierdziłyśmy, że pora na wizytę u siostry.

Wyskrobałyśmy ze skarbonek kasę na bilet (ja za niańczenie dzieci, Lindsey za korepetycje) i byłyśmy splukane. Potem, w przypływie zaćmienia umysłu, ojciec szarpnął się na wielkoduszny gest i sam zapłacił za bilet, a następnie zaprosił nas do siebie na święto... powinnyśmy były wyczuć pismo nosem, bo - jak to mówią na Południu - stary Fred nie lubi bez potrzeby otwierać kabzy.

- Gracie! Przestań dumać i opowiedz, co się stało!

- Jesteś pewna, że chcesz wiedzieć wszystko? Nie będziesz dumna z tego, co zrobiłyśmy Patti.

- Mogę się założyć o kurs prawa jazdy, że będę wniebowzięta. Czy wiesz, że w Karolinie Południowej można prowadzić w wieku szesnastu lat?

- Naprawdę? Tak właśnie myślałam.

Hmm. No dobrze, oprócz plaż prowadzenie samochodu w wieku szesnastu lat mogło być zasadniczym plusem mieszkania tutaj. Mimi umiała mnie podejść, bez dwóch zdań. Chcąc nie chcąc, postanowiłam jej powiedzieć. A co tam, no nie? Mama i tak pewnie wyjechała już poza granice Charleston County. Chociaż my, Brelandowie, nie zwykliśmy kapować jedni na drugich.

- Jeśli powtórzysz mamie, nigdy więcej ci nie zaufam, jasne? Jak umowa, to umowa.

- Zgoda - odparła i uścisnęłyśmy sobie ręce.

- No więc tata przyjeżdża po nas w czwartek rano i jedziemy do jego domu.

Najpierw jednak musisz wiedzieć, że po rozstaniu z mamą przeprowadził się do wszawego kondominium w West Caldwell, po czym nagle zamieszkał w wielkim domu.

Ciocia Mimi wytrzeszczyła oczy i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Fred zawsze marzył o domu. Należał do tych, co to lubią sobie pomajsterkować.

- Tak. Jak wspomniałam, przyjechał po nas i przez całą drogę gadał jak najęty, co już powinno wzbudzić podejrzenia. Oczywiście wiedziałam, że ma dziewczynę, i spodziewałam się, że ją tam zastaniemy.

- Skąd wiedziałaś, że kogoś ma?

- Lindsey mi powiedziała.

- Mów dalej.

- No tak. Po wejściu do nowego domu w Essex Falls od razu zauważyliśmy nowe meble w salonie. Był tam też piesek, który szczekał jak szalony...

Zupełnie jakby ktoś puścił w mojej głowie film. Nie mogłam go już zatrzymać.

„Zobacz, jaki ładny!” - zawołała Lindsey. „To piesek Patti - wtrącił tata. - Nazywa się Buster”. Jak już powiedziałam, wiedziałam, że tata ma dziewczynę, i miałam to w nosie. Pies był bardziej interesujący. Lindsey i ja nigdy nie mogłyśmy mieć zwierzaka, bo cały dzień byłyśmy poza domem. Już zapomniałam, jakie psy potrafią być fajne. Buster skakał jak piłka, lizał nas po policzkach i w całym tym zamieszaniu straciłam czujność. „Co to za rasa? - pytam. - Wygląda trochę jak cocker spaniel”. „To specjalna odmiana - tłumaczy tata. - Cocker spaniel królewski. A to bystra szelma! Chodź tutaj, mały! Podrapać cię za uszkiem?”.

Głaskałam psa i rozglądałam się dokoła. Kiedy za pierwszym razem widziałyśmy ten dom, stały w nim graty z maminej piwnicy.

Lindsey i ja patrzyłyśmy jedna na drugą i zachodziłyśmy w głowę, czy stary Rockefeller nie wygrał aby na loterii i nie zaszalał w dziale wyposażenia wnętrz u Bloomingdale'a. Były tam beżowa sofa z tapicerką, która wyglądała jak aksamit, duży, kwadratowy stolik ze szklanym blatem oraz dwa wielkie fotele z podnóżkami do kompletu. Na stole stał gigantyczny wazon z gałęziami sosny i białymi tulipanami o długachnych łodygach. Na dodatek wszystko we wzorek z małpami: poduszki, lampy, zasłony, mówię ci, coś straszego.

- Rzeczywiście koszmar - przyznała ciocia Mimi.

- Mówię ci. Posłuchaj dalej: ogień w kominku, chociaż wcale nie było zimno, wszędzie pachnące świece. Gdzie ja jestem, myślę sobie. I co tu się u licha dzieje? Na stole w jadalni stało jeszcze więcej kwiatów i świec. Wszystko nowe. Nagle mnie olśniło.

Wprowadziła się! Mój ojciec mieszka z tą kobietą. Oniemiałam. Lindsey i ja patrzyłyśmy na siebie ze zgrozą. Wtedy tata wziął nasze płaszcze i położył plecaki pod schodami, żebyśmy je potem zabrały na górę. To wyglądało na zwykłą uprzejmość, ale nic z tych rzeczy. Przyszło mi do głowy, że może on nie wie, że Lindsey puściła farbę na temat jego dziewczyny. Ale potem okazało się, że nie. Tata zachowywał się tak dziwnie, bo miał w zanadrzu coś jeszcze. I, co tu kryć, znał nas na tyle dobrze, by móc przewidzieć naszą reakcję. Próbował tylko zamydlić nam oczy, jak to on. Nie dość, że był tchórzem, to jeszcze nie zadał sobie trudu, żeby nas na to wszystko przygotować. Poczulałam, że się gotuję ze złości. Mało nie pękłam. Jak to idzie? Wściekła suka każde rozwali wrota?

- Nie ma większej furii niż wzgardzona kobieta - wtrąciła ciocia Mimi.

- Właśnie. No i stałyśmy tak w salonie, czując się coraz bardziej nieswojo, gdy naraz na scenę wkroczyła Patti Elliott. Buster od razu o nas zapomniał i pobiegł się przywitać.

- W co była ubrana?

Skąd ja wiedziałam, że o to spyta? Pamiętałam każdy szczegół.

- O rany! Miała na sobie kretyński bordowy fartuch z podobiznami pierwszych osadników. Ale mniejsza o fartuch, wyglądała jak jakaś królowa. No, może królowa z Jersey, ale w każdym razie królowa. Zadbana w każdym calu. W rękę trzymała drewnianą łyżkę oraz rękawicę kuchenną pod kolor fartucha. Myślałam tylko o tym, jak zareaguje mama. Dziwne, że zapamiętałam nawet tę łyżkę.

- Jednym słowem, jej wygląd przeszedł moje najśmielsze oczekiwania. Włosy świeżo od fryzjera, to było jasne jak słońce. Beżowe spodnie, brązowe pantofle i beżowy golf, pod którym rysowały się pokaźne wypukłości na pewno niebędące darem natury. Pomyślałam wtedy, że przy okazji mogła sobie poprawić ten płaski tyłek. Blask bijący od brylantowych kolczyków dosłownie raził w oczy. Ale kaszmirowy golf przelał czarę goryczy. Ty suko, pomyślałam. Masz pojęcie, że moja mama w życiu nie miała kaszmirowego swetra? Wiedziałam jednak, że Patti wcale nie jest suką, a ja najchętniej kupiłabym mamie tysiąc takich golfów. Tata pocałował ją w policzek, a potem spojrzał na nas. „Dziewczynki, poznajcie Patti Elliott. Patti? To Lindsey i Gracie, moje córki”. „No

proszę - powiedziała przez nos, co natychmiast otworzyło mi nóż w kieszeni. Jesteście takie ładne, jak opowiadał wasz tata! Wesołego Święta Dziękczynienia".

Ale lala, myślę sobie. Wtedy Lindsey wyskoczyła z tym swoim: „Dziękujemy, miło panią poznać".

Muszę przyznać, że zachowała się jak należy, uprzejmie, ale z godnością. Za to ja miałam mętlik w głowie. Czułam kluchę w gardle, ścisnęło mnie w żołądku. Stałam bez słowa, zastanawiając się, co kobieta pokroju Patti widzi w kimś takim jak nasz ojciec, który oprócz wszystkiego innego ma w dodatku kretyńskie imię Fred. No powiedz sama, łysieje, ma szare zęby, brzuch wylewa mu się zza paska i ogólnie wygląda jak stary cap. Może w młodości prezentował się inaczej, ale teraz... Szkoda gadać. Tata mówił coś do mnie, ale nie usłyszałam ani słowa. Poprosiłam, żeby powtórzył. „Mówiłem, żebyś się odezwała, Gracie" - powiedział tata. „Wesołego Święta Dziękczynienia, Patti Elliott" - mruknęłam.

Nie mogłam dłużej tego ścierpieć i wymaszerowałam przez drzwi frontowe z żelaznym postanowieniem zapołowania na wiewiórki. Nie czułam się na siłach, żeby tam zostać. Wiedziałam, że Patti Elliott pewnie jest w porządku, ale nie umiałam udawać, że wszystko gra. Nie grało. Chciałam uciec od nich wszystkich. Zastanawiałam się, czy nie wrócić pieszo na Park Street. To nie było więcej niż osiem kilometrów, dałabym radę. Ale nie poszłam.

Przed domem zobaczyłam stromą skarpe z trzema schodkami prowadzącymi na chodnik. Usiadłam na tych schodkach, oparłam się o barierkę z kutego żelaza i postanowiłam zostać tam do niedzieli, do powrotu mamy. Żałowałam, że nie mam komórki, żeby zadzwonić do kogoś po wsparcie. Wyobrażałam sobie, jak siedzę i dzwonię. Robiło się mokro i zimno, mój płaszcz został w domu, a ja czułam się coraz bardziej podle. Gdybym wróciła po płaszcz, ojciec wydarłby się na mnie jak nic. Jeśli zostanę na dworze, zapalenie migdałków mam jak w banku. Usłyszałam, jak ktoś otwiera i zamyka drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam Lindsey z Busterem. „Wielkie dzięki, niemoto - powiedziała Lindsey. - Możesz mi zdradzić, co cię napadło?". „Ja tego nie wytrzymam, Lind - odparłam, czując, że zaraz się rozryczę. - On nas totalnie olał! Na dodatek ten babsztyl. Spójrz tylko na nią, ma forsę jak lodu! Same ciuchy kosztowały z

tysiąc dolarów!". Lindsey usiadła obok mnie, opierając się o drugą barierkę. „O co ci właściwie chodzi? Myślałaś, że tata wróci do domu?". Odpowiedziałam, że nie. To znaczy, pewnie, że po cichu bym sobie tego życzyła, choć nikomu nie wyszłoby to na dobre. Zaczęłyśmy o tym rozmawiać i Lindsey powiedziała: „Ona wcale nie chce rywalizować z mamą, ma własny butik, kretynko". Przez chwilę siedziałam w milczeniu, obgryzając paznokcie. Zapomniałam o tym butiku. A Lindsey jak nie zacznie jej bronić. „Słuchaj, mnie też wcale się to nie podoba, ale powiem ci coś. Jak wyszłaś z domu, tata się normalnie wściekł. Wiesz, co mu wtedy powiedziała?". A ja jej, że mam to... „Powiedziała: Uspokój się, Fred. Na miejscu Grace też bym sobie poszła! Musieli się wcześniej o coś posprzeczać. No to ja mówię, że po ciebie pójde. Wracajmy do środka. Trzymamy sztamę, nie?". „Niech będzie - mówię. - Widać nie jest głupia. No i co z tego? Za to tata zachowuje się jak osioł". „On się nie zachowuje - sprostowała Lindsey. - On po prostu jest osłem".

Lindsey przyznała mi rację, że tata trochę się pospieszył z tym wspólnym zamieszkaniem. OK, widuje kogoś, w porzo. Ale od razu mieszkać razem? Doszłyśmy do wniosku, że Patti musi być zdesperowana. Posiedziałyśmy tak przez kilka minut, podziwiając Francję elegancją okolicznych trawników i żywopłotów oraz całe stado range roverów, bmw i merców. Było jasne jak słońce, że dzieli nas od taty finansowa przepaść. Zupełnie jakby on miał elektrownię, a mama latarkę. A my siedziałyśmy po ciemku, próbując skrzesać zapałkę. Tu wcale nie chodzi o nasze poczucie sprawiedliwości. Pieniądze były właściwie jedyną przyczyną nieporozumień. W zależności od humoru i stopnia nacisku dawał lub nie. Ohyda. Nie rozumiem, jak on może robić, co chce, nie licząc się z nikim i niczym. Kupował sobie range rovera, a nam odmawiał... słuchaj, kiedyś nie chciał dać Lindsey na korepetycje! Do czego to podobne? Chyba istnieją jakieś granice głupoty? Przecież Lindsey to nasz rodzinny geniusz! Skoro uważała, że potrzebuje korepetycji, dlaczego ktoś miałby to kwestionować?

- Postępowanie waszego ojca jest niepojęte - przyznała ciocia Mimi.
- To wszystko jest takie skomplikowane - odpowiedziałam.
- Cholernie skomplikowane.

Była dopiero ósma rano, a mnie już łzy piekły pod powiekami.

- Kochanie, tak mi przykro, że musiałaś przez to przechodzić - powiedziała ciocia Mimi. - Zrobię ci herbatę. No już, uspokój się.

Podawała mi chusteczkę i wytarłam nos. To było ponad moje siły, zupełnie jakby coś we mnie pękło. Z oczu pociekły mi wielkie łzy jak groch. Ciocia przytuliła mnie do siebie, a kiedy zaczęłam szlochać, powtarzała tylko: „O Boże, kochanie. Wszystko będzie dobrze, na pewno”. Ścisnęła mnie tak mocno, że rozbeczałam się na dobre. Przyniosło mi to pewną ulgę. Nie płakałam tak bardzo, odkąd tata wyprowadził się z domu.

Może jednym z powodów, dla których mama postanowiła przenieść się do Karoliny Południowej, była chęć uwolnienia nas wszystkich od niszczącego wpływu ojca. Tak naprawdę nie chodziło tylko o pieniądze, ale o stosunek, jaki miała do nas druga strona. Konkretnie o brak miłości i wsparcia.

A wydawałoby się, że to tak niewiele.



Rozdział czwarty

Na walizkach

Kiedy dotarliśmy na obrzeża Montclair, natychmiast sporządziłam w myślach listę wszystkich znanych mi agentów nieruchomości. Wybór padł na Gretchen Prater. Ona udzieli mi najdokładniejszych informacji koniecznych do wystawienia domu na sprzedaż. W życiu nie sprzedawałam domu i nie miałam pojęcia, ile nasz może być wart. Wiedziałam, że dobre połączenie z Manhattanem podniosło wartość okolicznych nieruchomości, miałam nadzieję, że uzyskana suma wystarczy na zakup przyzwoitego lokum w Karolinie.

Lindsey zmieniała mnie za kierownicą, dzięki czemu udało nam się dojechać w jeden dzień. Był to bardzo długi dzień i przez tydzień będę go czuła w kolanach. Zgodnie z obietnicą zadzwoniłam z Richmondu do Mimi, która zapewniła mnie, że u nich wszystko w porządku i nie mam najmniejszego powodu do zmartwień. Pomyślałam, że nie ma sensu przejmować się na zapas: Mimi ugrzęzła pewnie po uszy w łzawych opowieściach Gracie.

Gracie nie znała jeszcze uporczywości i determinacji mojej siostry. Jeżeli już Mimi coś sobie postanowi, dziewczyna ani się obejrzy, jak da się przekabacić. Obejdzie się bez potu, krwi i bitewnego zgiełku, któregoś dnia po prostu uzna, że oto zyskała całkowicie nowy punkt widzenia. Na tym właśnie polegała magia Mimi.

Byłam zmęczona, siąpił lekki deszcz. Szosę spowijała gęsta mgła, typowa dla tutejszej aury. Lindsey zasnęła na siedzeniu obok, oparta o szybę. Wyglądała tak niewinnie. Po raz setny zauważyłam, że jej usta mają taki sam kształt jak moje. Zerkając na nią co jakiś czas, przypominałam sobie, jak słodko wyglądała w kołysce, kiedy spała na brzuszku, z policzkiem wtulonym w prześcieradło i otwartą buzią. Niedługo mnie opuści; zastanawiałam się, jak sobie bez niej poradzę w ciągu najbliższych miesięcy. Była wspaniałym dzieckiem, nigdy nie przysparzała najmniejszych kłopotów, choć potrafiła być nachmurzona i mroczna, co niekiedy mnie martwiło. W wieku siedmiu, ośmiu lat

miewała tak sugestywne sny, że często budziła się nocą, niezdolna odróżnić ich od rzeczywistości. Potem pochłonęła ją szkoła, lekcje gry na flecie i astronomii; coraz bardziej oddalała się od rodziny, jeśli nie liczyć hałaśliwych scysji z siostrą, która zazwyczaj była ich inicjatorką. Cieszyłam się z tego wspólnie spędzanego czasu, gdyż po raz pierwszy potrzebowałam jej bardziej niż ona mnie.

Wjechałyśmy do miasta trasą 280 i stanęłyśmy na światłach opodal Pal's Cabin. Minęła północ, lecz na ulicach wciąż panował duży ruch. Zawsze mnie dziwiło, co tutaj robią ci wszyscy ludzie o tak późnej porze. Jednakże z uwagi na bliskość Manhattanu wiedziałam, że mogli na przykład iść do lub wracać z pracy, szukać całodobowej apteki bądź Bóg wie czego jeszcze, może kogoś, kto zdejmie z nich ciężar trosk, choćby na godzinę lub dwie. Tłumy przechodniów niekiedy działały na mnie przytłaczająco. Wiem, że każdy wiódł własne życie, wielu miało dzieci, mężów, żony, teściowe... ale kim oni tak naprawdę byli? Kim były te rzesze ludności?

Życie w okolicach Nowego Jorku nosiło czasem znamiona wielkiego eksperymentu antropologicznego. Może tak naprawdę od jaskini wcale nie dzielił nas specjalnie duży szmat drogi. No, może nastąpiła tylko pewna poprawa pod względem wygody. (Oraz odkryć typu penicylina i - chwała Najwyższemu - kosmetyki). Wyglądało na to, że wciąż wypuszczamy się na poszukiwanie jedzenia, po czym wracamy w pielesze, uradowani zdobyczą.

Mój łup zawsze pozostawiał co nieco do życzenia. Przeprowadzka do Lowcountry przyniesie poprawę, przynajmniej pod względem finansowym. Może nawet uda mi się coś zaoszczędzić. Stałam na światłach przy Bloomfield Avenue, rozmyślając o tym, co Karolina Południowa trzyma dla nas w zanadrzu. Pomimo czekającego mnie ogromnego wyzwania czułam się na siłach wszystkiemu podołać.

Brad Jackson bardzo mi się spodobał. Cieszyłam się, że będę u niego pracować, że mogę przebywać wśród ludzi i blisko Mimi. Perspektywa prawdziwego życia była porywająca. Naturalnie pozostawał jeszcze problem z Gracie: wiedziałam, ile się będę musiała nauzerać, by skierować ją na właściwy tor i dopilnować, żeby z niego nie zbiegła. Jakim cudem dwoje dzieci z tego samego łona mogło się tak dalece od siebie różnić?

Lindsey drgnęła.

- Gdzie jesteście? - zapytała.

- Już prawie w domu, skarbie. Pora nieco oprzytomnieć, co?

- O Boże! Mogłabym przespać tysiąc lat.

- Umówmy się, że rano będziesz mogła pospać dłużej. Obudzę cię, jak już wszystko jakoś zorganizuję, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała.

Spoglądała melancholijnie na miasto uciekające za oknem. Może była to jedna z ostatnich okazji, gdy miałyśmy razem muzeum sztuki, supermarket, komisariat... każdy z owych punktów stanowił część kolażu naszego wspólnego życia.

Niebawem zajechałyśmy pod dom. Postępując, wysiadłyśmy z samochodu i wyjąwszy torby z bagażnika, ruszyłyśmy ku drzwiom. Nie zabrałyśmy wielu rzeczy, chcąc zostawić miejsce na to, co zamierzałyśmy wziąć do Karoliny. W domu panował mrok, trawnik był usłany gazetami, a skrzynka na listy zapchana katalogami i broszurami reklamowymi.

- Zostaw - powiedziałam. - Posprzątam rano.

- Świetny pomysł.

Upewniwszy się, że włamywacze oszczędzili marne pozostałości naszego dobytku, zasnąłam snem sprawiedliwego. Rankiem obudziło mnie pieśczone światła sączące się przez okno. Zdziwiło mnie, że tak długo spałam. Było już po ósmej. Zapach kawy zwabił mnie do kuchni.

- Cześć, mamó! Zaparzyłam ci kawę.

- Dziękuję, skarbie. Jaka siła wyciągnęła cię tak wcześnie z łóżka?

- Sama nie wiem. Obudziłam się około szóstej i już nie mogłam zasnąć. Nie byłam w stanie zebrać myśli. Uznałam, że mogę przynajmniej uporządkować czasopisma i zapakować do worków makulaturę, no nie? Właśnie tym się zajmuję od rana.

Kawa była tak słaba, że prześwitywało dno filiżanki. Obrzuciłam wzrokiem trzy pełne worki makulatury. Moja córka zdecydowanie zasłużyła na pochwałę.

- Gorąca kawa. Istna ambrozja. Wymieniłyśmy uśmiechy.

Przez cały ranek Lindsey robiła porządek w szafach, podczas gdy ja konsultowałam się z Gretchen, znajomą agentką nieruchomości.

- I co myślisz? - zapytałam.

- Moim zdaniem za każde wydane tysiąc dolarów powinnaś dostać kolejne dwadzieścia!

- Naprawdę?

- Pomyśl logicznie, Linda. Na dworzec można dojść piechotą. Wymarzone warunki dla kogoś, kto dojeżdża do pracy. Zresztą wszędzie stąd niedaleko.

- Spędziłam tu dwadzieścia lat.

- Szmata czasu, co? - Uśmiechnęła się, pewnie na wspomnienie dni, kiedy jej córki zajmowały się moimi. Stare dzieje.

Przypomniałam sobie, ile zapłaciliśmy za dom: wtedy myślałam, że to fortuna. Sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Na pewno zyskał na wartości. Każda kwota w granicach trzystu tysięcy uszczęśliwi mnie bezgranicznie.

- Skontaktuj się z Tonym z centrum ogrodniczego Metropolitan - podsunęła Gretchen. - Przydałoby się obsadzić klomby białymi i różowymi niecierpkami. Musisz też rozłożyć potpourri w salonie i łazienkach. Warto by odmalować werandę i drzwi frontowe. Przywiozę jakąś girlandę. Pomyśl o donicach z kwiatami. I o wiklinowym fotelu...

- Boże, Gretchen, ty to masz głowę.

- E tam, liczy się doświadczenie. Pomyśl sama. Trzeba ludzi oszołomić na wejście, to nie zauważą braków.

- Jak na przykład sfatygowana wykładzina w salonie?

- Trafiłaś w dziesiątkę! Nawet jeśli ją zmienisz, nowy właściciel wymyśli sobie coś innego. Tak to już jest. Kiedyś miałam klientkę, która wydała fortunę na urządzenie kuchni. Mówię ci, całość wyglądała jak wnętrze statku kosmicznego! To nowoczesne, tanto trendy... Tak czy siak, znajduję jej kupca, który wymarzył sobie kuchnię w rustykalnym stylu angielskim i postanowił urządzić wszystko od nowa! Sto pięćdziesiąt tysięcy wyrzucone w błoto! Dlatego powtarzam, że warto jedynie odświeżyć chałupę i wystarczy!

- Odrobina retuszu?

- Właśnie!

Gretchen pstryknęła parę zdjęć i sporządziła notatki.

- Jak tylko uporamy się z drobiazgami, w ciągu dwóch tygodni znajdę ci kupca!

Bułka z masłem! - rzuciła na odchodne.

Odprowadziłam ją wzrokiem i tylko potrząsnęłam głową: szła w stronę zaparkowanego samochodu, postukując obcasami. Była piękną i pewną siebie kobietą sukcesu. Też chciałam być taka.

- Hej, mammo!

Nie mogłam odpowiedzieć, pochłonięta słodką wizją udanej transakcji, definitywnego opuszczenia Montclair oraz siebie jako Gretchen. Lindsey podeszła bliżej i pociągnęła mnie za łokieć.

- Mammo!

- Przepraszam, kochanie, zamyśliłam się...

- Znalazłam swój album z dzieciństwa...

- Koniecznie musimy go zabrać. Znalazłaś album Gracie?

- Nie, pewnie jest w jej pokoju. Boże, mało się nie rozbeczałam na widok niektórych zdjęć.

O nie. Żadnego pograżania się w depresji.

- Lindsey, w ciągu najbliższych kilku dni wspomnienia będą czyhać na nas na każdym kroku. - Po czym zaśpiewałam niby-operowym głosem: - „Musisz być silna, musisz być twarda...”. Czy nie tak to leci?

- Mammo?

- Co? Nie na tę nutę?

- Nie, po prostu chciałam wyrazić zadowolenie, że nie zostałam śpiewaczką.

- Bardzo śmieszne, kotku. Bądź łaskawa pamiętać, że mam nogi Tiny Turner.

- Tak. Jasne. Czy one nie są aby białe?

- Wiesz, o czym mówię.

- Cóż, powiem ci tylko, że nieobecność Gracie wyjdzie nam wszystkim na dobre.

Rozpętałoby się istne piekło. Ona naprawdę nie chce mieszkać w Karolinie.

- Hm, może i tak, ale nie ma innego wyjścia. Po tych jej idiotycznych numerach? Twoim zdaniem ojciec przymknąłby oczy na jej zachowanie?

- Nie. Masz absolutną rację. Gracie musi się trochę wyciszyć. No i jeszcze ta Patti. Ta nie da sobie wcisnąć gówna!

- Hm? - Nie znosiłam, jak moje dzieci posługiwały się rynsztokowym słownictwem, chociaż bywało, że wyrażałam się podobnie. Ale to zupełnie inna sprawa.

- Przepraszam, ale mówię poważnie! Powinnaś była ją zobaczyć w ostatnie Święto Dziękczynienia, kiedy próbowałyśmy wyznaczyć granice. - Lindsey parsknęła śmiechem.

- Cóż, na pewno nie będzie mi brakować ani jej, ani Freda. Skoro już o tym wspominamy, nigdy mi nie opowiedziałaś, co się właściwie wydarzyło. Nie licząc tego, że przy obiedzie ogłosił zaręczyny, co dobitnie świadczy o niezbyt wyrafinowanym guście narzeczonej. Powiedz, co zrobiła Gracie...

- Hm, to nie Gracie narozrabiła, tylko ja. I to wcale nie było miłe. Wcale a wcale.

Opadłam na kanapę i w oczekiwaniu na opowieść Lindsey położyłam nogi na stole, łudząc się, że zepsuła Fredowi święta, udzielając Patti gorzkiej lekcji na temat rozkoszy obcowania z nastolatkami. Wyznam na marginesie, że owe rozmyślenia wzbudziły we mnie zaledwie cień poczucia winy.

- O rany, mam nadzieję, że zachowałyście się przyzwoicie - skłamałam.

Lindsey ponownie się roześmiała i zrobiła minę dwulatki przyłapanej na grzebaniu w maminej kosmetyczce.

- Linda? Byłyśmy baaaardzo niegrzeczne.

- Nie nazywaj mnie Linda, bo oberwiesz klapsa! - Poklepałam miejsce obok mnie. - Siadaj! Linda nie ma całego dnia!

Lindsey rzuciła się na kanapę i utkwivszy wzrok w oknie, swoim zwyczajem zaczęła nawijać włosy na palec, niepewna, od czego zacząć.

- No dobrze - powiedziała. - Gracie i ja pojechałyśmy do taty, po czym od razu zrozumiłyśmy, że mieszka z Patti. Dom wyglądał jak żywcem wyjęty z jakiegoś reality show. Oczywiście byłyśmy wściekle, zwłaszcza Gracie. Łypnęła tylko na Patti i wyszła na dwór. Tata zaczął wykrzykiwać coś w stylu "Jak ona śmie", a Patti jak nie zacznie bronić Gracie. Zorientowała się, że ojciec nic nam nie powiedział o zmianach.

- Biedna Patti - wtrąciłam. - Przed przeprowadzką powinna była przyjść do mnie po radę. Dowiedziałyby się tego i owego. Ale, jak mawiała moja matka, co dla jednego śmieciem, dla drugiego skarbem, no nie?

- Chyba tak - odrzekła Lindsey. - Tymczasem ja poszłam za Gracie, żeby ją ściągnąć z powrotem do domu. Obmyślałyśmy szybki plan odwetowy, ale była wściekła na cały świat i za nic nie chciała dać się ruszyć ze schodów. Zrozumiałyśmy, że ojciec jest tak zaślepiiony, że ma w nosie naszą opinię. Strasznie nas to wkurzyło. Pamiętam, jak Gracie spytała: „Czy mama o tym wie?”. I pamiętam jak dziś, że odpowiedziałam: „Nie sądzę”.

- Miałaś rację. To jest, miałam powody, aby przypuszczać, że się z kimś widuje. Po pierwsze sprawiał wrażenie zadowolonego, o ile w jego wypadku to dobre słowo. A kiedy kupił mi bilet do Karoliny, czułam, że coś się święci. Ale nie podejrzewałam, że sprawy zaszły aż tak daleko. To był szok. - Spojrzawszy na Lindsey, uświadomiłam sobie z przykrością, że mi współczuje. Poza tym pozwoliłam sobie na złośliwość pod adresem jej ojca, chociaż nie powinnam tego robić. Jednakże nie mogłam się powstrzymać. Spróbowałam jakoś to naprawić. - Ale teraz już jest dobrze. Jestem szczęśliwsza, wasz ojciec też. Wszystkim nam jest lepiej... mów dalej!

- No tak. Koniec końców wróciłyśmy do środka, podejmując Operację Mordowania Święta Dziękczynienia, ale nieco straciłyśmy zapał, bo humory nam jakoś nie dopisywały. Naszym kolejnym krokiem był cichy opór. Każde pytanie Patti zbywałyśmy półsłówkami. To było piękne. Po prostu palce lizać.

„Gdzie będziesz studiować, Lindsey?”. „Nie wiem”. „Lubisz bataty, Gracie?”. „Nie”. „Byłyście kiedyś na paradzie w Macy's?”. „Nie”.

Widziałyśmy, że Patti czuje się nieswojo, bo wszelkie próby pozyskania naszej sympatii ewidentnie spelzły na niczym. Tata rzucał nam ostrzegawcze spojrzenia, na które odpowiadałyśmy anielskimi minami. Pewnie uważał, że robimy jej straszną przykrość, choć w gruncie rzeczy nasz atak był wymierzony właśnie w niego. Ona obchodziła nas tyle co zeszłoroczny śnieg. To on, on miał okazać nam trochę serca. Siedział, przerzucając kanały, po czym wreszcie zaczął wychodzić z siebie. Szczerze powiedziawszy, dokładnie na to liczyłyśmy.

Kiedy Patti zapytała, czy lubimy smażone indycze wątróbki, odpowiedziałyśmy jej zgodnym „fuj!”. Dla większego efektu Gracie udała, że się dławi. Na to ojciec walnął pilotem w poręcz fotela, aż wyleciały baterie. Patti wyszła z pokoju, żeby sfastrygować swoją ofiarę. „Obiad prawie gotowy” - burknęła przez ramię.

- Świadome niebezpieczeństwa błyskawicznie zmieniłyśmy taktykę. „Chodź, Gracie - powiedziałam. - Pomożemy Patti w kuchni”. Tata obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem. Trudno mu się dziwić, prawda? „Jasne, czemu nie?” - odpowiedziała Gracie. - „Masz rację”.

Po chwili grobowej ciszy tata odprężył się nieco i postanowił znów traktować nas jak debilki. Najpierw jednak padło ostatnie ostrzeżenie. „Nareszcie! - warknął, biorąc głęboki oddech. - Radzę, żebyście się zachowywały. Ona wiele dla mnie znaczy. Przynieście mi piwo i pomóżcie Patti. Wasz staruszek potrzebuje trochę spokoju”. Nic bezinteresownie, ale ciekawe, co by zrobił, gdybyśmy nie posłuchały? Cofnąłby nam kieszonkowe? Którego w ogóle nie dawał? Tak czy siak, Gracie przyniosła mu budweisera, a ja oparłam się o blat w kuchni, obserwując Patti. Skrobała marchewki, upuszczając obierki do zlewu.

„Lepiej od razu je wyrzucaj” - poradziłam. „Dlaczego?” - zapytała. - „A bo ja wiem - odparłam, wzruszając ramionami. - Mama tak robi”.

W tej samej chwili Patti-Do-Rany-Przyłóż ustąpiła miejsca Patti Prawdziwej, która spojrzała mi prosto w oczy i oświadczyła: „Słuchaj, kotku, mam gdzieś, jak robi cokolwiek twoja mama, jasne?”.

Rany, pomyślałam. No proszę, kto by przypuszczał? Patti Elliott pokazała pazurki. Jednakże jako członek klanu Brelandów od dzieciństwa miałam do czynienia z napadami złego humoru ze strony dorosłych i nie była to dla mnie żadna nowość. Zaczerpnęłam tchu i postanowiłam wziąć byka za rogi. Nie byłam jeszcze gotowa, aby oznajmić Patti, że mam ją w głębokim poważaniu, dlatego powiedziałam szybko: „Domyślam się”. I zanim zdążyła odparować cios, dodałam: „Mam nakryć do stołu?”. „Jak sobie chcesz - odpowiedziała. - Obiad za pół godziny”.

Wtedy weszła Gracie. „Hej, Gracie - zawołałam. - Wyjmij z szafki cztery talerze, dobra? Ja rozstawię szklanki”. „Już się robi” - odpowiedziała.

Cisza dobiegająca od strony zlewu dosłownie dzwoniła w uszach. Patti zawzięcie skrobała warzywa. Gracie trąciła mnie łokciem, pytając bezgłośnie, co się stało. W odpowiedzi uniosłam kciuk. Otworzyłam szafkę, w której wcześniej stały szklanki, i zobaczyłam pojemniki z witaminami i przyprawy. I rzuciłam coś w rodzaju: „Co jest? Gdzie są szklanki?”. „Tam. - Patti wskazała na drugi koniec kuchni. - Talerze też”. „Czemu tata wszystko poprzestawiał?” - spytała Gracie. „Nie poprzestawiał - odmruknęłam. - Założę się, że to sprawka pani Elliott. To w jej stylu. Przyszła i już się szarogęsi”. Jestem pewna, że Patti słyszała, ale miałam to w nosie. Za kogo ona się uważa? Gracie wstrzymała oddech i popatrzyła na mnie ze zdziwieniem. Nie planowałyśmy bezpośredniego ataku. Miałyśmy zamiar doprowadzić ich do szału, ale nie przewidywałyśmy chamskich odzywek. Patti zamarła, po czym zwróciła się w naszą stronę. Stała z ręką na biodrze, my naprzeciw niej. Zastanawialiśmy się, z czym teraz wyskoczy. A ona powiedziała tylko: „Wasz tata nie gotuje. Ja gotuję. Dlatego poprzestawiałam naczynia tak, jak uważałam za stosowne. Macie problem? Mówcie śmiało”.

„To brzmi logicznie - skwitowała Gracie. Chciałam ją udusić za tę uległość. - Nie ma żadnego problemu”.

Obie czekały, aż coś powiem. „Niech będzie” - burknęłam z ironicznym uśmiechem, wściekła na siebie za przegraną rundę. Ale spójrzmy prawdzie w oczy. Miałyśmy w perspektywie świąteczny obiad, zmywanie naczyń, a potem piątek i sobotę. Nie mogłyśmy się stamtąd ruszyć aż do twojego powrotu, czyli do niedzieli. Trzy dni ustawicznego psucia komuś krwi to bardzo długo, nawet jak dla nas. Poza tym nieroztropnie zlekceważyłyśmy Patti Elliott. Kto by pomyślał, że okaże się godnym przeciwnikiem?

Tak czy inaczej, uznałam, że musimy obmyślić sobie jakiś plan ucieczki. Perspektywa siedzenia w domu bynajmniej mi się nie uśmiechała. Postanowiłam zatem przejrzeć program w gazecie, może w piątek udałoby się wyskoczyć do kina. W sobotę poszłybyśmy na futbol. W niedzielę miałam zamiar spać do południa. Zabrałyśmy naczynia i nakryłyśmy do stołu. Szepnęłam Gracie, że musimy porozmawiać. Wskazała palcem na górę. „Idę się rozpakować” - powiedziałam głośno, na wypadek gdyby kogoś to obchodziło. „Ja też!” - dodała Gracie. Po drodze minęłyśmy ojca. „Jak wam idzie?” -

zapytał. „Super - odpowiedziałam. - Wszystko gra”. „Właśnie, wszystko gra” - dorzuciła Gracie i poszła za mną na piętro.

Zaraz po przeprowadzce do nowego domu tata urządził dla nas sypialnię. Podwójne łóżka, stół, komoda, żadnego wydziwiania. Najważniejsze, że miałyśmy pokój i miejsce na swoje rzeczy. Aż tu nagle wprowadza się jakaś Patti, rządzi się jak szara gęś, przewraca wszystko do góry nogami i ozdabia wzorem w mały. Dlatego widok naszego pokoju właściwie nie powinien nas zdziwić. Ale zdziwił. Nasza sypialnia zamieniła się w składzik, wypełniony od sufitu do podłogi kartonowymi pudłami. „Może weszłyśmy do niewłaściwego pokoju? - podsunęła Gracie. - Czy to na pewno nasza sypialnia?”. „Zajrzyj do sąsiedniego” - zaproponowałam. Nacisnęła kłamekę i zajrzała do środka. „O Boże! O cholera! Lindsey!”.

Odsunęła się, robiąc mi przejście. Zerknęłam do środka i zatkało mnie po prostu. Sypialnia była całkowicie odmieniona. Nad moim łóżkiem wisiał plakat zespołu Backstreet Boys, a nad łóżkiem Gracie Christiny Aguilery. Na tapczanach leżały narzuty i poduszki w dzikie, pstrokate wzory. Myślałam, że zaraz puszcze pawia na ten żarówiasty dywan. „I co teraz?” - zapytała Gracie. „Już my im pokażemy - odpowiedziałam. - Co ona sobie wyobraża? Musiała ruszać nasze rzeczy?”. Ciskałyśmy się po pokoju, coraz bardziej wściekłe. Jak myślisz, co zobaczyłyśmy w szufladach? Naszą bieliznę, piżamy, koszulki i skarpetki, świeżo wyprane, wyprasowane i poskładane. W szafie stały wypucowane adidasy, a ubrania wisiały na plastikowych wieszakach, starannie posegregowane. Nie miałyśmy tam wielu rzeczy, wszystko jednak było czyściutkie i dziwnym trafem przypisane do właścicielki. Mimo to, podkreślam: mimo to, zyskałyśmy tak potrzebną nam amunicję. Trochę mi było głupio na myśl o wszczynaniu awantury w święto, dlatego mówię do Gracie: „I co? Grunt, że wszystko czyste i że mamy większy pokój, nie?”.

Gracie na to, że ma powyżej uszu moich mediacji. „Posłuchaj, Lindsey - powiedziała. - To nie w porządku. Ona jest nie do wytrzymania! Nie można ot tak grzebać komuś w szufladach i wszystko przekładać! Nie znoszę Christiny Aguilery, a ty od wieków nie słuchałaś Backstreet Boys! Mogła nas chociaż spytać, czy lubimy tę ohydłą zieleń!”.

„Masz rację - uznałam. - Masz rację, masz rację. Musimy coś zrobić!”. A Gracie spytała: „Co proponujesz, mądralo? Spalić tę budę?”. Mamo, gdyby przyłożyła się do nauki, też mogłaby mieć lepsze stopnie. Nie lubię, kiedy tak do mnie mówi.

Spojrzałam na przejętą twarz Lindsey, próbując sobie wyobrazić, jak to jest być dzieckiem rozwiedzionych rodziców, do tego bystrzejszym, bardziej rozsądnym. Nie miałam jej za złe gniewu, wiedziałam jednak, że Patti miała pewnie jak najlepsze chęci. Poza tym cóż, Gracie obrzucała Lindsey wyzwiskami, ale Lindsey wcale nie pozostawała jej dłużna.

- Lindsey, kochanie, twoja siostra po prostu straciła grunt pod nogami. Ona jest z ciebie naprawdę dumna. - Ścisnęłam jej dłoń. - Ja też.

Moje biedne dziewczynki! Jakież zamęt zasiałam w ich życiu swoim nieudanym małżeństwem? Dorastanie samo w sobie stanowiło trudny proces. Gorzej, kiedy człowiek dowiadywał się na każdym kroku, że nic nie trwa tak długo, jak powinno.

Lindsey kilkakrotnie wzruszyła ramionami, wyjrzała przez okno, a następnie podjęła swoją opowieść.

- Gracie wściekła się nie na żarty. Mało brakowało, a zdemolowałyby sypialnię i zdarła ze ściany oba plakaty. „Niech się trzyma z daleka od naszego pokoju!”. Darła się tak głośno, że pewnie wszyscy od Essex Fells do Newark nadstawili uszu! „Nie! - powiedziałam wreszcie. - Ja jej powiem. Ty jesteś za bardzo wkurzona”. Gracie uznała, że to dobry pomysł. Zeszliśmy na kolację; niemrawo grzebałam w talerzu, chociaż wszystko było naprawdę pyszne. Ojciec przez cały czas opowiadał nam, jaka to Patti jest świetna, Patti zaś musiała wysłuchiwać, jakie to z nas wspaniałe dziewczyny. Dwoił się i troił jak nie przymierzając handlarz żywym towarem, całkiem bezskutecznie, bo i tak nigdy nie byłybyśmy w stanie polubić tej kobiety. Przenigdy. Przez cały posiłek Buster obskakiwał wszystkich, wiedziony złudną nadzieją, że coś mu skapnie. Czekałam na odpowiednią chwilę. Wreszcie rzuciłam coś w rodzaju: „Wiesz, Patti, to miło z twojej strony, że urządziłaś nam pokój”. Dawna Patti rozjaśniła się jak żarówka, a tata w idiotyczny sposób wyraził zadowolenie, że doceniłyśmy jej starania. Wtedy wypuściłam zatrutą strzałę. „Skoro jednak sama nie masz nastoletnich córek, nie możesz wiedzieć, jak to jest, kiedy ktoś, kogo prawie nie znamy, szpera w naszych rzeczach i urządza pokój, nie pytając nas o

zdanie. Trochę wyprowadziło nas to z równowagi. - Umilkłam i dodałam po chwili: - Ale to naprawdę miło z twojej strony".

Przeciągnęłam strunę. Tata rzucił serwetkę na stół i wstał. „Nie macie pojęcia, jak Patti się napracowała! Zadbała o każdy najmniejszy szczegół. Mam was dosyć...”. „My nie szperałybyśmy w jej rzeczach, tato - wtrąciła niewinnie Gracie. - To naruszenie zasad prywatności. Tak jakby zaglądać do cudzego pamiętnika". Broda Patti zadrżała. „Oho - pomyślałam - ale mimoza". Ale miałyśmy ją jak na widelcu. Wiedziała, że mamy rację. „A płacz sobie - dodałam w duchu. - Płacz i idź do diabła". Postanowiłam usunąć się ze sceny, nim puści tama, i powiedziałam, że idę po placek, a potem ulotniłam się do kuchni. Przez chwilę panowała cisza, a kiedy wróciłam do pokoju z gorącym plackiem orzechowym i rozglądałam się, gdzie by go tu postawić, tata oznajmił: „Lepiej przyzwyczajcie się do Patti, ponieważ wkrótce zostanie moją żoną". Mało nie zemdlałam. Gracie powiedziała: „Oooookej! Dosyć tego! Spadam stąd!", odsunęła krzesło i wybiegła z domu. Mamo, przysięgam, że nie zrobiłam tego celowo, ale placek wylądował na podłodze.

Wybuchnęłyśmy śmiechem i zaśmiewałyśmy się tak przez dłuższą chwilę.

- Dobrze, że Buster lubi orzechy - zauważyła Lindsey.

- Dobrze, że się wyprowadzamy - dodałam. - Skoro mowa o przeprowadzce...

- Tak, wiem. Mamy mnóstwo roboty.

Jedno jest pewne: nie będę tęsknić ani za Fredem, ani za jego wybranką.

Wiedziałam, że Patti mogłaby pozytywnie wpłynąć na moje córki, lecz przemawiał przeze mnie czysty egoizm. Spędziłam z dala od nich zbyt wiele czasu i nie potrzebowałam porównań z kimś równie nieskazitelny jak Patti.

Rozdział piąty

„Rów Jacksona, mówi Brad”

Był wczesny poniedziałkowy rano; siedziałem w moim wkrótce byłym gabinecie, zajęty pogawędką z Robertem. Czekaliśmy, aż pojawi się Linda i przejmie stery, zwalniając mnie od przykrego obowiązku prowadzenia ksiąg rachunkowych oraz tysiąca innych zajęć, które pochłaniały bezcenny czas.

- Nie mogę się doczekać, aż przyjdzie i odmieni mój świat - oznajmiłem. - Podobno lubi grzebać się w drobiazgach. O której musisz być w sądzie?

- Dziś nie muszę. Jadę na wyspę Pawleys po zeznania ostatniego klienta. Wygląda na to, że małżeńska sielanka dobiega końca.

- Którą ze stron reprezentujesz?

- Małżonkę. Niech Bóg ma ją w swojej opiece: mąż zachomikował kasę, gdzie tylko się dało, i powiedzmy, że nie jest skłonny do współpracy.

- Bogaty?

- Nieważne, byle zapłacił rachunek. Nigdy nie biorę klienta na podstawie zasobności jego portfela! Rany! Grunt, żeby był interesujący!

- Tak tylko pytam, Robert. Chcesz kawy? Świeżo zaparzona.

- Pewnie, czemu nie?

Kiedy szliśmy do kuchni, zadzwonił telefon. Ktoś podniósł słuchawkę. Zamrugało światelko: to do mnie.

- Rów Jacksona, mówi Brad.

- Brad? Brad?

To Loretta, dzwoniła z Atlanty. Moja niezrównana, niewierna i niebawem była dręczycielka. Wrzeszczała tak, że dałbym głowę, iż ma problemy ze słuchem.

- Tak, to ja. O co chodzi?

- O Alexa! Właśnie dostałam telefon z policji...

Alex to nasz syn. Zbliżały się jego szesnaste urodziny.

- Co z nim?

- Wszystko w porządku, ale ma kłopoty.

- Opowiesz mi, co się stało, czy mam poczekać na serwis CNN? - Nie mogłem się powstrzymać od uszczypliwości. Jedno słowo Loretty działało na mnie jak płachta na byka.

- Bardzo śmieszne, Bradford. Złapano go na kradzieży DVD z Tower Records.

- No cóż, wyciągnij go z paki i pogroź mu palcem, Loretta!

- Kiedy ja nie mogę... po prostu nie mogę... ktoś mógłby mnie zobaczyć i...

Nie wierzyłem własnym uszom. Czyżby martwiła się o własną skórę?

- Czyś ty oszalała, Loretta? Jedź po niego!

- A jeśli zawieszą go w prawach ucznia? I wyrzucą z drużyny? Czy ty rozumiesz, z czym ja się tu muszę borykać?

Zadrżał jej głos. Wiedziałem, że jeszcze chwila i się rozplacze.

- Loretta, uspokój się. Zadzwoń do Archiego. On powie ci, co masz robić.

Spojrzałem na Roberta, który przysłuchiwał się rozmowie, z trudem powstrzymując śmiech. Przyszła Linda. Uniosłem dwa palce na znak, że zaraz kończę. Widziałem, że ona i Robert z miejsca przypadli sobie do gustu. Świetnie.

Z tego wszystkiego nie usłyszałem, co powiedziała Loretta.

- Możesz powtórzyć?

- Mówiłam, że o nic nie będę go pytać. Zerwaliśmy!

Nie byłem ciekaw szczegółów. Na myśl o jej zranionej dumie mało nie pękłem ze śmiechu, Loretta była jednak tak roztrzęsiona, że zachowałem powagę.

- No to zadzwoń do Theo! - Theo, mój nieoceniony teść, to facet, który bez słowa przeprasza doprowadził mnie na skraj bankructwa.

- Z kim on rozmawia? - szepnęła Linda, zwracając się do Roberta.

- Ciii! - odszepnął Robert. - Zaraz skończy. Loretta nie przestawała zawodzić do słuchawki.

- Do taty też nie mogę zadzwonić! Chyba dostałby zawału!

- No to co twoim zdaniem powinienem zrobić? Wsiąść w samolot?

- A mógłbyś? - zapytała łzawo. Niesłychane!

- Loretta, posłuchaj, co ci powiem. To ty jesteś odpowiedzialna za wychowanie Alexa! Ty dostałaś prawo do opieki! Dlatego wal na posterunek i przywieź chłopaka do domu! Jeśli chcesz, potem do niego zadzwonię i porozmawiamy.

- Oddam go do szkoły wojskowej. Mówię poważnie, Brad!

- Nic z tych rzeczy! W żadnym razie na to nie zasłużył! A teraz ruszaj i powiedz Alexowi, żeby do mnie zadzwonił!

Tak mocno trzasnąłem słuchawką, że ani chybi Lorecie spadł kolczyk. Wziąłem głęboki oddech i wyciągnąłem rękę do Lindy, zapominając, że za pierwszym razem mało nie zmiażdżyła mi palców.

- Hej! Witaj na pokładzie, Linda! Widzę, że już poznałaś Roberta? To właśnie jego hojności zawdzięczamy ten przybytek...

Uścisnęła mi rękę, aż wzdrygnąłem się mimowolnie.

Kiedy ujęła dłoń Roberta, mój przyjaciel niemalże ugiął kolana.

- To ci dopiero uścisk! Na litość boską, kobieto! Tylko mnie nie uszkodź!

- O Boże! Bardzo przepraszam! Ciągle zapominam...

Wyrzuciłem ręce w powietrze, a Robert potrząsnął głową. Po chwili Linda ochłonęła.

- Kto to jest Loretta? I Alex? Czy wszystko w porządku?

- Opowiemy jej o Ksantypie? - spytał Robert, rozcierając obolałą dłoń.

- O kim? - Linda wyglądała na stropioną.

- Ksantypa była żoną Sokratesa, znaną z wiecznego głędzenia. Loretta to moja wkrótce była żona, a Alex to nasz piętnastoletni syn, z którym najwyraźniej sobie nie radzi...

- Zerwała z Archiem? - zapytał Robert. - Co się stało?

- Kto to jest Archie? - chciała wiedzieć Linda.

- To ten gnój, który rozwalił moje małżeństwo...

- I któremu powinieneś być po stokroć wdzięczny! - wtrącił Robert. - Moim zdaniem należy to uczcić cygarem. Zapalisz, Brad? Mam w torbie wyborne cohibas.

- Cygara? - Linda wytrzeszczyła na mnie oczy. - Palicie cygara?

- A co, masz uczulenie? Nie lubisz cygar?

- Nie! Ubóstwiam cygara! Możecie sobie palić do woli! Cygara przypominają mi ojca.

- Tak? Czy on jeszcze żyje? - zapytałem.

- O nie, zmarł przed laty.

Zobaczyłem, że Linda stoi z torbą oraz pudłem pełnym akcesoriów biurowych. Nawet jej nie powiedziałem, gdzie może to wszystko postawić. Robert trzymał w ręku dwa cygara i szperał w walizeczce w poszukiwaniu obcinarki, podczas gdy ja, zamiast godnie przywitać nową pracownicę, pozwoliłem tylko zmiażdżyć sobie palce i zmaciałem jej w głowie furą niepotrzebnych imion.

- Może przejdziemy do twojego nowego miejsca pracy i napijemy się kawy? Potem opowiem ci historię Loretty i Archiego oraz tego, jak się tu znalazłem.

- Super! To znaczy, jeśli nie chcesz, nie musisz opowiadać...

- Lepiej, żeby wiedziała - uznał Robert i przystąpił do obcinania cygar scyzorykiem.

Przyniosłem trzy duże kubki do biura, gdzie Robert już flirtował w najlepsze z Lindą jak nie przymierzając Casanova. Podchwyciła jego żartobliwy ton i chichotała jak uczennica.

- Jest nieszkodliwy - oznajmiłem, kładąc tacę na pustym biurku.

- Niestety, to prawda - potwierdził z udawanym wstydem Robert. - Susan rozstrzelałaby mnie na miejscu, gdybym naprawdę... jeszcze jej nie poznałaś, ale jak poznasz...

- Och, przestań zrzedzić, staruszk. Pozwól, że przedstawię Lindzie najistotniejsze szczegóły mojej bohaterskiej przygody - przerwałem. - Najpierw była Loretta. Poślubiłem ją zaraz po ukończeniu szkoły biznesu i wkrótce zrozumiałem, że to wielki błąd. Jej ojciec prowadził niedużą, ale prestiżową firmę inwestycyjną w Atlancie, mnie zaś, synowi rolnika i nauczycielki, marzyło się życie pełne sukcesów...

- Masz ogień - powiedział Robert, przypalając mi cygaro.

- Tymczasem czekało go pasmo udreki!

Zachłynałem się dymem i wydałem z siebie przeciągły jęk.

- Dobrze się czujesz? - spytała Linda.

- Tak! O rany! Na samą myśl o piekle, przez które przeszedłem... i to po co? Tak czy siak, nie było kolorowo. Harowałem jak wół, a stary dyszał mi w kark, podważając każdą decyzję, każdy plan... to było okropne.

- Opowiedz jej o Amy! - zawołał Robert. - To dopiero historia! Amy to początek wielkiego przełomu...

- Miałeś kochankę? - spytała Linda, oblewając się rumieńcem.

Nie wiem, czy oburzyła ją możliwość zdrady, czy też do tego stopnia wątpiła w moją atrakcyjność. Postanowiłem bronić swojej męskości i opowiedzieć wszystko zgodnie z prawdą.

- Ach, Amy! - Przewróciłem oczami. Linda musiała uznać, że to tik, gdyż nie zareagowała. - Było to w listopadzie zeszłego roku. Jadłem lunch z Amy, moją sekretarką. Właśnie złożyliśmy zamówienie. Naraz ktoś rąbnął pięścią w stół: patrzę, a tu Theo, mój teść, nachyla się nade mną i syczy: „W życiu nie powinienem był oddać ci mojej jedynej córki. Od początku wiedziałem, że to błąd. Teraz też wiem”. Moje gratulacje, miałem na końcu języka. Obaj mieliśmy dobre przecucia. Tymczasem Theo wisi nade mną i syczy w najlepsze. Sekretarka była przerażona, widziałem to po plamach na jej szyi. Kelner ulotnił się dyskretnie, pozostawiając nam rozwiązanie tego ewidentnego nieporozumienia. Wstałem. „Theo?”. Stał jak wrośnięty w ziemię, gotów rzucić we mnie czymś ciężkim. „Theo, dzisiaj jest Dzień Sekretarki - podjąłem, kiedy trwał we złowróżbnym milczeniu. - Po prostu zaprosiłem swoją sekretarkę na lunch”. „Nie myśl, że mnie nabierzesz - odparł. Rzucił Amy pogardliwe spojrzenie i ponownie łypnął na mnie. - Nikt nie zabiera sekretarki do City Grill. Chyba masz mnie za durnia”. „Nie - odpowiedziałem.

- Sądzę tylko, że jesteś komuś winien przeprosiny”.

- Jak widzisz, Theo to autorytet w kwestii tego, dokąd zabrać sekretarkę na lunch - wtrącił Robert. - Ma w gabinecie certyfikat wydany przez burmistrza...

- Jasne. I co, przeprosił? Boże, chyba padłabym trupem!

- Nie, nie przeprosił, a Amy wstała od stolika.

- Powiedz Lindzie, jak wyglądała!

- Dobrze. Amy to smukłe, rudowłose i zielonookie dziewczęcę z twarzą porcelanowej figurki i alabastrową cerą. Mówię wam...

Robert i Linda patrzyli na mnie z obawą, jakbym nadużył psychodelicznych grzybków z lasu Thoreau, co groziło niekontrolowaną ekstazą erotyczną. Chrzaknąłem.

- Hm, tak. Uciekła do łazienki, omijając Theo, jakby był morowym powietrzem.

- Boże! Ja na jej miejscu chyba zapadłabym się pod ziemię! - stwierdziła Linda.

- A gdzie tam. To twarda sztuka. Kiedy zerknęła przez ramię, zobaczyłem, że jej twarz nie wyraża żadnych emocji. To było bardzo dziwne. W tej samej chwili Theo zionął mi w twarz smrodliwym oddechem i wypadł z restauracji, pozostawiając mnie z serwetką w rękę, zszokowanego tym, co przed chwilą ujrzałem. Zaraz, zaraz, pomyślałem. Boże Wszechmogący! Czy to możliwe?

Czyżbym czegoś nie zauważył? Ostatecznie to z jej inicjatywy poszliśmy na lunch. Ona zarezerwowała stolik, włożyła prowokacyjną bluzkę i mocno skropiła się perfumami. Wpadłem jej w oko, nawet o tym nie wiedząc. A może jednak się myliłem? Usiadłem i zacząłem główkować. Czy też raczej delektować się obiecującą perspektywą. Ktoś na mnie leciał. Nie, to niemożliwe. Byłem najbardziej żonatym, choć sfrustrowanym facetem, jakiego znałem!

- Na podstawie historii jego życia powstała burleska pod tytułem „Król frajerów” - rzucił Robert, parszając śmiechem.

- Wal się - burknąłem. Zerknąłem pospiesznie na Lindę. - Wybacz.

- No wiesz! - odpowiedziała, ale wcale się nie obraziła.

- Opowiedz o swojej porażce!

- Przyszedł Albert, nasz kelner, i postawił na stole dużą szkocką z lodem, mówiąc: „Na koszt firmy, panie Jackson”. „Słyszałeś mojego teścia? - zapytałem. - On chyba zwariował!”.

Albert oburącz trzymał za plecami srebrną tackę. „Kwiecień” - oznajmił. „O czym ty mówisz? - spytałem. - Jaki znowu kwiecień?”. Dostrzegłem, że Amy ponownie zmierza w naszą stronę. „Dzień Sekretarki jest w kwietniu. Teraz mamy listopad”.

„O cholera” - wykrztusiłem. Stary Albert odsunął Amy krzesło, a następnie mrugnął okiem i pozostawił nam na roztrząsanie zawilgości kalendarza. „Przepraszam za Theo - powiedziałem. - To kawał chama i naprawdę nie wiem, dlaczego...”. - Umilkłem, urzeczony widokiem jej falujących, hm, piersi. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że są... hm,

jest, taka cudowna i jakim cudem wcześniej nie zwróciłem na nie... hm, na nią uwagi. Amy popatrzyła na mnie z uśmiechem. Pociągnąłem solidny łyk ze szklanki, usiłując skupić się na omawianej kwestii zamiast podziwiać kształtny zarys jej ust. Była taka młoda! Mimowolnie zachodziłem w głowę, czy kiedykolwiek padła łupem mężczyzny.

- Jesteś świnia, Jackson - oznajmił Robert, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Wszyscy mężczyźni to świnie - uzupełniła Linda.

- Zamiast zapytać ją o to wprost, chrząknąłem i wróciłem do sprawy Theo. Amy wpadła mi w słowo. „Brad? Mogę mówić do ciebie Brad? Jeśli wolałbyś nie...”. Patrzę, a ona pochyła się przez stół, rude loki spadają na ramiona, i kładzie mi rękę na dłoni w geście, który przy każdej innej okazji uznałbym za przejaw czysto przyjacielskiej troski.

Taka młoda rączka! Założę się, że nie liczyła sobie więcej niż dwadzieścia dwa lata. Była miękka, wręcz jedwabista w dotyku. W przeciwieństwie do ręki Loretty, opalonej do przesady i upierścienionej, dłoń Amy była pozbawiona wszelkich ozdób. Naga dłoń! Jednym słowem, mózg zaczął płatać mi figle. Naga dłoń! Ciekawy dobór słów, pomyślałem. Wiedziałem jednak, że jeśli nie odzyskam panowania nad sytuacją, będę w opałach. Choć szczerze powiedziawszy, wcale nie miałem ochoty odzyskać panowania nad sytuacją. Napotkałem spojrzenie dziewczyny i wiedziałem, co się święci. Dokąd to wszystko zmierzało? Ogarnęło mnie zadowolenie, że moja ręka nie jest owłosiona i pokryta plamami wątrobowymi.

„Ależ skąd! - odpowiedziałem. - Oczywiście, mów mi Brad, czemu nie? Przecież ja mówię na ciebie Amy, prawda? Ostatecznie nie jesteśmy w pracy”. Tak trzymaj, stary, powtarzałem sobie w duchu, porządek musi być. Ale ona zobaczyła, że minę mam nietęgą, i pyta: „Jesteś pewien, że wszystko w porządku?”. Wyprostowałem się i cofnąłem rękę. „Jasne. W jak najlepszym. Głupio mi z powodu Theo. Dureń myśli, że chcę cię uwieść. Oburzające! Nie złość się na niego”. „Po prostu martwi się o córkę - odrzekła Amy - Zresztą, to nieważne”. Wygładziła serwetkę na kolanach, sięgnęła po widelec i skosztowała dania ze smażonych zielonych pomidorów, mozzarelli burrata oraz grillowanych cebulek cippolini.

- Wyśmienita pamięć - zauważył Robert.

- Nieważne. Ona je, a ja zabieram się do zupy. Patrzyłem, jak przeżuwa, powoli i metodycznie, po czym doszedłem do zatrważającego wniosku, że w jej postaci wszystko kipi erotyzmem. Oczami wyobraźni zobaczyłem nas w hotelowym pokoju w Ritz-Carlton w Buckhead! Dacie wiarę? Oto ja, bardziej żonaty niż kiedykolwiek, jem lunch z sekretarką, rozmyślając o czymś tak... tak...

Ale nic z tego! Pomyślcie tylko... raz w życiu człowiek doświadcza awansów ze strony atrakcyjnej dziewczyny i dosłownie traci głowę! Pamiętam, że Amy nachyliła się ku mnie, pytając: „Słyszałeś, co powiedziałam? Ty mnie w ogóle nie słuchasz”. Wyobraźnia owładnęła mną całkowicie... zaraz jednak z hukiem wróciłem do rzeczywistości i ponownie siedziałem naprzeciw swojej sekretarki, miłej i cichutkiej Amy, która - o ile mi wiadomo - w życiu nie zhańbiła się żadnym drobnym czynem. Co ze mną było nie tak?

- Moim zdaniem nic - uznała Linda.

- No właśnie! „Bardzo mi przykro, Amy - powiedziałem. - Myślałem o tym, że chętnie udusiłbym Theo gołymi rękami”. A ona mi na to: „Oszczędzaj siły”.

- Ha! Oszczędzaj siły! Czy to nie boskie? O Boże... - Robert nadal występował w roli komentatora sportowego.

- Przymknij się, Robert! „Co masz na myśli?” - zapytałem. Uznałem, że to niemożliwe, by wyszła z jakąś otwartą propozycją. „No wiesz, masz tyle ważnych spraw na głowie...”.

Boże! Ona wyglądała tak niewinnie! Czekala, aż zrobię pierwszy krok? „Masz syna, prawda? Opieka nad nim musi cię kosztować mnóstwo wysiłku”. Odetchnąłem. Widzicie? Niestety, a może na szczęście, okazała się porządną dziewczyną, a nie awanturnicą szukającą starszego sponsora, który miał jej zapewnić to, o czym marzą jej rówieśnice. „Mój syn dostarcza mi wielu rozczarowań”. Nie wiem, dlaczego to powiedziałem, więc nawet mnie nie pytajcie. Upiłem kilka łyków wody, a Amy zapytała: „co przez to rozumiesz?” i zabrała się do jedzenia z ferworem rzadko spotykanym u osób jej płci...

Pilnuj się, człowieku, przywołałem się do porządku i odchrząknąłem. „Kiedy ja byłem młody, spędzałem z ojcem dużo czasu. Alex ma tyle zajęć, że właściwie go nie widuję”. Amy zaproponowała: „Może po prostu gdzieś razem pojedziecie?”. Wtedy

zdałem sobie sprawę, że Loretta powinna mi to umożliwić. Przyniesiono wreszcie danie główne, Amy dalej rzuca mi znaczące spojrzenia, a ja zachodzę w głowę, czy dziewczyna rzeczywiście ma wobec mnie, hm, pewne plany. Postanowiłem ograniczyć swoje wypowiedzi do minimum, utrzymać lekki ton rozmowy i cierpliwie czekać, co dalej. Grunt to spokój. Jest za młoda, żeby blefować.

Miałem rację. Czekałem zaledwie około minuty. Amy kroi stek i ni stąd, ni zowąd rzuca: „Mogę cię o coś spytać, Brad?”. No to ja jej odpowiadam: „Pewnie. Strzelaj”. „Kochasz swoją żonę?”. „A cóż to za pytanie?”. Po króciutkiej pauzie ona zerka na mnie i mówi: „Widzę, że mi się przyglądasz i zastanawiasz się, jak by to było kochać się ze mną”. Na to ja okazałem się strasznym tchórzem i palnąłem mówkę o tym, że jestem wierny Lorecie, a wierność to ważna rzecz, i że nigdy nie zdradziłem żony.

- Chwileczkę! - wtrącił Robert. - Oto klucz do całej historii! Brad nie tknął Amy nawet palcem, choć równie dobrze mógł to zrobić, gdyż Theo poszedł prosto do Lorety i oznajmił, że niemal przyłapał go in flagranti.

- Z opuszczonymi spodniami? - upewniła się Linda.

- Właśnie - potwierdził Robert i wybuchnął tak gromkim i serdecznym śmiechem, iż oboje mu zawtórowaliśmy. - Chodź, Linda. Poprosimy Louise, żeby zrobiła nam kanapki. Przynieść ci coś, stary?

- Nie, dziękuję.

- Nie chcę chleba - oświadczyła Linda. - Muszę uważać na węglowodany. Ale chętnie zjadłabym zupę.

Pod nieobecność Lindy i Roberta przez kilka minut odtwarzałem w myślach dalszą część rozmowy z Amy. Jakże żałowałem, iż nie starczyło mi odwagi, by przyjąć jej propozycję.

„Chcę się z tobą przespać, Brad. Chcę się przespać z uroczym mężczyzną o cudownych oczach, które mruży, kiedy na mnie patrzy, i cudownych jasnych włosach...”. „Właściwie to łysieję”. „Cicho! Są piękne. Chcę słyszeć w uszach twój oddech. Nie zamierzam się wiązać na stałe. Niech zostanie tak, jak jest, nie będziemy nic psuć. Żadnych komplikacji”.

Upłynęła minuta, nim odzyskałem mowę. „Hm, wygląda na to, że nie owijasz sprawy w bawełnę. Posłuchaj, Amy, będę z tobą szczerzy, dobrze? Gdybym był wolny, a ty nie byłabyś moją sekretarką, ani byś się obejrzała, jak wylądowalibyśmy w łóżku. Ale tak się składa, że razem pracujemy, no i pozostaje kwestia mojego małżeństwa”. „A jeśli zmienię pracę?”. „Tylko nie to, Amy. Jesteś sekretarką doskonałą. Bez ciebie nie dam sobie rady. Dobrze o tym wiesz”. Patrzyłem na nią długo, a dziewczyna odwzajemniała moje spojrzenie. Co się dzieje z tym światem? Amy była oszalamiająca, młoda i mogła mieć każdego mężczyznę. Oprócz mnie. Romans okazał się ponad moje siły. Byłem inaczej skonstruowany. „O czym myślisz?” - zapytała. „O tym, że bardzo mi pochwlebiłaś, i że bardzo żałuję...”. „Przecież widziałeś moje spojrzenia, prawda?”. „Owszem, ale inaczej je sobie interpretowałem. Musisz zrozumieć, że nigdy nie zdradziłem żony, nigdy”. „Nigdy?”. „Nigdy”. „Cóż, zawsze musi być ten pierwszy raz”. W jej zielonych oczach błysnęły figlarne iskierki, a ja poczułem, że muszę uciekać, gdzie pieprz rośnie. Uciekać, a przy tym zrywać boki ze śmiechu z całej tej sytuacji. Ale powiedziałem tylko: „Poproszę o rachunek” i przeczesałem palcami włosy. Pamiętam, jak nachyliłem się ku Amy, próbując zebrać myśli. „Posłuchaj, Amy. Jesteś niezwykle piękna. Podejrzewam, że dobrze o tym wiesz, bo pewnie wszyscy powtarzali ci to, odkąd sięgasz pamięcią. I...”. „W porządku, Brad! Naprawdę! Ale czy nie zastanawiasz się nigdy, jak by to było przespać się z kimś innym? Czy zdajesz sobie sprawę, że spędzisz resztę życia u boku Loretty, że jej usta są jedynymi ustami, jakie będziesz całował? Czy to nie odrobinę przerażające?”.

Tu mnie miała. Pewnie, że o tym myślałem. Od ostatnich kilku lat pocałunki Loretty miały charakter czysto umowny - całowała mnie z zaciśniętymi ustami - jednakże ów brak namiętności nie spędzał mi snu z powiek. Przywykłem do tego, co miałem, a czego nie. „Pewnie, że myślałem, jak by to było z kimś się przespać. Zwłaszcza przez ostatnich kilka minut. Ale idąc do ołtarza, należy się z tym liczyć. Wiesz, dopóki śmierć nas nie rozłączy itp. No i pozostaje kwestia naszej współpracy. Nie można romansować z kimś, kto dla nas pracuje... pamiętasz Monicę? Istnieją pewne zasady, może głupie, ale zawsze”. „Bzdura. Chętnie zjem sernik czekoladowy z sosem i bitą śmietaną. Do tego podwójne espresso”. „Amy, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam, po prostu okoliczności nam nie sprzyjają...”. „Jak w tej piosence? Dobrze, już wystarczy. Przynajmniej na razie”.

Odłożyłem sztucę na talerz i popatrzyłem na nią z uśmiechem. Czułem, że ma rację, ale nigdy bym się do tego nie przyznał. Wyzaczyłem pewne granice i nie miałem zamiaru ustąpić.

Czy Amy zadzwoniła? Nie. Czy dzwonił ktokolwiek inny? Tylko Loretta, kiedy próbowała zepchnąć na mnie balast obowiązków rodzicielskich. I pilnie dbała o to, bym jak najrzadziej widywał Alexa. Byłem sam. I może właśnie tak miało pozostać.



Rozdział szósty

Przystań

A więc to można dzisiaj kupić za dwieście tysięcy? Rozklekotaną ruinę z dwiema sypialniami w zapadłej dziurze? - zapytałam.

- Zobacz, Linda, masz widok na port - powiedziała Mimi.

- Owszem, jeśli wychylę się z okna i wykręcę szyję, ryzykując życie...

- Kuchnia jest ładna i słoneczna - zaznaczyła agentka.

- Jeśli pominąć brudną, jaskrawą tapetę - mruknąłam.

- Mogę zmienić tapetę - zaofiarowała się Mimi. - Hej! Mogłybyśmy tego nauczyć dziewczęta! To przydatna umiejętność.

Nie byłam pewna, czy w ogóle dotarły do niej moje słowa. Była bez reszty zaaferowana perspektywą urządzania przytulnego gniazdka dla siostry i jej dwóch córek, gniazdka z dekoracją na każdą okazję na drzwiach, ozdobionego malowanymi szyszkami oraz satynowymi wstążkami rozciągniętymi w powitalnym geście, z donicami kipiącymi bujnym kwieciami, czystymi rynnami, zamiecionym gankiem i lawendowymi saszetkami w szufladach na bieliznę. Do pełni szczęścia brakowało jedynie labradora - wielkiego, czarnego psiska z długim, różowym ozorem, nazwanego Beauregard na cześć jednego z najznamienitszych generałów Konfederacji.

Obserwowałam przez kilka minut moją siostrę, podziwiając, jak oblicza w myślach, ile potrzeba materiału na kuchenne zasłony. Lepsza będzie falbanka czy tasiemka? Lecz pomimo jej entuzjazmu byłam pewna, że moja odpowiedź brzmi nie. Ani jedno, ani drugie.

- Mimi?

- Słucham, skarbie?

Spoglądała na mnie z tak rozbrajającym uśmiechem, iż nie mogłam zaprzeczyć, że strasznie ją kocham, choć bez dwóch zdań próbowała żyć moim życiem. Powinnam okazać więcej wdzięczności. Naprawdę byłam wdzięczna, tylko Mimi po prostu musiała

zrozumieć, że ani nie wybieram się na emeryturę, ani nie składam broni. Przyjechałam tu, żeby zacząć wszystko od nowa: miałam dość ponurych zim i chciałam narzucić Gracie perspektywę inną od tego, czego do tej pory doświadczyła. Szczerze powiedziawszy, ów nieoczekiwany przyływ siostrzanej troski był nawet miły. Byle w umiarkowanych dawkach.

- Muszę jechać do pracy - powiedziałam, odwzajemniając uśmiech.

- Odprowadzę cię do samochodu - odrzekła, po czym zwróciła się do agentki. - Bardzo ładny. Ale, hm, szukamy czegoś z trzema sypialniami, rozumie pani?

- Aha. - Kobieta pokiwała głową. - Zadzwoń, jak coś pojawi się na rynku.

- Za mały? - spytała Mimi, kiedy tamta wsiadła do samochodu i włączyła silnik.

- Tak, za mały i za stary. Wszystko musi być jak spod igły. Mam dość nieszczelnych okien, krzywych podłóg, dziurawych rynien, spękanego asfaltu i zdradzieckich pieców... Łaknę powietrza, nowych instalacji i okien! Nie chcę drzeć przy spuszczeniu wody! Zmywarka do naczyń ma kołysać mnie do snu, a nie buczeć jak od-rzutowiec! Wiesz, o czym mówię?

- Jeszcze jak! - zawołała, celując we mnie palcem.

Otworzyłam drzwi samochodu, rzuciłam torebkę na siedzenie pasażera i usiadłam za kierownicą. Mimi nachyliła się do okna.

- Jak tam Brad? - zapytała.

- Super! W ogóle wszystko jest super! Ale muszę znaleźć dom, pamiętasz?

- Przejrzę ogłoszenia w „Moultrie News”!

- Dzięki! - odkrzyknęłam i przesłałam jej pocałunek.

Jeśli chodzi o nieruchomości, w Mount Pleasant było w czym wybierać. Jak pewnie wszyscy mieszkańcy wybrzeża chciałabym kupić dom z widokiem na coś więcej niż tylko posesja sąsiadów. Port, rzeka Cooper, strumień... cokolwiek. Jednakże brak wiedzy o własnych środkach stawiał mnie w niezręcznej sytuacji, gdyż musiałam oglądać domy pod kątem tego, czy wystarczy mi na nie pieniędzy. Mimo wszystko ciągnęło mnie ku miejscu, gdzie dorastałam, choć oznaczało to, że nigdy nie będzie mnie stać na nowoczesne lokum.

Wczoraj się dowiedziałam, że Brad mieszka w Simmons Pointe, tuż przy moście Bena Sawyera. Miał szczęście wynająć całoroczny, umeblowany apartament. Chociaż stał

się współwłaścicielem restauracji, nadal nie było go stać na zakup własnego domu. Twierdził, że owe trzy sypialnie, nowa kuchnia, dwie łazienki, WC oraz widok na wodę i bagno (bezcenny!) spadły mu jak z nieba.

Proponował, abym przyjechała obejrzeć jego lokum: może w okolicy trafi się coś podobnego. Podziękowałam, obiecując, iż nie omieszkam tego uczynić, lecz bynajmniej nie miałam zamiaru wylądować po sąsiedzku z własnym szefem. Co na przykład, jeśli zaproszę na noc Antonio Banderasa? Czy Brad musi widzieć jego limuzynę na moim podjeździe? Nie. A czy ja chciałabym wiedzieć, z kim on się spotyka? W żadnym razie. Życie samo w sobie jest dostatecznie skomplikowane.

Wjechałam na parking przy restauracji i wysiadając, wciągnęłam w nozdrza zapach strumienia. Jaki intensywny! I jak bardzo przypominał mi dzieciństwo. Mogłam zamknąć oczy i ponownie stawałam się siedmiolatką, maszerującą z ojcem do Magwooda po dwa kilo krewetek. Prawie słyszałam chrzęst połamanych muszli ostryg zaścielających drogę. Po solidnej ulewie dokoła widniały kałuże, które omijaliśmy szerokim łukiem, a czasem przeskakiwaliśmy, zaśmiewając się do łez. Nawet po upływie kilku godzin, kiedy błoto na butach zdążyło obeschnąć i odpaść, nadal towarzyszyła mi woń soli i morza. Ów zapach wiązał się z dobrymi wspomnieniami niczym zakładka w książce. I gdzieś w głębi duszy wierzyłam, iż powrót doń pozwoli mi odzyskać szczęście.

W stanie takiego właśnie rozmarzenia rozpoczęłam pracę, przekopując się przez stosy rachunków i porządkując je na komputerze według kategorii. Niektóre rzeczy wydawały się za drogie, inne z kolei sprawiały wrażenie wyśmienitych okazji. Będę musiała się nad tym zastanowić i poddać wszystko dokładnej analizie. Jedno było pewne: koszty zakupu produktów żywnościowych sięgały stratosfery. Pozostałe też budziły moje wątpliwości. Na przykład nie mogłam zrozumieć procedury weryfikowania rachunków za owoce morza. Z biegiem czasu jednak wszystko się wyjaśni. Moim pierwszym zadaniem było wprowadzić dane do programu rachunkowego, z którego można drukować stany magazynowe.

Louise stanęła w drzwiach i odchrząknęła. Niosła dwa parujące kubki z kawą. Jeden postawiła przede mną.

- Niektórzy mówią rano dzień dobry, ale widać inni nie!

- Och, Louise! Najmocniej przepraszam!
- Każdy wita się z Louise, nawet pan Brad, a on jest tu właścicielem.
- A poza tym jak mi idzie?
- Dość rzec, że póki rano się nie zjawiłaś, nie mogliśmy połapać się z rozumem! -

Uśmiechnęła się, pokazując dołki w policzkach.

- Jesteś niesamowita! Siadaj, porozmawiamy. Jak sytuacja w kuchni? Co znowu knuje Duane?

- Och! Ten człowiek doprowadza mnie do obłędu! Teraz umyślił sobie podawać surowe ryby. To się podobno nazywa *carpaccio*. Ludzie nie po to przyjeżdżają do Shem Creek, żeby jeść jakieś głupie *carpaccio*. Chcą zwyczajną rybę z wód Charlestonu, i do tego smażoną. Najbardziej egzotyczne zamówienie to ostrygi w połówkach muszli. Nie mam racji?

- No, *carpaccio* to włoska potrawa, a Brad chce prowadzić włoską restaurację.
- Mówisz? Wobec tego pozwolę mu włączyć to na próbę do menu.

Po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że Louise właściwie ma rację.

Większość nadmorskich restauracji serwowała raczej ryby smażone niż gotowane; o ile mi było wiadomo, jeśli nie liczyć ostryg, nikt nie podawał surowych dań.

- Jest taka restauracja w Nowym Jorku, włoska albo grecka, nie pamiętam, która specjalizuje się w daniach z owoców morza, tak jak my. Z tą różnicą, że klient sam wybiera sobie rybę, którą chce zjeść. W sali urządzono dużą ekspozycję z rybami wyłożonymi w lodzie, podchodzisz tam ze swoim kelnerem, wybierasz, którą sobie życzysz, a oni przyrządzają ci ją na jeden z dwóch sposobów. Albo nacierają solą i zapiekają w oliwie z sokiem z cytryny, albo filetuja i smażą *saute* na maśle i oliwie z oliwek.

- Mówisz, że ryby są wystawione?

- Właśnie.

- Wiesz co? To wcale niezła myśl! Doo-wayne byłby zachwycony! To byłaby u nas absolutna nowość! Ludzie uznaliby...

- Że nasze ryby są świeższe? I że mamy styl?

- Muszę się rozpytać, ile kosztowałaby ta ekspozycja. - Louise wstała i lekko poklepała mnie po ramieniu. - Wiesz co?

- No?

- Lubię cię. Masz głowę na karku!

- Dzięki! - wrzasnęłam, kiedy wyszła na korytarz.

Dzień mijał jak oszalały i zobaczyłam Brada dopiero po lunchu, kiedy zajrzał do mojego biura.

- Cześć! Witaj drugiego dnia w domu wariatów.

- Dzięki! Jestem taka podekscytowana! Mam nową pracę, nowe życie!

- Linda?

Opierał się o framugę; gdyby nie był moim pracodawcą, jego widok z całą pewnością nasunąłby mi kosmate myśli. Nie wiem, jak to się stało, że wcześniej nie zauważyłam, jaki jest przystojny.

- Słucham? - zapytałam. Kosmate myśli wzięły górę nad rozsądkiem.

- Zawsze jesteś taka zadowolona?

- Nie. - To była szczerza prawda. Jednakże od chwili powrotu w rodzinne strony niezaprzeczalnie wrócił mi optymizm. Przestałam nawet brać pigułki na dobry humor i wcale mi ich nie brakowało.

- Jak twoje poszukiwania domu?

- Lepiej nie pytaj! Nadal siedzimy mojej siostrze na głowie.

- Ach tak. - Dobór słów zrobił na nim piorunujące wrażenie.

- Cóż, może to dla ciebie bez znaczenia, ale jeden z klientów Roberta ma w okolicy dom, który kiedyś należał do farmy. Zachowała się jedna z przybudówek i facet chce ją wynająć. Znam go, to porządny człowiek. Ma miłą żonę i w ogóle. Może nawet zechciałby go sprzedać, jeśli znalazłby odpowiedniego nabywcę. Może rzuciłabyś okiem.

- Ile sypialni?

- Nie wiem. Jak chcesz, mogę do niego zadzwonić.

- Pewnie. Czemu nie?

Brad wyjął telefon komórkowy, taki, którym można było przesyłać zdjęcia, po czym zadzwonił do Roberta z prośbą o numer. Chwilę potem rozmawiał z właścicielem domu.

- Lowell? Czy nadal interesuje cię wynajęcie chatki? - Cisza.

- Aha, rozumiem. Nie, pracuje u mnie. - Cisza. - Dwie nastolatki, jedna w tym roku idzie do college'u. Tak. W Nowym Jorku. Nie, nie żartuję. Tak, jasne. - Cisza. - Ile? Co? Hej, przecież mówiłem, że u mnie pracuje, nie jest krewną Donalda Trumpa, rozumiemy się?

- Brad zasłonił ręką słuchawkę. - Spokojna głowa - szepnął do mnie, po czym ponownie zwrócił się do rozmówcy. - Dobrze. O piątej. Jasne. Tak, przywiozę ją. Wino też!

Popatrzył na mnie.

- A więc, oto najważniejsze dane. Dom stoi obok przystani, kiedyś był stróżówką. Został odnowiony, ma trzy sypialnie, coś w rodzaju salonu, jadalnię, kuchnię i łazienkę. Elektryczność i kominek. Lowell mówi, że jest dość przestronny. O piątej możemy wszystko obejrzeć. Chcesz tam pojechać?

Minął szmat czasu, odkąd przystojny mężczyzna złożył mi tego typu propozycję. Opanowałam się i zaczerpnęłam tchu.

- Jasne, czemu nie? - odpowiedziałam.

Kogo próbowałam oszukać? Brad nie był mną zainteresowany i lepiej, żebym nie bujała w obłokach. Natychmiast uruchomiłam w mózgu opcję Rozważna i Pragmatyczna i sporządziłam listę plusów mieszkania tak blisko pracy.

Najważniejsze było to, że dojazd zająłby mi nie więcej niż pięć minut, nawet gdybym musiała stanąć na wszystkich światłach. Nie ulegało wątpliwości, że to istotne. Mimo to wiedziałam, że jeśli zostanę w okolicy na wschód od rzeki Cooper, dojazd z każdego miejsca i tak nie trwałby dłużej niż kwadrans, nawet z wysp.

Ponownie przystąpiłam do wertowania papierów zalegających biurko z postanowieniem, że powstrzymam się od wyciągania wniosków do czasu obejrzenia domostwa. Popołudniowe światło spowiło restaurację ciemnoróżową poświatą. Spojrzałam na zegarek. Było wpół do piątej.

Poszłam szukać mojego szefa. Najpierw zajrzałam do kuchni.

- Widzieliście Brada? - spytałam wszystkich w zasięgu słuchu.

- Jest na tarasie - padła odpowiedź.

Wymamrotałam podziękowanie, wspięłam się po zewnętrznych schodach i zastałam go z węzłem ogrodowym, zawzięcie polewającego taras.

- Co ty wyprawiasz?

- Upał jak na patelni, nie?

- Rzeczywiście! I co z tego?

- Wieczorem zbiera się tu około dwustu osób, nie?

- No i?

- No i zmoczenie tarasu bądź dachu, w zależności od punktu widzenia, studzi atmosferę o około dziesięciu stopni. - Polewał dalej, po czym wreszcie dotarło do niego, po co przyszłam. Zakręcił wodę. - Pojedziemy moim wozem?

- Jasne.

Chwycił po drodze butelkę białego wina i poszliśmy do samochodu. Ograniczając się do zdawkowych uprzejmości, przebyliśmy drogę z restauracji do domu, który dla mnie wypatrzył Brad. Przyznam, że trochę mnie to martwiło. A jeśli chatka nie spodoba mi się tak, jak by tego oczekiwał?

Kiedy jednak minęliśmy główny budynek i wjechaliśmy w dębową aleję, dostałam gęsiej skórki. Poczułam, że to mój nowy dom. Kto wie, może nawet na zawsze. Skąd on wiedział?

- Jak tu pięknie - powiedziałam.

- Rzeczywiście, niczego sobie. Podoba mi się lokalizacja.

- Mnie też.

Weszliśmy po schodach. Odruchowo sięgnęłam do skrzynek pełnych jasnofioletowych petunii oraz wonnych kwiatów, których nie rozpoznałam. Właściciel, Lowell Epstein, czekał na nas w środku. Zapalił światło; w powietrzu płynęły dźwięki ballady Roda Stewarta. Dokoła unosił się znajomy zapach, wiedziałam jednak, że każdy dom pachnie po swojemu.

- Witaj, Brad! Daj, otworzę butelkę.

- Dzięki - odpowiedział Brad. - Lowell, przedstawiam ci Lindę Breland.

- Cześć. Jak się masz? - zapytałam.

Pomna wcześniejszych doświadczeń, ostrożnie ucisnęłam mu rękę i wzięłam podsunęty mi kieliszek wina. A gdy Lowell pograżył się w rozmowie z Bradem, ja przystąpiłam do dyskretnych oględzin domostwa.

Pokoje były umeblowane, tak jakby cały czas ktoś w nich mieszkał. Główna sypialnia sprawiała wrażenie przytulnej, z dużym, mosiężnym łóżkiem przykrytym warstwami ręcznie uszytych kołder. W kącie warowała stara szafa - garderoba z lustrem, przycupnięta na masywnych, pazurzastych łapach. Na stole stała lampa witrażowa w stylu Tiffany'ego sprzed stu lat. Na podłodze piętrzyły się sterty książek. Kiedy odsunęłam zasłony, światło zalało pokój i ujrzałam szklane, rozsuwane drzwi prowadzące na taras.

W pozostałych dwu sypialniach stały składane łóżka na kółkach, komody oraz biurka. Nic więcej by się tam nie zmieściło. Pomiedzy nimi znajdowała się przyjemna łazienka z prysznicem i wanną. W głównej sypialni zobaczyłam blat z brązowego granitu z błyszczącymi drobinkami. W przedpokoju zauważyłam przestronną cedrową szafę. Kuchnia znajdowała się od frontu, okna wychodziły na wodę. Graniczyła z salonem, a rozsuwane drzwi po przeciwnej stronie prowadziły na ten sam taras, ciągnący się wzdłuż pokoju dziennego i głównej sypialni. Stałam tam, rozmyślając, jak by to było miło jeść śniadanie przy niedużym stole, choć obecnie pokrywała go gruba warstwa pyłu i kurzu. No i te skrzynki kipiące kwieciami przy wejściu...

Pomiedzy kuchnią a salonem stał piec zbudowany ze starych cegieł. Mogłam sobie wyobrazić siebie z książką, zwiniętą na sofie i nasłuchującą bulgotania, które dochodziło z garnka z gulaszem. Ten nieduży domek, wszystkiego nie więcej niż osiemdziesiąt metrów kwadratowych, przypominał nowojorską klitkę, jednakże okna potęgowały wrażenie przestronności. Musiałam go mieć.

- Bardzo tu ładnie - powiedziałam, odkładając pusty kieliszek na szafkę.

- Zazwyczaj go nie wynajmuję - wyjaśnił Lowell. - Ojciec mieszkał tu aż do śmierci, od tamtej pory gościliśmy tu tylko rodzinę i znajomych. Barbara i ja spędzamy obecnie większość czasu na wyspie Pawleys. Dlatego wolałbym, żeby ktoś pilnował gospodarstwa.

- Chyba masz rację. Boże, od lat nie byłam na Pawleys - odpowiedziałam.

- Pewnie od tamtej pory nic się nie zmieniło - odrzekł. - I na tym polega urok tego miejsca.

- Wspomniałem Lowellowi, że masz dwie córki, z których jedna wybiera się jesienią do college'u - wtrącił Brad. - I żadnych zwierząt. Zgadza się?

- Tak, z grubsza rzecz biorąc - odrzekłam. - Zostawisz meble?

- Wedle życzenia. Zabranie mebli to żaden problem. Podejrzewam, że moje dzieci chętnie wzięłyby to i owo. Zastanów się.

- Świetnie. Ale zanim podpiszę cyrograf, chciałabym jeszcze przywieźć tu siostrę. Czy to możliwe?

Lowell popatrzył na mnie, potem na Brada, a następnie potrząsnął głową.

- Oto klucz - powiedział. - Tylko nie wyprawiaj żadnych hucznych imprez przed podpisaniem umowy, dobrze?

Musiałam się uśmiechnąć na jego łatwowność.

- A to pech - odrzekłam. - Taki mamy zwyczaj w New Jersey. - Mężczyźni popatrzyli na mnie ze zdumieniem. - Nie znacie się na żartach?

- Po prostu uznałem, że ktoś, kto nosi ubrania od Liz Claiborne, z całą pewnością zasługuje na zaufanie! Rozsądne kobiety noszą Liz.

- Czy to naprawdę Liz? Cholera! Jak to odgadłeś?

- Lowell pracuje w handlu ciuchami - wyjaśnił Brad. - Ma sokoli wzrok!

- Skąd mogłam wiedzieć? - odpowiedziałam. - Kupiłam te rzeczy u Loehmanna!

- Tym lepiej - powiedział do Brada Lowell. - Nie szasta pieniędzmi!

W drodze powrotnej siedziałam na fotelu pasażera, kręcąc wokół palca łańcuszek od klucza.

- Nie mogę w to uwierzyć! Ten domek to marzenie!

- Widziałem go jakiś czas temu. Oczywiście Lowell i Barbara mieszkają w głównym budynku, ale nie będą do niczego się wtrącać. Zależy im na kimś godnym zaufania, kto pod ich nieobecność pozbiera z ziemi gazety i w razie czego da znać, gdyby na przykład drzewo runęło na dach.

- Doskonale się składa. Mogę tu zamieszkać, przynajmniej na jakiś czas.

Ubóstwiam moją siostrę, lecz w tandemie wytwarzamy nadmiar kobiecej energii, rozumiesz?

- Wyobrażam sobie.

- Hej, dzięki, że mnie tu przywiozłeś. I dzięki za referencje... Ach! Zapomniałam wspomnieć o czynszu!

- Naprawdę nie lubisz rozmawiać o pieniądzach, co?

- A jeśli zażąda dwóch tysięcy?

- Przestań się zamartwiać, kobieto! Jeśli chcesz, mogę ponegocjować!

- W porządku! Proszę bardzo!

Wróciliśmy do restauracji, pełnej wczesnowieczornych gości. Porozmawiałam z obsługą na temat ślimaczego tempa roznoszenia chleba i wody. Moim zdaniem każdy kelner powinien powitać przybyłego, posadzić go i przyjąć zamówienie na napoje w ciągu pierwszych trzech minut od chwili pojawienia się klienta w lokalu. Nawet jeśli później wynikną jakieś komplikacje w kuchni, bywalcy przynajmniej docenią nasze starania. Poza tym marże na herbatę, napoje bezalkoholowe oraz sałatki były znacznie wyższe niż na cokolwiek innego. Ustalenie tego zabrało mi cały dzień! Właściwie to moja irytacja powolnością obsługi wynikała z północnych doświadczeń. Podobna opieszałość w stanie Nowy Jork bądź New Jersey oznaczałaby natychmiastowe wyeliminowanie z branży! Bądź miły i uwijaj się jak w ukropie - oto święte reguły gry.

- Linda? - usłyszałam głos Louise. - Telefon! Na drugiej linii! Twoja siostra.

- Co? Moja siostra? Czego chce?

- Rezerwację, ale kazała poprosić ciebie.

- Pewnie chce stół przy oknie - uznałam i podeszłam do telefonu obok wejścia. -

Halo? Mimi? Czy z dziewczynkami wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Są na plaży. Gdzież indziej mogłyby być? Posłuchaj! Mam randkę!

- Co takiego? - Mimi wybiera się na randkę? Z mężczyzną? Ostatni raz była na randce w czasach prezydentury George'a Busha seniora.

- Tak! Dasz wiarę? Znasz moją przyjaciółkę Maggie? Jej mąż Grant chce mnie poznać ze znajomym lekarzem. Umówiliśmy się na kolację, więc pomyślałam sobie...

- Na którą?

- Wpół do ósmej?

- Nie ma problemu. Stolik przy oknie na cztery osoby na godzinę wpół do ósmej. Zrobione! - Wstukałam notatkę w dziennik rezerwacji. Przypominało to rycie dłutem w kamieniu.

Restauracja miała program komputerowy z listą numerów telefonicznych stałych klientów, ich urodzin, rocznic, preferencji co do wyboru miejsca oraz, co nieprawdopodobne, dział z zapiskami typu „specjalne wymagania” (na przykład: przygłuchy, niepełnosprawny ruchowo, niedowidzący), alergię oraz - nie uwierzycie - „niskie napiwki”, co naturalnie figurowało pod hasłem *ppc*, jako włoskie *punta poco costosa*. Istniał również kod dla gości nadużywających alkoholu - *bt*, czyli *bevande troppo*, też po włosku, szczególnie wymagających - *dolore nell'asino* (zgadliście, wrzód na... *derriere*), a nawet malkontentów - *non satisfied mai*. Brad przejawiał lekką przesadę w swoim upodobaniu do makaronizmów. Zdaniem Louise żadna z kelnerek nie zagrzała miejsca na tyle długo, by opanować wszystkie tajemne kody. Do informacji o Mimi dopisałam: „lubi siedzieć przy oknie”.

Postanowiłam osobiście dopilnować, by dostała odpowiednie miejsce. W moim opisie jej życia towarzyskiego nie było ani odrobiny przesady, co również przemawiało za rychłym znalezieniem własnego domu. No bo co jeśli postanowi przyprowadzić kogoś do domu na małe tête-à-tête? Zastanie w salonie tabun krewniaczek we flanelowych piżamach, zajadających popcorn i po raz setny płaczących na „Niezapomnianym romansie”. Trudno o mniej romantyczną sytuację.

Mimo to perspektywa rozmowy o chatce napępiała mnie pewną obawą. Mimi na pewno wyrazi zachwyt tym, że będziemy mieszkać tak blisko. Jednakże z drugiej strony z rozpaczą przyjmie wieść, że wymkniemy się spod jej opiekuńczych skrzydeł. Uznałam, iż lepiej nie martwić się na zapas i powiedzieć jej o wszystkim, jak tylko się zobaczymy. Ucieszy się, jeśli zabiorę ją tam przed podpisaniem umowy.

Dostałam informację, że przyjechała. Poprawiłam szminkę, przeczesalam włosy i pomaszerowałam do jej stolika. Słońce znikalo za horyzontem, upal nieco zelzal. Po raz pierwszy tego dnia poczulam efekt dzialania klimatyzacji. Pomimo tloku w lokalu panowal ozywczy chlod. Na moj widok Mimi wstala i mocno mnie ucisnela.

- To wlasnie Linda, moja mlodsza siostra - oznajmila, trzymajac mnie za ramie.

Mezczyzni natychmiast podnieśli sie z miejsc. Byl to kolejny miły poludniowy zwyczaj.

- Witaj, jestem Grant, a to moja zona Maggie.

- Cześć! - odezwala sie Maggie ze swojej wnęki pod oknem. - Mimi tyle o tobie opowiadala, ze mam wrazenie, jakbym juz cie znala! Witaj w domu!

- Dzieki - odrzeklam. - Majac przed oczami ten widok, naprawde czuje sie jak w domu! Czy stolik wam odpowiada? - Hm, kim byl ten przystojny mezczyzna obok mojej siostry?

- Och! Jest cudowny! Linda, zapomniałam ci przedstawic mojego nowego znajomego!

- Cześć - powiedzial, wyciagajac reke. - Nazywam sie Jack Taylor. Mimi nie wspominala, ze ma taka piekna siostrę!

- Dziekuje - rzucilam, czujac, ze sie rumienie. - Siadajcie! Proszę! Wiecie co?

- Co? - zapytali chórem. Mezczyzni opadli z powrotem na krzesla.

- Znalazlam dom! Jest piekny! Mimi, jutro z samego rana jedziemy go obejrzeć!

- To wspaniale! Gdzie?

- O rzut beretem stąd! - Uswiadomilam sobie, ze to niezbyt eleganckie okrešlenie, totez dodalam: - Doslownie zabi skok!

Wszyscy popatrzyli na mnie z usmiechem, a ja ni stąd, ni zowąd poczulam sie nieswojo. Mimi miala dziwna mine, co dodatkowo mnie krepowalo. Czy to z powodu mojej bezposrednošci czy teź planowanej przeprowadzki?

- Na mnie juz czas. Mam nadzieje, ze wszystko bedzie wam smakowalo!

Od lat byla dla mnie opoka. Tylko ona umiala mnie wysluchac i pocieszyc podczas rozvodu, który byl najbardziej traumatycznym došwiadczeniem w moim zyciu. Fakt znalezienia przeze mnie domu w sasiedztwie i satysfakcjonujacej pracy byc moze pozwoli

jej uwierzyć, że już nie muszę na niej bezgranicznie polegać. Łatwo sprawić, aby ktoś uwierzył, że nie mamy dla niego czasu. W gruncie rzeczy zbyt łatwo.

Idzie na pierwszą randkę po Bóg wie jak długiej przerwie i przychodzi właśnie tutaj. Chciała, żebym zobaczyła ją z mężczyzną, w towarzystwie przyjaciół, zadowoloną i uśmiechniętą. Odruchowo wybrała moją restaurację: dzięki temu mogłam obejrzyć delikwenta, co ułatwi nam jutrzejszą rozmowę na jego temat. Bycie siostrą przychodziło jej bez najmniejszych trudności. Tak długo przebywałam z dala od niej, iż zatraciłam umiejętność odczytywania jej nastrojów.

Biorąc przykład z Mimi, spróbuję jej uświadomić, że wprowadzie się wyprowadzamy, ale nadal będziemy blisko. Ostatecznie istniała różnica pomiędzy rozmową międzymiastową a namacalną obecnością drugiego człowieka. Dotąd obie byłyśmy samotne, co oprócz złego stanu zdrowia najgorzej wpływa na ludzkie serce. Obiecałam sobie utwierdzać ją w przekonaniu o roli, jaką odgrywa w naszym życiu, oraz bez dąsów słuchać rad dotyczących mnie, Lindsey, a zwłaszcza Gracie.

Grunt to pokornie przyjąć każdy dzień, dodałam w duchu.

Rozdział siódmy

Nocny samolot do Georgii

Był czwartkowy wieczór; siedziałam jeszcze w restauracji, rozmawiając z barmanem Mike'em O'Malleyem, którego bardzo polubiłam. Dostał telefon od swojej dziewczyny, że jej ośmioletni syn złamał lewą rękę podczas gry w piłkę. Chciała, żeby Mike pojechał z nimi na pogotowie.

- O'Malley! - zawołałam. - Jedź! Nawet się nie zastanawiaj! Ja też umiem nalewać piwo i otwierać butelki! Louise i ja zajmiemy się barem, prawda, Louise?

- Ma się rozumieć - odparła Louise. - A potem wystawimy ci rachunek!

- Nie ma sprawy - rzucił. - Dzięki!

- Ty idź na dach, a ja posiedzę tutaj - zakomenderowała Louise.

Chwyciłam fartuch i pogrążona w rozmyślaniach weszłam na schody. Ostatni tydzień obfitował w wydarzenia. Przynajmniej przede wszystkim pokazałam Mimi i dziewczętom nowy dom. Mimi wyraziła zachwyt, lecz podobnie jak ja nie byłam gotowa na rozłąkę z Lindsey, tak i moja siostra nie była skłonna wypuścić nas spod swych opiekuńczych skrzydeł. Potrzeba matkowania stanowiła zarazem siłę, jak i słabość Mimi. Dziewczęta nigdy nie skarżyły się na jej troskliwość, może podśmiewały się z niej ukradkiem, ale żeby narzekać? Nigdy. Mimi należała do osób, które kładą na twoim łóżku dwie poduszki, jedną miękką, a drugą nieco twardszą. Na każdym stoliku nocnym stoi paczka chusteczek oraz butelka wody mineralnej ze szklanką. W każdej łazience znajdziesz pod umywalką zapasową rolkę papieru. Joan Crawford z pewnością doceniłaby wnętrze szaf, z ich miękkimi wieszakami i specjalnymi zawieszkami na spódnice. Mimi wprowadziła w nasze zagmatwane życie powiew ładu i elegancji, i to stosunkowo niewielkim kosztem.

Na stole zawsze stał słoik domowych konfitur, kusił placek własnej roboty, a porozmieszczane w najmniej spodziewanych miejscach bukieciki cieszyły oko. Kiedy Mimi prostowała plecy, człowiek odruchowo prostował swoje. W lot odgadywała i zaspokajała nasze potrzeby, zawsze gotowa służyć radą i wsparciem.

To lato było jedynym okresem w życiu moich córek, kiedy zasmakowały uroków życia w rodzinie. Miałam nadzieję, że więź pomiędzy mną a Mimi uświadomi im znaczenie i wartość posiadania siostry.

Dziewczęta były zachwycone chatką. Nawet Gracie wyraziła uznanie widokiem, jaki roztaczał się z okien. Lindsey porównała ją do domku na drzewie. Ku mojej radości Brad wynegocjował śmiesznie niski czynsz, pod warunkiem, że raz w tygodniu zajrzemy do domu właścicieli, żeby sprawdzić, czy nic się nie psuje ani nie przecieka. Bagatela! Byłam w siódmym niebie.

Pojawił się jednak pewien problem. Podpisanie umowy pozbawiło Gracie złudzeń co do powrotu do New Jersey. Urządzała jedną scenę za drugą, aż wreszcie doszłam do wniosku, że jeśli Gracie życzy sobie pomieszkać z ojcem, nie ma sprawy. Lecz ani jej się to śniło.

Zadzwoiłam do Patti Elliott, żeby zbadać grunt. Właściwie to zadzwoniłam do Freda, ale go nie zastałam, zmuszona więc byłam porozmawiać z jego ukochaną.

Rozmowa przebiegła z grubsza w ten sposób:

- Gracie nie chce mieszkać w Karolinie - oznajmiłam.

- Nie chce mieszkać w Karolinie czy też nie chce mieszkać z tobą?

Słyszałam, że coś źuje, co dodatkowo wyprowadziło mnie z równowagi.

- Jestem pewna, że chodzi o Karolinę - odparłam, siląc się na spokój.

- Hmm, cóż to może oznaczać? Chce mieszkać z nami? A co ty na to?

Co ja na to? A odkąd to obchodziło ją moje zdanie?

- Wszystko zależy od tego, co będzie dla niej najlepsze. Zostały jej dwa lata szkoły.

Ma w Jersey przyjaciół. Rozumiem, że nie chce ich zostawić, ale ostatecznie życie to pasmo rozczarowań, prawda?

- Jeszcze jak.

Przynajmniej co do jednego się zgadzałyśmy.

- Poza tym ma lekką treść przed spotkaniem z tutejszą młodzieżą. Przywykła do bardziej zróżnicowanego środowiska. Tutaj nie będzie mieć kolegów z Pakistanu, Kanady ani RPA, prawda? Dominują raczej biali Amerykanie o bardziej konserwatywnych poglądach.

- Niech wobec tego nauczy ich większej otwartości. Południowa bigoteria to już chyba przebrzmiałe zjawisko, prawda?

- W sumie tak, ale zależy, na kogo się trafi.

- Szczerze mówiąc, mnie wszystko jedno. Dwa lata jeszcze da się wytrzymać...

- Łatwo powiedzieć, Patti. Gracie potrafi dać w kość.

- Wiem coś o tym. Nie boję się jej, ale posłuchaj, jak sprawa wygląda. Mam sklep i pracuję sześć dni w tygodniu. Większość czasu spędzam poza domem. Mogę dać jej pokój i dopilnować, żeby była syta i ubrana, ale odgrywać macochę? Chyba żartujesz. Poza tym na jakiej podstawie sądzisz, że by mnie słuchała?

Miała rację. Gracie nie słuchała nikogo. No i Patti wyraźnie dawała do zrozumienia, że mogłaby zapewnić jedynie podstawowy nadzór. A Fred zapewne poprzestanie na tym, co robił do tej pory, czyli właściwie na niczym.

- To prawda. Jest nieznośna. - Westchnęłam ciężko, a Patti mi zawtórowała.

- Wychowywanie nastolatków to istne piekło, prawda? Słuchaj, po tym jak zeszłej zimy ona i ten chłopak wjechali samochodem do stawu, a potem wylądowali na komisariacie za posiadanie trawki, śmiało mogę powiedzieć, że nie podołam i bynajmniej nie próbuję się od niczego wykręcić...

- Wiem... - Na samo wspomnienie upiornego popołudnia na komisariacie poczułam przyspieszone tętno. Potworne doświadczenie.

- Co tu dużo mówić, córki potrzebują matek. Przynajmniej możesz liczyć na swoją siostrę. Jest w porządku, prawda?

- Istna matka Teresa - przyznałam. W głosie Patti zabrzmiało współczucie.

- Wiem, że nigdy nie byliśmy przyjaciółkami, Linda, ale powiem ci szczerze, co myślę. Moim zdaniem powrót Gracie miałby katastrofalne skutki. Zaczniemy od tego, że nie mieszkamy w Montclair, a zatem i tak nie mogłaby chodzić do swojej obecnej szkoły. Po drugie zaś rozstanie z dawnym towarzystwem na pewno wyjdzie jej na dobre. Przyjaciele nie mieli na nią najlepszego wpływu.

- Nie wszyscy - zaproponowałam w imieniu Gracie. - Tylko tamten chłopak.

Zapadło milczenie; w głębi serca czułam, że Patti jest ze mną szczerą. Cóż, droga naprzód nie zawsze bywa usłana różami. I właśnie tak się miała sytuacja z Gracie.

- Słuchaj, jeśli chcesz ją tu przysłać przed początkiem roku szkolnego, myślę, że to da się zorganizować. Wezmę trochę wolnego, może Fred też. Przyda ci się odrobina wytchnienia.

- Czasami mam już wszystkiego dość.

Obiecałam, że przemyślę tę propozycję, jednakże nie widziałam powodu, aby nagradzać złe zachowanie Gracie możliwością odwiedzenia przyjaciół. Poza tym miałam nadzieję, że nakłonię Freda, aby pomógł Lindsey na początku studiów. Gdyby wziął Gracie, pewnie przestałby płacić alimenty. Były jednak tak symboliczne, a Gracie zrobiła się tak trudna, że zapewne wolałby płacić mi podwójnie, byle tylko utrzymać ją z dala od siebie.

Snując podobne rozmyślenia, uwijałam się przy barze. Około ósmej, o zachodzie słońca, tłum przerzedził się nieco i ludzie stopniowo zaczęli opuszczać lokal. Padałam z nóg. Naraz obok mnie stanęła Louise. Widok jej nagle pobladłej twarzy zaalarmował mnie w mgnieniu oka.

- Co się stało? O'Malley jeszcze nie wrócił?

- Nie. Właśnie odebrałam wiadomość dla Brada. Nie wiesz przypadkiem, gdzie on się podziewa? Ma wyłączoną komórkę, powinien już tu być.

- Louise! Co się stało?

- Chodzi o Loretę... jego żonę. Loretta nie żyje. O mój Boże, Linda, musimy znaleźć Brada. Dzwonił jej ojciec, cały zapłakany...

- Jezu Chryste! Jak to możliwe?

- Wpadła pod samochód na Peachtree Street! Doznała rozległych urazów głowy... to okropne. O Boże! To biedne dziecko! Alex!

- Matko święta!

Przeszło mi przez myśl, że może Brad będzie musiał powiedzieć synowi... a może ten już wiedział? Na pewno. Na pewno wiedział. Brad będzie" teraz musiał wziąć go do siebie. Pojedzie do Atlanty, przebrnie przez pogrzeb, dopilnuje spraw spadkowych i ściągnie Alexa do Mount Pleasant. Biedny Brad! Boże miłosierny! A co będzie z Theo, ojcem Loretty? Podobno świata poza nią nie widział. Był wdowcem, nie miał więcej

dzieci. Jeśli Brad zabierze Alexa, Theo zostanie sam jak palec. No cóż. I tak jest draniem, jakiego świat nie widział.

Louise musiała myśleć o tym samym. Obie zdenerwowałyśmy się nie na żarty.

- Zadzwoń do Roberta - poleciłam. - On będzie wiedział, gdzie szukać Brada.

Louise poszła prosto do telefonu i wykreciła numer. Bezskutecznie.

- Ma wyłączoną sekretarkę? - zapytałam.

- No coś ty. Co ty sobie wyobrażasz? Przecież nie mogę mu nagrać takiej wiadomości!

- O Boże. Masz rację. A komórka?

- Nie mam pojęcia, dlaczego on nigdy nie odbiera telefonu! Chodźmy! Mam w torebce numer jego komórki.

Rzuciłam ścierkę Lisie, drugiej barmance, i pobiegłam za Louise.

- Co mam robić? - krzyknęła za mną Lisa.

- Jak zobaczysz Brada, każ mu natychmiast do nas przyjść! - zawołałam przez ramię.

Louise szperała w torebce w poszukiwaniu numeru i okularów. W chwili kiedy je znalazła, na progu stanął Brad.

- Dobry wieczór paniom - powitał nas pogodnie. Nagle dostrzegł nasze miny. - O co chodzi?

- Proszę się przygotować, panie Brad, mam dla pana złe wieści - powiedziała Louise, kładąc mu rękę na ramieniu. - Loretta wpadła pod samochód. Nie żyje.

- Co? Loretta nie żyje? Jak to możliwe?

- Louise, podaj mi numer Roberta - poprosiłam. - Ja do niego zadzwonię.

- Pan Theo czeka na pana telefon. Jest w szpitalu Grady Memorial. Proszę, oto numer jego komórki.

Brad opadł na mój fotel i wystukał numer do Atlanty. Tymczasem ja wybrałam numer Roberta.

- Robert Rosen przy telefonie.

- Robert? Tu Linda. Linda Breland z restauracji.

- Jasne! Co tam? Właśnie jem kolację z moją uroczą żoną Susan i grupą przyjaciół...
czy coś się stało?

- Tak. Loretta zginęła w wypadku. Brad właśnie otrzymał wiadomość. Pomyślałam, że do ciebie zadzwonię.

- Już jadę. Powiedz mu, że zaraz będę, dobrze? Mogę zamienić z nim słówko?

- Rozmawia przez telefon z ojcem Loretty...

- W porządku, zadzwonię za pięć minut. Czekaj! Będę u was za dziesięć! Boże jedyny! To straszne! Jak on to znosi?

- Dobrze, ale przeżył szok...

- Nic dziwnego! Stara Ksantypa... No, no. Bramy piekieł stanęły otworem! Jadę!

Jeżeli reakcja Brada stanowiła odzwierciedlenie hysterii panującej w Atlancie, konieczność jego wyjazdu nie budziła wątpliwości. Może Louise i ja pomożemy mu się spakować. Nie, lepiej zostawić to Robertowi. Uznałam, że będzie najlepiej, jeśli przyniosę mu drinka.

Brad krztusił się i był wyraźnie bliski łez.

- Robert już jedzie - oznajmiłam, po czym wyslizgnęłam się z biura, zachodząc w głowę, czy lepiej przynieść kawę czy szkocką.

O'Malley stał za barem, obsługując gości. Zanurkowałam pod ladą i nachyliłam się do jego ucha.

- Nagły wypadek - szepnęłam.

- Co się stało?

- Żona Brada zginęła w Atlancie. Musimy go dziś zapakować do samolotu.

Rozmawia teraz przez telefon z teściem.

- Nabierasz mnie?

- Nie, nie nabieram cię, O'Malley. Daj mi szkocką dla Brada, dobrze? A najlepiej kilka miniaterek i dwie szklanki. Zaraz przyjedzie Robert.

- Jak to się stało?

- Potrącona przez samochód. Śmiertelny uraz głowy.

- O Jezu! Co za głupia śmierć. Cóż, pewnie tak miało być, nie?

- Na to wygląda - odpowiedziałam. - Żal mi go, wiesz? Ma syna i w ogóle...

O'Malley sięgnął pod ladę i wyjął kilka miniaterek whisky Johnny Walker Black Label. Ustawił je na tacy obok kubelka z lodem i szklanek.

- Ja mu zaniosę - powiedział. - Zastąp mnie na chwilę, dobrze?

- Jasne.

W takich chwilach ważne jest, aby nic nikomu nie narzucać. Niech O'Malley zanieś whisky Bradowi. Niech będzie jednym z pierwszych, którzy wyrażą współczucie. Niech każdy robi i mówi to, co chce. Najważniejsze, żeby spakować Brada i odtransportować go na lotnisko. Nie miałam pojęcia, jak to zorganizować.

O'Malley wrócił, nim zdążyłam podać klientom dwa kieliszki białego wina i budweisera.

- Jest wstrząśnięty - oznajmił, unosząc ladę, żeby mogła wyjść.

- Ja też! To straszne! Co za tragedia!

Ledwie zdążyłam dotrzeć do biura, wpadł Robert. Musiał gnać ze sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Od razu podszedł do Brada i mocno go uściskał.

- O Boże, Brad! - powiedział. - Jak mogę ci pomóc?

- Muszę tam dojechać - odrzekł Brad. - Jak o tej porze złapię samolot?

- Ja się tym zajmę - zadeklarował Robert. - Hm, czy ja też mógłbym się napić? -

Nalałam mu drinka, przysłuchując się płynącemu z jego ust potokowi słów. - Czy ktoś dzwonił do Delty? Zróbcie to. Oni latają bez przerwy. Zadzwońcie też do US Air i Continental. Do diabła! Dzwoncie do wszystkich! Czy znam kogoś, kto ma samolot? Zresztą, co za różnica? Zadzwonię na prywatny terminal i sprawdzę, czy kogoś tam nie ma! Mógłbyś się z kimś zabrać... spróbujmy!

- Gdzie Susan? - spytał Brad, mając na myśli żonę Roberta.

- Dałam jej klucz do ciebie - odpowiedział Robert. - Pakuje cię na pięć dni. Nic się nie martw. Trudno o lepiej zorganizowaną osobę niż moja żona. Jeśli o czymś zapomni, to ci dowiozę. Susan i ja polecimy jutro.

Brad z trudem panował nad głosem.

- Dzięki, Robert.

Louise z posępną miną odłożyła słuchawkę.

- Delta i US Air do jutra nie mają żadnych lotów. Powiedziałam im, że to sprawa życia lub śmierci, ale mają to w nosie!

Robert zatelefonował do Mercury Air.

- Tak. Bradford Jackson. Jego żona zginęła dzisiaj w wypadku i musi... tak, oczywiście. Nie ma problemu. - Zasłonił ręką słuchawkę. - Kazali czekać. Znam tego gościa. Rozwodziłem go dwa lata temu. Jak Theo?

- Beznadziejnie - odrzekł Brad.

- A Alex?

- Też.

- Tak! Dobrze! Dobrze! Dzięki. Tak. Będziemy o wpół do jedenastej! - Robert rozłączył się i oznajmił: - W porządku. Masz miejsce. Jakiś facet z CNN leci dzisiaj samolotem telewizji. Bez problemu może cię zabrać. Jedźmy do ciebie.

- Zadzwoń jutro, dobrze? Jeśli możemy jakoś pomóc... - zawiesiłam głos.

Louise zarzuciła Bradowi ręce na szyję.

- Posłuchaj Louise, synu. Jedź tam, zrób to, co masz zrobić, i przywieź tu chłopaka.

Odprowadziłyśmy ich na parking. Brad był doszczętnie wytracony z równowagi.

Louise i ja zawróciłyśmy do restauracji. Przystanęłyśmy na chwilę, aby popatrzeć na nocne niebo.

- Wygląda tak spokojnie - zauważyła Louise.

- Cisza przed burzą - odparłam.

- Człowiek myśli, że może na czymś polegać, a tu proszę!

- Co masz na myśli? Że Brad wierzył, że Loretta będzie żyć?

- Chociażby. To dotyczy całej masy spraw. Moja matka mawiała, że diabeł puka do ciebie wtedy, kiedy myślisz, że go nie zaprosiłeś. To prawda. Zawsze to powtarzała.

- Ostrożna, co?

- Jeszcze jak. Ale tak właśnie jest. Kiedy myślisz, że wszystko ci się ładnie układa...

- Los psuje szyki?

Pomimo posepnego nastroju Louise parsknęła śmiechem.

- Właśnie! Co za noc!

Rozdział ósmy

Linda i Louise

Rano Louise i ja otworzyliśmy restaurację, do której dotarliśmy niemal jednocześnie. Louise poszła za mną do biura i rzuciła torebkę na krzesło.

- Całą noc nie zmrzyłam oka - oznajmiła. - Myśli nie dawały mi spokoju... musimy się dowiedzieć, kiedy będzie pogrzeb i gdzie wysłać kwiaty! Zadzwoń do pana Roberta.

- Przyniosę kawę - zaproponowałam.

Louise wykreśliła numer Roberta: tak jak przewidziała, miał już wszystkie informacje. Oczywiście chcieliśmy również poznać szczegóły wypadku Loretty. I choć trudno w to uwierzyć, nasza prymitywna natura domagała się tych najbardziej drastycznych. Nie doznałyśmy rozczarowania. Robert zdał nam mrozącą krew w żyłach relację.

Wygląda na to, że Loretta szła na spotkanie z Archiem, draniem, który odebrał ją Bradowi. Jak wiadomo, drań i cudzołożnica niedawno się rozstali i prawdopodobnie chodziło o pojednanie. Kto wie? Lało jak z cebra; umówili się w domu Margaret Mitchell na odczyt Anne Rivers Siddons. Loretta przechodziła przez ulicę, nie patrząc na boki. Taksówka wjechała na pasy na czerwonym świetle i z impetem uderzyła w biedaczkę, którą aż wyrzuciło w powietrze. Loretta upadła na głowę, miażdżąc sobie kark. Stało się to tuż na wprost wielkiej szyby w holu muzeum Margaret Mitchell, gdzie ludzie popijali herbatkę w oczekiwaniu na przybycie pani Siddons.

Loretta zginęła na miejscu. Najbardziej dramatyczna chwila jej zmarnowanego życia przeszła praktycznie niezauważona.

Najbardziej przerażający był opis rozlicznych urazów jej twarzy. Doznała wielu ran oraz pęknięć, straciła lewe oko, w związku z czym otwarcie trumny nie wchodziło w rachubę. I tak nikt nie doceni kolagenowych implantów oraz przeprowadzonego ostatnio liftingu powiek.

Naturalnie Brad był w szoku, jego syn w hysterii, teść zaś znajdował się w stanie bliskim katatonii. Uparł się, żeby zobaczyć ciało, i w mgnieniu oka postarzał się o dziesięć lat. Tak przynajmniej twierdził Robert.

Louise i ja zamówiliśmy kwiaty; miano je dostarczyć do domu pogrzebowego Pattersona. Następnie prastarym zwyczajem kobiet zaczęłyśmy plotkować.

- Oto do czego prowadzi życie w grzechu - skomentowała moja rozmówczyni.

- Cicho, Louise! O zmarłych trzeba mówić dobrze albo wcale!

Wymieniłyśmy spojrzenia i uśmiechy. Żadna z nas nie wyglądała na skruszoną.

- Biedny pan Brad. Pomyśl tylko! Żeni się z Loretą, córką bogacza, i ani ona, ani jej ojciec nie mają za grosz klasy! Powinnaś posłuchać, co mówił o nich pan Robert!

- Opowiadaj, sestro! Siedzę tu do piątej! Chcesz pączka? Ktoś kupił całe pudło. - Spojrzałam na dwa lukrowane cuda, ułożone przede mną na papierowych serwetkach. Były jeszcze ciepłe.

Louise wydeła usta i zerknęła na mnie z ukosa.

- Tylko z uwagi na okazję. Zwykle nie jadam takich rzeczy! - Wzięła pączka i mówiła dalej. - Najpierw musisz poznać dzieje pana Bradforda Jacksona. To miły młodzieniec z południa Georgii. Jego ojciec był rolnikiem, matka nauczycielką. Zacni ludzie.

Potrząsnęłam głową.

- Zwyczajni ludzie. - Włączyłam komputer; jego szum wypełnił pomieszczenie jak muzyka, przypominając, że w którymś momencie będziemy musiały wrócić do pracy.

- Tak jest, zwyczajni. Tak czy inaczej, pan Brad poznaje Loretę zaraz po szkole. Skończył zarządzanie, jest pierwszym magistrem w rodzinie.

- Rodzice musieli być z niego bardzo dumni.

- Ja myślę. Przenosi się do Atlanty i dostaje posadę u starego Theo, który szuka młodego człowieka do pomocy przy prowadzeniu interesu. Pomagali małym firmom znaleźć nabywców, tak aby wszyscy mogli się na tym wzbogacić.

- Brzmi nieźle! - Przystąpiłam do otwierania poczty, odkładając listy do przeczytania na później.

- O ile mi wiadomo, Theo marzył, aby Loretta poślubiła tego całego Archiego, ale gdy zobaczyła pana Brada, uparła się, że wyjdzie tylko za niego. Stary nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy, ale co miał robić, skoro jedyna córka twierdziła, że jest zakochana?

- Czy Brad był zakochany? Jak myślisz?

- Ha! Widzisz, dlatego lubię z tobą rozmawiać! Chwytasz w lot!

- Cóż, miewam lepsze i gorsze dni - odrzekłam, odwzajemniając uśmiech. - Ale tak między nami, czy nasz Brad po prostu trochę nie leciał na posag?

- Hmm, pan Robert woli nazywać to inaczej. Tłumaczy, że pan Brad był zaślepiiony. Zaślepiiony blichтром świata, do którego udało się mu trafić...

- Nie wszystko złoto, co się świeci, prawda?

- No proszę! Znów trafiłaś w dziesiątkę! Pan Robert mówi też, że jedynym powodem, dla którego Loretta wyszła za pana Brada, była chęć udowodnienia ojcu, iż nie zmusi jej do małżeństwa z Archiem. A tymczasem Archie ani myślał zrezygnować.

- Ponieważ nie mógł znieść, że go odtrąciła?

- Właśnie! Matka Loretty nie żyła od lat, stary mieszkał w domu w Buckhead, ale gdy tylko córka zaszła w ciążę, Theo oświadczył, że przeprowadza się do śródmieścia, aby być bliżej pracy. I nie minęło wiele czasu, jak Brad wprowadził się do domu teścia.

- Wygląda na to, że Theo postąpił wspaniałomyślnie, czyż nie?

- Nie! Dobrze to sobie wymyślili, Linda!

- Jednym słowem Brad miał uwierzyć, że chwycił Pana Boga za nogi?

- Skarbie, jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie, to pan Brad miał po prostu zastąpić Loretcie ojca! Nikt nie był w nikim zakochany! Loretta była oczkiem w głowie tatusia, a Theo po śmierci żony ani myślał o ponownym ożenku.

- To jakieś chore, Louise.

- Ja myślę! Mnie to mówisz? Potem pan Brad doprowadza do dużej transakcji i firma zarabia mnóstwo pieniędzy.

- I co?

- Zamiast odpalić zięciowi prowizję albo dać mu podwyżkę, Theo kupuje Loretcie brylantową bransoletkę lub kolczyki!

- Co?

- A jak! Pan Brad musi prowadzić firmę, podczas gdy szanowny teść zbija baki w swoim klubie dla białych bogaczy, którzy piją do lunchu bourbona...

- Albo sączą go całe popołudnie.

- Właśnie! Pan Brad haruje jak wół, opiekunka niańczy Alexa, a Loretta śmiga po bankietach, szczerząc zęby do obiektywów, i daje się podrywać Archiemu.

- Jezu, Louise! Historia jak z opery mydlanej!

- Czeka! Jeszcze nie skończyłam! Przynies mi kawy! Przed nami najlepsza część!

- Nie ruszaj się stąd! - Popędziłam do baru, dołam jej kawy i przybiegłam z powrotem.

Louise zachichotała.

- O Boże! Ludzie nie mają za grosz oleju w głowie!

- Święte słowa - zauważyłam, opadając na fotel. - Pospiesz się! Robota czeka!

- Dobrze, już dobrze! - Upiła porządny łyk i popatrzyła na mnie figlarnie. -

Używając określenia pana Roberta, pan Brad zrobił z siebie regularnego wyrobnika! Od świtu do nocy w biurze, wiecznie nieobecny myślami... wiesz, o czym mówię?

- Tak.

- No i któregoś dnia jego sekretarka, niejaka Amy...

- Amy! Ach tak! Słyszałam o niej! Małe ladaco.

- Jeszcze się tu pojawi, wspomnisz moje słowa. Teraz, kiedy Loretta poszła do nieba... chociaż może wcale tam nie poszła.

- Słyszałam o tym incydencie. Brad zabrał ją na lunch do jakiejś superrestauracji i miał pecha napatoczyć się na teścia, tak?

- A jakże! Stary dureń pobiegł prosto do Loretty i powiedział, że mąż ją zdradza!

- Niemożliwe! - Dobrze o tym wiedziałam, ale chciałam usłyszeć wersję Louise.

- A jednak! Tak właśnie zrobił. Na co Loretta, która nigdy rozumem nie grzeszyła, idzie do pana Brada i przyznaje się do romansu z Archiem.

- Ale przecież Brad nie spał ze swoją sekretarką!

- To jasne, ale ta głupia Loretta uwierzyła ojcu i opowiedziała mężowi o własnej zdradzie!

- Co za kretynka!

- To jeszcze nie wszystko... Archie jest żonaty. I wiesz co?

- Aż boję się pytać.

- Jego żona przechodzi chemioterapię po operacji na raka piersi!

- Przyjemniaczek, bez dwóch zdań.

- Ha! Kompletne dno! I tak: Loretta idzie z płaczem do tatusia, Theo sprzedaje interes ojcu Archiego, czyli w zasadzie oddaje firmę w ręce juniora, a pan Brad odchodzi, ponieważ nie będzie pracował dla faceta, który obskoczył z jego żoną wszystkie hotele w Atlancie. Nie dostał złamanego szeląga! Nie wziął nawet samochodu!

- Skąd o tym wszystkim wiesz?

- Wiem, ponieważ pracowałam wtedy u Rosenów, a pan Brad codziennie wydzwaniał do pana Roberta. Wreszcie pan Robert mówi mu: „Bierz tyłek w troki i przyjeżdżaj do nas!”. I pan Brad go posłuchał.

- Fiu! To ci dopiero afera, Louise! Rany! A teraz Brad jedzie na pogrzeb ekszony i znów będzie musiał zobaczyć Theo, a może nawet Archiego!

- Nie.

Najwidoczniej Louise chowała w zanadrzu jeszcze jedną rewelację.

- Mów, siostrze.

- Owszem, zobaczy Theo, Archiego pewnie też, ale Loretta nie była eks. Nie mieli jeszcze rozwodu!

- A niech mnie!

- Dosyć tego dobrego, muszę zabierać się do roboty! Trzeba przypilnować, żeby Doo-wayne nie zrujnował nam reputacji jakimś nowym wymysłem!

- Może tym razem koktajl z ośmiornicy?

- Nie podsuwaj mu żadnych pomysłów! - Louise wstała i rzuciła na odchodne: - Piśnij choćby słówko, a będziesz miała ze mną do czynienia!

- Będę milczeć jak zaklęta.

- No!

Jeszcze długo po wyjściu Louise nie mogłam przestać myśleć o Bradzie. Czy naprawdę ożenił się z Loretą dla pieniędzy, a ona poślubiła go na złość ojcu? Kim dla niej

był? Bankiem spermy? A dla Theo? Koniem pociągowym? W życiu nie powiem już nic złego na Freda.

Około jedenastej zjawił się O'Malley i wetknął głowę przez drzwi.

- Przygotowałem zamówienia na alkohol. Chcesz rzucić okiem?

- Jak to zwykle załatwiacie?

- Brad zamawia, ale mogę go zastąpić. Żaden problem.

- Dobrze, tak właśnie zrobimy. Przynies mi kopię zamówienia, a potem kopię faktury. Zapłacę i zaksięguję.

- Raju, nigdy nie było tu takiego porządku!

- Jak się miewa syn twojej przyjaciółki?

- W porządku. Miałaś wiadomości od Brada?

- Louise i ja wysłałyśmy kwiaty od nas wszystkich. Pogrzeb jutro. Brad pewnie wróci dopiero w przyszłym tygodniu. Musi zająć się synem i przypilnować spraw spadkowych.

- Nie pomyślałem o jego synu. Pewnie przywiezie go tutaj, prawda? Będzie teraz ojcem na cały etat.

Rozdzwonił się telefon. Najpierw zachorowała kelnerka. Potem pomywaczka. W porze zmiany obiadowej brakowało już trzech osób. Zadzwoiłam do Mimi.

- Hej! Mam nóż na gardle. Ludzie popadali jak muchy i pilnie potrzebuję kelnerek oraz pomywaczek. Gdzie dziewczęta?

- Śpią. Czekaj! Jest Gracie! Gracie, chodź tutaj, skarbie. Mama chce zamienić z tobą słówko.

Zdrajczyni! Sama nie mogła tego załatwić? Rzuca mnie prosto w paszczę lwa!
Wielkie dzięki!

- Co tam? Dopiero wstałam.

Był to grobowy głos mojej kochanej córki.

- Gracie! Potrzebuję twojej pomocy!

- Słucham.

- Brakuje mi pomywaczy i kelnerek! Ty i Lindsey musicie tu przyjechać, więc zaraz się ubierajcie, myjcie...

- Wykluczone! Wykluczone!
- Chcesz jeść? Cisza.
- Chcesz wydawać pieniądze? Cisza.
- Mam plany, mam. Nie możesz tak po prostu dzwonić i psuć mi całego dnia!
- Owszem, mogę. Zresztą, wcale ci go nie zepsuję. Masz okazję pomóc matce, a

wiem, że o niczym innym nie marzysz!

- No dobrze.

Mimi przejęła słuchawkę.

- I co? - zapytała.

- Wyciągnij Lindsey z łóżka, nakarm obie, umyj i przywieź tu jak najszybciej, a będę ci dozgonnie wdzięczna.

- Nie ma problemu. Zrobione!

- Jeśli Gracie włoży szorty, przypilnuj, żeby jej pupa nie wystawała, dobrze?

- Żartujesz? Nawet sobie nie zwracaj tym głowy!

Kiedy pół godziny później wysiadły z samochodu, wszystkie tryskały dobrym humorem i chęcią do pracy, nawet Gracie. Mimi musiała im palnąć po drodze niezłą mówkę.

- Ile? - spytała Gracie, rzeczowo jak to ona.

- To zależy - odparłam. - Za zmywanie obowiązuje stawka minimalna. Kelnerka dostaje minimalną plus napiwki. Za sprzątanie ze stołów minimum plus napiwki od kelnerów.

- Ja mogę być kelnerką - zaofiarowała się Mimi. - Zawsze chciałam spróbować! Och! Jestem taka podekscytowana! Nie mogę się doczekać!

- To ci szybko minie - podniosłam ją na duchu. - A wy?

- Co jest najłatwiejsze? - zapytała Gracie.

- Sprzątanie.

- No to sprzątam.

- Lindsey?

- Ja chcę wprowadzać gości.

- Mamy już hostesse.

- No dobrze, wobec tego... chyba pozostaje mi zmywanie naczyń. Pomywaczki też potrzebujecie, prawda?

- Niech cię Bóg błogosławi! - wykrzyknęła Mimi.

- Taaa, jasne! - burknęła swym najbardziej nowojorskim tonem Gracie, po czym momentalnie przeskoczyła na południową gwara. - Ma taki tyci mózdzek, że gdyby go wsadzić do główki od szpilki, turlałby się jak piłeczka, niech ją Bóg błogosławi!

Nawet ja musiałam się roześmiać. Południowa gwara w wykonaniu Gracie to doprawdy niecodzienne zjawisko. Przynajmniej humor jej dopisywał, a Bóg jeden wie, jak bardzo będzie nam to potrzebne w najbliższych dniach.

Nieskazitelna Mimi kelnerką? Chudziutka Gracie sprzątająca ze stołów? Uczona Lindsey z furą naczyń? Sięgnęłam po interkom i wywołałam Louise. Żadna z rekrutek nie przyjmowała moich rad, ale nie odważą się zadrzeć z Louise!



Rozdział dziewiąty

Życie toczy się dalej

Louise i ja czekałyśmy na przyjazd Brada. Zadzwoił do nas ze swojego apartamentu na Simmons Pointe, gdzie wysadził Lupe, kostarykańską gosposię Loretty. Przywiezienie Lupe z Atlanty było decyzją rozsądną z wielu powodów. Nagła śmierć matki, i to w tak tragicznych okolicznościach, była dla Alexa dostatecznym ciosem. Utrata któregoś z rodziców to zawsze nieszczęście, jednakże dla piętnastolatka ma ono szczególnie dotkliwy wymiar. Poza tym Brad i Alex znacznie różnili się między sobą w kwestii uczuć wobec Loretty. Chłopiec z całą pewnością kochał matkę, a co do emocji Brada, cóż, zapewne oscyływały one pomiędzy żalem oraz nienawiścią podszytą silnym poczuciem winy.

Louise i ja uznałyśmy zgodnie, że przyjazd Lupe to słuszne rozwiązanie, nawet zanim ją zobaczyłyśmy. Chciałyśmy ją polubić ze względu na Brada. Alex miał za sobą najgorszy tydzień w swoim życiu, Lupe zaś reprezentowała normalność. Na pewno pomoże Bradowi ułatwić chłopcu odnalezienie się w nowej rzeczywistości. Jeśli zaś postanowi zostać tu na dobre, będzie utrzymywać dom w czystości, odwozić Alexa do szkoły, a przy okazji go przypilnuje. Byłam trochę zazdrosna, gdyż nigdy nie miałam gosposi, miałam jednak Mimi, która bystrym okiem śledziła wszystkie poczynania Gracie.

Rozmawiałyśmy o tym przy filiżance kawy pitej w towarzystwie O'Malleya.

- Ostatnie dni musiały być dla Brada istnym piekłem - zauważyłam.

- Miejmy nadzieję, że chłopiec jakoś to znosi - dodała Louise. - Ja straciłam matkę w wieku szesnastu lat i od tamtej pory nie było dnia, żebym za nią nie tęskniła.

- No właśnie - przytaknęłam. - Tutaj rzecz jest trochę skomplikowana, gdyż Brad właściwie nie kochał Loretty. Może mu być trudno zrozumieć syna, prawda?

- Nigdy nie wiadomo, co siedzi w mężczyźnie - zauważył O'Malley. - Czasem postępuje na przekór temu, co myśli.

- Święta racja! - zawołała Louise. - Ale przynajmniej możemy powiedzieć, że pod jego nieobecność stanęliśmy na wysokości zadania.

- Oby zrozumiał, że jest ci winien nerkę, a mnie pół wątroby! - dodałam.

- Ta. Akurat. To mężczyzna, skarbie! O'Malley odchrząknął.

- Dopiero co pochował żonę, moje panie. Okażcie mu serce.

- Przepraszam, O'Malley, masz rację - odpowiedziałam. - Ale musisz przyznać, że mojej siostrze należy się tytuł najdziwniejszej kelnerki roku! Kto by podejrzewał, że umie obliczać w myślach zawartość tłuszczu i węglowodanów?

- I do tego zaczniesz instruować gości? - dorzucił O'Malley.

- Cóż, przynajmniej była uprzejma - zauważyła Louise. - Ja natomiast byłam przekonana, że Gracie wytłucze wszystkie naczynia, ale to chuchra jest zaskakująco silne! Ty lepiej nic nie gadaj na swoją rodzinę! Przyjdą dzisiaj do pracy?

- Tylko Gracie. Mimi zabiera Lindsey do fryzjera! Chce, żeby miała porządną fryzurę na początek roku. Ma to jej zapewnić znalezienie chłopaka.

- Lindsey nie będzie mieć z tym żadnych kłopotów! Moim zdaniem może mieć, kogo tylko zechce.

- Cóż, jest bystra, a to odstrasza wielu potencjalnych kandydatów. Najzabawniejsze jednak, że być może miała już chłopaka, a ja nic o tym nie wiem. Jest bardzo skryta.

- I dobrze! - wtrącił O'Malley.

- Gracie mało się nie pochorowała z zazdrości, ale i ona może liczyć na życzliwość ciotki. Byle tylko dobrze się sprawowała. Aha, mówi, że ma dosyć zbierania naczyń. Chce być kelnerką. Co wy na to? Czy nie jest za młoda, Louise?

- Owszem, ale tupetu jej nie brakuje - skwitowała Louise.

- Nawet nie macie pojęcia - dodał O'Malley. - Wiedziecie, co mi powiedziała w sobotni wieczór?

- Aż boję się pytać - jęknęłam.

- Tłok, że szpilki nie wciśniesz, ledwie nadałam z nalewaniem. Około wpół do dziewiątej wziąłem do pomocy jedną z kelnerek, jak jej tam... Ericę? Te, która chodzi do Winthrop College?

- Tak, tak, wiemy. Ta z długimi, napuszonymi włosami, jak żywcem wyjęta z portretu renesansowego.

- Właśnie. Ona mi pomaga...

- Jest głupia jak but - skomentowała Louise.

- To prawda, ale restauracja zaczynała pustoszeć, a w barze mieliśmy urwanie głowy. Przychodzi Gracie z koszem brudnych naczyń i wrzeszczy: „Hej! O'Malley! Chodź no tu!”. Wołała mnie jak jakiegoś kolegę.

- Może uważa cię za kolegę - powiedziała Louise.

- No cóż - odparł O'Malley. - Mógłbym być jej ojcem! „Co tam, mała?” - zapytałem, a ona na to: „Słuchaj, ja dostaję dolara od kelnerów za zbieranie naczyń i targanie ich do kuchni. Ty dostajesz dolara za nalewanie piwa. Daj znać, gdybyś potrzebował pomocy. Mogę rzucić to sprzątanie w cholere”. No to ja jej mówię: „Gdybyś ty nalewała alkohol, skarbie, stracilibyśmy licencję. Jesteś niepełnoletnia”. Ona jest niemożliwa.

- To prawda! - odpowiedziałam. - Mówię wam, że któregoś dnia przez nią osiwieję.

- Urocze dziecko - dodała Louise. - Też miałam taką córkę. Teraz jest mężatką z trójką dzieci! Myślałam, że nigdy nie doczekam tego dnia.

- Jak Gracie zaczniesz rodzić, ja wyemigruję do Kanady! Mężatka? Ciekawe, kto...

- Miałby odwagę stawić jej czoło? - roześmiał się O'Malley.

- Właśnie - odrzekłam, po czym obejrzawszy się przez ramię, zobaczyłam Gracie, która przysłuchiwała się rozmowie, kipiąc ze złości.

- Dzięki, mamó - burknęła i zawróciła w stronę kuchni.

- O do diaska! - zawołałam. - Dzięki, O'Malley! Fajnie, że mnie uprzedziłeś!

- Hej! Przecież wie, że żartowałaś.

- Akurat! Ona nie zna się na żartach!

- Pójdę do niej i powiem, że może być kelnerką. To powinno poprawić jej humor. -

Louise wstała i puściwszy do mnie oko, ruszyła za Gracie.

- Gdzie byłby ten świat bez Louise Waring? - zapytałam.

- W rynsztoku - odpowiedział O'Malley.

Minęła jedenasta i do restauracji poczęli napływać amatorzy wczesnego lunchu. Connie, dyżurna hostessa, posadziła pierwszych gości i wręczyła im karty dań. Louise pchnęła wahadłowe drzwi i wyszła z kuchni, lekko popychając przed sobą Gracie.

- Idź i zbierz zamówienia - poleciała. - Pamiętaj, że zupą dnia jest pomidorowa z bazylią, a danie główne z makaronu to włosy anielskie z krewetkami...

- Wiem, wiem. Z kremowym sosem z pomidorów. Kanapka dnia to smażony... groper, tak?

- Tak - potwierdziła Louise. - Z sałatką.

Gracie rzuciła mi po drodze mordercze spojrzenie, ale widziałam, że już jej przeszło.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam wchodzącego Brada. Odruchowo podeszłam bliżej i mocno go uściskałam. Biedaczysko.

- W porządku? - zapytałam. - Witaj w domu.

- Dzięki. Tak, w porządku.

W chwili gdy Gracie przyjęła zamówienie i skierowała się w naszą stronę, w drzwiach stanął Alex ze starym basseem na skórzanej smyczy. Alex był piękny. Wysoki, czarnowłosy, z niebieskimi oczami. Wyglądał jak wycięty z katalogu Abercrombie & Fitch. Gracie po prostu oniemiała. Kiedy chwyciłam ją za ramię, aby dokonać prezentacji, dała się poprowadzić potulnie jak owieczka.

- Brad? To moja córka Gracie. Będzie nam pomagać, dopóki trójka naszych kelnerów i pomywacz nie wróca do pracy.

- Witaj, Gracie. A to mój syn, Alex. Będzie ze mną mieszkał, pewnie pójdziecie razem do szkoły. I Bogart, nasz najlepszy przyjaciel - dodał Brad. - Co się stało? Jakiś bunt?

Alex i Gracie nachylili się nad psem, wymieniając kilka zdań. Na szczęście Gracie zachowała dość przytomności umysłu, aby złożyć mu kondolencje z powodu śmierci mamy.

- Żaden bunt... w Charles Town Landing odbywał się trzydniowy festiwal rockowy, który splótł się z rzekomym wirusem żołądka. Dziś spodziewamy się powrotu całej ekipy.

Tymczasem mogliśmy liczyć na pomoc moich córek i siostry. Żaden problem. Cieszymy się, że wróciłeś.

O'Malley uściskał Bradowi rękę i zwięźle wyraził współczucie. Louise serdecznie uściskała szefa, a potem Alexa.

- I co, panie Brad? Restauracja funkcjonuje bez zarzutu. Chcę, żeby pan wiedział, że wszyscy pomożemy wam obu przywyknąć do zmian, wystarczy jedno słowo, jasne? Hm, panno Gracie? Radzę biec do kuchni i wydać dyspozycje kucharzowi! - Wskazała kciukiem na gości, którzy nadal siedzieli przy pustym stole.

- Och! - Zakłopotana Gracie popędziła do kuchni, skinąwszy uprzednio ręką Alexowi.

Chłopak był wyraźnie zachwycony, a i Bogart szczerknął z uznaniem, jak na prawdziwego samca przystało.

Wkrótce rozdzwoniły się telefony z prośbami o rezerwacje, tłum zaś zgęstniał do tego stopnia, że goście musieli czekać dwadzieścia minut na realizację zamówienia.

- Lindsey na drugiej linii - oznajmiła Louise. Lindsey była w siódmym niebie.

- Mamo! Moje włosy wyglądają bosko!

- No proszę! To wspaniale!

- Mimi chce z tobą porozmawiać. Zaczekaj chwilę!

- Hej! - powiedziała Mimi. - Pamiętasz tego uroczego lekarza, z którym miałam randkę w ubiegłym tygodniu?

- A jakże - odrzekłam, nie przewidując, co się święci.

- A teraz słuchaj uważnie: chce ci przedstawić swojego kolegę! Masz randkę, Linda! Zadzwoń do ciebie dziś po południu!

Spociłam się z wrażenia i nie mogłam zebrać myśli.

- Kto? - zapytałam. - Kto zadzwoni?

- Nazywa się Jason Jakiś-tam. Jest badaczem środowiska czy może biologiem, nie pamiętam... w każdym razie przyjechał do Charlestonu do pracy w oceanarium, ale zamierza również uczyć i przyjął posadę w szkole średniej w Wando. Zadzwoń do ciebie! Bądź miła!

- Dobrze! - odpowiedziałam. „Bądź miła”? A co jej zdaniem mogłabym zrobić?

Ugryźć go przez słuchawkę?

- Daj mi znać, jak zadzwoni, dobra? Och, poczekaj, aż zobaczysz Lindsey! Masz pojęcie, że ona...

Bła, bła, bła... ktoś chciał umówić się ze mną na randkę. Tak. Super. Dam sobie radę. O ile tylko nie będzie żonaty jak tamci dranie, którzy...

- Linda? Odpowiedz mi!

- Co? Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać. Wrócił Brad i...

- O! Jak on się miewa? Poznałaś jego syna? To straszne, prawda? Powiem ci...

- Mimi, kocham cię, ale muszę kończyć! Mam mnóstwo pracy!

- Wiesz co, Linda? Potrafisz być nieprzyjemna. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak. Wybacz. Zadzwonię później.

Wróciłam do wprowadzania danych do komputera. Układałam listę wszystkich kontrahentów: sprzedawców ryb, firm zaopatrzenia kuchennego, hydraulików, hodowców warzyw, elektryków, dostawców środków czyszczących... nic wielkiego, ale należało tego dopilnować. Musiałam też sporządzić listę płac.

Brad zajrzał w każdy kąt, porozmawiał ze wszystkimi i po skończonym obchodzie przyszedł do mojego biura.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam, kiedy klapnął na fotel naprzeciw mojego biurka.

- Tak. Jestem tylko trochę zmęczony.

Ciemne obwódki wokół oczu potwierdzały jego słowa.

- Jak pogrzeb?

- Strasznie. Przede wszystkim Theo musiał się nafaszerować jakimiś silnymi środkami, gdyż prawie nie mógł wydobyć głosu. A potem Archie, mój najgorszy wróg, podszedł do mnie, aby wyrazić żal z powodu mojej straty.

- A niech to! Co mu odpowiedziałeś?

- Przyznam nie bez wstydu, że nie byłem specjalnie uprzejmy.

- Powtórz swoje słowa.

- Powiedziałem: „Moja strata, twój zysk”.

- I bardzo dobrze! Nikt nigdy nie mówi tego, co naprawdę myśli!

- Byłem tak wściekły, że musiałem tam wrócić i przypomnieć sobie, ile zamętu wprowadzili w życie Alexa, iż mało draniowi nie przyłożyłem. - Założył nogę na nogę i skrzyżował ręce, nadal wyraźnie poruszony.

- Wiesz co? - powiedziałam. - Każdy z nas ma prawo szukać szczęścia, ale nie kosztem innych.

Brad spoglądał na mnie przez chwilę.

- Słuchaj, skoro Loretta wołała Archiego, to może nie było mi to zupełnie obojętne, ale nasze małżeństwo okazało się tak poplątane i pełne zakłamania, że jego rozpad wcale mnie nie zdziwił. Chyba najbardziej doskwierało mi to, że ona nigdy nie wyraziła najmniejszej skruchy. A Theo, który źle mnie ocenił i przez wszystkie lata traktował jak psa, postąpił dokładnie tak samo.

- Cóż, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

- Żal mi Alexa, wiesz?

- To oczywiste! On nie chciał, żeby to się stało.

- Właśnie. Ale bez względu na okoliczności będzie mu tutaj lepiej. Spotkanie z tym durniem Archiem było nie do zniesienia. I wiesz co? Właściwie to żal mi Theo.

- No cóż, jest stary. Poza tym nikt, choćby nie wiem jak był wredny, nie zasługuje na to, by grzebać własne dziecko.

- Tak. To prawda. Cieszę się, że mam to już za sobą. Pozostają kwestie spadkowe, ale chwała niebiosom za Roberta.

- Zajmie się tym?

- Tak, ma kuzyna w Atlancie, który specjalizuje się w takich sprawach. W sumie mam to gdzieś, ale skoro Alex otrzymał spadek, niech z niego korzysta, prawda?

- Prawda. - Czułam, że temat jest wyczerpany i nie chciałam drażnić. - Gdzie Alex?

- Z Duane'em. Uczy się dobijać targu z rybakami.

- Co ma na tapecie?

- Ładunek błękitnej makreli w ilości jak dla pułku.

- Uwielbiam makrelę. Zapieczona z mięsem z kraba? Pychota!

- A ty co robisz?

- Próbuję wszystko uporządkować. Niezbyt wdzięczne zajęcie. Wiesz, co wymyśliłam?

- No?

- Że raz w roku powinniśmy organizować przetarg. Mielibyśmy pewność, że kontrahenci niepotrzebnie nie windują cen, dając nam po kieszeni.

- Tak się składa, że niektórzy z naszych dostawców to bliscy znajomi. Sytuacja byłaby cokolwiek niezręczna. To mili ludzie i...

- Przecież mówimy o interesach. Daj spokój, Brad! Tu nie chodzi o kółko wzajemnej adoracji, prawda? - Uznałam, że nie zaszkodzi trochę pożartować; może dzięki temu Brad skupi się na pracy i odzyska humor.

- Nie możemy tak łatwo spławić dostawców, gdyż sporo w nas zainwestowali! Zanim dobierzesz się komuś do skóry, najpierw porozmawiaj ze mną.

- Rozumiem. - Nie pomyślałam, że niektórzy z kontrahentów mogli być jednocześnie inwestorami. Poniewczasie ugryzłam się w język. - Masz rację.

- W tym wypadku tak, ale nie zawsze. Opowiedz mi, co się działo podczas mojej nieobecności.

- Firma sprzątająca przysłała nam nowego pracownika, który wygląda jak świeżo po odwyku.

- Będę miał na niego oko - obiecał Brad. - A propos, twoja Gracie to śliczna dziewczyna. Alex jest chyba pod wrażeniem.

- Dzięki. O niej można powiedzieć to samo. Może wybraliby się razem do kina albo na plażę? Wiesz co, właśnie sobie przypomniałam, że w przyszłym tygodniu muszę zapisać Gracie do liceum w Wando. Boże, tutaj rok szkolny zaczyna się szybciej! Chcesz, żebym zabrała Alexa? Zastanawiałeś się już, dokąd go pošlesz? Może myślałeś o Porter-Gaud albo czymś w tym rodzaju?

- Wierzę w edukację publiczną - oznajmił Brad. - Moja matka przez trzydzieści lat uczyła w szkole. Wykladała literaturę angielską i amerykańską. O Boże. Zapomniałem o jego karcie ocen.

- Załatwię to, jeśli chcesz. Powiedz tylko, gdzie chodził do szkoły.

- Do Lovett w Buckhead.

- To szkoła prywatna?
- I tu mnie masz. - Brad uśmiechnął się blado.
- Daj spokój.
- Lovett to pomysł Loretty, nie mój. Teraz wszystko się zmieni.
- Dla Gracie również. - Spojrzałam na niego uważnie, był wyraźnie przybity. -

Jeżeli mogę w czymś pomóc...

- Będę wdzięczny za zapisanie Alexa do szkoły. Gdzie w ogóle jest to liceum?
- Na Mathis Ferry Road. Hej, mogę ci pokazać!
- Świetnie. Spotkamy się przy zajeździe. Zadzwoił telefon i Brad odebrał.
- Do ciebie - oznajmił, zasłaniając ręką słuchawkę. - Jakiś Jason. Kto to jest Jason? -

Podejrzliwie zmrużył oczy.

Powrócił dawny Brad, przynajmniej na chwilę.

- Mój przyszły mąż - odpowiedziałam. Sięgnęłam po słuchawkę, ale Brad cofnął rękę. - Natychmiast daj mi tę słuchawkę!

Posłuchał.

- Poznałaś go na czacie?
- Halo? Tu Linda Breland - rzuciłam oficjalnym tonem.
- Cześć! Mówi Jason Miller. Jestem znajomym Jacka Taylora. Uprzedził cię, że

zadzwoię?

- Ach tak! Jasne! Jak się masz?
- Jak się masz? - powtórzył piskliwie Brad.
- Super! - odpowiedział Jason. - Umówilibyśmy się na drinka?
- Jasne! Niezły pomysł! Kiedy?
- Jasne! Niezły pomysł! - powtórzył Brad, po czym dodał szeptem: - Sprawdź, czy

to aby nie seryjny morderca.

- Przepraszam, co mówiłeś? Nie usłyszałam, bo mam tutaj młodocianego recydywistę, który nie daje mi spokoju!

- Nie szkodzi - odparł Jason. - Może na przykład dzisiaj około siódmej? W Shem Creek Bar & Grill? Moglibyśmy pospieszyć konkurencję!

- Świetnie! Do zobaczenia.

Odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na Brada, który zrobił niewinną minę.

- Zamierzam wieść własne życie - powiedziałam.

- Mam nadzieję - skwitował.

- Hej, Brad, wszystko w porządku?

- Tak. Naprawdę. - Spoglądał na mnie przez chwilę, po czym dorzucił: - Ten weekend będzie szalony, czwarty lipca i w ogóle. Lepiej solidnie wypocznij.

- A co twoim zdaniem będę robić? Balować przez całą noc?

- Nie. Jasne, że nie. Ja tylko...

- Bez obaw, wrócę do domu przed godziną policyjną.

Miałam randkę, a Brad nie szczędził mi docinków. Czyżby był zazdrosny? Czy to możliwe? Gdzie tam. Może Jason Miller okaże się mężczyzną moich marzeń. Któż to może wiedzieć?

Rozdział dziesiąty

Plany ślubne rodem z włoskiego południa

Następnego dnia przyszedłam wcześniej do pracy, gdyż miałam masę telefonów do załatwienia. Louise musiała jechać na wyspę Pawleys, aby zająć się kuzynką, która dochodziła do siebie po usunięciu wyrostka robaczkowego. Zbliżał się czwarty lipca, a nam znów brakowało rąk do pracy.

- Mam wyrzuty sumienia - oświadczyła.

- Ależ daj spokój - odpowiedziałam.

Siedziałam w biurze, dopijając trzecią filiżankę kawy, gdy na progu stanął Brad.

- Jak tam twoja wczorajsza randka? - zapytał.

Byłam przekonana, że to pytanie, ze wszech miar niewinne, wynika z czystej uprzejmości. Jednakże wczorajsze bliskie spotkanie trzeciego stopnia raczej nie należało do udanych, a jego wspomnienie bynajmniej nie poprawiło mi humoru.

- Ten facet powinien przestać na randkach z zagrożonymi gatunkami - odparłam.

- Chcesz posłuchać, dlaczego więcej nie wyjdę za mąż?

Owszem, Brad był w żałobie, lecz sygnały, jakie wysyłał w moją stronę, jasno świadczyły, że pragnie powrócić do normalności i tego samego oczekuje od otoczenia. Gdyby chciał porozmawiać o Lorecie, najprawdopodobniej poruszyłby ten temat w towarzystwie Roberta bądź syna. W razie czego ja też chętnie nadstawię ucha.

- Jasne, czemu nie? - Usiadł naprzeciw mnie. - Mamy tu jakąś kawę?

- A jakże! Zaraz ci podam! - Zdecydowanie nie był to jeden z moich lepszych dni.

Drzemiąca we mnie feministka nawet nie mrugnęła okiem. - Lecę.

Skoczyłam na równe nogi i wybiegłam z biura, po czym wróciłam z parującą filiżanką czarnej kawy i podałam mu ją z głębokim ukłonem. Niewolnica. Popychadło. Sługa uniżona. Niedotykańska.

- Lubię z mlekiem - oznajmił, spoglądając na mnie z udawanym rozczarowaniem.

- To sobie przynieś - burknęłam, opadając na fotel.

Parsknął śmiechem, a ja zrobiłam groźną minę, cmokając przy tym jak moje córki na widok brukselki.

- Oho! Ktoś miał nieudaną randkę! Co się stało? Czyżby gwałciciel?

- Żeby chociaż! Posłuchaj... o Boże! Mogę ci coś wyznać? Od chwili rozwodu każdy maniak lub psychopata, który akurat wyjdzie na wolność, zdobywa mój numer telefonu, a ja umawiam się z nim przynajmniej na jedną randkę!

- Dalej, opowiedz wujkowi Bradowi, co się stało.

Wujkowi Bradowi. No cóż, pomyślałam, że skoro chce się trochę rozerwać, proszę bardzo.

- Nie uwierzysz... No dobrze, umówiłam się z tym całym Jasonem Millerem na siódmą w Shem Creek Bar & Grill, prawda? Wchodzę do środka i widzę przy barze trzech mężczyzn. Jeden w garniturze i z aktówką. Nie, myślę sobie, to nie on. Drugi ma na sobie strój myśliwski i kalosze. Wykluczone. Trzeci zaś jest ubrany w płócienne spodnie khaki i bawełnianą koszulę...

- Podchodzisz do gościa w koszuli i...

- Jeszcze czego! Dowiedz się, że Jason Miller przyszedł na randkę w stroju myśliwskim i kaloszach. Fajnie, co?

- Ma styl! Wyrafinowany facet, ten Jason.

- Tak! Śmieję się, śmieję! Wyglądał, jakby przed chwilą wytarzał się w błocie! I wcale nie było to dalekie od prawdy! Tak czy inaczej, z miejsca próbował zrobić na mnie wrażenie opowiadaniem o swojej pracy...

- Symulacji gier wojennych?

- Gorzej. Niedawno przyjechał tu z Karoliny Północnej, gdzie mało nie wpakował się w tarapaty z powodu swojej radykalnej działalności ekologicznej. Wychodzi na to, że mają tam problem z odprowadzaniem nieczystości z chlewów, które spływają do rzeki Cape Fear. Być może o tym nie wiesz, ale świński nawóz w większej ilości potrafi siać istne spustoszenie.

- Jestem... wstrząśnięty! Czy wyglądam na wstrząśniętego?

- No właśnie! Kogo to obchodzi, prawda? Siedzę tam, popijając białe wino, słucham przeciwzonego wykładu na temat utylizacji ścieków i zbiera mi się na wymioty.

- Świński nawóz to toksyczne gówno.

- Bardzo zabawne, szefie. Krótko mówiąc, tak wyglądała moja randka z Wymarzonym Księciem. Chcesz wiedzieć, co teraz myślę?

- No?

- Chociaż to diablo niesprawiedliwe, moim zdaniem miłość jest dla młodych.

- Przygnębiająca wizja, prawda?

- Nie... tak... być może. Ale tak mi się właśnie wydaje. Mam dwie prawie dorosłe córki, początek żylaków na łydkach i drobne zmarszczki wokół oczu. Doświadczenie można wprawdzie poczytać na plus, ale tak nie jest.

- Ależ jest! Co cię dzisiaj naszło?

- Posłuchaj, Brad. W tych rzadkich chwilach, kiedy spotykam na swojej drodze wolnego mężczyznę, biorę pod uwagę każdą możliwość i próbuję zobaczyć siebie w życiu owej osoby. Ale człowiek osiąga pewien wiek i ma już wszystko tak poukładane, że nie znajduje miejsca na ewentualnego partnera i jego bagaż. I wiesz co? Jestem zmęczona.

- Zmęczona? A niby czym? Jedną randką z nawiedzonym ekologiem?

- Nie, zmęczona tą wieczną analizą umysłów i światów innych ludzi. To na nic.

Przynajmniej w moim wypadku.

- Skoro już o tym mówimy, Robert chce, żebym kogoś poznał. Podobno jest prześliczna.

- Pewnie dopiero skończyła szkołę.

- Nie mów...

- Zadzwoń do niej!

- Jasne. Łatwo ci mówić. Loretta jeszcze nie ostygła!

- To prawda, ale przecież od dawna nie byliście razem. Masz prawo do damskiego towarzystwa. Jeśli masz na nie siłę i ochotę.

- Mam, panno Jersey, dziękuję bardzo. Ale mieszka ze mną mój syn, który mógłby krzywo na to patrzeć. Muszę jeszcze trochę odczekać. Poza tym jeszcze nie jestem gotowy na kobiety. Może to zabrzmie dziwnie, moim zdaniem jednak do Alexa nie dotarło w pełni to, co się stało. Cóż za ironia, chcę się z nią rozwieść za cudzołóstwo, a ona umiera, pozbawiając mnie tej satysfakcji. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

- Mnie to mówisz?

Zapadła chwila milczenia. Przyszło mi do głowy, że dziewczęta pewnie nadal postrzegają nasz pobyt w Karolinie jako tymczasowy. Przeprowadzka do nowego domu na pewno to zmieni. Rzuciwszy ponowne spojrzenie na Brada, wyczułam, że powiedział mi rzeczy, których być może nie zdradził nikomu innemu. Jednym słowem, stawaliśmy się przyjaciółmi.

- Utrata rodziców jest trudna nawet dla ludzi w naszym wieku. Alex jest bardzo młody, a Loretta nie zmarła śmiercią naturalną. To prawdziwe nieszczęście.

- Tak, dla niej i dla jej ojca. Nie sposób odgadnąć, co myśli Alex.

- Cóż, chłopcy z reguły nie lubią zdradzać swoich uczuć. Podobno. - Odczekałam chwilę. - Theo się odzywał?

- Co wieczór dzwoni do Alexa.

- Często.

- Tak. - Brad wydał z siebie głębokie westchnienie. - Tak, często.

Wstał.

- Wiesz co, Brad? - rzuciłam. - Może powinieneś wysłać syna do terapeuty? Wielu ludzi tak robi... to normalne.

- Może w New Jersey.
- No wiesz!
- Włosi mawiają...
- A co mnie obchodzą Włosi?
- Ja jestem Włochem.
- Aha, a ja angielską królową.
- Stałem się Włochem po przeprowadzce do Karoliny, przynajmniej mentalnie.

Uznałem, że oni mają lepsze nastawienie. No wiesz, do życia.

- Dziwny jesteś. Wracając do rzeczy, moja siostra zna wszystkich terapeutów, więc jeśli dojdiesz do wniosku...

- Na razie muszę zapisać Alexa do szkoły. Kiedy początek roku?
- Jedenastego sierpnia.

- Niedługo! A propos... - Brad sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął z niej kawałek papieru. - Oto numer jego wychowawcy z Lovett... wspomniałaś, że mogłabyś...

- Nie ma problemu. Zaraz do niego zadzwonię. W następny wtorek w południe zabieram Gracie do Wando... mam przyjechać po Alexa?

- Jasne. Wiesz co? Pojedźmy razem, Alex na pewno poczuje się lepiej.
- Masz rację. Załatwione.

Weekend był szalony. Obok restauracji przepływały niezliczone łodzie udekorowane czerwonymi, białymi i niebieskimi balonami oraz krepą i oczywiście flagami narodowymi, a utarg w barze na tarasie pobił wszelkie rekordy. Wieczorem niebo zabłysło fajerwerkami i choć bolały mnie nogi, entuzjastycznie przyjmowałam każdą kolejną kaskadę iskier. Wszyscy trwaliśmy na posterunku. Brad stał obok O'Malleya; chociaż żadne z nas nie grzeszyło nadmiarem patriotycznych uczuć, byliśmy świadomi rangi tego święta.

- Chwała Bogu za Chińczyków! - zawołał O'Malley.

- Chwała Bogu za naszych przodków! - uzupełnił Brad. Pamiętam, że tylko skinęłam głową i dalej przyjmowałam zamówienie na drinki.

We wtorek padałam na nos, ale byłam gotowa na kolejne wyzwanie. Jednym z niezaprzeczalnych plusów szkół publicznych jest ich przystępność. W Wando załatwiłam

wszystko w niespełna pięć minut, łącznie z umówieniem się z wychowawcą Gracie na ułożenie planu zajęć. Zdobycie kopii karty ocen Alexa przysporzyło mi więcej kłopotów.

Jakby na potwierdzenie gargantuicznych zasobów finansowych prywatnego szkolnictwa wzięłam udział w swoistym eksperymencie technologicznym. Najpierw musiałam wysłuchać litanii dostępnych numerów wewnętrznych, przy czym oczywiście nie odpowiadał mi żaden z nich. Ponownie wykręciłam numer i tak długo czekałam na połączenie, że zapomniałam, do kogo dzwonię. Zresztą osobnik ten i tak okazał się niedostępny. Wreszcie złapałam kogoś z administracji i uzyskałam informację, że Brad musi podpisać stosowne oświadczenie, a następnie... co za podejrzliwość!... czy oni naprawdę myśleli, że zamierzam skraść tożsamość piętnastolatka? Pewnie tak.

Usiłując myśleć pozytywnie, skończyłam wreszcie przygotowywanie depozytu bankowego na utarg z poprzedniego dnia, gdy naraz do restauracji weszła imponująca blondynka z dwukrotnie od niej starszym mężczyzną. Biust też miała imponujący. Wprawdzie nie jestem ekspertem chirurgii plastycznej, ale zaryzykowałabym stwierdzenie, że poprawiła sobie to i owo.

Jeszcze mieliśmy zamknięte, lecz frontowe drzwi stały otworem i czasami jakiś zbłąkany gość zapędzał się do środka. Tak na marginesie, pewnie dla bezpieczeństwa powinniśmy je zamykać do czasu mojego powrotu z banku. Co wieczór mieliśmy znaczny przyływ gotówki, zwłaszcza w barze, gdyż niektórzy goście woleli nie dokumentować swojego pociągu do kieliszka na wydruku z karty kredytowej.

- Czym mogę służyć?

- Cześć! - Blondynka wyciągnęła rękę. - Pobieramy się w weekend przed Świętem Pracy... ot, niewielka uroczystość... mój narzeczonny i ja... hm, to jest Douglas Lutz...

Mężczyzna rozpromienił się w uśmiechu, co natychmiast odjęło mu dwadzieścia lat. Był w nią wpatrzony jak w obraz. Blondynka chyba miała na imię Lucy.

- No więc, Doc i ja postanowiliśmy urządzić u was małe przyjęcie weselne.

- Doskonale! - odpowiedziałam. - Jaki to dokładnie będzie dzień?

- Sobota trzydziestego sierpnia.

- Ilu gości?

- Och! Pewnie około dwudziestu, może dwudziestu pięciu osób. Nie jest to nasza pierwsza próba, o ile pani wie, co mam na myśli.

W odpowiedzi tylko kiwnęłam głową, myśląc sobie: cóż, zatem istnieje nadzieja dla wszystkich.

- Zaraz wrócę - powiedziałam. - Tymczasem może państwo rzucać okiem na menu.

Cholera, pomyślałam, zwykle to Louise organizuje przyjęcia. Nie miałam w tej dziedzinie żadnego doświadczenia. Ale czy to takie trudne? Postanowiłam oprowadzić ich po lokalu i dać do domu kartę dań. Potem zadzwonię do Louise i dowiem się, co należy zrobić.

Opadłam na czworaki i schowałam depozyt z powrotem do sejfów, zamierzając odłożyć wizytę w banku na później, kiedy naraz do biura wpadli Gracie i Alex. Mało nie dostałam zawału.

- Co słychać, mamo?

- Boże miłosierny! Nie słyszałam, że idziecie! - Wrzuciłam worek do sejfów ukrytego w szafie. Przekręciłam kluczyk i schowałam go nad framugą. - Która godzina?

- Przyszliśmy za wcześnie, ale może moglibyśmy uporać się z tym jak najszybciej. Poza tym umieram z głodu.

- Jesteśmy umówieni na konkretną godzinę, więc nie możemy tak po prostu tam iść. Weź sobie placek z krabem.

- Chcesz placek z krabem? - zapytała Alexa Gracie. Chłopak stał oparty o drzwi, emanując młodocianym czarem, który na mnie nie robił wrażenia, ale na moją córkę wręcz przeciwnie. - Powinniśmy coś przegryźć, zanim podpiszemy cyrograf w tym wsiowym piekle.

- Jasne - odpowiedział.

- Nie ma mowy o żadnym piekle. Piekło to brak klimatyzacji. Przyjdę do was za dziesięć minut, gdy tylko załatwię sprawę z młodą parą.

- W porządku - odrzekła Gracie. - Idziemy, Alex.

- Jasne.

Chłopak wprawdzie nie grzeszył rozmownością, ale niebezpiecznym urokiem jak najbardziej. I choć Gracie nadal nie szczędziła przytyków pod adresem Południa, przyjazd rówieśnika wyraźnie złagodził ból.

Znalazłam Lucy i Douglasa na przystani. Podobnie jak ja każdego dnia, stali oczarowani widokiem. Trzymali się za ręce i gruchali jak dwa gołąbki. Rozkoszni. Jakiś kuter właśnie dobijał do brzegu. Kilka motorówek niefrasobliwie przepłynęło obok, burząc wodę. Mewy i pelikany poszybowały w górę, pozostałe ptactwo trwało niewzruszenie na posterunkach. Ranek był tak piękny, niebo tak błękitne, a powietrze do tego stopnia przesycone wonią oceanu, że nawet największy ponurak poczułby się podniesiony na duchu. Nawet ja.

- Cudownie, prawda? - zapytałam.

- Właśnie mówiłam Docowi, że czuję się, jakby moja dusza fruwała w przestworzach, chłonąc każdy szczegół. Czy pani wie, co mam na myśli?

- Owszem - odpowiedziałam. - Wiem. Wszystko tętni życiem, prawda?

- Tak - odrzekła Lucy. - Jak my. Uśmiechnęłam się pobłaźliwie.

- Czasem próbuję to zapamiętać, ale nie mogę. Kiedy pada i przychodzą pochmurne dni, zapominam, jak wszystko tutaj potrafi pulsować i drgać: woda, ptaki, słońce. Coś niezwykłego.

- O to nam właśnie chodzi - wtrącił Doc. - Szukamy czegoś bezpretensjonalnego, pełnego energii, a zarazem romantycznego. W odrobinę włoskim stylu. To wymarzone miejsce.

- W pełni się z panem zgadzam - odpowiedziałam. - Nie chcę być wścibska, ale proszę mi powiedzieć, jak się poznaliście. Uwielbiam takie historie.

- Byliśmy sąsiadami - oznajmił Doc. - A właściwie Lucy mieszkała obok mojej córki na Wyspie Palm.

- Poszłam do niej z zapiekanką, kiedy się wprowadziła, i tak się poznaliśmy. W chwili gdy go zobaczyłam, serce zaczęło mi bić jak szalone!

- Widzicie? To się nazywa południowa gościnność! - powiedziałam. - Nigdy nic nie wiadomo, prawda?

- Właśnie! Dobrze, że w ogóle miałam coś w zamrażarce! - dodała Lucy, odgarniając Docowi włosy z czoła. - Od tamtej pory jesteśmy nierozłączni!

- Niesamowita historia - skwitowałam, podając im wizytówkę oraz kartkę z nazwiskiem Louise. - Mam nadzieję, że Louise jutro już będzie. Zostawcie mi tylko swój numer...

Wymieniliśmy namiary, po czym przedyskutowaliśmy kwestię kwiatów, tortu oraz mrożonych margarit, przy których obstawała Lucy, oczywiście z powodów sentymentalnych.

- Wiemy, że to nie od pani zależy - dorzuciła - ale bardzo by nam zależało, aby wyprawić przyjęcie na tarasie. Widzi pani, zakochaliśmy się w sobie w podobnym miejscu... na moim patio, podczas zachodu słońca, o rany... pamiętasz? - Podniosła oczy na Doca, który spoglądał na nią niczym Romeo na swoją Julię.

- I twoje drinki? Pewnie, że pamiętam, kotku - odpowiedział.

- Nie uważasz, że powinniśmy zamówić włoskie jedzenie?

- Cokolwiek zechcesz, kotku.

Cóż miałam rzec? Miau? Tak naprawdę nie byliśmy włoską restauracją, ale mogliśmy coś zaimprovizować. Wiedziałam jednak, że Brad byłby wściekły, gdybym obiecała im taras, ponieważ to nasza dojna krowa. Co wieczór przychodziły tu istne tłumy... czy mogliśmy się wyrzec okazałego przyływu gotówki w imię miłości? Postanowiłam wykręcić się od odpowiedzi.

- Wiecie, trudno mi cokolwiek obiecać, ale porozmawiam z szefem. Może podamy tam drinki, a potem goście zejdą na obiad do restauracji? Albo podamy posiłek wcześniej? Zobaczymy. Ale na pewno spytam.

- Moglibyśmy zaprosić więcej osób - oświadczyła Lucy. Doc wyszczerzył zęby i poklepał ją po ramieniu.

- Jutro się odezwiemy.

Podaliśmy sobie ręce i zakochani odpłynęli, unosząc karty dań. Chociaż szli plecami do mnie, wiedziałam, że się uśmiechają. Szczęście emanowało z nich, tak jak poranna mgła unosi się znad rzeki. I jedno, i drugie było nie do uchwycenia, ale człowiek wiedział,

że tam jest. Mieli w sobie coś tak pięknego i pełnego nadziei, że pragnęłam uczynić zadość ich każdemu życzeniu. Styl włoski? Czemu nie?

Kotku? No cóż, ja nigdy nie byłam niczym kotkiem.

Może jednak ten dzień nie będzie taki zły. Jedna nieudana randka nie powinna burzyć mojej wizji idealnego związku. Skoro istniała nadzieja dla podrasowanej Lucy, to może taka przywiedła magnolia z Jersey jak ja również uszczknie coś z życia. W swoim czasie.

Poszłam do kuchni, gdzie zastałam Brada w towarzystwie dzieci.

- Wiesz, co się stało? - zapytał.

- Odkryli, kto jest pochowany w mauzoleum generała Granta? - rzuciłam odruchowo.

- To żalosne, matko. Matko?

- No dobrze, poddaję się. O co chodzi?

- Właśnie zatrudniłem Alexa i Gracie do pracy w kuchni. Będą przygotowywać warzywa dla Duane'a. Stawka minimalna, trzy godziny, trzy dni w tygodniu po szkole. Chyba że Alex zacznie grać w futbol, a Gracie zostanie cheerleaderką.

- Prędzej skonam, niż włożę minispódniczkę i będę podskakiwać jak kretyńka! - oznajmiła Gracie, czekając na naszą reakcję.

- Czy ja wiem? - powiedział Alex. - Niektóre cheerleaderki są super.

- Grasz w futbol?

- Tak, od dwóch lat. Jestem rozgrywającym.

- Raju.

Brad i ja wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Oczami wyobraźni zobaczyliśmy Gracie z pomponami i nas na trybunach. To było nieuniknione.

- Jazda, wy dwoje - zakomenderowałam. - Czas to pieniądz.

Pojechaliśmy samochodem Brada. Tył mojego blazera wciąż wypełniony był pudłami z New Jersey. Po cóż je rozpakowywać, skoro niebawem czeka mnie kolejna przeprowadzka? Lepiej oszczędzać energię.

W szkole skierowano nas do wychowawców dzieci; po załatwieniu wszystkich spraw mieliśmy się spotkać w holu.

- Cóż, wygląda w porządku - oświadczyła pani Hagerty, przeglądając kartę ocen mojej córki. - Oto twój plan. Jeśli cię to interesuje, jesteś zapisana na kurs prawa jazdy.

- Bomba - odrzekła Gracie.

- Trwają zajęcia wakacyjne, kilku nowych nauczycieli jest w tej chwili w klasach. Może pójdziesz się przywitać?

- To niewyobrażalne, że lekcje zaczynają się w sierpniu! W New Jersey szliśmy do szkoły dopiero po Święcie Pracy!

- Cóż, skarbie, nie mieszkasz już w New Jersey - skwitowała pani Hagerty. - Ruszaj!

Gracie rzuciła mi niepewne spojrzenie.

- Mam iść z tobą? - zapytałam.

- Gracie! Ile masz lat? - zawołała pani Hagerty, zdejmując okulary.

- Za dwa miesiące skończę szesnaście.

- Skoro więc za kilka tygodni będziesz prowadzić samochód, moim zdaniem nie stracisz orientacji, spacerując po szkole.

- Mogę iść z tobą, jeśli chcesz...

- Dam sobie radę, mamo! - Gracie podbiegła do drzwi, po czym odwróciła się na chwilę i burknęła: - Ona traktuje mnie jak dziecko.

- Ale ja nie - odrzekłam i natychmiast pożałowałam tych słów.

- Właśnie, że tak! - dobiegł głos z oddali.

Kiedy na korytarzu zapadła cisza, pani Hagerty powiedziała:

- Pani córka niczym się nie różni od pozostałej młodzieży.

Wymieniłyśmy kilka przerażających uwag o narkotykach, bezpiecznym seksie i seksie w ogóle, dalszym kształceniu, klubach i zajęciach sportowych, po czym uznałam, że pora poszukać Gracie. Spędziłam w gabinecie Barbary Hagerty dość czasu, choć jej wcale zdawało się to nie przeszkadzać.

- Serdeczne dzięki za pomoc - powiedziałam. - Chciałabym się jakoś udzielać, więc gdyby potrzebowała pani pomocy...

- Dam znać - zapewniła, dodając: - Proszę się nie martwić o Gracie. Zwrócę na nią uwagę.

- Dziękuję - odrzekłam szczerze.

Przechadzałam się korytarzami i mijałam otwarte sale, wspominając szkolne czasy oraz niepokój towarzyszący rozpoczęciu nowego roku. Jakie będą koleżanki? Czy znajdę chłopaka? Czy podołam wymaganiom i polubię nauczycieli? To było tak dawno temu. W porównaniu z moimi rozterkami problemy stojące przed Gracie i Lindsey miały monumentalny wymiar. Gracie musi zrobić sobie zdjęcie do identyfikatora, którego nie wolno jej zdejmować w szkole - ze względów bezpieczeństwa, jak zaznaczyła pani Hagerty - podejrzewałam jednak, że chodziło o wyeliminowanie handlarzy narkotyków i potencjalnych napastników.

Przystanęłam, aby przeczytać plakat na tablicy ogłoszeń.

BĄDŹ ZIELONY! WSTĄP DO KLUBU OCEANICZNEGO

Chroń środowisko, zostając jego sprzymierzeńcem! Mieszkańcy oceanu też potrzebują tlenu!

WROGOWIE:

deweloperzy i wielkie korporacje
motorówki i narty wodne
pestycydy i asfalt

PRZYJACIELE:

ekolodzy i biolodzy
lepszy rząd
może TY!

Informacje: pan Miller w sali 318. DZISIAJ!

Pan Miller? Czy to możliwe? Nie zwlekając, zajrzałam do sali 318 i zobaczyłam Jasona Millera we własnej osobie. Siedział za biurkiem, składając kartkę papieru. Podniósł głowę i podchwycił mój wzrok.

- Cześć! - powiedziałam, nie bardzo wiedząc, co robić. - Pamiętasz mnie?
- Oczywiście. Wejdz.

- Nie, nie. Ja tylko szukam Gracie.
- To twoja córka? Właśnie miałem okazję ją poznać. Bystra dziewczyna.
- Dzięki.
- Będzie chodzić na moje zajęcia. Myślę, że świetnie sobie poradzi.
- To dobrze. No cóż... miło było znów cię zobaczyć. - Rozejrzałam się niepewnie.
- Wydaje mi się, że poszła w lewo...
- W lewo?

Po chwili konsternacji zdołaliśmy ustalić kierunek. Pomachałam mu ręką i uciekłam. Ten człowiek przyprawiał mnie o gęsią skórkę.

Zgodnie z planem zastałam całą trójkę wraz z Bradem w holu. Przez całą drogę powrotną nasze dzieci gadały jak nakręcone o nauczycielach i rozkładach zajęć, próbując się prześcignąć w nonszalancji; przewidywały, że w porównaniu z dawnymi szkołami nauka w nowym liceum okaże się pestką. I chociaż wiedziałam swoje, ów świeżo nabyty entuzjizm bardzo mnie cieszył. Widziałam, że Brad odczuwa to samo.

Wszystko było w porządku, dopóki wieczorem nie poszłam do Gracie, aby życzyć jej dobrej nocy.

- Kocham cię, skarbie - powiedziałam.
- Ja ciebie też. Mamo?
- Tak?
- Czy ty aby nie miałaś randki z panem Millerem?
- Trwała całe dwadzieścia minut - odpowiedziałam. - Pan Miller nie jest w moim

typie.

- Szkoda - skwitowała, gasząc światło. - To prawdziwy geniusz.
- Podoba ci się Wando, Gracie?
- A co mogę powiedzieć?

Stałam przy jej łóżku w ciemnym pokoju, pogrążona w niepewności. Tak bardzo chciałam, żeby polubiła tę szkołę. Bałam się, że zacznie się buntować, zaniedba naukę i zmarnuje sobie przyszłość. Bałam się, że ucieknie. I wszystko się skończy, nim na dobre zdąży się zacząć.

- Spróbujemy, kochanie, prawda? Musimy to dla siebie zrobić.

- Przestań dramatyzować, mamó. Na miłość boską, przecież to nie koniec świata.

- Dziękuję, skarbie. - Pochyliłam się i pocałowałam ją w czubek głowy. - To wiele dla mnie znaczy.

Nie odpowiedziała, ale niemal czytałam w jej myślach. Z jednej strony utknęła w bagnie Konfederacji, z drugiej zaś rzeczywistość okazała się mniej straszna, niż Gracie podejrzewała. Miałam nadzieję, że najbliższe tygodnie przyniosą ostateczne rozwiązanie problemu. W końcu nie była jedynym przymusowym emigrantem. Teraz miała Alexa.



Rozdział jedenasty

Lindsey zaczyna studia

W ciągu kolejnego miesiąca wyrobiłyśmy sobie pewną rutynę i wreszcie poczułyśmy się w Mount Pleasant jak w domu. Epsteinowie obiecali udostępnić chatkę na dwa tygodnie przyjaciółom, potem jednak zmienili zdanie i postanowili odmalować ją na nasz pobyt. Zaplanowałam przeprowadzkę na dwudziestego trzeciego sierpnia. Podejrzywałam, że zdążymy jeszcze doprowadzić Mimi na skraj wyczerpania nerwowego, ona jednak uparcie zapewniała, że nasza obecność wcale jej nie przeszkadza.

Podczas Ostatnich tygodni swego pobytu w Karolinie Lindsey pomagała w kuchni razem z Alexem i Gracie, obierając góry cebuli, ziemniaków i krewetek, co w znaczący sposób podreperowało jej fundusze.

W wolnym czasie cała trójka jeździła na plażę na Wyspie Sullivana i nie przepuściła żadnej lipcowej oraz sierpniowej premiery w miejscowym kinie. Nigdy nie widziałam swoich córek tak opalonych, chociaż zawsze podsuwałam im krem z filtrem. Widok kupionej w lipcu nietkniętej tubki na podłodze samochodu w sierpniu jasno dał mi do zrozumienia, że puszczały moje ostrzeżenia mimo uszu. Jednakże tryskały zadowoleniem, same zarabiały pieniądze na własne potrzeby i doszły do wniosku, że to najlepsze lato w ich życiu.

Koniec końców stanęłam w obliczu przykrego obowiązku zatelefonowania do Freda. Musiałam się upewnić, że w następny piątek odbierze Lindsey z lotniska Newark. Zawsze trzeba było go uprzedzać wiele dni naprzód. Postanowiłam zadzwonić z samego rana i mieć to jak najszybciej z głowy. Wybrałam numer komórki mojego byłego męża.

- Fred Breland.

Cudownie. Ani „cześć”, ani nic choćby w przybliżeniu zachęcającego. Tylko „Fred Breland”.

- Hej, Fred, to ja.

- O. Cześć, Linda.

Jasne, zapytaj o moje zdrowie i samopoczucie, proszę bardzo! Zapytaj o swoje dzieci!

- Dzwonię w sprawie Lindsey. Pamiętasz, że przyjeżdża w następny piątek?
- Linie? Numer lotu?

Podalam mu wszystkie informacje i odložylam słuchawkę. Rozmowa z Fredem przypominała wdychanie amoniaku. Za każdym razem zachodziłam też w głowę, jakim cudem mogłam kiedyś chodzić z tym człowiekiem do łóżka. Któż mógł wiedzieć, co widziała w nim Patti.

Nie zapytał, czy jego córka jest zdenerwowana, czy podniecona perspektywą samodzielności. Nie zapytał: „Co jeszcze mógłbym zrobić?”. Gdzie tam. Dla Freda podobne pytanie byłoby niczym honorowy akt krwiodawstwa.

Brad, który stanowił jego całkowite przeciwieństwo, uznał, że trzeba sprawić Lindsey jakąś niespodziankę przed wyjazdem, i postanowił wydać uroczysty obiad. Trzeba było go zorganizować wcześniej, gdyż popołudniami zawsze mieliśmy dużo pracy, ale nikomu to nie przeszkadzało.

Nadszedł piątek dwudziestego drugiego sierpnia. Brad i Louise nakryli dla nas stół przy oknie. Do krzeseł przymocowali balony wypełnione helem, z napisami: „Szczęśliwej podróży!”, „Gratulacje!” i „Powodzenia!”. Domyślam się, że Brad nie znalazł nic z napisem „Ciao!”.

W każdym razie wyglądało to bardzo uroczyście, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę zgrzebny wystrój lokalu. Zgrzebny to właściwie mało powiedziane. Nigdy nie poruszałam tej kwestii w rozmowach z Bradem, gdyż nie chciałam ranić jego uczuć. Był w tym względzie całkowicie bezkrytyczny! Mogę wam coś zdradzić? Nikt, ale to nikt nie oskarżyłby jego dekoratora o nadwreżenie budżetu.

W New Jersey z całą pewnością mielibyśmy na karku sanepid. Jednakże w Karolinie Południowej właśnie taka nora stanowiła gwarancję najświeższych owoców morza. Nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Martha Stewart weszłaby do środka, po czym padłaby zemdlona na ziemię.

Ściany restauracji wykonano z desek będących zapewne odpadkami z tartaku; to samo dotyczyło podłogi, jeśli nie liczyć niedopasowanych kawałków linoleum, przybitych

gwoździami i zabezpieczonych wzdłuż krawędzi taśmą klejącą. Na ścianach zawieszono metalowe tablice, reklamujące wszystko, począwszy od jaj po benzynę; wśród nich umieszczono koszulki drużyn futbolowych ze wszystkich stanowych uczelni. Na suficie i dokoła całej sali biegły sznury z przymocowanymi starymi bojami wszelkiego rodzaju: małymi z sieci na kraby i opasłymi z sieci na homary, a wszystkie z poodpryskiwaną farbą - pozostałości dawnych rybackich marzeń.

Nawet drzwi do kuchni były zgrzebne - toporne, czerwone skrzydła przymocowane do metalowych zawiasów, podrygujące pod najlżejszym drgnieniem powietrza bądź rozkołysane w przeciągu. Wszystko tu żyło i oddychało, łącznie z pęczniejącym kolażem wizytówek na korkowej tablicy przy drzwiach oraz zdjęciami klientów z ceremonii otwarcia, przymocowanymi na barze pod warstwą czystego poliuretanu.

Rów Jacksona sprawiał wrażenie, jakby był tu od zawsze, zupełnie jak stary przyjaciel, który czeka, by otoczyć cię ramieniem i zaproponować chłodnego drinka. Skoro zaś wszyscy pracowaliśmy w tym miejscu, nie wyobrażaliśmy sobie, aby gdzie indziej urządzić pożegnalny obiad.

Ten dzień, podobnie jak cały miesiąc, był upalny, z temperaturą ponad trzydzieści stopni. Wilgoć wyczyniała niestworzone rzeczy z moimi włosami, co złościło mnie niezmiernie. Szczerze powiedziawszy, wilgoć w Karolinie Południowej była powodem, dla którego Bóg wymyślił kucyki. Czułam się wyczerpana, podminowana, lepka od potu, brzydka, gruba, stara i humorzasta. Wstyd przyznać, ale wcale nie miałam ochoty na żadną uroczystość.

Wiedziałam, że prawdziwym powodem mojego złego nastroju jest wyjazd Lindsey. Od początku byłam tak przejęta tym, że dostała się na studia, iż nie zadałam sobie trudu, aby pojąć znaczenie pożegnania z córką. Poza tym wtedy jeszcze mieszkaliśmy w New Jersey, a nie tysiąc kilometrów dalej. Z każdą chwilą coraz bardziej zbierało mi się na płacz. Przypominało to opiekę nad śmiertelnie chorym członkiem rodziny. Podczas choroby człowiek usiłował za wszelką cenę spełnić jego życzenia, po czym nie mógł pojąć, że pomimo tylu starań i ogromu uczucia śmierć i tak jest nieunikniona. Troskliwie dbałam o Lindsey od dnia, kiedy przyszła na świat, przygotowując ją na tę właśnie chwilę. Teraz moja córka kipiała entuzjazmem, ja zaś pogrążałam się w depresji. Po prostu nie

byłam gotowa na pożegnanie. Próba okazała się zbyt ciężka; gdy tylko chciałam coś powiedzieć, z trudem panowałam nad drżeniem warg.

I te głupie oczy: mimo że siliłam się na spokój, one uparcie napełniały się łzami. Rozumując trzeźwo, wiedziałam, że to idiotyczne. Emocjonalnie jednak byłam dwulatkiem, który lada chwila zacznie tupać nogami.

Zgromadziliśmy się o czwartej i wszyscy zajęliśmy miejsca przy stole. Duane oznajmił, że przygotował dla Lindsey coś specjalnego, w zamian za pomoc w kuchni oraz zrozumienie dla jego najdziwniejszych eksperymentów kulinarnych. Na te słowa Louise przewróciła oczami, po czym zgromiła wzrokiem wszystkich, którzy ukradkiem szturchnęli się łokciami. Na przystawkę zjedliśmy jednak firmowy dip krabowy (który naprawdę zawierał mięso kraba) z krakersami, koszyk parujących racuchów kukurydzianych oraz potrawkę z owoców morza. Wcinaliśmy, aż nam się uszy trzęsły.

Brad próbował wnieść toast, lecz przy stole panowała taka wrzawa, że upłynęło kilka minut, nim zdołał zabrać głos.

- Chciałem powiedzieć...

Dzyń, dzyń, dzyń! Postukał nożem w kieliszek.

- Panie? Panowie? Wreszcie wszyscy się uciszyli.

- Chciałem powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że cię poznałem, Lindsey. Pamiętam dzień, kiedy pojechałem na uniwersytet Emory. Miałem ściśnięty żołądek, a moja mama tonęła we łzach, tak jak twoja dzisiaj...

- Ja wcale...

- A właśnie, że tak! - zabrzmiał zgodny chór.

Och, niech wam będzie, pomyślałam, resztką sił powstrzymując się od płaczu. Wzięłam chustkę podaną przez Mimi; pewnie mi się przyda.

- Tak czy inaczej, pragnę wspomnieć coś o znaczeniu tej chwili. Są rzeczy, nad którymi zbyt łatwo przechodzimy do porządku dziennego, na przykład świąteczny obiad albo czyjeś urodziny. Człowiek gotuje, biegnie i kupuje prezent, i po sprawie. Wiele z tych sytuacji nie zasługuje na miano przełomu, w tym wypadku jednak jest inaczej. Stoisz na progu dorosłości, Lindsey. To zapewne dla ciebie żadna nowość, lecz życie po szkole średniej ulega diametralnej zmianie.

Brad urwał, jak gdyby nie dokończył myśli. Spoglądał na Alexa, który sprawiał wrażenie poważniejszego niż zwykle. Wzmianka o przełomach zapewne nasunęła mu wspomnienie matki; wiedzona egoistycznymi pobudkami miałam cichą nadzieję, że obejdzie się bez rozmowy o Lorecie. Brad ponownie zabrał głos. Nie wiem, czy robił to na siłę, ale uśmiechał się od ucha do ucha.

- Reasumując, zachęcam cię z całego serca, abyś jak najlepiej wykorzystała ten czas. Wiem, że przez osiemnaście lat mieszkałaś w pobliżu Nowego Jorku, lecz przeprowadzka do serca miasta to coś więcej. Wstąp do kółka studenckiego, udzielaj się w klubach, podziwiaj widoki (tam jest naprawdę bardzo ładnie), kosztuj różnych potraw i zdobywaj dla nas przepisy...

Wszyscy zachichotali i zły nastrój minął jak ręką odjął. Brad życzył Lindsey powodzenia, cmoknął ją w policzek i podarował kopertę z szeleszczącym banknotem studolarowym.

- O rany! Dzięki! - zawołała Lindsey. - Nie spodziewałam się tego! Niczego się nie spodziewałam!

- Pamiętaj, żebyś zawsze miała w kieszeni trochę grosza - poradził.

- Brad ma rację - wtrąciła Mimi. - Przecież nie chcemy, żeby potencjalny napastnik odszedł z niczym!

Cała Mimi.

Moja siostra przyniosła wydziergany własnoręcznie różowy szalik długości co najmniej trzech metrów.

- W Nowym Jorku bywa straszny ziąb - powiedziała. A gdy spojrzałam na nią z politowaniem, dodała: - No co! Oglądam przecież prognozę pogody, czyż nie?

Louise też przyniosła prezent: elektroniczny budzik z rodzaju tych, jakie można kupić w drogerii.

- Dzięki niemu nie spóźnisz się na zajęcia. Daj znać, jak się popsuje, wyślę ci następny. Pamiętaj, nigdy nie afiszuj się z tym, co masz, bo ludzie będą cię oceniać po pozorach. Przykre, ale prawdziwe.

Lindsey przesłała jej pocałunek.

- Będzie jak znalazł!

O'Malley podarował jej słownik i leksykon.

- Wiem, że na pewno znalazłabyś je w bibliotece - usprawiedliwiał się - ale lepiej mieć własne, prawda? Coś w nich napisałem, żebyś nigdy nie zapomniała ani mnie, ani spędzonego z nami lata.

- Wrócę tu, O'Malley - zapewniła, po czym nachyliła się, aby go uścisnąć.

Owe dowody sympatii sprawiły, że twarz Lindsey jaśniała wewnętrznym blaskiem. Już dawno nikt jej tak nie docenił. Była wdzięczna i Bradowi, i wszystkim.

Jako danie główne Duane upiekł flądre faszerowaną mięsem kraba i podał ją ze świeżymi szparagami obsmażonymi na maśle z cytryną. Następnie z wielkim namaszczeniem zaprezentował swój numer popisowy, stawiając przed Lindsey półmisek. Była to wieża z ryb i skorupiaków oddzielonych cienkimi jak papier warstwami ciasta upieczonego z grubo zmielonym pieprzem czy może ziarnami sezamu. Wokół talerza widniały esy-floresy aksamitnego, czerwonego sosu, a wszystko zostało posypane siekaną pietruszką oraz koperkiem. Pożałowałam, że nie wzięłam aparatu.

Louise wybałuszyła oczy.

- Co to ma być, do diaska, panie Doo-wayne?

- *Tour de mer* - poinformował, okazując lekkie zniecierpliwienie.

- *Tour co?* - spytała Louise, pochrzając z lekka.

- *La mer, la mer!* Morze, morze! - Duane lubował się w dręczeniu Louise. - Na tym polega pani problem, pani Louise. Zero wyobraźni.

- Pańskiej wyobraźni starczy za wszystkich! - odparowała. Zaraz jednak nie mogła się oprzeć, żeby nie maznąć palcem odrobiny czerwonego sosu. Skosztowała i mało nie jęknęła z zachwytu. - Co to jest? Pomidory?

- Piure z granatów - odparł z pełnym wyższości uśmiechem kulinarnego snoba.

- To po prostu szczyt wszystkiego...

W wyśmienitych humorach przystąpiliśmy do jedzenia, wymieniając żartobliwe uwagi na temat ewentualnych wrażeń Lindsey, po czym rozmowa zeszła na perypetie szkolne Alexa i Gracie.

- Treningi to mordęga - oznajmił chłopiec. - Myślałem, że w Lovett było ciężko, ale tutejsi gracze to zwierzęta.

- Ale chyba jest fajnie, co? - spytał Brad.

- Tak, jeśli lubisz smak własnej krwi.

- Fuj! Obrzydlistwo! - skrzywiła się Gracie.

- Jesteś wkurzona, bo nie zostałam cheerleaderką - oświadczył Alex. - Jeszcze masz szansę.

- Też - burknęła Gracie. - A ty jesteś wkurzony, bo nadal grasz w drugim zespole! Poza tym uczestniczę w castingach na zajęcia z tańca nowoczesnego w grupie baletowej z Charlestonu, a w przerwach pracuję z panem Millerem nad projektem oczyszczania rzeki.

- Czy ktoś mi wyjaśni, o co chodzi z tym oczyszczaniem rzeki? - zapytałam.

- Mamo, ty nie masz pojęcia, co się tu dzieje. Czy wiedziałaś na przykład, że Shem Creek jest martwy?

- O czym ty mówisz? - zaproponowała Louise. - Spójrz na przystań. Widzisz tego starego pelikana? Niby co on je?

Wyjrzelśmy przez okno i rzeczywiście zobaczyliśmy ogromnego pelikana szarpiącego wnętrzności wielkiej ryby. Nie był to szczególnie zachęcający widok, zwłaszcza przy obiedzie, ale jeśli Shem Creek istotnie miałby być martwy, skąd ptak wytrzasnął tę rybę? Z rybnego targu Simmonsa? Raczej mało prawdopodobne.

- Ta ryba pochodzi z kutra - oznajmiła Gracie. - Kiedyś mogła pływać w tutejszych wodach, ale coś wam powiem: tutaj nie ma już ani ostryg, ani krewetek.

- Nadal nie wiem, na czym polega oczyszczanie rzeki - powtórzyłam i znów zostałam zignorowana.

- Przeniosły się do Zatoki Murrella? - zażartował Brad. Mimi, Louise i ja uznałyśmy to za zabawne, ale Gracie miała poważną minę. Widziałam, że zanosí się na dłuższy wykład.

- Posłuchajcie, moi państwo - zaczęła. - Pewnie myślicie sobie...

- „Moi państwo”? - powtórzył Alex. - Jeśli chcesz, żeby słuchali, nie mów jak jankeska.

- Litości - odburknęła Gracie. - Słuchajcie, wszyscy! Może być, Alex?

Chłopiec wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że oczekiwał czegoś innego, ale nie znał mojej Gracie. Dostosowałyby się do tutejszych zwyczajów jedynie na łożu śmierci, błagając lokalnych świętych o skrócenie odsiadki w czyścicu.

- Karolinie Południowej grozi katastrofa ekologiczna i jeśli czegoś z tym nie zrobimy, będzie kiepsko.

- O czym ty mówisz? - zapytał Brad. - Przecież w ciągu ostatnich dwudziestu lat wprowadzono przepisy dotyczące oczyszczania wody i segregacji śmieci. Sądziłem, że wszystko zmierza ku lepszemu. Czy ktoś mógłby mi podać sos?

- Jasne - odrzekła Mimi, podając sos Louise, która następnie przekazała go Bradowi.

- Brad ma rację, Gracie. Wszyscy segregują śmieci.

- Może wy tak, ale cała masa ludzi wyrzuca odpadki do strumienia. Właśnie na tym polega idea oczyszczania rzeki. Na wyławianiu śmieci - wyjaśniła Gracie. - Niestety, największy problem dotyczy nowych przedsięwzięć. Kojarzycie parking obok Kmarta? Ten na autostradzie numer siedemnaście?

- Wielki jak Alaska? - upewniła się Louise.

- Ten sam. Zawsze kiedy pada, czyli mniej więcej co dwa dni, woda nie ma w co wsiąkać, gdyż asfalt jej nie chłonie.

- No i co? - spytał Alex.

- No i co? No i co? - Zacietrzewiona Gracie nie dbała o dobre wrażenie. - Ja ci powiem CO. A to, że woda spływa do strumienia razem z ropą, chemikaliami z samochodów, niedopałkami oraz puszkami po coli i niszczy ikrę!

- A strumień łączy się z Shem Creek? - uzupełniła Lindsey.

- Właśnie! - oznajmiła Gracie.

- I dowiedziałas się tego wszystkiego od pana Millera? - zapytałam.

- Tak - odparła. - On jest niesamowity, mamó. Pokazał nam film o gościach, którzy zarzucili sieć na flądry w czasie przyływu. Zostawili ją tam, przyszedł odpływ i ryby zdechły. Chcecie wiedzieć dlaczego?

- Owszem - odpowiedział Brad. - Ja bardzo chciałbym wiedzieć.

- Ponieważ w czasie odpływu w wodzie nie wystarcza tlenu nawet dla flądry.

- Ohyda - mruknął Alex.

- Taa, ohyda - potwierdziła Gracie. - Jednym słowem, dziś w szkole doznałam objawienia. To naprawdę robi wrażenie, a większość ludzi nie ma o tym bladego pojęcia.

Miałam na końcu języka, że Jason Miller to pomylenieć, ale w porę się powstrzymałam. Może ów zapał nie był taki zły, chociaż miałam podstawy podejrzewać, iż fascynacja mojej córki nauczycielem wynikała głównie z faktu, że odrzuciłam jego awanse. Kto wie, może nowe zainteresowania pozwolą Gracie wznieść się ponad buntownicze idee typowe dla jej rówieśników.

- Cóż, Gracie, może i my się czegoś od ciebie nauczymy! - podsumowałam.

Wyprostowała plecy, a Alex z aprobatą pokiwał głową. Lindsey, zwykle najmniej gadatliwa z wszystkich, chrząknęła znacząco.

- O co chodzi, kochanie? - zapytałam.

- Przyszło mi do głowy, że mogłabym zapisać się na kurs biologii oceanicznej. Tak sobie tylko pomyślałam. Skoro naprawdę mamy tu mieszkać... może któregoś dnia razem z Gracie będziemy mogli, sama nie wiem, podszkolić autochtonów i jakoś zaradzić niebezpieczeństwu.

- Ach! Niezwyciężone siostry Breland podbijają świat! - uzupełniła Gracie. - Wątpię.

Później tego wieczora Lindsey, Gracie, Mimi i ja siedziałyśmy w kuchni; wcześniej zapakowałyśmy ostatnie rzeczy do obydwu samochodów. Rano czekała nas przeprowadzka.

- Zaparzmy herbatę i usiądźmy na ganku - zaproponowała Mimi. - To nasza ostatnia wspólna noc w tym domu i...

- Ostatnia, kiedy będziesz musiała brnąć przez nasze brudne ubrania, idąc do łóżka - sprostowała Lindsey.

- Robiłam to z rozkoszą - odparła Mimi - i będę tęsknić za widokiem waszych twarzączek z samego rana. Naprawdę.

- To szczyt masochizmu, ciociu Mimi - uznała Gracie.

Uśmiechnęłam się i w przyćmionym świetle kuchni zobaczyłam, że Mimi też się uśmiecha. Był to porozumiewawczy uśmiech. Podobnie jak Gracie podchwyciła żartobliwą uwagę siostry, tak mój uśmiech trafił prosto do serca Mimi.

Siedziałyśmy na ciemnym ganku, dopóki nasze oczy nie przyzwyczyły się do mroku, a uszy do odgłosów lasu oraz pobliskich bagien, i wymieniałyśmy się wrażeniami. Najpierw rozmawiałyśmy o obiedzie, Aleksie, Bradzie, śmierci Loretty i zaskakująco bezbolesnej adaptacji chłopca. Następnie poruszyłyśmy kwestię Louise i Duane'a oraz ich przekomicznego konfliktu. Potem nasze myśli przeszły na inne tory. Ale nie nasze usta. Tak byłyśmy skonstruowane. Nasza rodzina wołała nie poruszać drażliwych tematów. Krążyłyśmy wokół nich, próbując za wszelką cenę uniknąć bólu, który przecież mógłby nas czegoś nauczyć.

I tak poprzestałyśmy na drobiazgach związanych z wyjazdem Lindsey. Drobiazgach związanych z domem oraz zmianami, jakie dokonywały się w naszym życiu. Skrawkach, nad którymi mogłybyśmy debatować aż do świtu. Ale nie. Nie my. Uznałyśmy, że musimy wcześniej wstać. I że jutro będzie bardzo męczący dzień. A potem życzyłyśmy sobie dobrej nocy.

Najpierw jednak po stokroć podziękowałyśmy mojej siostrze (która obiecała rano upiec ciasteczka) i zapewniłyśmy się nawzajem o swojej miłości. I choć przeciętny obserwator wziąłby to za rutynową wymianę czułości, my wiedziałyśmy, że nie ma w tym krzty udawania. I że się naprawdę kochamy. Wiedziałyśmy, że serca kobiet nie znają przeszkód ani barier, a ich miłość jest kompletna. Taka właśnie była nasza miłość.

Rozdział dwunasty

Przeprowadzka

Słońce wstało wcześniej, niżbym sobie tego życzyła, i prześlizgnęło się przez żaluzje w pokoju gościnnym Mimi, w którym gnieździłam się od połowy lipca. Ów dzień miał oznaczać punkt zwrotny, gdyż do tej pory mogliśmy sobie wmawiać, że jak na razie tylko przymierzamy się do nowego życia. Uznawszy, że przymiarka wypadła pomyślnie, postanowiliśmy na dobre zapuścić korzenie w Lowcountry. Nawet Gracie czuła się tu bezpieczniej niż w New Jersey, chociaż twierdziła, że sama nie rozumie dlaczego. Ostatecznie stąd wywodzili się nasi przodkowie, a więc nasz powrót był niejako usankcjonowany i bynajmniej nie zasługiwał na miano przypadkowego. Jednym słowem, wróciliśmy do źródeł. Lowcountry należało do nas, a my do niego.

Mimo to powrót do Mount Pleasant stanowił najodważniejsze posunięcie w moim dorosłym życiu. Rozwód z Fredem to było coś, ale przeprowadzka tysięcy kilometrów od New Jersey robiła większe wrażenie, przynajmniej w moim mniemaniu. Wszyscy byli tak zszokowani, że nikt specjalnie nie oponował, oczywiście z wyjątkiem Gracie. A życie dawało nam odwagę, by sprostać nadarzającym się zmianom oraz wyzwaniom.

Moja młodsza córka zawzięcie starała się udowodnić wszystkim, że wszędzie czuje się jak ryba w wodzie i wszędzie - jakże by inaczej? - musi wieść prym. Dotąd wychodziło jej to wcale nieźle, nie licząc alkoholowego wysokoku na początku oraz niewyparzonego języka. Udzielała się w szkole, flirtowała z Alexem (choć gorąco temu zaprzeczała), a ochrona środowiska stała się jej nowym konikiem.

Lindsey była gotowa do wyjazdu, lecz z typową dla siebie powściągliwością maskowała wszelkie odruchy entuzjazmu. Prawdopodobnie wiedziała, że jeśli za bardzo skupi na sobie uwagę otoczenia, urażone ego Gracie" podszeptnie jej jakiś szalony wybryk, mający na celu odzyskanie utraconej pozycji. Wszystkie akceptowałyśmy fakt, że Gracie zawsze musi grać pierwsze skrzypce. Właściwie od dnia swych narodzin zazarcie walczyła o zainteresowanie. I choć nikt nie mówił tego głośno, wciąż istniała obawa, że

ucieknie do New Jersey i skończy jako narkomanka koczująca w zaułkach Newark bądź Paterson. Jednym słowem, dopóki skupialiśmy się na pozytywnych aspektach nowego życia w Mount Pleasant, osiągnięcia Lindsey schodziły na dalszy plan i nie były solą w oku dla jej młodszej siostry. Lindsey mogłaby mieć słuszne zastrzeżenia co do takiego stanu rzeczy, lecz czego się nie robi dla świętego spokoju!

Co do mnie, byłam bez reszty pochłonięta nowym zajęciem, które pod wieloma względami bardzo mnie satysfakcjonowało. Miałam elastyczne godziny pracy i jasno określone obowiązki; dopóki się z nich wywiązywałam, nikt nie stał nade mną z batem w ręku. Louise nie kwapiła się wprawdzie zrezygnować z przywództwa nad personelem, ale wcale tego od niej nie wymagałam, gdyż sama nie umiałabym egzekwować poleceń z równie niezłomną stanowczością. Funkcjonowałyśmy jako współdowódcy i taki układ wyjątkowo się sprawdzał. Kiedy Louise potrzebowała dodatkowych rąk do pracy, chętnie stawałam za barem lub chwytalam tacę, jednakże świątynia kuchni nadal stanowiła dla mnie zaklęty rewir. Osobowość O'Malleya była połączeniem hedonizmu i profesjonalizmu, a pomysły Duane'a dostarczały nam nieustannej rozrywki, jeśli nie liczyć sporadycznych wybuchów gniewu, które niekiedy stawiały sprawy na ostrzu noża. W restauracji zawsze panował ruch, dzięki czemu dni mijały bardzo szybko. Bardzo ceniłam sobie również współpracę z Bradem, który rzadko mówił coś, co brzmiało jak polecenie. Spędzał w restauracji mniej więcej połowę czasu, gdy była otwarta, i przesiadywał przy barze, rozmawiając z gośćmi. Ze swojej „grzędy” miał idealny widok na Shem Creek, który bez względu na pogodę zawsze stanowił rozkosz dla oczu.

Podsumowując, wbrew moim pesymistycznym prognozom z początku lata, życie okazało się całkiem do zniesienia, a zmiana nastąpiła praktycznie bezboleśnie.

Pogrążona w myślach przeciągnęłam się pod kołdrą. Wciągając w nozdrza woń wody jaśminowej, w której Mimi płukała pościel, uznałam, że dokonałam możliwie najlepszego wyboru. Nieważne, że nastąpił on w przypiływie paniki wywołanej szaleństwami młodszej córki. Skojarzenie z „powrotem do korzeni” było oczywiste, ale nie miałyśmy zbyt wielu możliwości, w związku z czym wybrałyśmy, czy też raczej wybrałam, rozwiązanie ze wszech miar słuszne. No bo co, miałam przeprowadzić się do Dallas?

Raz jeszcze się przeciągnęłam i nie w pełni jeszcze rozbudzona pozwoliłam sobie na niewielki przyływ szczęścia. Najważniejsze, aby moje córki czuły, że mam kontrolę nad sytuacją. A że zaprzęłam do pomocy siostrę? Przynajmniej miała misję do spełnienia, a dziewczęta zyskały okazję, by odnowić kontakt z jedyną ciotką, moja praca zaś pozwoliła im zająć się czymś pożytecznym i przy okazji podłapać trochę grosza. Tak, zdecydowanie dobrze się stało.

Pod wpływem porannego przyływu adrenaliny przewróciłam się na bok i spojrzałam na zegar. Była dopiero za kwadrans siódma. Wszyscy na pewno jeszcze śpią, zatem ja też postanowiłam trochę poleżeć. Przyszło mi do głowy, że nagrzeję piekarnik na ciasteczka Mimi. Zawsze trochę trwało, nim osiągnął pożądaną temperaturę. Potem umyję twarz, przyniosę gazetę i się ubiorę. Układałam w myślach listę zajęć, których przybywało z każdą chwilą. Odrzuciwszy kołdrę, szepnęłam: „Dziękuję, Boże. Dziękuję Ci za wszystko”. Była to modlitwa kobiety, która po raz pierwszy od lat czuła się odprężona i pełna nadziei. Czy to nie dziwne, pomyślałam, że człowiek dowiaduje się, jak bardzo był nieszczęśliwy, kiedy jego sytuacja zmienia się na lepsze?

Podczas mycia zębów jak zwykle podziwiałam nieskazitelną czystość umywalki. Chociaż zawsze ją po sobie myłam i co rano skrzętnie usuwałam każdą plamkę, zachęcając dziewczęta do tego samego, wiedziałam, że Mimi zawsze po nas poprawia, uzbrojona w gąbkę oraz butelkę płynu odkażającego. Wkrótce, a ściśle mówiąc jeszcze tego samego wieczora, ochrzcimy naszą nową umywalkę kropkami pasty i zatkamy włosami rurę odpływową. Roześmiałam się pod nosem: dopóki mieszkałam z córkami, marzenie o czystym domu było nieosiągalne, choć i później higiena pewnie szybko by mi zbrzydła.

Ubrałam się, po czym zaczęłam pracowity dzień od przeczytania gazety przy kuchennym stole. Właśnie czytałam rubrykę „Droga Abby”, kiedy na progu stała Lindsey ze szklanką soku.

- Cześć - powiedziała. - Wiesz, co sobie pomyślałam?

- Cześć, skarbie. - Odłożyłam gazetę. - Posłuchaj tylko tego. Do Abby napisała dwunastoletnia dziewczynka z dużym biustem. Pyta, dlaczego chłopcy nie cenią walorów jej umysłu. Masz ochotę na jajka?

- Też mi problem! Ja mam dwie przeprowadzki w jednym tygodniu! To dopiero ból!
Oczywiście wiesz o tym, że beze mnie nie dasz sobie rady, prawda?

Spojrzałam na moją piękną córkę i świadomość jej rychłego wyjazdu po raz tysięczny chwyciła mnie za serce. Ale nie chciałam tego okazać. Za wcześnie na łzy.

- Ryzyko jest niezaprzeczalne - odpowiedziałam. - Jajka?

- Przecież wiesz, że po jajkach mi niedobrze, mamó.

- Nalej biednej, starej matce jeszcze jedną filiżankę kawy, dobrze?

Lindsey wzięła moją filiżankę i napełniwszy ją, postawiła przede mną na stole.

- Idę się ubrać.

Niebawem kuchnia zatętniła życiem. Mimi przystąpiła do wypiekania ciasteczek, a my pilnie śledziłyśmy jej każdy ruch.

- Umiałabyś zrobić takie ciasteczka, mamó? - zapytała Lindsey.

- Nigdy w życiu - odparłam, wsuwając do ust gorące ciastko ociekające domową konfiturą figową Mimi.

- Rany! Zajebiste! - oznajmiła Gracie, smarując masłem trzecie, jeśli nie czwarte ciastko.

- Zajebiste? - powtórzyła Mimi, zerkając w moją stronę.

- Gracie, nasze pokolenie ma z tym słowem nieco inne skojarzenia.

Dziewczęta zachichotały znacząco.

Po przyswojeniu węglowodanów w ilości pozwalającej na udział w maratonie zdjęłyśmy pościel i wrzuciłyśmy ją do pralki.

- Nie chcemy ci zostawiać bałaganu - powiedziała Lindsey do Mimi.

Przechodziłam przez kuchnię z naręczem wilgotnych ręczników i mało nie zbiłam Mimi z nóg.

- Daj! Boże przenajświętszy! Zostaw to! - Odebrawszy mi ręczniki, pomaszerowała do pralni.

- Potrzebuję trochę ruchu! Serio! - zaoponowałam.

- To może zrobisz pierwszą rundkę do nowego domu? Zaraz was dogonię!

Uścisnęłam ją mocno.

- Naprawdę?

- Jedź!

Byłyśmy tak podekscytowane przeprowadzką, że aż czułam się niedorzecznie młoda. W samochodzie rzeczy piętrzyły się aż po dach.

- To niby gdzie mam usiąść? - spytała Gracie.

Lindsey poklepała się po udach i Gracie z jękiem wpełzła do środka. Wycofałam auto z podjazdu.

- Aż trudno uwierzyć, że naprawdę to robimy - oświadczyła Gracie.

- Myłaś zęby? - zapytała Lindsey. - Z gęby ci jedzie.

- Owszem, myłam. Tobie jedzie!

- Dziewczynki! Może by jednak... Jezu!

Przez całą krótką drogę Gracie chuchała na Lindsey, Lindsey na Gracie i obie wyklócały się o wybór stacji radiowej. Byłam tak skupiona na liście rzeczy do zrobienia, że prawie nic do mnie nie docierało.

- Dzwoniłam do elektrowni, firmy telefonicznej i wodociągów - wyliczałam głośno, nie zważając na fakt, że nikt mnie nie słucha. - Zamówiłam też dziennik niedzielny i zgłosiłam na poczcie zmianę adresu.

Gracie śpiewała na całe gardło, usiłując przekrzyczeć rapera. Przewróciłam oczami i skręciłam w drogę prowadzącą do nowego domu. Dziewczęta ucichły.

- Rany - powiedziała Gracie. - Wydaje się teraz mniejszy niż wcześniej.

Szczerze powiedziawszy, odniosłam to samo wrażenie.

- Na nasze potrzeby wystarczy. Musimy poczekać, aż sprzedamy dom w Montclair, wtedy kupimy coś większego. A na razie, damy sobie radę tutaj.

Przystąpiliśmy do rozładowywania bagażu i wnoszenia go po schodach. Otworzyłam drzwi i znalazłyśmy się w naszym tymczasowym domu. Poprosiłam Epsteinów o usunięcie wszystkich bibelotów; bez obrazków, książek, chodników oraz naczyń pomieszczenia robiły nieco przygnębiające wrażenie. Z drugiej strony wszystkie pokoje i kuchnia zostały odmalowane, przez co wnętrze jakby pojaśniało. Łóżka oraz pozostałe meble miały zostać, dopóki nie sprawimy sobie nowych i nie określimy, jak długo zamierzamy tu mieszkać.

- Możesz zająć większą sypialnię - powiedziała Lindsey do siostry. - Ja i tak wyjeżdżam, i w ogóle.

- Och, dziękuję Jej Wysokości!

Ostatnie słowa sprowokowały kolejną zawziętą wymianę zdań na temat skromności jednej i udręczenia drugiej ze stron; była to oczywiście kupa śmiechu, gdyż jeden pokój przypominał pudełko od zapalek, drugi zaś był tylko minimalnie mniejszy.

- Powieście swoje ubrania i jazda do samochodu! - zakomenderowałam.

Pokonałyśmy schody najpewniej z tysiąc razy, a huk zatrzaszczanych drzwi miał mi chyba towarzyszyć we śnie.

Około dziesiątej przyjechała Mimi z zakupami, a konkretnie paczką soli, mąki i cukru.

- Lepiej samemu nie kupować, bo to przynosi pecha. A może to pech, jeśli nie ma ich pierwszej nocy... Wszystko jedno! Nie pamiętam! Grunt, że trzeba je mieć.

Przywiozła również dietetyczną colę, chipsy, salsę, kukurydzę do prażenia w mikrofalówce, zupy w puszkach, mrożone dania z makaronu i pizzę, chleb, jajka oraz właściwie wszystkiego po trochu. Nie zapomniała też o latarce i zapasowych bateriach.

- Na wypadek huraganu? - upewniłam się, podnosząc lśniący, aluminiowy reflektor.

- A jakże, pączusiu!

- Nazwałaś mamę pączusiem? - spytała z niedowierzaniem Gracie.

- Tak, jestem jej pączusiem! - odrzekłam ze śmiechem.

- Chodź, pączusiu - zawołała Gracie do Lindsey. - Ostatnia tura!

- Jak ty do mnie powiedziałaś?

- Rusz tyłek, krowo - poprawiła się Gracie.

- Wiesz co, Gracie, jeśli chcesz się przyjaźnić z porządnymi dziewczętami, musisz bardziej uważać na język! - zauważyła Mimi.

- Zła wiadomość, ciociu Mimi - wtrąciła od drzwi Lindsey. - Ona nie chce się przyjaźnić z porządnymi dziewczętami.

- Nie trzaskaj... - zaczęłam. Łup!

- O rany - powiedziała z rezygnacją Mimi, po czym natychmiast odzyskała rezon. - No cóż. Jak to mówią, każdy kwiat rozkwita w swoim czasie.

Zaanektowała kuchnię i przystąpiła do wycierania mebli oraz piekarnika. Kiedy natarła na lodówkę, postanowiłam interweniować.

- Firma sprzątająca już to zrobiła - zakomunikowałam. - To naprawdę niepotrzebne.
- A widziałaś ich gąbki?

Z uśmiechem potrząsnęłam głową.

- Możesz się śmiać, ale czytałam artykuł, w którym było napisane, że gąbki to siedliska bakterii i codziennie należy je wyparzać w kuchence mikrofalowej!

- Dobrze, dobrze! Przyrzekam, że będę wyparzać gąbki!

Kiedy około południa wyjrzałam na zewnątrz, Louise właśnie wjeżdżała na podwórko. Towarzyszyła jej jakaś kobieta o latynoskim wyglądzie.

- Jest tam kto? - zawołała Louise.

- Wchodźcie! - odkrzyknęłam.

- Poznajcie Lupe! Przygotowała dla was lunch. Wiedziałyśmy, że same nic nie ugotujecie!

Louise z uśmiechem weszła po schodach; Lupe podążała za nią z kartonem wypełnionym najdziwniejszymi wiktuałami. Zrobiła sałatkę rybną w chlebie pita, grillowany bakłażan z łagodnymi papryczkami chili, zawijasy z marynowaną rzepą meksykańską oraz pudding z kleistego ryżu i mango.

- Witaj, Lupe! - powiedziałam. - Dobrze, że możemy się wreszcie poznać i zamienić kilka słów.

Cóż, trzeba przyznać, że jeśli chodzi o to ostatnie, Lupe skrzętnie wykorzystała okazję. Była spragniona rozmowy i nadawała przez dwie godziny bez przerwy. Kiedy zjadłyśmy, a potem wróciłyśmy do rozpakowywania rzeczy, znałyśmy wszystkie szczegóły obsesji Loretty na punkcie ojca. Lupe mówiła jednak głównie o Bradzie i Aleksie. Było jasne, że jest do nich bardzo przywiązana.

Lupe, Louise, Mimi i ja stałyśmy przy kuchennym blacie, używając papierowych ręczników jako talerzy. Dziewczęta urządziły łazienkę, a muzyka dudniąca z ich radioodbiornika była tak okropna, że dwukrotnie musiałam prosić o ściszenie.

- Nie słyszę własnych myśli - oznajmiłam.
- Mamo, musisz wreszcie nauczyć się doceniać...

- Powiedziałam: ciszej! - przerwałam i dodałam szeptem: - Oni wydają bardzo nieprzyzwoite dźwięki!

Po powrocie do kuchni przekonałam się, że z ust Lupe nadal płynie nieprzerwany potok mowy.

- Mówię do niego: panie Brad, Lupe prowadzi dla was dom. Ja spać w malutkiej sypialni, oni spać w pozostałe dwa. Nieważne. Cieszyć się, że Jezus pozwalać mi się nimi zajmować.

- Amen! - skwitowała Louise. - Niech się dzieje wola Boża!

- Uhm - potwierdziła Lupe. - Ja wiedzieć coś, o czym nie wiedzieć nikt.

- Co takiego? - spytałam.

- A to, że jego sekretarka Amy, która próbować zaciągnąć go do łóżka, przyjechać do miasta i obserwować jego dom. Ona przyjeżdżać co rano i siedzieć w samochodzie.

- Boże miłosierny! - wykrzyknęła Mimi. - Przecież to naruszenie prywatności!

Lupe trajkotała przez całe popołudnie, podczas gdy ja krzątałam się jak w ukropie, usiłując nadać domostwu pozory prowizorycznej przytulności. Próbowałam przy tym zignorować Lupe, która nie wiedzieć czemu okropnie działała mi na nerwy. Pewnie przez to swoje gadulstwo. Widziałam, że Louise też jest poirytowana, Louise jednak należała do starej szkoły, wedle której każdy powinien pilnować swego miejsca w szeregu. Mimi natomiast okazała się wymarzoną słuchaczką. Jeśli Lupe cierpiała na brak audytorium, Mimi cierpiała z powodu ograniczeń swego ciasnego świata. Co do mnie, nie podobało mi się, że dawna sekretarka Brada przyjechała tu na przeszpiegi. Bardzo mnie to wzburzyło. Wreszcie, nie mogąc dłużej znieść paplaniny gosposi, poszłam do Louise.

Stała na tarasie, wycierając plastikowy stół, którego już dawno nie potraktowano gąbką. Obok niej widniał stos brudnych papierowych ręczników.

- Louise! Nie musisz tego robić!

- Zobacz, jaki brudny! Poza tym jeśli ta kobieta nie przestanie gadać, to chyba zwariuję.

- Powiedz jej, że musisz już jechać. Naprawdę! Dam sobie radę, mam do pomocy dziewczęta!

- Oszalałaś? Lupe pucuje kuchenkę, a twoja siostra szafki! Masz tutaj więcej rąk do pracy niż...

- Posłuchaj, Louise - oznajmiłam, zaglądając przez rozsuwane drzwi do kuchni opanowanej przez Mimi i Lupe. - To nieważne. Lupe musi zniknąć. I to zaraz.

Louise popatrzyła na mnie bez słowa.

- Nie wiem, jak pan Brad to znosi - powiedziała wreszcie. - Ten człowiek jest święty. Na szczęście w ciągu dnia ma spokój.

- Ze szpiegiem pod domem? - podpowiedziałam.

- Jeszcze tego tylko brakowało!

- Ja mu powiem - oświadczyłam i wraz z tymi słowami nastąpiło przesunięcie punktu ciężkości w stosunkach pomiędzy mną a Louise.

Zazwyczaj wszystko, co docierało do uszu Brada, najpierw przechodziło przez Louise. Troszczyła się o niego jak nikt. Niniejszym zaś udzieliła mi błogosławieństwa, bym zwróciła się doń bezpośrednio, i to w tak delikatnej sprawie.

- Tylko nie zapomnij - upomniała. - Byle szybko.

- Możesz na mnie polegać. Podziękowałam jej serdecznie za lunch.

- Podziękuj tej gadule Lupe - odpowiedziała. - Ja chciałam tylko rzucić okiem na wasz bałagan.

Wiedziałam, że to nieprawda. I że Louise przyjechała tu z czystej życzliwości.

Zostałam na tarasie i dalej czyściłam stół, aż odzyskał dawną biel, co wymagało zużycia sporej ilości proszku do czyszczenia.

Wreszcie Mimi przyszła do mnie, aby pochwalić się swymi dokonaniem.

Cudownie było mieć taką siostrę.

- Widzisz? Wszystkie szklanki i talerze powstawiałam do tej szafki. Opłukałam je w zmywarce, bo od chwili waszego przyjazdu leżały owinięte w gazety.

- Nie mam pojęcia, po co w ogóle je przywoziłam. Jak mam ci się odwdziaczyć, Mimi?

- Spokojna głowa, później coś wymyślę. - Sięgnęła po torebkę i przeczesła palcami włosy. Na jej czole perliły się krople potu; widziałam, że jest bardzo zmęczona. - A propos, dałam Lupe dwadzieścia dolarów. Mam nadzieję, że nie zapomniałaś o Louise.

Oniemiałam.

- Ja, no cóż, nie wydaje mi się...

- Skarbie, chyba nie sądzisz, że przyjechały tu bezinteresownie?

Na jej twarzy odmalował się dziwny wyraz: chyba zrozumiała, że wprawdzie Lupe była gosposią Brada, ale Louise należała do grona moich przyjaciół. Trudno nie zgadnąć, że Mimi nie miała przyjaciół wśród ludzi o ciemnej skórze.

- Cóż, może Lupe nie, ale...

- No tak, oczywiście masz rację. - Cmoknęła mnie w policzek. - Najważniejsze, że trochę tu ogarnęliśmy. Zadzwoń później.

Wiedziałam, co myśli. Jej zdaniem lata pobytu na Północy sprawiły, że moja wrażliwość społeczna stanowczo niedomagała. Moim zdaniem było wręcz przeciwnie.

Dzwonek telefonu mało nie przyprawił mnie o zawał. Gracie pobiegła odebrać.

- Jasne - powiedziała do słuchawki. - Na pewno! - Spojrzała na mnie. - Dzwoni Alex, mamó. Możemy iść wieczorem do kina? Z Lindsey? Pan Jackson obiecał, że nas zawiezie i przywiezie.

- Naturalnie.

Najgorszą robotę miałyśmy za sobą. Niewielka ilość rzeczy okazała się istnym wybawieniem, przynajmniej rozpakowywanie nie trwało kilku tygodni. Zajrzawszy do szafy z pościelą, nie mogłam zrozumieć, po co wiozłam tu aż z New Jersey stare poszewki i ręczniki. Pomyślałam, że jak tylko uda mi się pozbyć domu w Montclair, urządzę wyprzedaż wszystkich pozostałych szpargałów, a za uzyskane pieniądze kupię nowe puchowe poduszki oraz pościel z wysokogatunkowej bawełny.

Po upływie godziny z podwórka dobiegł odgłos klaksonu. To Brad i Alex przyjechali po dziewczęta. Pytali, czy pojedę z nimi, ale byłam tak wykończona, że pewnie zasnąłabym na reklamach. Wsadzwszy córkom po banknocie dwudziestodolarowym do każdej z rąk, pospiesznie wyprawiłam je z domu z życzeniem dobrej zabawy.

Następnie usiadłam na fotelu pana Epsteina i uniosłam podnózek. Od chodzenia po schodach rozboleły mnie nogi, a i ręce dawały o sobie znać. Natarłam je balsamem, starannie rozmasowując obolałe kostki.

Zapadał zmierzch, moja ulubiona pora dnia. Mimi i ja w dzieciństwie nazywałyśmy ją magiczną. Wiedziałyśmy, że rodzice siadali w gronie znajomych na ganku, racząc się po kolacji dżinem z tonikiem bądź kieliszkiem bourbona. W cienkich piżamkach, z włosami jeszcze wilgotnymi po kąpieli, na bosaka biegłyśmy na podwórko, aby pobawić się jeszcze chwilę przed snem. Na horyzoncie zawsze widziałyśmy frachtowiec; wyobrażałyśmy sobie, że płynie do jakiegoś egzotycznego portu. „Zabierz nas do Zanzibaru!” - wołałyśmy. Nie musiałam ruszać się z fotela; i bez tego wiedziałam, że niebieski odcień nieba nabiera głębi, upstrzony pasmami czerwieni. Wiedziałam też, że gwiazda wieczorna zawisła w górze obok półksiężyca, i że nadciąga przypyływ. Musiałam zasnąć, gdyż nagle zobaczyłam, że obok mnie, na ceglanym obramowaniu kominka, siedzi starszy mężczyzna. Miał siwe włosy, ubrany był w beżowy sweter z guzikami i szare spodnie. Splótł ręce na kolanach i wydawał się bardzo zadowolony. Mówił, że to bardzo miły dom, i że dobrze słyszeć w nim śmiech młodych kobiet. Poprosił, abym opowiedziała mu o Lindsey. Następnie zapytał o Gracie i wysłuchał mnie z powagą na twarzy. Jego zmartwiona mina wydała mi się niepokojąca, ale nie pamiętam, czy zapytałam o jej przyczynę. Potem wyszedł, a ja zwinęłam się w kłębek z postanowieniem, że poleżę tak do powrotu dziewcząt. Nie byłam głodna, jedynie zmęczona.

Było już zupełnie ciemno, kiedy na zewnątrz usłyszałam kroki.

- Kto tam? - zawołałam.

- Przywieziono kolację, szanowna pani!

Brad. Spojrzałam na zegarek. Wpół do dziesiątej. Przespałam ponad dwie godziny. Zwlokłam się z fotela i przyglądając włosy, podeszłam do drzwi, zapaliwszy po drodze światło.

- Boże, ale ciemności! Zasnęłam! Wejdz, proszę!

- Jak ty wyglądasz! Idź się umyj! Padasz z nóg!

- Idę!

Bardzo miło z jego strony, że pomyślał o kolacji, pomyślałam. To coś więcej niż tylko przejaw życzliwości. Przejrzałam się w lustrze. Na policzku miałam ślady po guzikach z tapicerki fotela. Ochlapałam wodą twarz i przepłukałam usta. Gdzie moja szczotka? Otworzyłam prawą górną szufladę i rzeczywiście, była tam, gdzie

własnoręcznie musiałam ją schować. Zamarłam na chwilę: nie przypomiinałam sobie, abym rozpakowywała kosmetyki i przybory toaletowe. Cóż, pewnie zrobiła to któraś z dziewcząt. Będę musiała im podziękować.

- O rany! - zawołałam po powrocie do kuchni. - Zasnęłam na fotelu! Co za dzień!

- Kieliszek czegoś mocniejszego? - zapytał Brad, podając mi białe wino.

- Jeszcze jak! Dzięki! Wznieśliśmy kieliszki.

- Moje gratulacje! - powiedział.

- Dziękuję! Bez ciebie nic bym nie zdołała!

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Upił łyk, po czym podał mi zapakowany w karton plastikowy pojemnik. - Smażone krewetki, frytki i surówka z kapusty.

- Bomba! Chodźmy na mój wielki taras, hm, palazzo!

- Palazzo. Cóż, skoro tak twierdzisz. Dom wygląda, jakby przeszedł w nim huragan.

- Najważniejsze, że uporałyśmy się z większością pudeł, czyli najgorsze mamy już za sobą. Jutro powiesimy obrazki i trochę tu ogarniemy. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy w New Jersey, zastanawiam się, czy w ogóle je zabierać. - Rozsunęłam drzwi i postawiłam kolację na stole. - Usiądźmy. Zgadnij, kto nas dzisiaj odwiedził.

- Louise? Wspominała, że chce zobaczyć, jak wam idzie. - Brad usiadł przy stole i postawił na blacie wino.

- Tak, ale przywiozła ze sobą Lupe!

- To dopiero musiała być jazda, co?

- No. Mam za zadanie powiedzieć ci coś ważnego...

- Co takiego?

- Przede wszystkim, Lupe doprowadziła nas dziś do białej gorączki, ale to nieistotne.

- No i?

- No i nieopatrznie chlapnęła, oczywiście w wielkiej tajemnicy przed tobą, że twoja dawna sekretarka od kilku dni nie spuszcza cię z oka.

- Amy? Amy jest tutaj?

- Na to wygląda.

- Czemu po prostu nie zapukała do drzwi?

- Bo to niebezpieczna wariatka?
- Dlaczego Lupe nic mi o tym nie powiedziała?
- Może nie chce się wtrącać w nie swoje sprawy.
- Może. Jesteś pewna, że to Amy?
- Nie. Skąd mogłabym to wiedzieć? Ale Lupe najwyraźniej wie, co mówi. Doszłam

do wniosku, że powinieneś o tym wiedzieć.

- O rany! To ci dopiero! Co też jej przyszło do głowy?
- Mnie nie pytaj.

Zajadając krewetki z frytkami, patrzyłam na Brada, który po raz drugi ze szczegółami opowiedział mi historię o Amy.

Co się tyczy mężczyzn, jedno wiedziałam na pewno: żaden nie przepuściłby takiej okazji. Bez dwóch zdań.

Brad niezwłocznie skontaktuje się z Amy i skorzysta z tego, co podsuwał mu los. Diabli nadali Amy, i to akurat gdy zaczęłam wiązać z Bradem pewne nadzieje. Szczwana lisica. Przywiózł mi krewetki, wielkie rzeczy. Widziałam po jego minie, że dla niej kryje w zanadrzu coś znacznie lepszego.

Rozdział trzynasty

Cztery kobiety i pożegnanie

Czas, który pozostał do wyjazdu Lindsey, kończył się nieubłaganie. Dni przypominały rzędy starannie ustawionych kostek domina; jeden ruch ręki i padały jedna na drugą według ściśle określonego schematu. Klik, klik, klik, mijały dni, dla mnie za szybko, lecz z całą pewnością zbyt wolno dla Lindsey.

Życie nastolatki było ni mniej, ni więcej jak tylko oczekiwaniem na początek życia prawdziwego, wypełnionym lękami związanymi z przyszłością. My, dorośli, rozumiemy, że wraz z każdą upływającą minutą przyszłość przechodzi do historii, a czas jest pojęciem względnym. Nastolatek natomiast ma wrażenie, że najlepszą część życia spędza w niesprawiedliwym zawieszeniu. Najpierw musi czekać na zdjęcie aparatu z zębów, aby móc się swobodnie uśmiechnąć. Potem czeka na prawo jazdy, żeby samemu pojechać do kina bądź odwiedzić kolegę, a od wyboru uczelni zależy, kim będą jego dożgonni przyjaciele i jak potoczy się kariera zawodowa.

Patrzyłam, jak Lindsey studiuje programy nauczania i wybiega poza przedmioty na pierwszym roku, rozważając poszczególne specjalizacje. Jej wybitnie ścisły umysł oraz niespożyta ciekawość świata predysponowały ją do praktycznie każdego zawodu. Miała w sobie potencjał, który należało tylko odpowiednio rozwinąć.

Moje życie stanowiło przeciwieństwo życia moich córek. Każda godzina wypełniona była czymś pilnym do zrobienia, a dni upływały w zastraszającym tempie, które zdumiewało nawet mnie samą.

Miałyśmy za sobą szalone lato, a ostatni tydzień był najgorszy ze wszystkiego. Przed kilkoma tygodniami wystąpiłam o przyznanie Lindsey karty płatniczej, którą przysłano w poniedziałek pocztą. Uznałyśmy, że to bezpieczniejsze niż trzymanie w akademiku gotówki i praktyczniejsze niż czeki.

We wtorek zaniósłmy na pocztę jej rzeczy; wysyłała książki, radio, płyty oraz ubrania, które miały jej wystarczyć do Święta Dziękczynienia. W środę kupiliśmy karty telefoniczne oraz przepiękne buty na wyprzedaży u Boba Ellisa.

- Dzięki za wszystko, mamó - powiedziała, kiedy wracałyśmy na parking przy George Street. - Wiem, że wydałyśmy więcej, niż zaplanowałam.

- Nie szkodzi, skarbie - odparłam. - Tak naprawdę to jeszcze za mało.

- Co masz na myśli?

- A to, że nie mogę ci pomóc w urządzeniu nowego pokoju. Chciałabym pojechać z tobą do domu towarowego i wrócić do akademika ze stosami poduszek i ręczników.

Niestety, będziesz zdana na pomoc Miss Doskonałości. To przygnębiająca wizja.

- Mówisz o Patti?

- Owszem.

- Mamó! Ona nie proponowała mi żadnej pomocy! A jeśli to zrobi, grzecznie jej podziękuję.

- Nie, nie. Niech ci pomoże. Najwyżej będziesz miała zasłony w małpki.

Lindsey szturchnęła mnie łokciem w żebra i pośmiałyśmy się chwilę.

- Jesteś okropna, mamó!

Przystanąłam, zdjęłam okulary przeciwsłoneczne i spojrzałam badawczo na twarz córki.

- Tak bardzo chciałabym być przy was, kiedy wkraczacie w kolejne etapy życia.

Dotychczas jakoś mi się to udawało, a teraz... do diabła, Lindsey, powinnam była przed laty położyć ci na głowie cegłę, żebyś nie rosła!

- Mamó!

- I co ja teraz zrobię?

- Nic. Za późno. - Otoczyła mnie ramieniem i uścisnęła. - Jestem już duża.

- Jesteś wspaniała.

- Wiesz co? Może kupię aparat cyfrowy i będę ci wysyłać zdjęcia e-mailem?

Przecież możesz je odbierać w restauracji, prawda?

- Boże! Nie przyszło mi to do głowy! Codziennie będziesz mogła do mnie pisać!

Poczułam się lepiej, przynajmniej do następnego dnia. W czwartek bowiem (tak, owego dnia był czwartek) miałam przyjemność poznać Amy.

Brad przyszedł do pracy w opłakanym stanie. Miał opuchnięte usta i oczy oraz rozwichrzone włosy.

Louise i ja roztrząsałyśmy właśnie w kuchni sprawy wagi państwowej, kiedy nasz szef wpadł nieprzytomny do środka, rozglądając się za gorącą kawą. Louise spojrzała na mnie, ja na nią i jednocześnie wybuchnęłyśmy śmiechem. Znacie mnie. Nie potrzebuję zachęty, żeby dopiec przełożonemu.

- Ciężka noc, Brad?

- O mój Boże - odpowiedział. - Jestem na to za stary.

- Źle się pan czuje, panie Brad?

- Nie, jestem tylko trochę zmęczony. Mało spałem. Wiedziałyśmy, że miał randkę z Amy, bo sam nam to zakomunikował poprzedniego dnia.

- Podeszedłem do jej samochodu - oznajmił - i mówię: „Witaj, Amy! Jak miło cię widzieć!”.

- Nie przeszkadza ci, że przesiadywała pod twoim domem? - zapytałam. - W moim świecie byłoby to trochę dziwne!

- Wiem, wiem - skwitował. - Tak czy siak, zaprosiłem ją na kolację.

- Zagięła na niego parol, ot co! - oświadczyła Louise.

- Jak poszła randka z Amy? - zapytałam teraz.

- Jeśli tu przyjdzie, powiedzcie, że mnie nie ma, dobrze? Mówię poważnie.

Rzucił nam błagalne spojrzenie. Pokiwaliśmy głowami.

- Nie ma sprawy - odpowiedział Duane.

- Boże miłosierny! - zawołałam.

- Ekhem - uzupełniła Louise.

Brad z całą pewnością nie należał do długodystansowców. Kiedy Duane wręczył mu kubek z kawą, natychmiast wyszedł z kuchni i skierował się w stronę tarasu, spragniony świeżego powietrza. Podążyłam za nim. Stał przy balustradzie, spoglądając na wodę.

- Co się, do licha, stało?

- Co się stało? Co się stało? Ta kobieta to mordercza maszynka do seksu! Oto, co się stało!

- A niech mnie! Mówiłam ci, że to wariatka!

- Żebyś wiedziała! Musiała mnie zawieźć na pogotowie...

- Co?

- Tak! Na pogotowie!

- Muszę spytać, dlaczego, czy mam poczekać na wyciąg z ubezpieczenia?

- Jeszcze nie mamy ubezpieczenia. Dość rzec, że doznałem arytmii serca spowodowanej splotem wydarzeń, ale podobno nie był to atak serca.

- Splotem wydarzeń?

- Stres...

- No jasne, jesteś zestresowany. - Czułam, że jeszcze chwila i nie wytrzymam. - Przenosisz się do Shem Creek, otwierasz restaurację, a tu nagle twoja żona ma czelność dać się przejechać przez samochód! Raz-dwa stajesz się pełnoetatowym rodzicem! Starczy, żeby się nabawić arytmii serca. Mam rację?

Patrzył na ptaki pogrążony w myślach, które w ogóle nie powinny mnie interesować. Miałam to w nosie.

- Przyznaj się, co zrobiłeś? Chyba nie wziąłeś viagry? To świństwo zabija.

- Cholera! Viagry? - Wybuchnął śmiechem. - Odbiło ci?

- Zwracano się do mnie w gorszy sposób.

- Nie! Piłem czerwone wino i jadłem czekoladę! Od tego wszystko się zaczęło!

- Arytmia?

- Tak. Czułem, jakby serce miało mi wyskoczyć z piersi.

- Rozumiem. - Trąciłam go w ramię. - A może by tak dać się przebadać, co?

- To pewnie dobry pomysł.

- Ja to załatwię. I to zaraz.

Po pierwsze opowiedziałam o wszystkim Louise.

- Myślisz, że z nią spał?

- Czekolada i czerwone wino mówią same za siebie. Zadzwoiłam do Mimi.

- Słuchaj, pamiętasz lekarza, z którym umówiłaś się parę tygodni temu?

- A co, widziałaś go z inną kobietą?
- Nie! Co to za lekarz?
- Masz łuszczycę?
- Aaa, dermatolog?

Kiedy wyłuszczyłam jej przyczynę swego zainteresowania, Mimi tak się przejęła, iż mogłam być pewna, że w przeciągu doby Brad znajdzie się w rękach uznanego kardiologa.

Poszłam go poszukać. Po drodze mało nie wpadłam na nieznaną kobietę.

- Przepraszam! - zawołałam. - W czym mogę pomóc?
- Szukam Brada.

Wystarczyło jedno spojrzenie na jej przykrótkie spodenki, kusą bluzkę, idealną opalenizną oraz wypielegnowane paznokcie u stóp i już wiedziałam, z kim mam do czynienia. Amy. Czy wspomniałam o jej miniszortach?

Pogubiłam się, jak zwykle w chwilach zdenerwowania.

- Hm, był tutaj, ale, hm, o rany, hm, chyba wyszedł. Zaraz sprawdzę. Ale nie! Na pewno wyszedł! Pojechał do banku. Nie! Nie do banku. Do Lowe'a! Właśnie! Chyba pojechał do Lowe'a! Ale lepiej sprawdzę.

Ta mała latawica Amy, która była co najmniej piętnaście lat młodsza ode mnie, stała tam i patrzyła na mnie jak na wariatkę. Zapewniam was, że tylko chwilowo straciłam rezon. Jej nastawienie nie przypadło mi do gustu. Zbyt agresywna. Nie, wcale mi się nie spodobała. Poszłam do kuchni i okrążywszy centralne stanowisko kucharza, udałam się z powrotem do sali.

- Nie! Wyszedł. Pojechał do Lowe'a. Dokładnie tak jak myślałam. Tak. Pojechał do Lowe'a.

Wiedziała, że kłamie; nigdy nie byłam w tym zbyt dobra. W tej samej chwili za jej plecami stanął Brad, który właśnie wyłonił się zza drzwi. Wytrzeszczyłam oczy, próbując dać mu do zrozumienia, aby się wycofał, ale Amy odwróciła głowę.

- Co się z panią dzieje? - rzuciła pod moim adresem i podeszła do Brada, po czym cmoknęła go w policzek. - Jak się czujesz, kotku?

- Dobrze, bardzo dobrze - odpowiedział. - Naprawdę. - Wyszli z restauracji, a ja zostałam w środku, czując się jak ostatnia kretynka.

Twarz mnie paliła ze wstydu. Spojrzałam na O'Malleya, który szykował się do otwarcia baru.

- Niezła, co?

- Te kobiety z Jersey to istne diablice! Powiem ci...

- Do diabła, O'Malley! On podobno nie chciał jej widzieć!

- Cóż, starałaś się, jak mogłaś.

- Mniejsza z tym. Masz rachunki?

- Tak - odpowiedział. - Zaraz ci dam. - Przerwał rozkładanie miniaturek, a następnie sięgnął pod ladę i podał mi kopertę.

Usiadłam przy kontuarze i zaczęłam przerzucać papiery, nie mogąc się nadziwić ilości sprzedawanego rumu. No cóż, upał, tłumy domagały się egzotycznych drinków. Oczywiście opowiedziałam O'Malleyowi o palpacjach Brada. Oświadczył, że to częsta przypadłość, na co ja odparłam, że w życiu o niej nie słyszałam. Co do jednego byliśmy zgodni: Brad pójdzie na badania, czy mu się to podoba czy nie.

- Nie sądzisz, że wizyta u lekarza sprawia człowiekowi prawdziwą ulgę? - spytał O'Malley.

- Tak - odrzekłam. - Tak jakby na wszystko było lekarstwo. Pójdiesz do staruszka po akademii, a on postawi cię na nogi, no nie?

- Dokładnie.

Po kilku minutach Brad wrócił do lokalu, z manifestacyjną nonszalancją przepłynął przez salę, po czym usiadł przy barze i podparł się łokciem. O'Malley i ja wymieniliśmy spojrzenia.

- Hm, przepraszam łaskawego pana - zagaiłam. - Nie sprawia pan wrażenia człowieka, który chciał kogoś unikać!

- Kazałem jej wrócić do Atlanty - odparł. - Powiedziałem, że nie jestem gotowy na nowy związek.

- Niemożliwe! - Czułam, że kłamie. - I co ona na to?

- Że chciała tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Nie wiem, czy wam o tym wspominałem, ale widziała nekrolog Loretty i bardzo się przejęła. To wszystko.

- Łzesz jak z nut - oznajmiłam. - Ta kobieta planowała się tu przenieść i zawładnąć twoim życiem.

- Nie chcę się wtrącać - wtrącił O'Malley - ale Linda ma rację. Przyszła tu ubrana jak na podryw.

- No cóż, myślę, że spodziewała się zobaczyć luksusową restaurację, wielką posiadłość i stadninę koni. I pewnie sądziła, że Alex jest w szkole z internatem. Myślę też, że incydent z pogotowiem nieźle ją przestraszył.

- Myślisz, myślisz, myślisz. Super! Dobrze, że w ogóle myślisz! - rzuciłam ostro, sama nie wiem dlaczego. Zaczerwieniłam się pod ich spojrzeniami. - No co? - burknęłam z akcentem kierowcy ciężarówki z Jersey.

- Nic! - odparł O'Malley, wracając do pracy.

- Zupełnie nic! - dorzucił Brad i poszedł.

Wiedziałam, że obaj uśmiechają się pod nosem. Brad też, chociaż widziałam jedynie tył jego głowy.

- Jak sobie chcecie! - warknęłam i wróciwszy do biura, zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Przez resztę dnia przekopywałam się przez stosy rachunków, odbierając telefon tylko wówczas, gdy zadzwonił więcej niż cztery razy. Dzwoniła Mimi. Znalazła lekarza i umówiła Brada na wizytę.

- To gość z Duke - oznajmiła z przekonaniem znawcy tematu. - To ośrodek specjalizujący się w tego rodzaju dolegliwościach. Zresztą... - Trajkotała jak nakręcona; wreszcie podziękowałam i przełączyłam ją do Brada.

Gracie zadzwoniła po lekcjach.

- Muszę dzisiaj przyjść do pracy? To ostatni dzień Lindsey, mogłybyśmy pójść na plażę?

- Lepiej zapytaj Louise - odpowiedziałam. - To ona decyduje.

- A co tam, mogę się urwać.

- Zrobisz, jak uważasz.

- Jesteś zła?

Zapewniłam ją, że nie, ale z mojego tonu wywnioskowała, że nie pochwalam takiego podejścia do pracy.

Wreszcie nadszedł wieczór i poszłam pożegnać się z Louise.

- Jutro wyjeżdża?
- Tak. Boże, nie mogę w to uwierzyć.
- Może weźmiesz wolne?

Zastanowiłam się przez chwilę, rozważając możliwość popełnienia przestępstwa, od którego odwiódłam Gracie.

- Przyjdę na pół dnia. Muszę zająć się rachunkami.
- No dobrze. Aha, jutro przywożą to urządzenie do ryb, które zamówiłaś razem z

Doo-wayne'em.

- Świetnie!
- Tak i, hm...
- O co chodzi?
- Nie widziałam tej całej Amy. Szlag by to trafił.
- Zdzira z piekła rodem - oświadczyłam. Brwi Louise wystrzeliły w górę.
- Mogłaby być jego córką.
- Ekhem. - Brwi Louise ponownie sięgnęły sufitu.

Popatrzyła na mnie z uśmiechem, a ja pomyślałam, że bardzo ją lubię. Zaczyna kobieta.

Po południu następnego dnia Mimi, Gracie i ja odwiozłyśmy Lindsey na lotnisko. W samochodzie pełnym zazwyczaj rozgadanych kobiet panowała niemalże grobowa cisza. Obyło się bez awantur o wybór stacji; ba, nawet nie włączyłyśmy radia. Dziewczęta darowały sobie kłótnie o miejsce. Przystanełyśmy opodal wejścia i wysiadłam, żeby pomóc Lindsey z bagażami.

- Zaparkuję i spotkamy się w restauracji - zaproponowała Mimi.
- Dobrze - odpowiedziałam.
- Pojadę z ciocią - odezwała się Gracie. A kiedy Mimi czule ją poklepała, dodała: - No co? Jest stara! Może się zgubić!

Mimi trzepnęła ją w kolano i potrząsnęła głową.

- Kto tu jest stary? - rzuciła przez opuszczone okno i odjechała. Wyglądało na to, że na dobre zjednała sobie krnąbrne serce mojej młodszej córki.

Lindsey okazała bilet i po oddaniu bagażu otrzymała kartę pokładową.

- Chodźmy czegoś się napić - zaproponowała.

W chwili gdy kelner stawiał przed nami szklanki, zjawily się Mimi i Gracie.

- Proszę - burknęła Gracie, kładąc przed siostrą naręczce czasopism. - Cobyś nie mówiła, że ci nigdy niczego nie dała.

- Świetna angielszczyzna, kretynko - odrzekła Lindsey.

- Wal się, jeszcze za mną zatęsknisz - odparowała Gracie i sięgnęła po menu. -

Umieram z głodu!

- Jedyny plus ucieczki Lindsey... - zaczęła moja siostra.

- Ja wcale nie uciekam!

- Wiemy, skarbie! - uspokoiła ją Mimi, puszcżając oko. - Jak już mówiłam... jedyny plus jest taki, że Gracie nie będzie miała się z kim kłócić.

- Aha - odparła Lindsey. - Powinnyście usłyszeć ją i Alexa! Posiłek upłynął nam na pustej wymianie zdań. Jak zwykle: paplanina, mija czas, po czym nadchodzi nieunikniona chwila, a my zbywamy ją zdawkowym skinieniem.

- Lepiej już chodźmy - stwierdziłam.

Zapłaciwszy rachunek, ruszyłam z Mimi, z torbą Lindsey przewieszoną przez ramię. Gracie i Lindsey szły przed nami.

- Nie ma jak siostry - powiedziałam do mojej siostry.

- Spójrz na nie - odrzekła.

- Spójrz na nas! Gdzie byłabym bez ciebie? Mówię serio!

- Wiem! Ani chybi skończyłabyś w rynsztoku! Ale wiesz co?

- No?

- Gracie będzie tęsknić za Lindsey.

Mimi miała całkowitą rację. Zobaczyłam drgające ramiona Gracie i myślałam, że dziewczęta z czegoś się śmieją. Zaraz jednak Gracie przystanąła, a Lindsey otoczyła ją ramionami; wtedy zrozumiałam, że moja młodsza córka płacze. To wystarczyło. Podbiegłam do nich, a kiedy Lindsey wybuchnęła płaczem, ja też nie dałam długo na siebie

czekać. Nie czułyśmy się na siłach ukryć emocje, chociaż zdaniem Mimi publiczne lanie łez było nie do przyjęcia.

- No co wy? Weźcie się w garść! - upomniała nas, wyciągając z kieszeni pęki chusteczek. - Ludzie patrzą!

Jej oczy również napełniły się łzami. Jakżeby inaczej? Aż do Święta Dziękczynienia miało wśród nas brakować jednej osoby ze stałego grona. Koniec świata!

- Chodź no tutaj, kochanie! - Otoczyłam ją ramionami.

- Jak ty wytrzymasz z Gracie? Zamordujesz ją w afekcie!

- Przymknij się, kretynko.

- Cicho, Gracie! Nie zamorduję. Przyrzekam. Zobaczysz. Jedź już. Ucz się! Zdobywaj piątki! Chcemy być z ciebie dumne! - Hałaśliwie pociągnęłam nosem. - Kocham cię. Wszystkie cię kochamy. Bardzo.

Lindsey przerzuciła torbę z jednego ramienia na drugie. Objęła Mimi, Gracie, po czym wróciła do mnie. Patrzyła tak, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół mojej twarzy.

- Wszystko będzie dobrze, mamó. Naprawdę.

- Wiem.

- Zadzwoń wieczorem, dobrze?

- Tylko spróbuj tego nie zrobić!

Patrzyłyśmy, jak przechodzi przez bramkę ochrony. W połowie długości korytarza przystanęła i odwróciła się, żeby nam pomachać. Przesłałam jej pocałunek. Wydawała się taka młoda. Mimi zarzuciła mi rękę na ramię, a Gracie objęła mnie w pasie. Stałyśmy tak, dopóki Lindsey nie zniknęła nam z oczu.

- Jedźmy do domu, mamó.

Nie wiem, czy zrobiła to celowo, ale nazwała Lowcountry domem. Wtedy zrozumiałam, że wszystko się ułoży.

Rozdział czternasty

Ale zabawa!

W ciszy panującej w domu brzęczyk telefonu zabrzmiał niczym dźwięk syreny alarmowej. Minęła dziesiąta, Lindsey zadzwoniła wreszcie, aby poinformować, że bezpiecznie dotarła na miejsce. Fred i Patti odebrali ją z lotniska Newark i zabrali na kolację do Knickerbocker's, lokalu w pobliżu akademika. Lindsey była rozentuzjasmowana.

- Właściwie to nie byłam głodna, przecież jadłam przed odlotem, ale nie odmówiłam.

- Nie chcę narzekać jak stara zrzęda, ale dochodzi północ! Martwiłam się!

- Mamo! Jest dopiero kwadrans po dziesiątej!

- Wszystko jedno!

- No dobrze, przepraszam. Powinnam była zadzwonić do ciebie zaraz po wylądowaniu, ale zagadaliśmy się i w ogóle. W każdym razie we wtorek mamy dzień adaptacyjny, zajęcia rozpoczynają się dopiero w środę, dlatego jutro pomogę Patti w sklepie i przygotuję dinnero. W poniedziałek pomogę jej przy inwentaryzacji i wrócę do siebie po obiedzie. W Święto Pracy jej sklep jest nieczynny. Mam nadzieję, że moja współlokatorka (oby okazała się sensowna!) zdąży do tego czasu przyjechać, a ja rozpakuję swoje rzeczy. Dziś nocuję u taty. Patti będzie mi płacić dziesięć dolarów za godzinę! Czy to nie wspaniałe? Och, jestem taka podekscytowana!

- Tak! To wspaniałe. Czym będziesz dojeżdżać do Essex Falls i z powrotem?

- Wsiądę w autobus na Port Authority. Żaden problem.

- Lindsey! Tylko uważaj! Na Port Authority roi się od zbrojeńców i meneli! I jak tam brudno! Będziesz musiała potem szorować podeszwy!

- Mamo, jeździłam tą trasą, odkąd skończyłam dwanaście lat!

- Nieprawda!

- Owszem, prawda! I Gracie też!

Ostatnia informacja kosztowała mnie dziesięć lat życia. Poza tym myśl o komitywie Lindsey z Patti bynajmniej nie przypadła mi do gustu. Pewnie byłam trochę zazdrosna. Kto wie? A zresztą, kogo obchodzi ta cała Patti?

- Jesteś tam, mammo?
- Tak, zamyśliłam się...
- Na jaki temat?
- Swoich ud. Muszę przejść na dietę.
- Wcale nie. Ładnie wyglądasz. Większość kobiet w twoim wieku przypomina

krowy.

- Ekstra. Od razu mi lepiej.
- Przestań. Gdzie Gracie?
- Wyszła. Chyba pojechała z Alexem do kina.
- Chyba? Co znaczy: chyba? Lepiej miej ją na oku, mammo.
- Poradzi sobie. Powiem jej, że dzwoniłaś. O, do licha! Masz już telefon?
- Tak, zaraz podam ci numer.
- A jak z dostępem do Internetu?
- Jest łącze w pokoju; mam nadzieję, że moja współlokatorka przywiezie laptop.

Jeśli nie, mogę korzystać z pracowni. Sprzęt jest na miejscu. Nic się nie martw.

Mam się nie martwić? Oczami wyobraźni zobaczyłam Lindsey idącą po ciemku przez kampus i ginącą z ręki niezidentyfikowanego bandyty. Jak tu się nie martwić? Zapisałam jej numer i adres e-mailowy; obiecała, że zadzwoni do Gracie w niedzielę rano. Po zakończeniu rozmowy postanowiłam wziąć kąpiel i trochę poczytać. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio moczyłam się w wannie i czytałam cokolwiek prócz gazety. Gracie miała wrócić najpóźniej o północy; zaczekam na nią w łóżku i sprawdzę, czy wszystko gra.

Zanurzona po czubek nosa w pianie, pogrążyłam się w lekturze książki, która zdobyła jakąś ważną nagrodę, a okazała się nudna jak flaki z olejem. Akcja sprowadzała się do tego, że bohaterka siedziała w domu i wyglądała przez kuchenne okno, rozmyślając o swym parszywym życiu. Nic tylko refleksje, przez całych pierwszych dwadzieścia pięć stron. Na jej miejscu palnęłabym sobie w łeb, pomyślałam. Rzuciłam książkę na podłogę i

dolałam sobie gorącej wody. Jedną z moich największych słabości było wylegiwanie się w wannie z wodą o temperaturze wrzącego rosółu i to przy wyłączonej klimatyzacji.

Właśnie rozparłam się wygodnie i przymknęłam oczy, gdy usłyszałam z zewnątrz odgłos nadjeżdżającego samochodu. Pewnie Gracie. Cholera, pomyślałam, nawet nie zdążyłam się porządnie pomarszczyć. W New Jersey nie ruszyłabym się z wanny, wykrzykując pozdrowienie przez zamknięte drzwi, ale ponieważ Lindsey wyjechała, doszłam do wniosku, że Gracie będzie zadowolona, widząc mnie na ganku.

Narzuciłam szlafrok i poszłam otworzyć frontowe drzwi.

- Potrzebujemy pomocy!

Alex. Na dodatek porządnie wystraszony.

Zobaczyłam, jak on i jeszcze jeden chłopak próbują wyciągnąć Gracie z samochodu. Widok jej bezwładnego ciała sprawił, że niemal straciłam przytomność. Alex chwycił ją pod pachy i usiłował postawić na nogi. Gracie była bez butów, ramiona wisiały jej wzdłuż tułowia.

- O mój Boże! O mój Boże! - Sfrunęłam po schodach, żeby mu pomóc. - Gracie! Kochanie! Co się stało?

- Nic jej nie jest - zapewnił mnie Alex. - Złap ją za nogi, Steve.

Co on opowiada? Jak to: nic jej nie jest? Steve chwycił Gracie za nogi, a Alex pod pachami. Wbiegłam z powrotem na schody, aby otworzyć drzwi. Przytrzymując rozwiany szlafrok, bezładnie wyrzucałam z siebie słowa.

- Myślałam, że pojechaliście do kina.

- Pojechaliśmy, ale zabrakło biletów na nasz film.

- Jak to się stało?

- W Millennium Music spotkaliśmy kilku gości z drużyny futbolowej. Jechali na imprezę...

Gracie jęknęła.

- Gdzie ja jestem? - wymamrotała.

- W domu, Gracie - odpowiedziałam. - Pojechaliście z nimi i tam był alkohol, tak?

Mam rację?

- Żeby tylko - odrzekł Alex.

Wspólnymi siłami ułożyliśmy Gracie na tapczanie. Ukłękłam obok niej i po chwili zrozumiałam, że jest nie tylko pod wpływem alkoholu.

- Co ona wzięła, Alex? Powiedz mi! Musisz mi powiedzieć!

- Ja spadam, Alex - wtrącił Steve. - Muszę wracać. Poradzicie sobie?

- Tak - odrzekł Alex. - Dzięki.

- Kto to był?

- Kolega ze starszej klasy... Steve Michel... on jest w porządku...

- Jak to się stało? Mów!

- Nie wiem, pani Breland! Przysięgam! Siedziałem w salonie, a ona zniknęła gdzieś z jakimiś chłopakami. Oglądałem mecz. W końcu poszedłem jej poszukać, zobaczyłem, w jakim jest stanie, i od razu przywiozłem ją do domu. Nic więcej nie mogę powiedzieć!

Mówił prawdę. Przynajmniej tak mi się wydawało. Uniosłam Gracie powiekę, aby przyjrzeć się źrenicom: były odrobinę powiększone. Miała przekrwione białka.

- Paliła trawkę? Powiedz!

- Hm, nie wiem, ale niektórzy palili, więc może ona też. Nie mam pojęcia.

- Masz zakrwawioną rękę. Umyj ją i przynieś trochę lodu z zamrażarki. Dlaczego krwawisz, Alex? Co się, u licha, stało?

- Przywaliłem temu palantowi, och, przepraszam...

- Nic nie szkodzi - odpowiedziałam. - Przysunąłem mu kilka razy. Zadzwońię po tatę, dobrze?

- Pewnie. I przynieś mi mokry ręcznik!

Włosy Gracie tworzyły jeden wielki kołtun. Wzięłam przyniesiony przez Alexa ręcznik i zaczęłam wycierać jej twarz w nadziei, że dziewczyna odzyska przytomność. Następnie wytarłam jej dłonie. Jęknęła i wymamrotała coś niezrozumiałego.

- Co mówisz, Gracie? To ja, mama. Powiedz coś.

- Szystkowprządku, mamó. Dobrze sobie.

- Gracie! Spróbuj usiąść! No już! - Dźwignęłam ją do pozycji siedzącej, podkładając z obu boków poduszki. - Powiedz coś, Gracie! Co ty wzięłaś? Dlaczego jesteś w takim stanie? Brałaś narkotyki?

- Nie! Och, och... źle się czuję... pomóż mi, mamó!

Jednym z plusów małego domu jest krótka droga do łazienki. Przytrzymałam mojej córce głowę, kiedy wymiotowała, a potem pomogłam jej ułożyć się na podłodze, żeby chwilę odpoczęła.

Przyjechał Brad; zza ściany doleciał szmer rozmowy, ale nie usłyszałam, o czym mówili. Alex sprawiał wrażenie trzeźwego; nie rozumiałam, dlaczego wolał zadzwonić po ojca zamiast wrócić do domu z kolegą. To by oznaczało, że nie wyznał mi całej prawdy.

- Gracie? Gracie? Zaprowadzę cię do łóżka, dobrze?

- Dobrze - odpowiedziała i zaczęła płakać. - O Boże, nienawidzę tych chłopaków!

Wieśniaki!

- Opowiesz mi, co się stało, Gracie? Czy poczekamy do rana?

- Jutro, dobrze? Muszę się położyć. Czuję się podle!

Odsunęłam kołdrę i Gracie padła na łóżko. Odgarnęłam jej włosy. Przy innej okazji byłabym wściekła, jednakże mój instynkt macierzyński podpowiadał, że padła ofiarą czegoś, co - miałam nadzieję - wkrótce zostanie wyjaśnione.

Zgasiałam lampkę nocną i wyszłam z pokoju, na wszelki wypadek pozostawiając otwarte drzwi. Otuliłam się ciasniej szlafrokiem i powędrowałam do kuchni.

Brad stał oparty o blat, a Alex szperał w lodówce.

- Pozwoliłem mu napić się coli - wyjaśnił Brad. - Jak Gracie?

- Bywało lepiej - odpowiedziałam. - Może ktoś mi powie, co się dzieje z moją córką?

- Nie za zimno? - spytał Brad. - Mam ci podkreć termostat?

W innych okolicznościach rzuciłabym jakąś sprośną uwagę, ale teraz nie miałam ochoty na żarty.

- Sama podkreć - odrzekłam, ustawiając wyższą temperaturę. - Masz rację, istna lodownia.

Alex zamknął lodówkę, otworzył puszkę z napojem i odchrząknął.

- Wszystko pani wyjaśnię, pani Breland. Zaczniemy od tego, że wcale nie powinniśmy byli tam jechać, ale stało się. Bardzo panią za to przepraszam.

- Przyjmuję przeprosiny. - Doceniłam w myślach jego starania.

- Dziękuję. Widzi pani, tam było jakieś pięćdziesiąt, a może nawet sto osób...

- Gdzie znajduje się ten dom? I do kogo należy?

- Dom jest przy Mathis Ferry Road, właściwie nie wiem, kto tam mieszka... chyba jeden z chłopaków, który gra w obronie. Jego rodzice wyjechali.

- Wszystko jasne - wtrącił Brad. - Zrobić ci kawę, Linda?

- Nie, już późno, dziękuję.

- Jeden telefon, drugi, i za chwilę zjechało masę samochodów pełnych ludzi spragnionych dobrej zabawy - podjął Alex. - Ktoś przywiózł wódkę, ktoś inny piwo, jakiś dureń miał trawę albo i coś jeszcze... rozumie pani?

- Chyba tak - odrzekłam. - Jak to możliwe, że ty jesteś trzeźwy, a Gracie przyjechała w takim stanie?

- W domu był ścisk, rozdzieliliśmy się. Jakaś dziewczyna zawołała Gracie do kuchni. Podobno na galaretkę i ciasto.

- Jaką galaretkę?

- Z wódką i rumem. Gracie zjadła kilka porcji. Ciasto też zjadła.

- W cieście była marihuana - dorzucił Brad.

- Jadłeś ciasto? - zapytałam.

- Nie - odpowiedział Alex. - Przed wyjściem z domu zjadłem sześć naleśników. Nie byłem głodny. Pewnie gdybym się wcześniej nie napchał, też bym zjadł.

- Czy Gracie wiedziała, że w cieście jest narkotyki? - spytałam.

- Nie. Na pewno nie. Gracie i ja jesteśmy w Wando nowi, pani Breland. Tamte laski nie puściły pary z ust, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Nie lubią Gracie, bo jest przebojowa i ładna, a to zawistne su...

- Alex! - upomniał Brad.

- Przepraszam. Zresztą, gdybym chciał się napić, zrobiłbym to z tatą. Gdyby mnie złapano na picciu, wyleciałbym z drużyny. Poza tym nie znam tych ludzi, nie ufam im. Tata mówi, żeby nigdy nie pić z ludźmi, którym się nie ufa. Gracie jest inna. Zakłada, że wszyscy są w porządku.

- A nie są - odparłam.

- Zgadza się, nie są. Wiem coś o tym. Kiedy mieszkałem w Atlancie, chciałem wstąpić do pewnego klubu w szkole. Żeby to zrobić, najpierw trzeba było ukraść coś w

sklepie. No to zwędziłem to DVD i wpadłem. Zrobiłem coś takiego pierwszy raz w życiu i zostałem przyłapany. To było... no cóż, mama strasznie to przeżyła. Mogłem wylecieć ze szkoły, ale mama poszła do dyrektora i ubłagała, żebym został ze względu na czyste konto...

Na chwilę zapadła cisza, podczas której Brad i ja pozwoliliśmy Alexowi wspomnieć matkę. I wcale się nie zdziwiliśmy, że przy kolejnym zdaniu głos uwiązł mu w gardle. Najwyższy czas, by chłopak okazał jakieś uczucia.

- Potem mama umarła i to był cios. Kiedy wychodziła z domu, wciąż była na mnie wściekła i znowu na mnie nakrzyczała... padał deszcz; prosiłem, żeby uważała, a wtedy ona spojrzała na mnie z nienawiścią i... chyba nigdy tego nie zapomnę... - Głos Alexa przeszedł w szept.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś, synu - powiedział Brad. - Ale możesz być pewny, że mama wcale cię nie nienawidziła. Bardzo cię ko...

- Wiem, wiem. To tylko cholerny zbieg okoliczności. Wtedy poznałem smutną prawdę o niezbadanych wyrokach losu. Ani się obejrzałem, jak znalazłem się w Mount Pleasant, w Karolinie Południowej. Jak to się, do licha, stało?

Na twarzy Alexa odmalowała się rozpacz. Brad objął go i uściśnął. Chłopiec rozplakał się bezgłośnie. Biedak. Nosił w sobie taki ból i silił się na spokój. Dzieci nie mogą liczyć tylko na siebie.

- Przepraszam, ja tylko...

- Alex - przerwałam. - Nic się nie martw... - Podałam mu chusteczkę.

- Już dobrze, synu - powiedział Brad.

Alex wytarł nos, po czym sięgnął po kolejną chusteczkę.

- Tak czy inaczej, Gracie potrzebuje opieki, a dzisiaj ja miałem się nią opiekować. Jak widać, nie najlepiej mi to wyszło. Dlatego zostałem... chciałem panią przeprosić.

- Dlaczego zadzwoniłeś po tatę? Mogłeś przecież wrócić z kolegą.

- Gracie porządnie mnie wystraszyła. Rozumie pani? Mogła nawąchać się jakiegoś kwasu czy nie wiem czego. Miałem pietra. W takich wypadkach zawsze... no, teraz, dzwonię do taty.

Nie wierzyłam własnym uszom. Wszystkie znane mi nastolatki nie grzeszyły zbytnią otwartością wobec rodziców. A ten tutaj bierze na siebie całą winę, chociaż wcale nie mam mu niczego za złe. Lecz Alex przeżył wstrząs w wyniku śmierci matki. Pragnął być idealnym synem, idealnym przyjacielem i idealnym człowiekiem: widziałam, że owo dążenie do perfekcji strasznie go uwiera.

- Posłuchaj, Alex - powiedziałam. - Przede wszystkim, nigdy nie rozmawialiśmy o śmierci twojej matki. Nigdy jej nie poznałam, ale powiem ci jedno: tamto zdenerwowanie incydentem z kradzieżą nie miało nic wspólnego z jej śmiercią. Każdy czuje się winny, gdy ktoś ginie w wypadku. To normalne.

- No - odparł z wahaniem Alex. - Pewnie tak.

- Linda ma rację - wtrącił Brad. - Posłuchaj, synu, twoja mama i ja przechodziliśmy poważny kryzys, ale na wieść o jej wypadku ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Chociaż to był tylko wypadek.

- Naprawdę? Dlaczego? Myślałem, że w głębi serca odczułeś ulgę!

- Ale skąd. - Brad wziął głęboki oddech. Spojrzawszy na mnie, zapytał: - Masz piwo?

- Jasne - odrzekłam i wyjęłam z lodówki puszkę. - Dać ci szklanę? Może usiadziemy?

Zanim Brad zdążył odpowiedzieć, wyjęłam szklanę i zaczęłam nalewać piwa. Usiedli przy stole: Alex z colą, a Brad z piwem pogrążony w swoich myślach.

- Nie wiedziałeś, że czuję się odpowiedzialny za rozstanie z twoją matką? - zaczął Brad.

- To nie ty ją zdradzałeś, tato, tylko ona ciebie. A ja musiałem z nią mieszkać.

- Wiem. Chyba wszyscy myśleliśmy, że pozwoli mi cię częściej widywać, a zresztą chciałem, żebyś tu przyjechał na wakacje. Wydawało mi się, że wtedy nadrobię czas stracony w ciągu roku szkolnego. Teraz wiem, że byłem w błędzie. Pewnie powinienem był zostać w Atlancie do czasu twojego pójścia do college'u, ale nie mogłem. Po prostu nie mogłem...

- W porządku, tato! Naprawdę! Na twoim miejscu zrobiłbym to samo!

- Dzięki, że to mówisz, ale chodziło o zwykłą dumę. Od czasu rozpadu naszego małżeństwa dręczyło mnie przekonanie, że byłem złym mężem. Rozumiesz, o czym mówię? Wciąż w pracy, wciąż w biegu, wciąż w trakcie ważnego przedsięwzięcia z widokiem na kolejne... może gdybym więcej czasu spędzał w domu, mama nie szukałaby szczęścia gdzie indziej... rozumiesz?

- Jasne.

Nalałam sobie wina z pękatej butelki i usiadłam przy stole.

- Bo gdybym był lepszym mężem, ona nie wplątałaby się w romans z Archiem i nie doszłoby do wypadku! Chwytasz? To tak jak ty mówisz, że gdybyś nie ukradł DVD, mama nie byłaby wściekła i uważniej rozglądałaby się na boki... tak?

- Tak - potwierdził Alex. - Ale to nie ja kazałem jej lecieć do miasta na spotkanie. To był jej wybór. O to ci chodzi?

- Właśnie - odrzekł Brad. - Każdy wybór ma swoje konsekwencje.

- Czasami nawet poważne - dodałam.

- Wiem coś o tym. Mama nie żyje, dziadek zapija się na śmierć, a ja utknąłem w Mount Pleasant. Nie chodzi o to, że jest mi źle. Nie jest źle. W gruncie rzeczy jest nawet lepiej, niż się spodziewałem.

- Powinniśmy coś zrobić dla starego Theo. - Brad westchnął i rzucił mi spojrzenie, które jasno mówiło, że byłoby dobrze, gdyby Theo również odszedł z tego świata.

- Cóż, jestem pewna, że ty i Gracie wiele o tym rozmawialiście. Ona też nie chciała tu mieszkać. Jednakże śmierć twojej matki dała jej przyjaciela, którego bardzo potrzebowała, zwłaszcza że jej siostra wyjechała na studia.

- Poza tym czas leczy rany, synu. Stopniowo znajdziecie nowych przyjaciół, zobaczysz.

- Chyba tak - odpowiedział Alex. - Ale to wszystko jest takie skomplikowane. Śmierć mamy, przyjazd tutaj, gdzie właściwie nikogo nie znam...

- Na nas już czas, Alex. To znaczy, o ile Gracie nic nie grozi. Jak myślisz, Linda? - spytał Brad.

- Rzygała jak kot - oznajmiłam, próbując przełamać posepny nastrój. - Jutro będzie miała koszmarne bóle głowy, ale przeżyje.

- To dobrze - odparł Brad. Wstał i odstawiwszy szklanekę do zlewu, podszedł do drzwi. - Zatem do jutra.

- Hm, jutro sobota. Nie pracuję. Wzięłam wolne.

- O. Aha. Zapomniałem.

- Czyli do poniedziałku.

- Dobrze.

Kiedy otworzyłam drzwi, popatrzył na mnie wyczekująco. Wyciągnęłam rękę. Obrzucił moją dłoń podejrzliwym spojrzeniem i podał mi swoją. Uścisnęłam ją delikatnie. Uśmiechnął się z ulgą, a mnie nie wiedzieć czemu ogarnęło zakłopotanie.

- Widzisz? Nie ma strachu! Hej, Alex!

Chłopiec schodził właśnie po schodach, ale odwrócił się w moją stronę.

- Tak, proszę pani?

- Dziękuję. Gracie powinna wykazywać więcej rozsądku. Ma szczęście, że znalazła takiego przyjaciela. Ja też.

Pomimo ciemności zobaczyłam, że się uśmiecha. Wiedziałam, że nie znam wszystkich szczegółów, ale miałam zamiar wydusić je z Gracie.

Nie chciałam, aby widzieli, że odprowadzam wzrokiem samochód. Stałam za drzwiami, dopóki tylne światła nie znikły mi z oczu. Oglądali mnie w szlafroku, wielkie rzeczy! Mogłam mieć na sobie nawet worek od kartofli. Myślałam o tym, jak wspaniale sobie radzili, pomimo tego, co się stało.

Wślizgnęłam się do pokoju Gracie: moja zbłąkana owieczka spała jak zabita, oddychając miarowo. Potrząsnęłam głową. Ta dziewczyna jest niemożliwa. Pora na poważną rozmowę o jej łatwowierności i moralności, narkotykach, alkoholu oraz paru innych sprawach.

Dreńczona myślami, przewracałam się z boku na bok. Loretta nie mogła być z gruntu złą matką, skoro wychowała tak wspaniałego chłopaka jak Alex. Chociaż może on po prostu z natury był dobry, podobnie jak Lindsey, podczas gdy Gracie przyszła na świat z małym diabełkiem na ramieniu. Alex będzie niezwykłym mężczyzną, kiedy dorośnie: już jest niezwykły. Biedak! Było mi miło, że zdecydował się na zwierzenia właśnie przy mnie. Pewnie chciał, żebym go lepiej poznała, i bardzo mnie to ucieszyło.

Ciekawe, że Brad spodziewał się mnie jutro zobaczyć. No cóż, pewnie wyleciało mu z głowy, że wzięłam wolne. Dlaczego miał taką dziwną minę, kiedy podałam mu rękę? Miałam pocałować go w policzek? Też!

Może dlatego, że nie zapytałam o wizytę u lekarza? Niemożliwe. Poza tym kto miałby do tego głowę o takiej porze? I czy to moja sprawa? Czy nie byliśmy zaaferowani innymi sprawami?

Może myślał, że się nim interesuję? Lubiłam go, ale nie miałam ochoty na romans z szefem. To najgłupsza rzecz, jaką może zrobić kobieta. O co mi chodzi? Czy naprawdę wyobrażałam sobie, że wdowiec po gwiazdzie śmietanki towarzyskiej Atlanty zwróci uwagę na kobietę mojego pokroju? Zejdź na ziemię, Lindo.



Rozdział piętnasty

Ziarno zostało zasiane

Było około ósmej rano, kiedy trzask drzwiczek samochodu raptownie wyrwał mnie z głębokiego snu. Śniło mi się przyjęcie; nie miałam ochoty go opuszczać. Przyjęcie? Tak, moje przyjęcie urodzinowe. Nie miałam urodzin, ale nie chciałam wyprowadzać nikogo z błędu, gdyż zadali sobie tyle trudu. Jakaś znana mi osoba przygotowywała w kuchni hamburgery oraz hot dogi i rozdawała je zgromadzonym owinięte w papierowe serwetki. Przyszło mi do głowy, że mogli przynajmniej kupić papierowe talerzyki, ale zachowałam tę uwagę dla siebie. Naraz tłum przerzedził się nieco i została jedynie garstka ludzi. Przeprosiłam za spóźnienie, na co zapewniono mnie, że wcale nie byłam spóźniona. Nikt nie przyszedł. „Jak to - zapytałam - zaprosiliście gości, a oni nie przyszli?”. „Tak, nikt nie przyszedł na twoje przyjęcie” - padła odpowiedź. Wtedy pojawił się siwy staruszek, ten sam, który już mi się śnił. Był ubrany w identyczny beżowy kardigan i szare spodnie. „Miał pan rację co do Gracie” - powiedziałam. Tymczasem on nadal wydawał się zatroskany. Przerażona wyrazem jego twarzy zaczęłam biec i biegłam przez całą drogę do grobli prowadzącej na Wyspę Sullivana. Biegłam coraz dalej i dalej, aż wreszcie usłyszałam hałas.

Rozległ się trzask bagażnika, a ja z ulgą otworzyłam oczy. Co mógł znaczyć ten sen? Że Gracie groziło niebezpieczeństwo? Że nie miałam własnego życia? A może byłam żalosna? Wołałam o tym nie myśleć.

Poszłam do kuchni i wyjrzałam na podwórko. Zobaczyłam Mimi w stroju do zajęć ogrodowych, obładowaną flancami i gotową do pracy. Otworzyłam drzwi.

- Co ty tu robisz o tej porze?
- Dzień dobry, słoneczko! Słoneczko, też mi coś.
- Witaj, skarbie! Kawy?
- Czemu nie?

Mimi uśmiechnęła się szeroko, a mnie ponownie ogarnęła fala tkliwości. Nie miałam pojęcia, co ją naszło, wiedziałam jednak, że chciała zrobić coś dla mnie. A przy okazji poprawić sobie samopoczucie. Kiedy Mimi postanowiła coś zrobić, żadna siła nie mogła jej powstrzymać.

Włączywszy ekspres do kawy, narzuciłam zgniło zielone spodnie, koszulę z dzianiny i sandały. Zanosilo się na upał. Wrzesień okazał się gorętszy niż sierpień, choć tylko miejscowi potrafili to zrozumieć. Wszyscy turyści wyjadą po Święcie Pracy i zacznie się pora huraganów. Jakoś się tym nie przejmowałam, pewnie z powodu wysokiej zawartości soli w genach. Poza tym najgwałtowniejsze huragany rzadko kiedy dorównywały siłą zapowiedziom geniuszy pogodowych z telewizji. Kierowały się w stronę oceanu, w okolicach wybrzeża traciły impet, zakreślały w kierunku przylądka Hatteras lub po prostu w ogóle do nas nie dochodziły. Większość huraganów stanowiła jedynie pewną niedogodność, z wyjątkiem tego, który znajdował się w łóżku Gracie. Na ten musiałam uważać szczególnie. Zajrzałam do jej pokoju. Spała jak suseł i nic nie wskazywało na to, aby się miała szybko obudzić.

Nalałam dwa kubki kawy, nim dzbanek napelnił się całkowicie, i starannie wytarłam to, co nakapało na podstawkę. Dlaczego tak się niecierpliwiłam? Nie mogłam nawet zaczekać, aż ekspres się wyłączy.

Wyniosłam kawę na zewnątrz.

- Proszę - powiedziałam do Mimi. - A teraz mów, co to ma znaczyć.

- W ogrodniczym mieli w promocji kapustę, tobie też kupiłam! Pomyślałam, że przydałoby się co nieco w twoim ogródku. Rozumiesz? Powinien coś wyrażać.

- Na przykład co? Proszę się częstować?

- Co ci jest, Linda? Wstałaś lewą nogą?

- Nie, miałam tylko przeboje z Gracie, porąbany sen i w ogóle późno poszłam spać, sama nie wiem... - Spojrzałam na niebo i zobaczyłam ciemne chmury. Nadciągała burza.

- Opowiedz mi swój sen, a powiem ci, co znaczy - odrzekła. - Mam sennik, znam się na tym.

Oto Mimi w pigułce. Mogła przeczytać książkę, następnego dnia wieszala na drzwiach stosowną tabliczkę i zbijała na tym niezły interes.

Wzięłam głęboki oddech i upomniałam się w duchu. Ostatecznie nie warto zadzierać ze skałami Gibraltaru.

- Opowiadanie snów jest takie irlandzkie - odparłam ze śmiechem. - Mama mówiła, że jeśli się opowiada sny przed śniadaniem, zawsze się sprawdzają.

- Mama była przesadną irlandzką katoliczką i miała nierówno pod sufitem!

- Mimi! Nigdy dotąd...

- Cicho! Nikomu ani słowa, bo i tak się wyprę! Opowiesz mi wreszcie ten sen czy nie? - Postawiła kubek na dolnym schodku i przystąpiła do opróżniania doniczek.

- No dobrze - odpowiedziałam i zrelacjonowałam to, co zdołałam zapamiętać.

- Skarbie - odrzekła po krótkiej chwili zastanowienia. - Po prostu nie możesz przestać myśleć o pracy. Jesteś otoczona przez ludzi, których jeszcze dobrze nie poznałaś. Przyjęcie, na które nikt nie przychodzi? Ni mniej, ni więcej, tylko zbierasz do kupy swoje życie. No bo niby kogo zaprosiłabyś teraz na przyjęcie? Czas poznać nowych ludzi.

- No tak, ale mam ciebie i pracę. Na nic innego nie zostaje mi wiele czasu. Co myślisz o siwym staruszką? Śnił mi się nie pierwszy raz.

- Może ma symbolizować ojca? Trudno powiedzieć. Jak wyglądał pierwszy sen?

Opowiedziałam jej o śnie oraz incydencie z Gracie. Mimi dostała gęziej skórki, co z uwagi na rosnącą temperaturę było dość znamienym zjawiskiem.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Dziewczyno! To mogła być wiadomość z zaświatów!

- Taa, jasne! Linda Breland, medium z Mount Pleasant. Daj, pomogę ci.

- Masz szlauch ogrodowy?

- A skąd mam wiedzieć? Zaraz poszukam.

Jeszcze się nie przekopałam przez garaż. Nie stanowił części mieszkalnej i w związku z tym czułam, jakbym nie miała do niego prawa. Będę musiała zadzwonić do Lowella i się upewnić. Otworzyłam jedno skrzydło podwójnych drzwi i zajrzałam do środka. Była to istna rupieciarnia. Zardzewiałe rowery, stare kosiarki, góra puszek po farbie, pudła z książkami, krzeselko niemowlęce, sfatygowane łóżko polowe z zapleśniałym materacem oraz nieprzebrane rzesze grabi, mioteł i przeróżnych sprzętów

ogrodniczych. Wszystko prócz łodzi. Też mi domek na przystani! I oczywiście żadnego węża.

Rozejrzawszy się, znalazłam jedynie przedpotopową metalową konewkę. Była usiana pajęczynami; strząsnęłam je butem i zajrzałam do środka, wypatrując pajaków. Wreszcie podniosłam ją ostrożnie i wyszłam na zewnątrz, aby poszukać kranu.

- Ten garaż jest obrzydliwy! Mimi podniosła głowę znad grządki.

- Domyślam się! Jest twój?

- Jezu! Czytasz w moich myślach! Będę musiała zapytać. Ale jeśli tak, na pewno się przyda! Po sprzedaniu domu w Montclair będę musiała gdzieś ulokować nasze graty! Bo na pewno nie pomieszczą się w domu.

- A propos, ktoś się interesował?

- Jeszcze nie. Muszę zadzwonić do agentki i zorientować się w sytuacji. Poszukam kranu.

- Musi tu gdzieś być. To miejsce służyło ostatecznie do przechowywania łodzi.

Rzeczywiście był, ale zepsuty. Pewnie został wyłączony, ale skoro przebrnęłam przez cmentarzysko rupieci w garażu, z całą pewnością odnajdę też główny zawór i przywrócę go do życia. Im więcej myślałam o garażu, tym bardziej mi na nim zależało. Dodatkowe miejsce zawsze się przyda. Mogłabym też kupić nowe rowery i narzędzia ogrodnicze z prawdziwego zdarzenia. No i mogłabym trzymać w nim samochód, aby nie był bombardowany przez ptaki. I tak nie grzeszył atrakcyjnością.

Wracając do Mimi, czułam w powietrzu nadciągającą burzę. Wkrótce zacnie padać.

- Chyba nie musimy dziś zawracać sobie głowy podlewaniem! - zawołałam.

Wskazałam na ciemniejące niebo, a Mimi podniosła wzrok i potrząsnęła głową.

- A było tak ładnie, kiedy wstałam! Mówię ci, pogoda zmienia się co pięć minut.

Usmażmy jajka - zaproponowała. - I tak już skończyłam.

Ogarnęło mnie zakłopotanie: Mimi znów odwalila sama całą robotę.

- Ale się popisałam - bąknęłam. - Przepraszam...

- Co? Skarbie, specjalnie przyjechałam wcześniej, żeby zrobić ci niespodziankę! -

Zarzuciła mi rękę na ramię i razem weszliśmy po schodach. - Chodź, umieram z głodu!

W przeciągu kilku minut na patelni skwierczał bekon, a w misce czekały rozbite jajka.

- Gracie jeszcze śpi?

- Chyba żartujesz. Rzekłabym raczej, że jest nieprzytomna.

- Hmm - mruknęła Mimi, dolewając sobie kawy. - Wiesz co? Byłam na drugiej randce z Jackiem Taylorem. Wczoraj!

- I...?

- I zjedliśmy pyszną kolację, wypiliśmy wino, a potem był dłuuuugi pocałunek na dobranoc!

- O rany! I jak było?

- Wiesz co? Tak dawno nie całowałam się z facetem, że sama nie wiem, czy było dobrze czy źle! - Wybuchnęła śmiechem, a ja zakrztusiłam się kawą.

- Przestań! - zawołałam. - O Boże! Jesteśmy niemożliwe!

- Jeszcze jak! No, opowiadaj! Kiedy te kolagenowe usta ostatnio zaznały pocałunku?

- Kolagenowe? Siostró, gdyby było mnie stać na kolagen, nosiłabym lepsze ciuchy, nie uważasz? - Wydmuchałam nos i westchnęłam głęboko na wspomnienie żonatych szczurów, z którymi kończyło się na pierwszej randce. - Czeka, czeka! Kiedy ostatnio kogoś całowałam? A jakie przyjmujemy kryteria? Chodzi o romantyczny pocałunek czy też pocałunek pro forma?

- Hm! Co rozumiesz przez pocałunek pro forma? Czy to jakiś północny zwyczaj?

Przerzuciłam bekon na papierowe ręczniki do odsączenia i zastanowiłam się przez chwilę. Mam przyprawić Mimi o wstrząs wyznaniem prawdy albo też polukrować fakty celem utrzymania w ryzach jej poziomu estrogenów. A co tam, pomyślałam, mieszając energicznie jajka.

- Północny? Na Południu nie uprawia się seksu dla zabawy?

- Owszem, ale to kosztuje dwadzieścia dolarów! Chcesz mi powiedzieć, że jankeski puszcza się dla zabawy?

- Tak, jasne. Daj spokój! Nigdy nie przespałaś się z facetem tylko dlatego, że nie robiłaś tego od stu lat?

- Nigdy, przenigdy! - Mimi uderzyła się w pierś. - No dobrze, może raz, ale to było dawno temu i byłam pijana, a więc się nie liczy. Piłam rum! Tak! Teraz sobie przypominam! Więcej nie wzięłam tego świństwa do ust! Ale żeby tak ciągle? Nigdy!

- No tak, jasne. Zresztą, nieważne. Włóż chleb do opiekacza, a ja się zajmę jajkami.

- Dobrze. - Zdjęła folię z chleba i umieściła dwie kromki w tosterze. Widziałam po minie mojej siostry, że coś nie daje jej spokoju. - Nie uważasz, że w wypadku kobiety z Południa przypadkowy seks się nie liczy?

- Czyżby? A jak to jest z mężczyznami?

- Dla nich pewnie też nie... przynajmniej nie powinien! Ostatecznie mamy dwudziesty pierwszy wiek! Powinnaś dać sobie spokój z tą podwójną moralnością, Linda!

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałaś. Ale coś w tym jest. Chyba uznam to za swoją filozofię.

Miło było jeść razem śniadanie; brakowało mi takich prostych przyjemności. No bo ile razy jadłyśmy wspólnie posiłek w ciągu ostatnich dziesięciu lat, do momentu mojego przyjazdu do Mount Pleasant? Dwa? Trzy? To, co do niedawna było rzadkością, mogłam teraz włączyć do codziennego repertuaru. Niby drobiazg, a sprawił mi niewytłumaczalną radość.

Rozłożyłam podkładki pod talerze oraz serwetki, co nie obyło się bez poprawek ze strony Miss Perfekcji. Mimowolnie stwierdziłam w duchu, że gdybyśmy dłużej pomieszkały pod jednym dachem, szybko nasrożyłabym się na siostrzany nadmiar precyzji.

Kiedy usiadłyśmy i zaczęłyśmy jeść, po niebie przetoczył się głuchy grzmot. Nad wodą zajaśniała błyskawica i lunęło jak z cebra. Był taki łoskot, że prawie nie słyszałyśmy własnych głosów. Deszcz przechodził z zachodu na wschód, chłuszcząc drzwi balkonowe strumieniami wody. Obawiałam się przecieków, ale na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Cóż, pomyślałam, trudno nazwać to wykwinnym lokum, ale przynajmniej nie kapie człowiekowi na głowę. W Montclair trzymałam w piwnicy kolekcję wiader na wypadek ulewy.

- Niesamowite, że Gracie się nie obudziła - zauważyła Mimi.

- No! Zupełnie jakby Zeus i Hera wiedli intergalaktyczną dysputę, ale takie są skutki poślubienia własnej siostry!

- Mitologia? Skąd to wytrzasnęłaś?

- W zeszłym roku Gracie pisała wypracowanie na ten temat, więc...

- Tyje napisałaś?

- Owszem - odpowiedziałam. - Dostałam piątkę. Skoro mowa o Gracie, może mogłabyś mi jakoś pomóc. Martwię się o nią.

- Nic jej nie będzie, skarbie!

- Łatwo ci mówić. Chcesz jeszcze kawy?

Puściłam wodę z kranu i przystąpiłam do szorowania naczyń.

- Nie, dziękuję. Nie odkręcaj kranu, dopóki błyska! - ostrzegła Mimi. - Możesz zostać porażona!

- Co? Zwariowałaś?

- Nie pamiętasz, jak mama wyjmowała wtyczkę od telewizora z gniazdka i kazała nam odmawiać różaniec?

- Ona też miała nie po kolei w głowie. Wracając do Gracie...

- Przecież chyba nie stało się nic wielkiego. Wróciła podpita?

- Tak, ale była też pod wpływem narkotyków i strasznie wymiotowała.

- Narkotyków?

- Tak mi się wydaje. Wyszła z Alexem...

- Synem Brada?

- Tak. Mieli iść do kina, tylko że podobno zabrakło biletów. Spotkali jakichś futbolistów ze szkoły i...

- Futboliści są najgorsi! Przecież to wszystko się sprowadza do fizycznej agresji! Ale alkohol i narkotyki? Nie boją się wyrzucenia z drużyny? Podobno trenerzy są na tym tle szczególnie wyczuleni. Nawet stopnie mniej się liczą!

- Tak czy inaczej, Alex przywiózł ją w kiepskim stanie. Potem przyznał, że dziewczyny chciały ją zrobić, z zazdrości, żeby sobie nie myślała, że może tak po prostu przyłączyć się do paczki.

Przez chwilę rozmawialiśmy o Gracie i Aleksie; Mimi prawie zdołała mnie przekonać, że przypadek Gracie mieści się w granicach normy. Przypomniała, że my także w jej wieku przeżywałyśmy wzloty i upadki. Ale to nie znaczy, że należy przejść nad całą sprawą do porządku dziennego, poza tym żadna z moich koleżanek nie częstowała nikogo ciastem nafaszerowanym narkotykami.

Mimi milczała przez kilka minut.

- Boże! - powiedziała wreszcie. - Dziewczęta potrafią być takie okropne. Myślisz, że nic jej nie będzie?

- Zobaczymy, jak wstanie. Brad przyjechał po Alexa. To wszystko było trochę dziwne.

- A dokładnie co?

- Alex utrzymywał, że został przez wzgląd na Gracie; niepokoił się o nią i dlatego zadzwonił po Brada. Odnoszę wrażenie, że próbował dać mi do zrozumienia, iż ktoś próbował ją wykorzystać. Podobno przyłożył temu komuś i poprosił kolegę, aby odwiózł ich do domu.

- Ale nie wdawał się w szczegóły?

- Może sam ich nie znał. Miał skaleczoną rękę i był bardzo zdenerwowany.

- O Boże! W dzisiejszych czasach wychowanie dziecka to nie taka prosta sprawa! W telewizji każdy grzech urasta do rangi cnoty...

- Mnie to mówisz? Cóż, i tak mam zamiar wydusić z niej całą prawdę, ale może dasz jej do zrozumienia, że powinna bardziej na siebie uważać.

- A co na to Brad?

- Przeprowadziliśmy bardzo ciekawą rozmowę... właściwie to oni rozmawiali, jednak przy okazji dowiedziałam się paru rzeczy o Lorecie. Myślę, że Brad przyjechał tutaj na wypadek, gdyby trzeba było jechać na pogotowie, poza tym i tak musiał zabrać Alexa. A propos, pamiętasz, że sam miał się zgłosić do lekarza? Dałaś mu numer tego kardiologa? Mężczyźni! Myślał, że ma zawał, a tak naprawdę miał tylko dwudziestodwuletnią byłą sekretarkę.

- O co chodzi z tymi mężczyznami?

- Nie odpowiada im, że się starzeją. Nam zresztą też nie. Tak czy inaczej, posiedział trochę i pojechał.

- A co? Hmm? Wolałabyś, żeby został?

- Też! Jesteś okropna! Jasne, że nie! On nie jest dla mnie! Na miłość boską, Mimi!

- To dobrze, bo Jack chce mu kogoś przedstawić.

- Przecież nawet go nie zna!

Mimi zrobiła bardzo dziwną minę, tak jakby chciała coś powiedzieć. I powiedziała.

- Posłuchaj, wolny mężczyzna to dzisiaj rzadkość. Ta dziewczyna to wdowa po młodym lekarzu, który zmarł w zeszłym roku na tętniaka. Podobno jest mniej więcej w twoim wieku, ma trójkę małych dzieci i jest bardzo, bardzo piękna.

- To fajnie, ale Brad na razie się za nikim nie rozgląda. Przynajmniej nie na poważnie.

- Linda? Czy ty przypadkiem sama nie jesteś zainteresowana?

- Kim jesteś zainteresowana, mammo?

Na progu stanęła Gracie w blasku porannej chwały: odsłaniające to i owo, wymięte szorty i koszulka oraz niemożliwie potargane włosy.

- Nikim!

- Daj buziaka swojej Mimi, kotku! - powiedziała Mimi.

- Jak się czujesz?

- Potwornie! Mam w ustach smak gówna...

- Czy nie mogłybyśmy zamienić tego na: mam przykry smak w ustach? - spytała Mimi, na próżno usiłując zaszcześcić mojej córce odrobinę taktu.

- O, mammo! - jęknęła Gracie, po czym padła na stary fotel pana Epsteina i zwinęła się w kłębek. - Nigdy więcej!

- Kochanie, zawsze z rozkoszą przytrzymam ci głowę nad sedesem, ale musimy pogadać. Może idź i umyj zęby, a ja usmażę naleśniki?

- Dobrze - odpowiedziała, po czym zwróciła się do Mimi. - A potem dam buziaka mojej Mimi. Jak tu spać? Z jednej strony pioruny, a z drugiej wasze jazgotanie.

Zbyłyśmy jej uwagę milczeniem. Burza przechodziła w kierunku Georgetown. Grzmoty rozbrzmiewały rzadziej i jakby z oddali. Niebo przecinały cienkie języki

błyskawic, już bez ogłuszającego trzasku, który towarzyszył nam przez ostatnią godzinę. Deszcz osłabł, lecz wciąż chłostał ziemię rześistą, miarową strugą. Ponownie stanęłam przy kuchni, mieszając proszek na naleśniki z mlekiem, i zaczęłam myć patelnię.

- Zaczekaj! - powiedziała Mimi. Wyjęła z portmonetki kartę kredytową, wylała wodę z patelni i zeskrobała z niej resztki jaj. - Nauczyłam się tej sztuczki z programu kulinarnego. - Następnie wypłukała kartę i schowała ją z powrotem do portmonetki.

- Nie wystarczy tych cudów? - spytałam, kładąc na patelni trzy plastry bekonu. - Ty mnie wykończysz.

Dźwięk telefonu przeraził mnie nie na żarty. Dzwoniła Gretchen Prater, moja agentka nieruchomości z Montclair.

- Chyba znalazłam kupca na twój dom! - wykrzyknęła.

- Poważnie?

Powiedziała, że pewne małżeństwo obejrzało dom i tak im się spodobał, że chcą go zobaczyć raz jeszcze.

- Kobieta spodziewa się drugiego dziecka, jej mąż pracuje w centrum - dodała. - Bardzo dobrze zarabia. Tak przy okazji, jestem po podpisaniu umowy na dom Hollanderów...

- Larry i Denise się wyprowadzają?

- Och, pewnie nie słyszałaś. Dostał pracę w Los Angeles. Ich dom został zbudowany w tym samym roku co twój. Tyle samo łazienek, stara kuchnia i wiesz co? Wystawili go za czterysta osiemdziesiąt i tyle dostali!

- Żartujesz!

- Skądże! Mówiłam ci, że liczy się bliskość dworca. Jak tylko coś będę wiedziała, dam ci znać. Dziś po południu pokazuję go jeszcze jednej rodzinie.

- Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale za ile go wystawiłaś?

- Właśnie w tym sęk. Tyle mówiłyśmy o ozdobieniu werandy, a przecież musisz mi podpisać zgodę. Przefaksuję ci papiery.

- O Boże! Przecież jestem ci też winna pieniądze! Kupiłaś coś w OBI?

- Tak. Mogę ci przesłać faksem rachunki za malarza, wiklinowe meble i rośliny, a ty mi wyślesz czek. Wszystkie zmiany kosztowały około sześciuset dolarów! Jak chcesz, mogę to po prostu odliczyć od kwoty uzyskanej za dom.

- Jak uważasz. Ile możemy żądać?

- Biorąc pod uwagę transakcję Hollanderów? Proponuję pięćset dziesięć. Czemu nie?

- Matko przenaświętsza! Właśnie, czemu nie? Zawsze możemy opuścić.

- Podaj mi numer faksu...

Podalam jej numer faksu z restauracji. Wymieniłyśmy jeszcze kilka uwag i zakończyłyśmy rozmowę. Od sumy zaproponowanej przez Gretchen zakręciło mi się w głowie. Gdyby się udało, Fred dostałby apopleksji. Ostatnia myśl uradowała mnie ponad wszelką miarę.

Zwróciłam się do siostry, która patrzyła na mnie oczami wielkimi jak spodki.

- Sprzedajesz dom? - spytała.

- Na to wygląda - odparłam.

- Zaraz wracam - powiedziała i poszła przypudrować nos. Zastanawiałam się przez chwilę, czując lekki ucisk w żołądku.

Jeśli sprzedam dom, na zawsze wyrzeknę się New Jersey. Czy tego chciałam? Tak, odpowiedziałam w duchu, tego właśnie chciałam. Nie mam po co tam wracać. Nawet Fred nie zareagował na nasz wyjazd.

Pomimo wydarzeń ostatniej nocy przyjaźń Gracie z Alexem stanowiła dla mnie źródło pewnej otuchy. Przynajmniej moja krnąbrna córka zyska przyjaciela, który zdawał się dbać o jej dobro, chłopaka z głęboko zakorzenionym poczuciem moralności i odwagą głoszenia własnych przekonań. No i miała pracę, która pozwoli jej trzymać się z dala od kłopotów. Oczywiście była też Mimi, a ja znalazłam pracę z widokiem na uroczą przystań i zachód słońca. Co ja wyprawiam? Te ciągle wyliczanki każdego doprowadziłyby do obłędu.

- Fiu! Aleś się zamyśliła! Co ci chodzi po głowie? Wylałam na patelnię część ciasta.

- Krótko mówiąc, moja niezastąpiona siostrze, stoję u progu przecięcia pepowiny z terytorium jankesów i trochę mnie to przeraża.

- Ależ kochanie, zawsze możesz tam wrócić, aby dalej odgarniać śnieg i przerzucać gazety. Kiedy tylko zechcesz.

- Nie było źle.

- Nie było dobrze. No właśnie.

Weselne menu Lucy i Douglasa

PRZYSTAWKI

Gamberi grille

(grillowane krewetki w marynacie)

Tuna carpaccio Duane

(surowy tuńczyk)

Pettini seared del mare

(obsmażone przegrzebki)

Funghi cotti di Portobello

(grzyby z grilla)

Crab cakes Fra Diavolo

(pikantne paluszki z kraba)

MINISTRA DEL GIORNO

Cioppino

(włoski gulasz rybny)

INSALATA

Tricolore insalata con silenzio cuccioli (trójkolorowa sałatka z plackami kukurydzianymi)

PIATTO PRINCIPALE

Polio champagne

(kurczak z winogronami w szampańskim sosie kremowym)

lub

Fritto misto

(owoce morza)

DESSERT

Tort weselny z polewą cytrynową

Rozdział szesnasty

Nadchodzi Lucy!

Po śniadaniu Mimi pojechała, a ja pospieszyłam do restauracji po swój faks. Gdy dotarłam na miejsce, Louise stała przy nowej ekspozycji rybnej z O'Malleyem i trzymała faks w ręku.

- Cześć! Spójrzcie tylko na to!

- Nie podoba mi się, jak ten lucjan czerwony na mnie patrzy - oznajmił O'Malley. - Wygląda podejrzanie. Może powinienem sprawdzić jego dokumenty?

- Cieszę się, że jesteś - powiedziała do mnie Louise. - Mamy dziś wesele, a czworo kelnerów, w tym Człowiek Faza, poszło na chorobowe. Trzymaj.

Faza naprawdę nazywał się Mike Evans; niedawno podkupiliśmy go z Trawlera, konkurencyjnej restauracji w Shem Creek. Nazywał sam siebie Człowiekiem Fazą, ponieważ kiedy miał „fazę” (co w języku jogi bądź medytacji transcendentalnej oznaczało to, co reszta świata nazywała „stanem alfa”), był najlepszym kelnerem na naszej planecie. Jego nieobecność nie wróżyła najlepiej.

Louise podała mi faks. Rzuciłam nań okiem, usiłując dociec, co tak naprawdę podpisuję.

- Czworo? - powtórzyłam. - Dziękuję. Chyba żartujesz?

- A sprawiam wrażenie skorej do żartów?

- Pora coś z tym zrobić.

- Jestem tego samego zdania, ale to nie jest najlepszy moment.

- Masz rację. No dobrze, mogę dzisiaj pracować, ale najpierw muszę pojechać do domu. Do trzeciej powinnam wrócić.

- Dziękuję - odpowiedziała Louise. - Na szczęście trochę się przejaśnia.

- Tak, pogoda się poprawia - potwierdził O'Malley. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że Brad udostępnił im taras.

- To rzeczywiście dość dziwne - przyznałam. - Będzie go to sporo kosztować.

- A widzicie! - zawołała z szerokim uśmiechem Louise. - Nie wiecie o nim wszystkiego, o nie!

- Niby czego? - zapytał O'Malley.

- A tego, że ma romantyczną duszę - odparła. - Rozmawiał z panną młodą, tą całą Lucy, a ona mu klaruje, że chce urządzić wszystko po włoskiemu, gdyż była to pierwsza rzecz, jaką zaserwowała swemu gołąbkowi. Choć między nami, skoro pakuje chipsy taco do zapiekanki, kucharka z niej żadna.

- To chyba raczej meksykańskie, ale na znawczynię kuchni też mi nie wyglądała - oznajmiłam. - Raczej na podstarzałą barmankę. - Uniosłam brew i popatrzyłam na Louise, która skryła uśmiech za uniesioną ręką.

- Nie bądź taka cyniczna, panno Jersey - wtrącił O'Malley.

- Przyjdzie kryśka na Matyska.

- Gdy to nastąpi, nie omieszkam dać ci znać.

- A pan Brad na to: „Naturalnie, że musicie mieć taras! Ile razy w życiu człowiek bierze ślub?”. Szczeka mi opadła ze zdziwienia! Wiedział, że przysłuchuję się rozmowie: mało się nie spaliłam ze wstydu! Wie, że nic się przede mną nie ukryje...

- Moja droga, wszyscy wiedzą, że nic się przed tobą nie ukryje!

- No to ja wam mówię, że ten człowiek ma w sobie więcej romantyzmu, niż sam byłby skłonny przyznać!

Lubiłam, kiedy Louise tak się ekscytowała.

- Już on będzie wiedział, co zrobić - zapewnił O'Malley - gdy tylko minie żałoba po Lorecie.

Louise i ja popatrzyłyśmy na niego z uśmiechem. Rzadko wygłaszał tego typu opinie.

- Za późno - powiedziałam. - Jego była sekretarka uderzyła już w tę czułą strunę. Bez aluzji.

- Ty niedobra! - prychnęła Louise.

- Czemu zaraz: niedobra? - wtrącił O'Malley.

- Dzięki serdeczne! - Złożyłam faks, schowałam go do torebki i wyjęłam okulary przeciwsłoneczne. - Wiecie co? W New Jersey miesiącami obywałam się bez ciemnych okularów.

- Tutaj w godzinę nabawiłabyś się bez nich katarakty! - zauważył O'Malley.

- Na razie! - zawołałam. Odwróciłam się, po czym przystanęłam. - Louise? Chcesz do pomocy moją siostrę?

Louise i O'Malley spojrzeli po sobie, chyba myśląc o tym, co chwilowo wyleciało mi z głowy, a mianowicie o wykładzie na temat kalorii, wygłoszonym przez Mimi do gości przy stoliku. Oboje zerknęli na mnie niepewnie.

- Hm... hm... - wybąkali jednocześnie.

- Cóż, w razie czego dajcie znać - skwitowałam. Uśmiechnęli się z ulgą i kiwnęli głowami.

Odebrałam rzeczy z pralni i zajechawszy po drodze na stację benzynową, wróciłam do domu. Gracie siedziała przed telewizorem, przerzucając kanały.

- Cześć, skarbie! Co oglądasz? Ktoś dzwonił?

- Cześć! Nie ma nic do oglądania! Nikt nie dzwonił.

Zauważyłam lśniące blaty, pochowane jedzenie oraz szumiącą zmywarę. Uznałam, że należy to jakoś odnotować.

- To dobrze. Dziękuję za sprzątnięcie kuchni.

- Tu jest tak ciasno, że najmniejszy bałagan rzuca się w oczy. Umyłam wszystko prócz ekspresu. Nienawidzę mokrych fusów od kawy. Fuj!

- Nie szkodzi. Zaraz wracam.

Właśnie ściągałam z wyczyszczonej odzieży plastikowe osłony i wieszałam ją w szafie, kiedy weszła Gracie i rzuciła się na moje łóżko.

- O co chodzi, kwiatku?

- A tak sobie przyszłam do mamy. Wybierzemy się dzisiaj do kina?

- Och, chciałabym, ale muszę pracować! Cztery osoby poszły na zwolnienie.

- Taa, dziś po południu jest koncert w Awendaw. Cóż za kosmiczny zbieg okoliczności!

- No tak, Brad powinien przestać zatrudniać smarkaczy i wziąć do pracy kelnerów z prawdziwego zdarzenia.

- Ja pieprzę, mamó...

- Język!

- Przepraszam, ale powinnaś ich posłuchać. Połowa z nich to ćpuny.

- Ale chyba w pracy nie palą haszu, co?

- Nie, zapalają świeczkę w kościele, a potem do roboty - wyjaśniła z naciskiem Gracie.

- Spryciarze! A co ty dzisiaj porabiasz?

- Czuję się na tyle dobrze, że mogę wziąć udział w popołudniowej akcji oczyszczania rzeki. Miałam nadzieję na deszcz, ale nic z tego!

- Myślałam, że się cieszysz! Co się stało?

- Mamó? Powiedz mi, co się dzieje nad wodą po burzy?

- Aha, wylęgarnia komarów.

- No właśnie! A one z jakiegoś powodu upodobały sobie moje kolana. Boże, jak ja nienawidzę komarów!

- Kochanie, nikt ich nie lubi, ale są pożywieniem dla ryb i nietoperzy. No wiesz, łańcuch pokarmowy.

- Taa, a one rąbią mnie. Znam to na pamięć. Na szczęście Lindsey zostawiła długie płócienne spodnie; wepchnę je do kaloszy i będą jak znalazł. W końcu obiecałam, że pójdę. Może uda mi się namówić Alexa! Lupe mogłaby nas podwieźć! Doskonały pomysł!

Gracie zeskoczyła z łóżka i znikła za drzwiami, nim zdążyłam ochłonąć ze zdumienia nad niespożytą energią, która stanowi przywilej młodości. Całkowicie niezasłużony, jak zwykła twierdzić moja matka.

Ubrałam się do pracy i przed wyjściem zajrzałam do pokoju Gracie. Rozmawiała przez telefon.

- Pozwolisz na chwilkę?

- Zaraz oddzwonię - rzuciła do słuchawki. - Idę z Alexem.

- To dobrze. Posłuchaj, Gracie, tak naprawdę nie rozmawialiśmy o wczorajszym incydencie. Nie chciałam poruszać tego tematu przy cioci, ale jak masz zamiar to wszystko wyjaśnić?

- Nie rozumiem.

Oparłam się o framugę, mimowolnie urzeczona twarzą córki. Miała niemal idealne rysy, żywe spojrzenie, urzekający uśmiech... czy kiedykolwiek wyglądałam tak jak ona?

- Mamo?

- Przepraszam, skarbie. Przyszło mi do głowy, że gdybym w twoim wieku wiedziała to, co wiem teraz, mogłabym zmienić świat.

- Jasne. A więc co tam?

- Hm, mogę cię o coś spytać? Od kiedy „co tam?” stało się zamiennikiem „o co chodzi?”?

- Odkąd wymyśliło to twoje pokolenie - odparowała.

- Ach tak. Dziękuję za wyjaśnienie.

- Nie ma sprawy.

- Posłuchaj, wczoraj w nocy Alex przywiózł cię do domu i został na chwilę.

- Podczas gdy ja znajdowałam się w SBZ?

- Po angielsku proszę.

- W Stanie Bliskim Zejścia.

- Hm, no tak. Wracając do rzeczy, Alex nie powiedział tego wprost, ale dał do zrozumienia, że dziewczęta, które poczęstowały cię ciastem, wiedziały, co zawiera.

Pytanie brzmi, czy ty też wiedziałaś.

- Dopiero gdy zakreśliło mi się w głowie... chcesz powiedzieć, że zrobiły to celowo?

- To właśnie sugerował Alex. On też był zdegowany.

- O Boże! Mamo! Przecież to kompletne dno!

- Owszem. Poza tym wynikła też jakaś dziwna sprawa z chłopcami i Alex uratował ci skórę. Hm. Chodzi o to, że...

- No tak! O Boże! Teraz sobie przypominam! Z tego Alexa to też kawał marudy, wiesz? Dobrze, że się o mnie zatroszczył, ale nie musiał nikomu dowalić. Kompletnie mu

odbiło. Chyba myślał, że jesteśmy na randce czy coś w tym rodzaju. W każdym razie sprawy wymknęły się spod kontroli.

- Jednym słowem jesteś zadowolona, że nikt nie zmusił cię do tego, na co nie miałaś ochoty?

- Pytasz, czy ktoś próbował mnie zgwałcić? - Spojrzała na mnie i na widok mojej miny dodała pospiesznie: - Czy uważasz mnie za kompletną idiotkę, mamó?

Wiedziała, że próbuje tylko uśmierzyć mój niepokój, ale poczułam się jak w samolocie, kiedy człowiek na bezdechu gorączkowo maca wokół w poszukiwaniu maski tlenowej. Ukradkiem wciągnęłam powietrze w płuca. Do zapamiętania: w kontaktach z nastoletnimi dziećmi, zwłaszcza własnymi, należy zachować zimną krew.

- W porządku, chciałam się tylko upewnić, że nic ci nie groziło. To wszystko. Kocham cię.

- Przestań, mamó! Ależ nic mi nie grozi! Już ja nie dam się zwieść chłopcom z Południa i tym ich słodkim gadkom. Oni są wszędzie tacy sami. Wierz mi, umiem o sobie zadbać. Najbardziej mnie wkurzają dziewczyny. Zamiast trzymać się razem, robią sobie coś takiego.

Ucieszyłam się, że twardo pilnuje swego, przynajmniej w pewnych granicach. Przecież każdy, a na pewno większość nastolatków, robi w którymś momencie coś głupiego, a potem cierpi. To było nie do uniknięcia. Grunt to nie mieć złudzeń, gdyż nasza wizja ich rzeczywistości zasadniczo odbiegała od oryginału.

- Zapamiętaj to jako nauczkę i na przyszłość nie ufaj im tak łatwo. Muszę lecieć. Cmoknęłam ją w czubek głowy.

- A co tam. Wygląda na to, że spędzę popołudnie, brodząc po moczarach w poszukiwaniu puszek po piwie.

- W słusznej sprawie! Jestem z ciebie dumna!

Kiedy dotarłam do restauracji, główna sala była prawie pusta. Poszłam do biura, przeczytałam umowę z biurem nieruchomości i nie mając zielonego pojęcia, co podpisuję, odesłałam dokument faksem do Gretchen, nakreśliwszy uprzednio trzykrotnie znak krzyża. Był to rumuński zwyczaj, który przejęłam od jednego ze swych współpracowników z New Jersey, gdy w pewną zimną noc usiłowaliśmy uruchomić

ciężarówkę z wyładowanym akumulatorem. Trzy razy to zaklęcie, usłyszałam wtedy. Silnik zaskoczył, a ja wzięłam sobie tamte słowa bardzo do serca.

Następnie poszłam na taras i zastałam tam Louise i Duane'a. Louise owijała balustrady białym tiulem i mocowała na kolumnkach białe wstążki oraz bukietki stokrotek. Jak zwykle kłócili się o jadłospis.

- Doo-wayne? Co to u diabła jest kiopino?

- *Cioppino*! Potrawka z ryby, Louise! Różnica polega na dodaniu czerwonego wina, a mięczaki zostają w skorupkach!

- Które potem będą się wszędzie walać! - skwitowała Louise i dodała na mój widok:

- Chodź no tu, Linda. Popatrz na to wariactwo! Doo-wayne drukuje menu po włoskiemu! Chcę zobaczyć wszystko, zanim trafi na stół!

- Jesteście jak dwie sroki, jak pragnę zdrowia! Co tam masz, Duane?

Z bezsilnym westchnieniem wręczył mi brudnopis.

- Człowiek próbuje wprowadzić trochę kolorytu i tylko rzucają mu kłody pod nogi!

- Biedny Duane! - powiedziałam. - Każdy akt prawdziwego geniuszu wymaga odwagi. Wiesz o tym, prawda? - Trąciłam go lekko łokciem. Wprawdzie nadal robił obrażoną minę, ale wiedział już, że ma sojusznika, który ocali go przed Louise.

- Tym razem mój honor doznał uszczerbku ponad miarę!

- Sza! Co my tu mamy? No dobrze. *Cioppino*. Słyszałam, słyszałam. O, a co to jest *fritto misto*?

- Smażone owoce morza - wyjaśnił Duane - na talerzach, nie w koszyku! Bądź co bądź chodzi o wesele. Po toaście podamy tace pieczonych *funghi*...

Brwi Louise, zawsze wyjątkowo ruchliwe, wyginały się i rozciągały na wszystkie strony.

- Fuungiii, też mi coś - wymamrotała pod nosem. - To brzmi prawie nieprzyzwoicie!

- Słyszałem! - burknął Duane. - *Funghi cotti di Portobello, gamberi grille*...

Nikt nie zwrócił na niego uwagi, co bardzo go zirytowało. Zapewne spędził dwa dni w Internecie, próbując ustalić poprawną pisownię.

- Przepraszam, Duane. Jak będą po włosku „szczeniaczki”*? - zapytałam.

* Nawiązanie do określenia *hush puppies*, amerykańskiej nazwy placków kukurydzianych. *Hush* - cicho, *sza*; *puppies* - szczenięta.

- Chyba *cuccioli* - oznajmił Brad, wchodząc po schodach. - Co się tu dzieje?

- O, cześć! A jak powiedzieć „cicho”?

- To łatwe! *Silenzio!*

- Ha! Wiem, o co chodzi! Dopiszmy to do menu! *Silenzio cuccioli!* - zawołał Duane. Wyrwał mi jadłospis. - Bomba! Linda, jeśli kiedykolwiek odejdziesz, definitywnie rzucam robotę! Pozostałe potrawy to sałatka *tricolore* oraz tort *cannoli*. Oczywiście jest też *polio champagne*, jeśli ktoś ma uczulenie na *fritto misto*. Czy wszyscy są zadowoleni?

Nie czekając na potwierdzenie, obrócił się na pięcie i sfrunął po schodach.

- O czym on gada? - zdumiała się Louise. - *Silenzero Cucco?* Co to ma być?

Brad i ja wybuchnęliśmy śmiechem.

- Racuchy kukurydziane, Louise. *Silenzio cuccioli!* Podaje właściwie to samo, co zwykle: potrawkę rybną, smażone owoce morza i placki kukurydziane z sałatką. Chyba moglibyśmy też zaserwować *mucca pazza bistecca* - podsunął Brad.

- A cóż to znowu...? - Louise dołączyła do ogólnej wesołości.

- Stek Szalonej Krowy, z sosem *funghi* na stronie, rzecz jasna!

- Uwielbiam tę robotę - oświadczyłam. - W Ridgewood, w New Jersey jest sklep o nazwie Piąta Klepka. Zawsze myślałam, że byłoby zabawnie tam pracować, ale tu jest o niebo lepiej!

- I nikomu nie brakuje piątej klepki, ot co - dodała Louise. - Idę na dół. Czekamy na kwiaty i paprocie. Muszę się zorientować w sytuacji i dopilnować, żeby Gruby Łajdak też dotarł na miejsce.

- Louise! - zawołałam wstrząśnięta jej słownictwem. - O kim ty mówisz?

Teraz to Louise parsknęła śmiechem, a Brad jej zawtórował.

- Co? - zapytałam. - Co w tym zabawnego?

- Gruby Łajdak to nazwa wina, na które uparli się państwo młodzi - wyjaśnił Brad. - Bóg jeden wie dlaczego! Jest okropne! Ale ona chciała Grubego Łajdaka i mrożone margarity. Pewnie chodzi o względy sentymentalne.

Louise zebrała się do odejścia, ale Brad ją zatrzymał.

- Louise? Prześliczne dekoracje. Czy to nie miłe, urządzać tu wesele?

- Pewnie - potwierdziła, kierując się w stronę schodów. - Oby przyniosło nam szczęście!

Na kolejnych dziesięć minut zostaliśmy sami i postanowiłam podziękować mu za pomoc okazaną zeszłej nocy. Bar był niemal gotów do otwarcia.

- Dzięki, Brad. Hm, no wiesz, za wczoraj i w ogóle. - Co się ze mną dzieje, skąd to pochrząkiwanie?

- Drobnostka. - Zgarnął z miseczki garść pistacji.

Spoglądał na mnie tak samo dziwnie jak w nocy. Na szczęście teraz miałam przynajmniej makijaż.

- Wręcz przeciwnie. Nie każdy przyjechałby o takiej porze. Dzięki. - Nachyliłam się i wyjęłam spod lady kilka popielniczek, na wypadek gdyby ktoś z towarzystwa palił.

- Nie ma problemu. A jak dzisiaj?

- W porządku. - Otworzyłam szafkę z alkoholem. - Alex pojechał z Gracie na oczyszczanie rzeki.

- Będą wyławiać śmieci?

- No. - Jezu! Czy zawsze muszę zachowywać się przy nim jak analfabetka? Trochę wysiłku! - Hm, cel mają szczytny. Zawsze to lepsze niż przesiadywanie przed telewizorem, nie sądzisz? - Nie licząc idiotycznego pochrząkiwania, tym razem chyba wypadłam nie najgorzej.

- Zdecydowanie - odparł z uśmiechem. - Patrz! Jest panna młoda!

Pospieszyłam do barierki i zobaczyłam białą, gwiazdorską limuzynę podjeżdżającą do naszych skromnych progów. Koszt wynajęcia takiego samochodu zapewne dwukrotnie przewyższał cenę kolacji. No nie, O'Malley miał rację: jestem zbyt cyniczna. Jednakże uśpiona we mnie romantyczka czekała, aby zobaczyć pannę młodą. I bynajmniej się nie zawiodła.

Lucy miała na sobie wiązaną z tyłu na szyi białą, obcisłą suknię do kolan oraz welon spływający aż do ziemi. Biustem przyćmiewała Dolly Parton, biżuterią zaś egzotyczne tancerki na festiwalu cygańskim. Rany! Za limuzyną podążały cztery samochody wyładowane gośćmi i podejrzewałam, że na tym się nie skończy.

Brad rzucił mi oszołomione spojrzenie.

- I co?

- Jak to co? Odpalać shakery!

W przeciągu kilku minut taras zapełnił się gośćmi i z trudem nadażałam z podawaniem drinków. Wszyscy jednak bawili się znakomicie. O'Malley przyszedł mi pomóc, za co byłam mu głęboko wdzięczna. Erica i Lisa roznosiły przystawki na bambusowych tacach.

- Myślałem, że to przyjęcie na dwadzieścia cztery osoby - mruknął O'Malley. -
Dotąd już naliczyłem pięćdziesiąt.

- Typowe - odpowiedziałam.

- Powiem Duane'owi, żeby dolał wody do zupy.

- I przynieś jeszcze jeden shaker!

Alkohol lał się strumieniami i nic nie wskazywało na to, by przyjęcie miało przynieść Bradowi straty. Na tarasie panowała atmosfera podniecenia, jaka towarzyszy jedynie przyjęciom weselnym. Jeden z gości oparł się o kontuar, usiłując ściągnąć na siebie moją uwagę.

- Witam - powiedziałam. - Czym mogę służyć?

- Poproszę kieliszek białego wina - odpowiedział. - Czy aby nie potrzebuje pani pomocy?

- Jest pan barmanem? - Postawiłam przed nim kieliszek i napełniłam winem.

- Droga pani, tak się składa, że jestem Królem Sera z Charlestonu!

- Słucham? O czym pan mówi?

- A propos, nazywam się Arthur Fisher. - Wyciągnął rękę; uściśnęłam ją mocno i mężczyzna wzdrygnął się odruchowo. - Ale uścisk!

- Przepraszam. - Niestety, zwykle liczy się pierwsze wrażenie, w związku z czym uznałam faceta za dość osobliwego.

Przez tłum przecisnęła się atrakcyjna blondynka i stanęła obok niego. Musiała być jego przyjaciółką.

- Nie zaczepiaj tej miłej pani, Arthurze.

- Kieliszek wina? - zaproponowałam ze śmiechem.

- Jasne - odrzekła. - Tak naprawdę jest nieszkodliwy. Czy zdążył już wygłosić wykład na temat sera?

- Nie.

- Ściśle rzecz biorąc, zaoferowałam pani pomoc, Anno - oznajmił Arthur. - Stoi za barem sama jedna i pomyślałam...

- Drugi barman zaraz wróci. To o co chodzi z tym serem?

- Niedawno rzuciłem robotę w High Cotton i przeszedłem do Cypress.

- Nigdy tam nie byłam - wyznałam. - Niedawno wróciłam tu po latach nieobecności.

- No właśnie - wtrąciła Anna. - Człowiek raz zakosztuje atmosfery Karoliny Południowej i potem ciągnie go z powrotem.

- Coś w tym jest. - Odwróciłam się do innych gości, lecz Arthur nie dawał za wygraną.

- Proszę zajrzeć do Cypress - zachęcił. - Zrobię pani jabłkowe martini i poczęstuję serem na dokładkę.

- Brzmi obiecująco - odrzekłam, przystępując do sporządzania kolejnej partii drinków.

Arthur dalej snułby swoje wywody, lecz Anna wreszcie odciągnęła go od baru.

Nadeszła panna młoda.

- Cześć! Moje gratulacje!

- Dzięki! Czy to nie cudowne? Czy życie nie jest wspaniałe? Czy cały świat nie jest wspaniały?

Z uśmiechem potrząsnęłam głową.

- Jak najbardziej. Co pani podać?

- Chyba napiję się martini! Tylko ani słowa Docowi! Położyłam rękę na sercu i otworzyłam dwie miniaturki dzinu.

- Jest pani mężatką?

- Nie.

- Ma pani faceta?

- Chwilowo nie - odparłam, mieszając dżin z wermutem.

- No to powinna go pani znaleźć i dać się ponieść! Nic na tym padole łąz nie może się równać miłości!

Lucy, świeżo upieczona żona Doca Lutza, ubrana jak nie przymierzając tancerka go-go z prowincji, mówiła ze śmiertelną powagą. I doszłam do wniosku, że miała całkowitą rację. Padające z tyłu jaskrawe światło sprawiło, że promieniała wprost anielskim blaskiem, nawet pomimo owego szczególnego stroju i przesadnych zabiegów kosmetycznych. Może właśnie dlatego uważnie słuchałam jej słów. Napełniwszy kieliszek, umieściłam w nim dwie oliwki na wykałaczce i postawiłam przed Lucy.

- Pani Lutz...

- Mów do mnie Lucy, skarbie! Chociaż „pani Lutz” brzmi wcale nieźle!

- Niech będzie Lucy. Wierzę ci. A skąd wiadomo, że to ten jedyny?

- Ależ to łatwe, złotko. Znajdziesz właściwego mężczyznę, kiedy dasz się poznać jako właściwa kobieta! No i musisz być gotowa.

Uniosła kieliszek, pociągnęła solidny łyk i wróciła do gości.

Weselników poproszono na kolację i wszyscy z wolna podążyli na dół. O'Malley i ja zostaliśmy, żeby posprzątać przed nadejściem wieczornych gości. Była dopiero piąta; niebawem taras znów się zapełni.

- Louise panuje nad barem na dole - powiedział O'Malley. - W razie czego Brad przyjdzie jej pomóc.

- To dobrze - odrzekłam. - Nasi stali bywalcy nie będą zachwyceni taką liczbą weselników!

- Grunt to z góry zaplanowane menu - dodał O'Malley. - Jeszcze godzina i już ich nie będzie.

- Zobaczymy. Moim zdaniem dopiero się rozkręcą.

Spojrzałam w stronę mostu na Shem Creek. Poniżej dostrzegłam grupę około dwudziestu osób zaopatrzonych w czarne, plastikowe worki i pochylonych nad wodą. To pewnie brygada sprzątająca, w której jest też Gracie. Zobaczyłam Jasona Millera; to, że

czułam do niego antypatię, nie przekreślało go jako nauczyciela. Gdyby trzy miesiące temu ktoś mi powiedział, że moja młodsza latorośl spędzi wolne popołudnie, zbierając puszki i niedopałki, zrywałabym boki ze śmiechu. A gdyby tak puszki były pełne? Wtedy, cóż, Gracie zostałyby jedną z pierwszych ochotniczek.

- Co tam? - spytał O'Malley.

- Nie uwierzysz, ale to Gracie, Alex i grupka nastolatków z Wando. Zgłosili się do sprzątania Shem Creek.

- Żartujesz! W ich wieku końmi byś mnie tam nie zaciągnęła.

Ponownie skierowałam wzrok w dół i zobaczyłam, że Miller podąża wraz z młodzieżą w stronę restauracji. Tuż pod nami znajdowała się główna sala z przestronną werandą, zapewne wypełnioną gośćmi, podobnie jak pozostałe lokale wzdłuż strumienia. Jason wyjął i rozwinął transparenty, a następnie wręczył je uczniom. Cała gromada wspięła się na przystań i stanęła tuż pod werandą, formując szereg. Serce zabiło mi gwałtownie w piersi. Demonstranci unieśli transparenty. „Shem Creek jest martwy i to wasza wina!”. „Łodzie niszczą środowisko naturalne!”. „Bojkotujcie restauracje, które zatrują wodę!”. Mało nie zemdlałam.

- Muszę zabrać stamtąd Gracie i Alexa!

Ile sił w nogach zbiegłam po schodach. Kiedy dotarłam na miejsce, Brad stał już obok Alexa. Chwyciłam Gracie za rękę.

- Straciłaś rozum? - zapytałam. - Ja tu pracuję!

- Nie wiedziałam, że będziemy protestować, mamó - odpowiedziała. - Przysięgam! Alex też nie!

- Koniec z zajęciami po szkole - ucięłam, po czym zbliżyłam się do reszty grupy, chcąc usłyszeć, o czym mowa.

- Próbuję tylko zarobić na życie - perswadował Brad.

- Czyżby? Mogę panu pokazać statystyki na dowód, że tacy jak pan zanieczyszczają wodę - odparował Jason Miller.

- Tylko bez agresji, dobrze? Rozejdźcie się i nie zakłócajcie spokoju moich gości - rzucił Brad. - Rozumiemy się, kolego?

Usłyszałam syreny. Zaprowadziwszy Gracie i Alexa do mojego biura, zabroniłam im ruszać się z miejsca.

- Macie tu siedzieć, zrozumiano?

Gracie łypnęła na mnie ze złością, a Alex wbił wzrok w podłogę.

W sali zapanował lekki chaos: wiele osób prosiło o rachunek, pozostali zaś stali na werandzie, śledząc rozwój sytuacji. Jedno było pewne: nie wpłynie to dobrze na interesy.

Wróciłam na taras, gdzie O'Malley uwijał się przy barze. Zebrał się tam spory tłum; większość zgromadzonych stała przy balustradzie, patrząc w dół. Zobaczyłam, jak policja odprowadza skutego kajdankami Jasona Millera. Jego uczniom pozwolono iść do domu. Transparenty gdzieś znikły; pewnie upchnięto je w workach bądź zabezpieczono jako dowody. Wywołałam Louise przez interkom.

- Hej, to ja. Posłuchaj, Gracie i Alex są w moim biurze.

- Wcale nie - odpowiedziała.

- Jak to?

- Zmywają naczynia z Lupe! Powiedziałam im, że zostali zdegradowani!

- Świetnie! Lupe tu jest?

- Wszyscy na posterunku!

- Jak tam panna młoda? Potrzebujesz wsparcia?

- Panna młoda prowadzi wężyk przez całą salę, podrygując, jakby ją pchły oblazły, i całuje wszystkim mężczyźn. W usta. W dodatku to nie są jej goście.

- Idę.

Rozdział siedemnasty

Kocioł

Przyszłam rano do pracy, przywitałam się ze wszystkimi i przystąpiłam do swych codziennych zajęć. Najpierw sprawdziłam pocztę elektroniczną. Przyszła wiadomość od Lindsey: „Cześć, mamó! U mnie wszystko w porządku. Czy już zabiłaś Gracie? Cha, cha! Kocham Cię, L.". Natychmiast wysłałam odpowiedź: „Kochana Lindsey, kocham Cię! Dziękuję za list. Gracie jeszcze żyje, ale jej dni są policzone. Zadzwoń do niej i powiedz, żeby miała się na baczności. Strasznie za tobą tęsknię. Mama".

E-mail? Dla mnie bomba.

Zaczęłam wgrywać kolejną wersję programu do księgowania i postanowiłam w tym czasie przynieść sobie z kuchni coś do picia. Doszłam do wniosku, że gdybym dostawała dolara za każdą minutę oczekiwania na załadowanie programu bądź każdą minutę oczekiwania ze słuchawką przy uchu na dźwięk ludzkiego głosu, opływałabym w gotówkę. Pomyślałam też, że gdyby nie ciągle poszukiwania najnowszej wersji tego czy tamtego, skróciłabym sobie czas pracy o połowę.

Louise i Duane stali przy tylnym wejściu, sprawdzając zgodność faktury z dostarczonym towarem. Święto Pracy Świętem Pracy, ale my nie mieliśmy wolnego. Przyjdzie nam poczekać na Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i pierwszego stycznia. Na podjeździe ujrzałam niezliczone skrzynie z sałatą, cebulą, marchewką, selerami, fasolką szparagową oraz pączki z ziołami. Po przeliczeniu wszystkiego i złożeniu podpisów na dokumencie Louise i Duane zaczęli wносить skrzynie do środka i dokładnie przeglądać ich zawartość.

Nigdy nie różnili się w opinii co do jakości produktów: musiały być pierwszorzędne, inaczej towar wracał do dostawcy. Z biegiem czasu zrozumiałam, że pomimo ciągłego dogadywania owo zgodne podejście do kwestii standardu w znaczny sposób tłumilo irytację wywołaną przywarami drugiej strony. I tak Louise tolerowała ekscentryczne wyskoki Duane'a, a on znosił jej utyskiwanie. Louise była świadoma faktu, że

chłopak utrzymuje kuchnię w takiej czystości, iż można by w niej przeprowadzić operację chirurgiczną bez ryzyka zakażenia. Duane zaś ze swojej strony wiedział, że podczas jego nieobecności ład na stanowisku pracy będzie jeszcze większy. Może i mieli różne osobowości, ale wyrastały one z tego samego ziarna.

Najlżejsza wątpliwość co do zapachu ryby bądź plamki na pomidorze wywoływała zawziętą dyskusję, przypominając im o tym, że są towarzyszami broni w walce przeciwko miernocie. Louise bezlitośnie dogryzała Duane'owi, lecz zawsze pierwsza podkreślała jego wybitny talent kulinarny. On zaś mógł powtarzać, że przypominała komara o zachodzie słońca, ale uważał ją za jedyny autorytet w kwestiach związanych z kuchnią.

- To ma być vidalia? - zapytała Louise, podtykając Duane'owi pod nos cebulę z wielką, rozmięktą plamą pośrodku. - Nie dałabym tego szczurom!

- O Boże! - zawołał Duane. - Masz całkowitą rację. Jest do niczego. - I zaczął grzebać w skrzyni z cebulą.

- Dzień dobry wszystkim! - powiedziałam. - Jest już Brad? Jak spędziliście weekend?

- Dzień dobry! Też mi weekend! Jeden dzień! - odrzekła Louise. - Brad jeszcze się nie pokazał.

Nalałam sobie szklankę mrożonej herbaty. Zrobił się upał, chociaż nie było jeszcze dziesiątej. Był jeden z tych dni, kiedy człowiek modlił się o sprawne funkcjonowanie klimatyzacji.

- Połowa tych cebul nadaje się tylko do wyrzucenia! - oświadczył Duane. - No to weselisko mieliśmy, jak się patrzy, nie?

- W rzeczy samej - potwierdziłam. - Panna młoda była może ździebko zbyt wylewna, jednak czyż nie urocza?

- O tak! Proszę. - Louise wręczyła mi fakturę. - Wylewna to dobre słowo, ale tak kocha swego starego, że aż człowiekowi robi się ciepło na sercu.

- Co się stało z tym oszołomem Jasonem Millerem?

- Któż to może wiedzieć? Podobno wlepili mu mandat i puścili do domu - powiedział Duane. - Tak, nie ma jak wesele. Takie światełko w tunelu, prawda? *Cioppino*

zrobiło furorę. - Duane przesadnie zaakcentował podwójne „p”, wymachując przy tym rękami.

- Owszem, zrobiło - zachichotała Louise. - Grunt, że go wystarczyło! Doo-wayne? Masz fioła, wiesz?

W tajemnym języku Louise oznaczało to mniej więcej tyle, że to ona miała fioła na jego punkcie.

- Pomóc wam? - zapytałam.

- Nie, dzięki - odpowiedział Duane - ale potrzebny mi numer dostawcy z Wentworth Farms. Cebule musiały za długo leżeć na słońcu. Ten gatunek gnije w mgnieniu oka.

- Zaraz przyniosę - rzuciłam i wyszłam przez wahadłowe drzwi.

A za nimi, w recepcji, ubrana w seledynową koszulkę i rybaczek pod kolor, stała Amy. Na nogach miała klapki w identycznym odcieniu, z blad różowymi kwiatkami ze skóry. Paznokcie u stóp pomalowała naturalnie na ten sam kolor. Miałam przed sobą upiorną powtórkę z kiczowatej stylistyki Marilyn Monroe.

- Myślałam, że pani wróciła do Atlanty - powiedziałam.

Mój ton mówił sam za siebie. Podpalenie lontu trwało może dwie sekundy, lecz eksplozja była ogłuszająca.

- A ja myślałam, że pani pracuje na zapleczu - odparowała. - Pewnie nie dowiem się, czy jest Brad?

- Pracuję w restauracji. Brada nie ma.

- A Louise?

- Zaraz poproszę.

Wybornie. Amy ani się obejrzy, jak legnie na łopatkach. Otworzyłam wahadłowe drzwi. Louise stała przy centralnym blacie i odrywała liście z główki sałaty.

- Okropna! - zawołała. - Tak popsuta, że człowiek wyrzuci więcej, niż zużyje! Chyba ją mrozili.

- Hej, Louise!

- Masz numer? - spytał Duane.

- I to jaki! Czeka w recepcji - odpowiedziałam. - Przyszła Amy i chce rozmawiać z tobą, Louise.

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

- Czego ona ode mnie chce?
- Chyba uważa, że nie jestem wiarygodnym posłańcem.
- Ja też idę - oznajmił Duane. - Zawsze omija mnie najciekawsze!
- Ani mi się waź! - ostrzegła go Louise.

Zrobiła minę współniczki przestępstwa i razem wyszliśmy z kuchni, gotowe storpedować plany sekretarki.

- Jestem Louise. Czym mogę służyć?
- Jestem Amy...

Louise wyprostowała się jak struna i jej twarz przybrała kamienny wyraz.

- Uhm... - odrzekła z wolna. - Domyślam się.

Amy, niezrażona, oparła rękę na biodrze i hardo popatrzyła na Louise, która z kolei zmierzyła ją wzgardliwym spojrzeniem. Amy zadzierała z niewłaściwą osobą.

- Chcę tylko zostawić Bradowi wiadomość - oznajmiła. Następnie spojrzała na mnie. - Nie ma pani nic innego do roboty?

Louise i ja spojrzaliśmy po sobie ze zdziwieniem.

- Chyba nie mam - odrzekłam, unosząc dwa palce do ust w udawanym zakłopotaniu.
- Chyba nie ma - powtórzyła jak echo Louise, naśladowując mój gest. Amy nawet nie mrugnęła okiem.

- Jak sobie chcecie - powiedziała. Wyszarpnęła z torebki wizytówkę oraz pióro i naskrobała coś na odwrocie. Następnie podała wizytówkę Louise. - Proszę przekazać Bradowi, że to adres i telefon do domu, gdzie się zatrzymałam na najbliższy miesiąc. Mieszkam u dawnej współlokatorki. Niech do mnie zadzwoni, dobrze?

I już jej nie było. Louise zajęła miejsce przy barze.

- Chodź tutaj - powiedziała do mnie. - Masz popielniczkę, O'Malley?

O'Malley gwizdnął przeciągle przez zęby i postawił przed nią popielniczkę.

- Zaczynasz palić? - spytał.
- Owszem, zamierzam coś spalić, ale to nie będzie tytoń. Zapalki?
- Mieszka przy Thompson Avenue na Wyspie Sullivana - ogłosiła Louise. - Fajnie,

nie?

Wdrapałam się na stołek obok niej. Doskonale wiedziałam, co chce zrobić. Podarła wizytówkę na cztery części, po czym kolejno podpałała każdy kwadracik i wrzuciwszy je do popielniczki, patrzyła, jak płoną.

- Nie podoba mi się ta kobieta - oświadczyła. - Wcale mi się nie podoba.

- Mnie też nie. Ani trochę. Czy naprawdę uwierzyliśmy, że Brad jej się tak łatwo pozbędzie? Mówił, że zamierzała wrócić do Atlanty.

- Ile ty masz lat? Mężczyźni kłamią - odparła Louise. - Powinnaś już to wiedzieć.

- Cóż, hrabstwo Charleston to nie jego własność. Może postanowiła zostać i kuć żelazo, póki gorące.

- Taa, jeszcze nam tu brakuje rudej wiedźmy.

Od naszego westchnienia mało nie zadrżały kieliszki na półce.

- Podać wam coś? - zapytał O'Malley. - Poważne chwile wymagają poważnych rozwiązań.

- Nie, dzięki - odpowiedziałam. - Ale pozbądź się dowodu. Nie chcemy, aby ktoś się dowiedział, że palimy śmieci. Idę po ten telefon dla Duane'a.

Louise podreptała za mną do biura. Zanotowałam na kartce numer do Wentworth Farms.

- Ja mu zaniosę - powiedziała.

- Dziękuję.

- A więc to była Amy.

- Tak. To była Amy.

Spojrzałyśmy na siebie i zacisnęłyśmy usta w zgodnej niechęci.

- Ciut zbyt śmiała jak na mój gust - stwierdziła Louise.

- E tam, śmiała. To po prostu kolejna wynaturzona, zapatrzona w siebie kretyńka żywcem wzięta z reality show o życiu seksualnym dzikich.

- No. Dobrze to ujęłaś. Wracam do pracy.

Przejrzałam rachunki i tuż przed południowym otwarciem zwołałyśmy z Louise małe spotkanie umoralniające dla czwórki kelnerów, która przed weselem wystawiła nas do wiatru. Z zaciętymi minami usiedli przy stoliku w rogu sali jadalnej.

- Sprawa wygląda następująco - zaczęłam. - Nie myślcie sobie, że jesteście niezastąpieni. Jeszcze jeden taki wybryk, a już was tu nie ma.

- Nie, Linda, z nimi nie można po dobroci - zaproponowała Louise. - Słuchajcie, pamiętam, jak to było w czasach mojej młodości. Jeśli chciałam znaleźć robotę i ktoś postanowił dać mi szansę, punktualne stawianie się w miejscu pracy i wykonywanie obowiązków było niezbędnym minimum. Oczekiwano, że będę zadowolona i wdzięczna! Tymczasem wy jesteście z innej bajki. Migacie się, gdy tylko przyjdzie wam na to ochota, i podczas największego ruchu wolicie sobie jechać na koncert.

Popatrzyłam na obojętne twarze słuchaczy. Dwoje żuło gumę, trzeci gapił się przez okno, ostatni zaś słuchał z takim zainteresowaniem, że aż poczułam się nieswojo. Nałykał się czegoś czy jak? (Bynajmniej nie miałam na myśli świeżego powietrza).

Louise westchnęła i zerknęła na mnie bezradnie.

- Posłuchajcie, moi kochani. To nie w porządku, chociażby przez wzgląd na pozostałych pracowników. Brakuje nam rąk do pracy, klienci nie są obsługiwani jak należy i następnym razem pójda gdzie indziej. Wasze postępowanie naraża na szwank dobro lokalu i waszych współpracowników. Wy możecie sobie iść do college'u i dalej brać pieniądze od rodziców. My nie jesteśmy w tak komfortowej sytuacji. Dla nas to kwestia być albo nie być.

Mike Evans, Faza, zabrał głos w imieniu całej czwórki.

- Oczywiście macie rację, postąpiliśmy samolubnie. Chyba mogę powiedzieć za nas wszystkich, że to się więcej nie powtórzy.

Nie wierzyłam w ani jedno słowo. Poza tym, kto wybrał go na rzecznika?

- No dobrze. Jeśli chcecie mieć wolne, po prostu dajcie znać. Wtedy przynajmniej będziemy mogli znaleźć zastępstwo.

- Wystarczy - dodała Louise. - Pora wracać do pracy.

Pora lunchu nadeszła i minęła, a kelnerzy wciąż chodzili w aurze niesławy.

- I co myślisz? - spytałam O'Malleya, któremu pomagałam przy barze. - Czy według ciebie nauka pójdzie w las?

- Owszem - odpowiedział. - Ja w ogóle nie strzepiłbym sobie na nich języka.

- Naprawdę? Nawet na Fazę?

- No, może dla niego zrobiłbym wyjątek. Jest w porządku. Jego bym zostawił, ale resztę wyrzuciłbym na zbity pysk. Są niereformowalni.

Około trzeciej nadciągnął Brad z Bogartem i stanął w recepcji, gdzie przeglądałam rezerwacje wraz z Connie.

- Cześć! Jakież wiadomości?

- Czy to pana pies? - spytała Connie. - Jak się wabi?

Nie, pomyślałam. Ukradł go, kretynko. Zadzwoń na policję. Ale nie powiedziałam ani słowa.

- Bogart - odrzekł Brad. - Zabieram go do weterynarza na badanie. Wiadomości?

- Och! Przepraszam! Tak, jest kilka. Dzwonił Theo, a Robert kazał przekazać, że razem z Susan przyjdą na kolację. I cztery razy dzwoniła jakaś Amy.

- Tylko cztery? - spytałam zgryźliwie.

- O, do licha - mruknął Brad. - A jednak nie wyjechała.

Z uwagą czytał wiadomości, ale dostrzegłam, jak jego twarz rozplywa się z zadowolenia. Mógł sobie mówić, co chciał, ale zainteresowanie Amy bardzo mu pochlebiało.

- Gdzie byłeś? - zapytałam.

- Czy mogę skorzystać z twojego biura?

- Jasne - odparłam, idąc za nim. Kiedy weszliśmy do środka, Bogart rozsiadł się przy ścianie, jakby to było jego stałe miejsce.

- Pewnie nie uwierzysz, ale pływałem kajakiem z moim synem.

- Niemożliwe! I jak było?

- Niesamowicie. Po prostu niesamowicie. Nieopodal, po drugiej stronie mostu, tuż za Shem Creek Bar & Grill, jest miejsce o nazwie Nadbrzeżne Ekspedycje. Słyszałem o nim, ale nigdy dotąd tam nie zaglądałem, pewnie z braku czasu. Alex znalazł ich reklamę w Domowej Restauracji Billy'ego, dokąd rano zabrałem go na śniadanie.

- Aha. I co?

- I zaproponowałem, żebyśmy tam zaszli i sprawdzili co i jak. Czemu nie, powiedziałem. Wynajęliśmy dwóch przewodników i opłynęliśmy cały drugi brzeg, aż do Wyspy Krabów, gdzie są niewiarygodne siedliska ptaków. To było piękne!

- W życiu nie pływałam kajakiem. To chyba nie lada wysiłek.

- Daj spokój! Nie możesz tu mieszkać i nigdy nie pływać kajakiem! Toż to grzech!

Tylko pomyśl, ty w malutkiej łodzi tuż nad powierzchnią wody, a obok skaczą delfiny. Niesamowite.

- Chyba umarłabym ze strachu.

- Wcale nie. Nie podpływają zbyt blisko kajaka, a poza tym mają więcej powodów do obaw niż ty. Mogłabyś je zjeść albo wypchać i powiesić na ścianie. Tobie nic nie grozi.

- Gracie na pewno byłaby zachwycona. A jeśli kajak się wywróci, a człowiek utknie w środku? I, na przykład, nie będzie mógł wyjść i zawisnie głową w dół? I utonie?

- Wtedy umrze, nie ma innej rady.

Łypnęłam na niego z ukosa; śmiał się od ucha do ucha.

- Bardzo śmieszne.

- Zawsze tak się boisz nowości?

Wyprostowałam się i odchrząknęłam. Czułam, że mam spocone ręce.

- Nie. Bynajmniej. Po prostu lubię wiedzieć, na co się narażam. Przecież tu roi się od rekinów. Nie widziałaś „Szczęk”?

- Wielkie rzeczy. To Hollywood. No cóż, rób, jak chcesz, ale myślę, że by ci się spodobało. Znajdź kogoś, kto naprawi przystań Epsteinów. Mogłabyś tam cumować.

- Pale się zachowały... pomyślę... to pewnie kosztowałyby fortunę.

- A może i nie. Może Lowell podzieliłby się z tobą kosztami. Tak czy inaczej, spróbuj. To fajna sprawa.

- Może jednak się skuszę.

Spoglądaliśmy na siebie przez chwilę; stałam jak wrośnięta w ziemię. Brad chciał, żebym zostawiła go samego, a ja nie ruszałam się z miejsca.

- To potrwa tylko chwilę - powiedział. Ocknęłam się w jednej chwili.

- Och! Nie ma pośpiechu. Skoro mowa o Lowellu, spytaj go przy okazji, czy mogę korzystać z garażu. Powiedz, że jeśli chce, mogę go wyprzątnąć. Pełno tam śmieci.

- Jasne. Załatwię sprawę z Bogartem i zaraz wrócę.

- W porządku. Do zobaczenia. Poszłam do Louise.

- Kto dzisiaj gotuje? - zapytałam.

- Niżej podpisana - odpowiedziała. - Dałam Duane'owi wolne. Dopiero co wyszedł. Pracował przez ostatnich osiem dni bez chwili wytchnienia. Masz ochotę mi pomóc?

- Czemu nie? Gracie przyjdzie do restauracji, więc nie muszę pędzić do domu. Wiesz co, Louise... - Zniżyłam głos do szeptu. - Tak naprawdę to ja nie umiem gotować. No, robię śniadania, smażę hamburgery i gotuję spaghetti, ale nic więcej. To Mimi jest kucharką w naszej rodzinie.

- Nabierasz mnie! Potrząsnęłam głową.

- Boże dopomóż! Ona nie umie gotować. Nic dziwnego, że wszystkie wyglądacie jak skóra i kości! No dobrze, masz porządne noże?

- Nie mam.

- Litości! - zawołała. - Dobra. Pierwsza rzecz, jaką musisz wiedzieć na temat pracy w profesjonalnej kuchni, to ta, że każdy kucharz ma własne noże. Noże są drogie, dlatego trzymamy je w pudełkach i wieczorem zabieramy do domu. Ale skoro to twój pierwszy raz, możesz skorzystać z moich. Jeśli ci się spodoba i dalej będziesz chciała mi pomagać, musisz kupić własne. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

Była to pierwsza lekcja z cyklu „krój i siekaj”.

Kroiłam cebulę według wskazówek Louise i zgarniałam ją do metalowego kubelka służącego wyłącznie w tym celu. Podobnych naczyń było wiele, każdego dnia stawiano je w ustalonym porządku. Zawierały cebulę krojoną w kostkę i piórka, czosnek, zieloną paprykę, paprykę czerwoną, rzeżuchę, siekaną pietruszkę oraz plasterki cytryny. Należało je napełniać bez ustanku. Siekałam szczypior dopóty, dopóki nie zaczął przypominać confetti.

Im dłużej siedziałam w kuchni, tym więcej się uczyłam. Na przykład do przygotowania jednej potrawy używano trzech patelni. Ziemniaki obgotowywano, a następnie podgrzewano w garnku. Ale fasolkę szparagową, marchew, szparagi oraz inne dodatki, które podawano z przystawkami, blanszowano i smażyono na maśle lub oliwie z oliwek na patelni, dzięki czemu potrawy trafiały na stół znacznie szybciej. A kuchnia znajdowała się na pełnych obrotach na długo przed przybyciem pierwszych gości.

- Grunt to staranne przygotowania - oznajmiła Louise. - Kiedy na sali zaczyna się ruch, nie ma czasu, aby robić wszystko od zera.

- Rozumiem! To jak strojenie instrumentów?

- Właśnie! Teraz już wiesz!

Gracie krążyła między salą a kuchnią, wycierając stoły i nakrywając do kolacji, a Alex zamiatał podłogę. Louise udzieliła im dyspensy od zmywania.

Rozmawialiśmy o Amy i naszej do niej niechęci, Alex i Gracie zaś zdawali się wieść niekończący się spór o wodę.

- Trzeba odprowadzać ścieki! - wykrzyknęła Gracie, wkraczając przez wahadłowe drzwi ze stosem szklanek. - To nieodzowne!

- Właśnie temu służą kanały! - odpowiedział Alex, podążając za nią z miotłą i szufelką. - Czy twoim zdaniem deweloperzy nie biorą tego pod...

- Nie biorą! Nie monitorują nawet jakości wody w Shem Creek, który ma najniższy wskaźnik...

- Trzeba być idiotą, żeby ją pić...

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, Louise zwróciła się w moją stronę.

- Podobno wstąpiła do nowego klubu w szkole. Za moich czasów kluby służyły rozrywce. Czy te dzieciaki nie muszą aby zbyt szybko dorosnąć?

- Masz całkowitą rację. Czasami aż trudno uwierzyć, o czym oni rozmawiają. Kiedy w szkole wzięłam fakultet z biologii, nauka o reprodukcji polegała na obserwacji kwitnienia. No, przy dobrych wiatrach trafiło się zapylanie. To już uchodziło za ekstrawagancję i musieliśmy czytać między wierszami. Teraz uczniowie dostają kasety z pełnym instruktażem.

- No - odparła Louise. - Nie wiem, do czego zmierza ten świat. Alex wszedł do kuchni w ślad za Gracie i opróżnił szufelkę.

- Jeśli pójdziesz na ten wiec, uznam, że kompletnie ci odbiło.

- Proszę bardzo - burknęła młoda dama z New Jersey.

- Panno Gracie? Zdradź Louise, co ci leży na wątrobie.

- Jason Miller - wtrącił Alex. - To wariat!

- Masz na imię Gracie? - spytała Gracie. - Właśnie, że nie. To jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich spotkałam. Wcale go nie znasz.

- Słucham? Nie było mnie tu, kiedy wyciągnął transparenty przed restauracją mojego taty? Ten facet jest stuknięty!

- No dobrze, przyznaję, że ma trochę nie po kolei w głowie, co nie zmienia faktu, że w ciągu kilku tygodni dowiedziałam się od niego więcej o zlewiskach i ochronie przyrody niż w ciągu całego życia.

- Świetnie, idź sobie z nim na ten głupi wiec. Tylko potem nie dzwoń, żebym cię wyciągał z pudła.

- Świetnie - ucięła Gracie i wyniosła z kuchni kolejną partię szklanek.

- O co chodzi z tym wiecem? - zapytałam.

- Wiecie, gdzie powstaje nowa restauracja? Louise i ja kiwnęłyśmy głowami.

- Podobno Miller chce oplakatować miejsce budowy.

- Jezus Maria! - westchnęłam.

- To wścibski cwaniak - powiedziała Louise. - Może nawet niebezpieczny, co?

- Moim zdaniem to bardziej wariat niż wyrachowany przestępca. Idę polać taras - oznajmił Alex i ruszył w stronę schodów na górę.

Odprowadziłam go wzrokiem, po czym wróciłam do krojenia grzybów. Nie spodobało mi się to, co usłyszałam. Nie mogłam pozwolić, aby Gracie protestowała przeciwko temu, co dawało nam dach nad głową.

Brad przyszedł około wpół do piątej. Właśnie rozdałyśmy kelnerom wieczorną listę dań specjalnych - specjalności Louise - krewetki na przystawkę, paluszki krabowe jako przystawka bądź danie główne, zupa gumbo z białym ryżem, pieczona flądra faszerowana mięsem z kraba oraz grillowany kurczak z sałatką z pomidorów, kabaczków i papryki. Deserem dnia były podsmażane banany na lodach waniliowych domowej roboty. Robiłam się głodna od samego słuchania.

O szóstej Brad miał zjeść kolację z Robertem i Susan; zarezerwowałam dla nich najlepszy stolik. Kiedy usiedli, podeszłam się przywitać.

Robert i Brad wstali, ale powstrzymałam ich ruchem ręki. Widziałam Susan pierwszy raz w życiu: zgodnie ze słowami Roberta była olśniewająca. A na dodatek bardzo miła.

- Miło cię wreszcie poznać - powiedziałam. - Robert nie mógł się ciebie nachwalić.

- Widzicie? Jestem fantastycznym mężem! Jestem fantastyczny, czyż nie?

- Jesteś - zapewnił go Brad.

Boki można było zrywać z tego Roberta.

- Dzięki! - odrzekła Susan. - O tobie też opowiadał dużo dobrego! Miło wreszcie kojarzyć twarz z nazwiskiem. Jest Louise?

- Naturalnie! Mam jej przekazać, żeby przyszła, czy potem do niej zajrzycie?

- Powiedz, że zajrzemy, dobrze? - odpowiedział Robert. - I przekaz, że nie mogę się doczekać jej paluszków krabowych. Marzę o nich od rana.

Mężczyźni i ich żołądki. Książkę można by o tym napisać.

Przekazałam Louise wiadomość i poszłam zajrzeć do dzieci.

Gracie postanowiła zostać, dopóki nie skończę, i siedziała w moim pokoju, odrabiając lekcje. Alex siedział naprzeciw niej i odrabiał swoje. Emanowali spokojem i zadowoleniem. Około dziewiątej, gdy restauracja niemalże opustoszała, zaniósłam im deser i wzięwszy od O'Malleya wieczorny utarg, poszłam schować gotówkę do sejfu.

- Hej, mam coś dla was.

- O rany! Dzięki, mamo!

- Dziękujemy!

- Przepraszam, skarbie, muszę się dostać do tej szafy za tobą. - Wzięłam klucz z framugi, odsunęłam nieco szafę i uklęknęłam, by otworzyć sejf. Alex i Gracie nie spuszczaali ze mnie wzroku.

- Mamo, czy to aby rozsądne tak zostawiać klucz?

- Kochanie, przecież nie wie o tym nikt prócz Brada, Louise, mnie i teraz was. Jeśli jednak nie mogę wam zaufać, lepiej od razu powiedzcie - odrzekłam, wstając, i umieściłam klucz z powrotem na framudze.

- Możesz na mnie polegać - oświadczyła Gracie.

- Czy ja wiem, pani Breland? - wtrącił Alex. - Skoro Gracie się dowiedziała, na pani miejscu schowałbym klucz gdzie indziej. - I puścił do mnie oko.

- Alex! Kończ matkę albo ja ją zrobię za ciebie! Chodźmy stąd. Chcę iść do domu i poleniuchować.

Miałam za sobą długi dzień i też byłam zmęczona. Alex poszedł poszukać Brada. Gracie i ja pożegnałyśmy się z O'Malleyem.

- Fajrant - powiedziałam. - Do jutra.

- Tak, niedługo zamykamy. Mały ruch.

Gracie i ja poszliśmy na parking, skąd było widać, że inne lokale też niemalże świeciły pustkami. Większość kuchni zamykano o dziewiątej, ludzie woleli wcześniejszą kolację. Nawet gdy czasem musiałam zostać po godzinach, nigdy nie wracałam do domu późną nocą.

- O czym myślisz, Gracie?

- Sama nie wiem - odrzekła. - O wielu rzeczach.

- Rozmawiałaś dzisiaj z Lindsey?

- Tak. U niej wszystko w porządku. Tęsknię za nią, wiesz?

- Ja również. - Poklepałam ją po ramieniu. - W przyszłym roku rozejrzemy się za uczelnią dla ciebie, dasz wiarę?

- Nie jestem gotowa choćby o tym myśleć.

Otworzyłam samochód pilotem i wsiadłyśmy do środka, zatraskując drzwiczki. Przez całą drogę do domu siedziałyśmy w milczeniu. Rozmyślałam o swoich córkach i tym naszym całym „nieprzygotowaniu” do życia. Jak należało to zrobić? Człowiek próbuje zachować stoicyzm, podczas gdy w środku cały jest rozdygotany. Czy Gracie też dygotała?

Przed pójściem do łóżka pogasiłam światła i poszłam powiedzieć jej dobranoc. Leżała oparta na poduszkach; w otoczeniu swoich pluszowych zwierzaków wydała mi się nadszpiewanie drobna. I młoda. Podciągnęła wysoko starą biało-różową kołdrę, chociaż w domu było ciepło.

- Mam cię otulić? - spytałam.

- Aha. Podrapiesz mnie po plecach?

- Pewnie.

Przewróciła się na brzuch i podciągnęła koszulkę, a ja przeciągnęłam paznokciami po kościstych plecach Gracie.

- Wiesz co? Musimy trochę ozdobić ten pokój. Może oprawimy obrazki i zawiesimy je na całej ścianie. Co ty na to?

- Jasne. Pośrodku - odpowiedziała. - Aaaach! Mmmmm.

- Przyjemnie?

- No.

- Gracie?

- Hmm?

- Jak nam idzie?

- Co masz na myśli? Jak nam idzie w Karolinie w porównaniu z New Jersey? Nam, to znaczy komu?

- Pytam o to, co się dzieje w twoim serduszk.

- Wszystko gra - odparła, choć jej głos świadczył o czymś przeciwnym.

- Daj spokój, powiedz mamie...

Obciągnęła koszulkę i przewróciła się z powrotem na plecy. Przygryzła wargę. Następnie podparła się na łokciu i popatrzyła mi w oczy z żarliwością, jaką widywałam u niej tylko w gniewie. Tym razem jednak chodziło o coś innego.

- Tutaj jest inaczej, mamó. Rzecz w tym, że Mount Pleasant jest pod pewnymi względami lepsze niż Montclair i na odwrót. Towarzystwo wszędzie jest takie samo. W mojej klasie jest może więcej białych dziewcząt, ale są równie paskudne jak te z New Jersey, choć może tak tego nie pokazują. Taki styl. Wszystkie nastoletnie dziewczęta lubią sobie docinać, a obcy są zawsze na celowniku. Ja nadal jestem tu obca.

- Ale wkrótce nie będziesz.

- To w gruncie rzeczy bez znaczenia, bo i tak trzymam z Alexem. Zajęcia są w porządku. Jeśli chodzi o poziom, w niektórych przedmiotach wyprzedzam pozostałych, a w innych jestem trochę do tyłu i muszę nadgonić.

- Podoba ci się Wando?

- Chcesz usłyszeć prawdę? Szkoła wszędzie jest do kitu.

- Chcesz tańczyć, prawda?

- Tak, ale to nie wszystko.

- O czym jeszcze marzysz? O sportowym wozie? Milionie dolarów?

- Fajnie by było, ale nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że zawsze chciałabym cię widzieć tak szczęśliwą.

- Słucham?

- Może ty tego nie widzisz, ale inni tak. Nigdy dotąd nie widziałam cię tak szczęśliwej. Dlatego przestałam marudzić.

- O czym ty mówisz?

- Mówię, mamó, że zniosę wszystko, bylebyś tylko była szczęśliwa.

- No tak, ale jeśli moje szczęście odbywa się twoim kosztem, nie mogę być szczęśliwa.

- Przestań, mamó! Jestem nastolatką, a wszystkie nastolatki to utrapienie! A teraz marsz spać! Jutro rano pobudka, nie chcę, żebyś chodziła nieprzytomna. Kocham cię. Naprawdę.

- Ja też cię kocham, skarbie. Dobranoc.

Uściskałam ją mocno i pocałowałam, a ona tuliła mnie tak długo, jak nie tuliła od lat. Wsunęła się pod kołdrę, a ja zgasiłam światło. Podeszłam do drzwi, po czym odwróciłam się, aby raz jeszcze popatrzeć na Gracie. I miałam wrażenie, że od tej miłości pęknie mi serce.

Rozdział osiemnasty

Szklana kula

Podobno niebezpieczeństwo ukrywa się pod płaszczkiem samozadowolenia; zawsze wyszydziałam podobne teorie. Owszem, Louise lubiła nawiązywać do tego porzekadła, powtarzając, że diabeł sam zastuka do drzwi, jeśli zapomnimy go zaprosić na obiad. Wierzyła też, że nieszczęścia chodzą trójkami, i że można przewidzieć deszcz na podstawie kształtu księżyca. Jeśli przypominał naczynie z krawędziami ku górze, trzymał wodę. Jeśli czara była przechylona, rozlewała deszcz.

Rzeczywiście, większość ludzi urodzonych i wychowanych w Lowcountry wierzyła w coś więcej niż tylko w to, co usłyszała w kościele bądź przyswoiła sobie w szkółce niedzielnej. Dokoła działo się zbyt wiele niewytłumaczalnych zjawisk, o których opowiadali sobie stuprocentowo trzeźwi, inteligentni i rozsądni ludzie. Wszyscy znali historię o Szarej Postaci z wyspy Pawleys oraz o Alice i światłach Summerville. Pod względem liczby legend o duchach Lowcountry mogło się zapewne równać z londyńską Tower.

Rany, miałam w dzieciństwie koleżankę, która przysięgała, że w jej domu słyszy się tak zwane stukanie śmierci. Jeśli rozległo się trzykrotne pukanie do drzwi i nikogo za nimi nie było, ktoś z rodziny w przeciągu miesiąca trafiał do miejscowego zakładu pogrzebowego. Nawet jej matka to potwierdzała. Mimi i ja błagałyśmy, żeby pozwoliła nam przenocować u siebie, lecz muszę z przykrością wyznać, że zawsze słyszałyśmy tylko świerszcze.

Co do mnie, wierzyłam, że moje sny stanowią odzwierciedlenie i odreagowanie napięć dnia codziennego. Stopniowo jednak nabrałam podejrzeń, iż mogą oznaczać coś więcej. Interesowały mnie kwestie zbiorowej nieświadomości, możliwość dziedziczenia doświadczeń przodków bądź całej ludzkości oraz fakt, iż sny mogły zawierać symbole, które teoretycznie można by rozszyfrować. Nie miałam pojęcia, jak to zrobić, lecz czułam, że za tym wszystkim kryje się coś znacznie poważniejszego.

Nigdy nie wystarczy wierzyć tylko w to, co daje się wytłumaczyć w sposób naukowy. A przynajmniej dotyczy to całej masy ludzi, gdyż jak inaczej wytłumaczyć przepełnione parkingi przed kościołami w każdy niedzielny poranek? Gdyby spytać przeciętnego członka wspólnoty, dlaczego co tydzień zajmuje swoje miejsce w ławce, odrzekłby zapewne, że msza przypomina mu o zasadach świątobliwego życia oraz odnawia poczucie przynależności do grupy. No i jest próbą nawiązania łączności z jego wyobrażeniem Boga.

Gracie powiedziała, że wydawałam się szczęśliwsza niż kiedykolwiek, a ja chyba wiedziałam dlaczego. Pomimo licznych problemów związanych z młodzieńczym buntem mojej córki, po raz pierwszy od lat czułam, że wreszcie mogę dotrzymać jej kroku. Podobalo mi się, że wiem o niej więcej, choć to, co wiedziałam, nie zawsze przypadalo mi do gustu.

Miarowe tempo tutejszego życia zmusilo mnie do przestawienia mojego osobistego zegara. Znalazlam się wśród ludzi, przy których czułam się swobodnie. Miałam pracę polegającą na uszczęśliwianiu innych. Najbardziej kochałam ją pod koniec dnia, na długo po wyjściu ostatniego gościa. Wówczas wchodziłam na taras pod pretekstem zamknięcia drzwi i przystawałam na chwilę z twarzą zwróconą do wiatru, łykając słone powietrze, pełna zachwyty dla nieskończonej przestrzeni oraz porażającego piękna tego, co rozciągało się powyżej.

Nie byłam w tym odosobniona. Przez cały rok, każdego ranka i wieczoru ludzie zadzierali głowy, by podziwiać opalizujące na niebie pasma migotliwych kolorów, po czym z westchnieniem rzucali uwagi na temat potęgi natury. Przyjezdni i tubylcy traktowali owe sprawy z jednakową powagą i szacunkiem. Jakżeby inaczej? Matka natura potrafiła czytać w myślach, a usposobienie miała kapryśne. Zlekceważona, mogła uraczyć Lowcountry burzą, od której klekotały zęby, albo upałem, który dawał przedsmak piekła. O tak, wszyscy darzyliśmy chwiejną naturę przyrody należytym respektem.

Zamieszkiwanie w tym zakątku świata pobudzało również wyobraźnię. Na porządku dziennym było doszukiwanie się płynących z natury znaków lub ostrzeżeń, które dotyczyły nie tylko pogody. Tymczasem tajemniczy staruszek powrócił do moich snów i

choć jego zmartwiona mina budziła mój niepokój, nie mogłam dźwigać jego krzyża na równi ze swoim własnym.

Był niedzielny poranek. Gracie pojechała do Alexa; podobno się uczyli. Alex miał ją podszkolić w hiszpańskim, ona zaś pomóc mu zrobić planszę na historię.

Przyjechała Mimi; właśnie mierzyła okna pod kątem przyszłych zasłon, kiedy zadzwonił telefon. Wyszłam ze słuchawką na taras. Dzwoniła Gretchen z New Jersey.

- Cześć! Co słychać?

- Mam ofertę na twój dom!

- Ile?

- Czteryście dziewięćdziesiąt pięć!

- Co? Jezusie! Nie mogę w to uwierzyć, Gretchen! Wspaniale!

- Pora na wyprzedaż. Znam dziewczęta, które mogą to za ciebie zorganizować...

- Tak! Oczywiście. O Boże! Muszę przyjechać i zabrać rzeczy, które chciałabym zatrzymać, prawda?

- Owszem, im szybciej, tym lepiej. Ci ludzie chcą sfinalizować transakcję do końca października. Sprzedaż mieszkania na Manhattanie nie powinna im nastęrczyć większych problemów, bo rynek nieruchomości prosperuje znakomicie. Ale jest pewien problem z dachem - dodała. - Mój Sandy wszedł na górę i twierdzi, że trzeba wymienić blachę wokół komina. Dobra wiadomość jest taka, że jeśli zrobią to jego ludzie, naprawa będzie cię niewiele kosztować.

- Dach przecieka, odkąd kupiliśmy ten dom. Fred sprowadzał co najmniej dziesięciu różnych fachowców. Czy według Sandy'ego to tylko kwestia wymiany blachy?

- Linda, jeśli Sandy Prater tak twierdzi, to nie ma o czym mówić. A tak w ogóle, to ile ten dach ma lat?

- Chyba ponad dwadzieścia.

- Więc pewnie pora go wymienić, ale wiesz co? Pozostawmy to następnemu właścicielowi, który zresztą wcale tego od ciebie nie wymaga.

- No tak, ja położę szarą dachówkę, a on będzie chciał beżową.

- Właśnie.

- Ile wyniosą koszty naprawy?

- Nie wiem, będę musiała zapytać. Ale możemy przyjąć ofertę z zastrzeżeniem, że ty pokryjesz koszty naprawy. No więc?

Czteryście dziewięćdziesiąt pięć! Czteryście dziewięćdziesiąt pięć! Nie byłam w stanie skupić się na niczym innym. Matko święta, przecież to istna fortuna!

Gretchen omówiła najważniejsze szczegóły i zakończyłyśmy rozmowę.

Wróciłam do kuchni, nalałam sobie szklankę wody i dorzuciłam do niej kilka kostek lodu. Miałam zamęt w głowie. Czy rzeczywiście chciałam coś stamtąd zatrzymać? Meble były stare, tak samo garnki, chodniki sfatygowane, a pościel nadawała się do wyrzucenia. W całym domu nie było nawet lampy, z którą czułabym się emocjonalnie związana, ani krzesła, za którym mogłabym zatęsknić. Stare meble pana Epsteina całkowicie mi odpowiadały. Wiedziałam, że powinnam jeszcze raz wszystko przejrzeć, jednakże byłam prawie pewna, że oprócz tego, co przywiozłam, pozostałe sprzęty nie będą mi do niczego potrzebne. Poza tym koszt przewiezienia gratów zapewne przewyższyłyby ich wartość. Zresztą i tak nic by tu nie pasowało, a gdy i jeśli się przeprowadzę, dokupię rzeczy stosownie do potrzeb nowego lokum.

- Perkal na okno w łazience i szklane rozsuwane drzwi do sypialni - oznajmiła Mimi, wchodząc do kuchni. - Słyszysz? Coś wesołego! Kto dzwonił?

Położyłam rękę na sercu.

- Czteryście dziewięćdziesiąt pięć - odpowiedziałam.

- Za co? Czteryście dziewięćdziesiąt pięć czego?

- Czteryście dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów za dom w Montclair!

- Boże miłosierny! Ludzie kochani! Linda! Skarbie, chciałam zabrać cię do dyskontu, ale widzę, że zaszalejemy w domu towarowym! Czteryście dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów! To prawie pół miliona!

Powstrzymałam niecenzuralną uwagę cisnącą się na język.

- Muszę usiąść. Dyskont mi wystarczy. Znajdę tam wszystko, czego potrzebuję.

- Z taką forszą kupisz sobie piękny dom i jeszcze go umeblujesz!

- No tak, ale nie powinnam wszystkiego wydawać. Muszę trochę zaoszczędzić, no nie?

- Tylko weź pod uwagę gigantyczny podatek dochodowy. Masz zamiar oddać pieniądze urzędowi? Ma za mało?

- Nie będę teraz o tym myśleć. Na razie czuję się bezgranicznie szczęśliwa.

- Może pojedziemy na farmę piękności? Co ty na to? Damy się owinąć w algi i błoto i wypocimy toksyny?

- Ohyda!

- Chodziłybyśmy na masaż. Och! Nie chciałabyś, żeby ktoś rozmasował ci stopy i plecy? Masz coś do jedzenia? Umieram z głodu!

Masaże? Ktoś obcy miałby mnie dotykać? W życiu! Z trudem znosiłam lekarzy.

- Chodźmy coś zjeść - zaproponowałam. - Mam ochotę na hamburgera.

- Super! Ty stawiasz! Weźmy mój samochód.

- Tak, a po lunchu kupimy mi nowy wóz. Mój biedny blazer ma przejechanych ponad sto dwadzieścia tysięcy kilometrów.

- Zostaw go dla Gracie i spraw sobie coś ładnego... na przykład kabriolet!

Zamykając drzwi na klucz, wyobraziłam sobie, że siedzę w kabrioecie. Przyszło mi do głowy, że nigdy nie brałam pod uwagę możliwości zakupu sportowego samochodu.

- Wiesz co? Masz rację! Jedźmy do Tawerny Poego na Wyspie Sullivana, a w drodze powrotnej odbierzemy Gracie.

Dotychczas odwiedzałam Brada wyłącznie pod pretekstem odstawienia bądź zabrania naszych dzieci. Nie było powodu, żebym wchodziła do środka. Należało zachować formalny dystans, jeśli zaś wizyta Amy w restauracji stanowiła wyznacznik tego, jak mi idzie, najwyraźniej nie szło mi najlepiej. Chociaż właściwie to Louise spaliła wizytówkę, co zresztą niewiele dało, bo Amy i tak wydzwaniała od rana do wieczora.

Z pewnością nie zaliczała Louise i mnie do grona swych najwierniejszych przyjaciół, ale miałyśmy to w nosie. Brad traktował nasz stosunek do Amy z przymrużeniem oka. I co najważniejsze, dostrzegaliśmy z zadowoleniem, że ta dziewczyna lekko działa mu na nerwy.

Dotarliśmy do restauracji i od razu dostałyśmy stolik. Przy barze tłoczyła się spora grupa ludzi i większość miejsc była zajęta. Na chwilę zagłębiłyśmy się w menu, wymieniając uwagi na temat krótkiego życia Edgara Allana Poe.

- Wiedziałaś, że mieszkał na tej wyspie? - spytała Mimi.
- Owszem.
- Długo cię nie było. Myślałam, że zapomniałaś. Tutaj napisał „Złotego żuka”.
- To też wiem.

Kiedy mówiła do mnie takim tonem, miałam ochotę ją trzepnąć. Czy to nie straszne?

- Co panie zamawiają?
- Ja poproszę hamburgera „Serce - oskarżycielem” oraz „Pijane chili Edgara” -

powiedziałam.

- Podajemy to ze smażonym jajkiem, bekonem i cheddarem. Jakiego pani sobie życzy hamburgera?

- Średnio wysmażonego. Do tego majonez.
- Oczywiście. Surówka z kapusty, sałatka ziemniaczana czy frytki?
- Frytki. Idę na całego. - Podałam kelnerce menu.
- A dla pani?
- Dla mnie hamburger „Studnia i wahadło”, też z frytkami.
- Średnio wysmażony?
- Tak jest.

Zamówiliśmy jeszcze mrożoną herbatę, po czym zaczęliśmy rozmawiać.

Niebawem kelnerka postawiła przede mną chili i od razu rzuciłam się na jedzenie.

Wiadomość od Gretchen zaostrzyła mi apetyt. Dzień był duszny i wilgotny, ale na szczęście miałyśmy miejsce z tyłu lokalu, pod wentylatorem, gdzie było nieco chłodniej.

- Jak załatwisz sprawę wyjazdu? - spytała Mimi, grzebiąc widelcem w moim talerzu.

- Mmm, ale pycha. Porozmawiam z Louise i coś wymyślę. Proszę, częstuj się.

- Dzięki. To fantastyczne, że udało się tyle wyciągnąć za dom - dodała. - Fred dostałby zawału, gdyby się dowiedział.

Kiedy powiedziała tak o Fredzie, miałam ochotę ją uściskać. To też było straszne.

- Powiedzmy mu!
- Jesteś niedobra.

- Wiem.

Rozmawialiśmy przez chwilę, pochłaniając chili. Podano hamburgery i rzuciłyśmy się na nie równie ochoczo.

- Odkąd wróciłam, ani razu nie byłam na Wyspie Sullivana - powiedziałam. - Robi się tu coraz tłoczniej! Nie jest przypadkiem zbyt tanio?

- Nie! - odparła Mimi. - Jest zbyt przyjemnie! Sos cieknie ci po rękę, moja droga.

- Super. Myślisz, że mogę go zlizać? - Wytarłam się serwetką, a siostra popatrzyła na mnie z niesmakiem. - Wybacz. Mam tutaj urwanie głowy, a teraz jeszcze muszę gnać do New Jersey po rzeczy i ewentualnie sprzedać to, co zostanie.

- Lepiej wszystkiego nie sprzedawaj. Dziewczęta wkrótce pójną na swoje.

- Uważaj, co mówisz!

- A nie mam racji? Czy twoim zdaniem Lindsey na zawsze zostanie w akademiku?

- Na pewno, jeśli pozna ceny wynajmu mieszkania na Manhattanie.

- Nie byłabym taka pewna. Na twoim miejscu niczego bym nie wyrzucała. Poza tym może znaleźć mieszkanie w Brooklynie. Kto wie?

- W Brooklynie? Tamtejsze czynsze są takie same jak w centrum. Wszyscy dojeżdżają metrem i...

- Czy myśl o Lindsey jeżdżącej samotnie metrem nie spędza ci snu z powiek?

- Owszem. Dzięki, że mi o tym przypomniałaś.

Moja siostra potrafiła być naprawdę gruboskórna. Miałabym nie martwić się o Lindsey? Dobrze sobie. Na mojej twarzy musiał odbić się wyraz matczynej rozterki połączonej z rezygnacją i świadomością walorów życia pełnego niepokoju, lęków oraz innych uroków macierzyństwa, gdyż Mimi zrobiła skruszoną minę.

- Linda, ja nie chciałam...

- Gdybyś miała jedną córkę w Nowym Jorku, Mimi, a drugą taką jak Gracie, pewnie szukałabyś dawcy wątroby.

- I perukarza! Masz rację. Boże, musisz żyć w strasznym napięciu...

Jasne, jeszcze mi o tym przypominaj.

- Gdybym mogła sobie pozwolić na luksus rozstroju nerwowego, dostałabym go wiele lat temu. Wiesz, co robię? Wcale o tym nie myślę. Postępuję jak Scarlett. Gdybym

martwiła się o wszystko, co zagraża ich bezpieczeństwu, w ogóle nie zmrużyłabym oka. A i tak marnie sypiam. Poproszę keczup.

- Kochanie, od czego masz mnie? Nie mam własnych dzieci, więc mogę pomartwić się o Lindsey. Co dzień odmówię za nią nowennę.

- Umowa stoi. Świetnie. Lindsey przechodzi na ciebie. Jak już będziesz klęczeć, przy okazji odmów dwie zdrowaśki za Gracie. Jedna to stanowczo za mało.

- Mama zawsze mówiła, że siła potrzebna do wychowania jednej córki starczyłaby na wychowanie stu synów.

- Wszyscy tak mówią! Ciekawe, skąd to wiedziała. Miała przecież tylko nas!

Wracając do Brada... - Wycisnęłam na talerz kleks keczupu, zanurzyłam w nim hamburgera, a potem ugryzłam potężny kęs i ku zgrozie siostry podjęłam z pełnymi ustami: - Wygląda na to, że Amy straciła pracę, kiedy konkurent Brada przejął kontrolę nad firmą, a gdy się dowiedziała, że Loretta poszła do piachu...

- Twoja subtelność jest godna podziwu - zauważyła Mimi, kryjąc uśmiech.

- A co tam! Przyjechała tutaj i zamieszkała u koleżanki, pewnie takiej samej jak ona awanturnicy, i chce się gdzieś zaczepić.

- Co ci do tego?

- Wiesz co? Masz rację! Chyba po prostu martwię się o Brada podobnie jak wszyscy w restauracji. Odetchniemy z ulgą, gdy sytuacja wróci do normy. To wszystko spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Sęk w tym, że ta zdzira wydzwaniała do niego przez cały dzień i chce mu się władować na głowę. Przecież jego syn nie jest jeszcze gotowy na inną kobietę, zwłaszcza tak młodą. Ona ma dopiero dwadzieścia dwa lata! Znam Alexa! Jest taki wrażliwy... no co?

Mimi znieruchomiała, uśmiechając się od ucha do ucha. Poczułam, jak oblewam się purpurą.

- No co? - powtórzyłam.

- Ja myśleć, że moja siostra się zakochać.

Stanowczo powinna popracować nad hiszpańskim akcentem,

- Co za bzdura. Co za piramidalna bzdura.

- Żadna bzdura. Spójrz na siebie. Jesteś czerwona jak piwonia!

- Jestem zakłopotana i tyle.

Mimi wybuchnęła śmiechem, a ja poczułam narastającą wściekłość. Usiadłam prosto, wypłam trzy łyki herbaty i wzięłam głęboki oddech. Powoli odzyskałam panowanie nad sobą, co sprawiło mi niemałą ulgę.

- Niech ci będzie - oznajmiła Mimi. - Jak to było? „Serce - oskarżycielem”. Hm, hm. Jesteście tylko przyjaciółmi.

- To mój szef, Mimi. Czy jest coś bardziej żalosego niż romans z szefem?

- Owszem. Romans z gęsią w wieku zbliżonym do wieku jego syna, która wmawia mu, że jest półbogiem, i pieprzy się z nim do upadłego, aż biedak ląduje na pogotowiu. To jest żalose, moja mała. Może tego nie wiesz i nigdy się nie dowiesz, ale zakochałaś się po uszy w Bradzie Jacksonie. Widzę to po tobie. Widzę to w twojej twarzy, oczach, słyszę w twoim głosie. Dałaś się ustrzelić, mała. Pytanie brzmi, czy masz zamiar ustąpić pola jakiejś małej zdirze?

- Nie wierzę własnym uszom, Mimi! Czyżby moja siostra straciła rozum?

- Opowiedz mi łzawą historyjkę, jak to Amy przechodzi obok ciebie i ma na palcu pierścionek z brylantem wielkości kurzego jaja! Kocham cię, ale sama się oszukujesz. Kiedy ostatnio podjęłaś z kimś rywalizację?

- Nie wiem. Ja...

- Tak myślałam. Kocham cię, Linda, dobrze o tym wiesz. Owszem, zaopiekuję się Gracie, gdy pognasz do New Jersey, aby przytaszczyć rzeczy, którymi umeblujesz tutejszy raj, ale powiem ci też coś, co raczej ci się nie spodoba.

- A mam wybór? - Straciłam apetyt.

- Nie - odparła z mocą i nachyliła się tak blisko, że poczułam woń sztucznego słodzika do herbaty w jej oddechu. - Nigdy nie widziałam, byś walczyła o cokolwiek prócz dobra swoich córek. Czego ty się, u diabła, boisz? Naprawdę uważasz, że ta mała lafirynda może mu dać choćby połowę tego co ty? Ona wie tylko, jak w razie potrzeby zadzierać spódnicę, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Kit z nią.

- Posłuchaj mnie uważnie. Nas wychowywano inaczej, podczas gdy teraz wszyscy dookoła bez ceregieli wskakują sobie do łóżek. Ja się tak nie zachowuję i ty się tak nie zachowujesz, a jeśli nawet, to nie powinnaś...

- Bez obaw. Moje ostatnie zbliżenie zginęło w mrokach niepamięci.

- O Boże! Tak czy inaczej, wszyscy to robią. Jeden odcinek „Seksu w wielkim mieście” i człowiek dostaje pełen instruktaż. Ale taka młoda dziewczyna potrzebuje opieki. A dzisiaj to kobiety opiekują się mężczyznami, nie na odwrót. Z tego, co opowiadałaś mi o małżeństwie Brada, on nigdy nie miał przy sobie takiej kobiety. Ma syna, prowadzi restaurację i potrzebuje prawdziwej partnerki, nie latawicy.

- Pewnie dlatego tak bardzo kocha Louise.

- Ty też ją kochasz. A obie kochacie tego samego mężczyznę: Brada Jacksona. Teraz pora mu tylko uświadomić, że on czuje to samo do ciebie.

Bezwiednie odprowadziłam wzrokiem przechodzącą kelnerkę. Ja zakochana? Zaczęłam gorączkowo pochłaniać zawartość talerza.

- Pozwól, że cię o coś spytam. Skoro jesteś taka mądra, jakim cudem nie masz faceta?

Najwyższy czas zmienić temat. Zważywszy na dobre chęci mojej jedynej i niezastąpionej siostry, nie było to najładniejsze zagranie, ale moje słowa nie wywarły na niej najmniejszego wrażenia. Mimi ponownie stanęła na wysokości zadania i puściła je mimo uszu.

- Po pierwsze, skoro były mąż zapewnia ci godziwy byt, nie musisz się spieszyć do kolejnego kieratu. Po drugie, o wiele łatwiej jest naprawiać cudze życie niż własne. Po trzecie zaś, mam dziś kolejną randkę z doktorem Cudo. Zapraszam go na kolację.

- Bomba! Co podasz?

- Pieczeń wołową z czosnkiem, do tego tłuczone ziemniaki i sos...

- Masz go jak w banku!

- Żebyś wiedziała! Cebula, marchew, fasolka szparagowa, kruche ciasteczka...

- Przy twoich ciasteczkach przypomni mi się mamusia.

- Oby nie! No i placek z polewą cytrynową na deser.

- Żadnych przystawek? - zażartowałam.

- Sądziś, że powinnam przygotować coś jeszcze? Może koreczki?
- Sądzę, że powinnaś wydepilować nogi i zmienić pościel! Co do wyjazdu do

Montclair...

Postanowiłyśmy, że jak tylko znajdę tani lot, polecę do Newark i wynajmę samochód. Kiedy już ustalę, co chcę zabrać, zorganizuję jakiś transport. Przyjęłyśmy, że potrzeba na to trzech dni, o ile wyruszę wcześniej i wrócę późno. Musiałam uporządkować rzeczy na strychu i w piwnicy, a choć narzekałam, że to sterta śmieci, należało je przejrzeć. Mimi obiecała pod moją nieobecność zająć się Gracie, zaoferowała nawet pomoc w restauracji.

- Sprawdzę, czy Louise ma twój numer. - Wiedziałam, że Louise nie zadzwoni do Mimi, choćby ją przypiekano żywym ogniem, lecz nagle przyszło mi coś do głowy. - Nie myślałaś o stałej pracy?

- W życiu! Chociaż... przydałoby mi się dodatkowe źródło dochodu. Parę groszy nie zaszkodzi.

- Parę groszy na buty?

- Zgadłaś! Boże, kupowanie butów to mój żywioł! Hm, sama nie wiem. Ty pracujesz, wszyscy pracują. Czasem myślę, że jestem trochę zacofana.

- Upiecz ciasto dla Louise i Duane'a.

- A co, mają urodziny?

- Nie. Zrób jedno z polewą cytrynową, a drugie z karmelową. Zobaczymy, co będzie. Zareczam ci, że jak tylko przełkną jeden kęs, zostaniesz naszym etatowym cukiernikiem. Ostatecznie lubisz to robić, prawda? Oni oboje potrafią świetnie gotować, ale ich wypieki są do niczego. Kupujemy ciasta od jakiegoś podrzędnego dostawcy. Są gorsze niż Dr Oetker.

- Lubię słodkości Oetkera.

- Ja też, ale nie umywają się do twoich.

- No tak, rzeczywiście. Może jutro. Dziś gotuję dla Doktora Taylora.

- Tak mi to przyszło do głowy.

Może był to równie nieprawdopodobny pomysł jak to, że jestem zakochana w Bradzie. Uważałam, że bynajmniej mi to nie grozi. Grunt to zachować dystans.

Rozdział dziewiętnasty

Unik!

Lata wstrzemięźliwości finansowej (inaczej mówiąc, skąpstwa z konieczności) nauczyły mnie wielu pożytecznych rzeczy. Jedną z żelaznych zasad każdej wyprawy po zakupy było to, że nigdy nie wydawałam ani centa więcej, niż zaplanowałam. Dlatego gdy przystąpiłam do poszukiwań taniego połączenia do New Jersey, nie zarezerwowałam lotu dopóty, dopóki nie zyskałam pewności, że odbędzie się to z jak najmniejszym uszczerbkiem dla mojego portfela. Nietrudno o zniżki, jeśli chce się wyruszyć skoro świt i wrócić ciemną nocą. Moim następnym krokiem było załatwienie sprawy z Louise.

W poniedziałkowy rano spotkałam się z Lupe na parkingu przed pobliskim barem, ponieważ wiozłam do szkoły Alexa. Kiedy przesiadał się do mojego samochodu, opuściłam szybę, żeby się przywitać.

- Hej, Lupe! Jak leci?

Było to wręcz ryzykowne posunięcie, zwłaszcza jeśli nie chciałam tam prezimować. Musiałam mieć się na baczności.

- Dobrze, dobrze! Pan Brad w porządku, a ja robić co trzeba. A pani? Wszystko gra?

- Tak! Jadę, bo się spóźnimy. Do zobaczenia.

Podniosłam szybę i spojrzałam na Alexa we wstecznym lusterku.

- Jak szkoła, Alex?

- Dziś po lekcjach mam mecz.

Zwróćcie uwagę, że pytałam o szkołę, a otrzymałam w odpowiedzi komunikat sportowy.

- Och, muszę przyjść! - zawołała Gracie. - Przeciwko komu gramy?

- Masakrujemy St. Andrews - odparł Alex. - Przepraszam, pani Breland.

- Nic nie szkodzi, masakrujcie. Nie idziesz dzisiaj do pracy, Gracie?

- Jest poniedziałek, mamo! Pracuję we wtorki, czwartki i soboty, chyba że mam klasówkę. Bez obaw, obgadałam wszystko z Louise.

- W porządku. Jezu, mam tyle na głowie, że zapominam, jak się nazywam.

Wysadziwszy ich przy szkole, poprosiłam Gracie, aby zadzwoniła, w razie gdyby wybierała się na mecz. Ja odwoziłam oboje rano, a Lupe odbierała ich po lekcjach, lecz mimo to wolałam wiedzieć, gdzie znajduje się moja córka.

Najpierw miałam do załatwienia depozyt. Jak zawsze po weekendzie nazbierało się sporo gotówki i woleliśmy ulokować ją bezpiecznie na koncie.

Za kwadrans dziewiąta byłam w restauracji i od razu poszłam do kuchni. Zobaczyłam Mimi, siedzącą na wysokim stołku i popijającą kawę. Duane i Louise zajadali ciasto, aż im się uszy trzęsły. Podejrzewam, że o świcie zwlokła się z łóżka, żeby upiec swój słynny placek, ale piekła go tyle razy, że mogła to zrobić z zamkniętymi oczami.

- Dzień dobry wszystkim. Cześć, Mimi. - Nalałam sobie kawę do kubka i uściskałam siostrę. - Chcesz utuczyć Duane'a i Louise? O co tu chodzi?

- Chciałam im tylko podziękować za okazywaną ci życzliwość i postanowiłam upiec ciasto. - Ukradkiem puściła do mnie oko. - Nie uwierzysz, co mi zaproponowali!

- Niech zgadnę - odpowiedziałam.

No proszę! Kto by pomyślał, że tak błyskawicznie przystąpi do dzieła?

- To najpyszniejszy placek, jaki kiedykolwiek jadłam - oznajmiła Louise. - Nie mogę przestać jeść, a przecież wiecie, że nie przepadam za słodyczami. Puszysty, aksamitny, a zarazem cudownie maślany.

Roześmiałam się: wszyscy wiedzieli, że Louise jest ogromnie łasa na słodkości.

- Podpisuję się pod tym obiema rękami - dodał Duane. - Zupełnie jak u mojej babci!
- Udał, że ociera łzę.

- Chcą, żebym piekła dla was ciasta! Dasz wiarę?

- Chyba żartujesz.

- Ależ skąd - odrzekła Louise. - Musisz się zgodzić, bo inaczej będziemy w biedzie. Będę molestować twoją siostrę, dopóki nie powiesz tak! Nie zmuszaj mnie do tak drastycznych kroków!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, po części dlatego, że Louise domagała się ciasta, po części za sprawą jej żartobliwych gróźb oraz za sprawą podwyższonej glukozy, która wydatnie poprawiła nam humor. Tak, była to zdecydowanie zasługa cukru, chociaż sama

nie tknęłam siostrzanego ciasta: od przyjazdu z New Jersey przytyłam trzy kilogramy i z trudem mieściłam się w ubraniach.

- Załatwcie to między sobą. Ja jadę do banku.
- Wczoraj schowałam wszystko w sejfie - zakomunikowała Louise.

Naturalnie. Można było na niej polegać jak zwykle. Kiedy wróciłam, Louise już na mnie czekała.

- Dlaczego nie mówiłaś, że twoja siostra tak piecze?
- Jakoś nie przyszło mi to do głowy. Jest niezła, co?
- Na kelnerkę się nie nadaje, ale w kuchni powitam ją z otwartymi ramionami.

Upiecze dla nas dziesięć ciast: cztery zwykłe, dwa placki z sosem cytrynowym, dwa z polewą karmelową i dwa czekoladowe. Jak tylko goście w nich zasmakują, zbijemy majątek, że ho, ho!

- Świetnie! A propos, piecze też fantastyczne kruche ciasteczka, chleb kukurydziany i struclę. Mówiła ci?

- Gdzie tam! Zadzwońię do niej i natrę uszu za zatajanie ważnych informacji!

Wyobraziłam sobie tę reprimendę i parsknęłam śmiechem.

- Czeka! - rzuciłam. - Muszę ci coś powiedzieć.
- Jasne, co tam? Szybko, mam mnóstwo rzeczy do zrobienia.
- Sprzedaję dom w New Jersey...
- Alleluja! Chwała Panu!
- Tak jest, siostrzo! W związku z tym muszę jechać do New Jersey i wywieźć meble.
- Kiedy wyjeżdżasz?
- Mam tani lot w piątek, ale powinnam cię wcześniej uprzedzić...
- Kochana, dobre pieniądze, dobry lot. O nic się nie martw, zastąpię cię. Twoja

siostra cię zastąpi!

- Mówiłam, że umie gotować!
- I miałaś rację! Zadzwoiłam do Mimi.
- Czy mogę mówić z pierwszym cukiernikiem Lowcountry? - Szczęściara. Jeszcze

będzie mnie po rękach całować!

- Czy to nie wspaniałe?

- A jak. Super dostawać pieniądze za to, co się lubi robić, prawda?
- Zobaczymy. Ale wiesz, mam tylko tę starą kuchenkę, nie wiem, czy to wystarczy.
- Nawet ja pomagałam w kuchni. Louise nauczyła mnie przyrządzać swoje paluszki krabowe. Sekret tkwi w małej ilości bułki tartej; najpierw trzeba przysmażyć zieloną paprykę i cebulę na niewielkiej ilości masła, a potem ostudzić. W ten sposób nie rozpadną się podczas gotowania.

- To wszystko? Bomba! Nie lubię przyrządzania krabów. Zatem wzięłaś się do gotowania?

- To za dużo powiedziane. Hej, opowiedz mi o swojej randce! Jak poszło z Jackiem?

- Je za dwóch i chrapie za dziesięciu. Pochłonał dwa potężne talerze i wytarł sos sześcioma kromkami chleba. Deser miałam podać w czasie filmu. Jack poszedł do salonu i włączył telewizor, podczas gdy ja parzyłam kawę. Kiedy po zaledwie czterech minutach wróciłam do pokoju, chrapał tak głośno i z taką siłą, że falowały zasłony. No, ale przyniósł mi kwiaty.

Wizja mężczyzny, który pochłania furę jedzenia, po czym zasypia przed telewizorem i chrapie jak furman, była rozbijająca.

- To ci dopiero namiętny amant, siostrze. Jakie kwiaty?

- Takie, jakie sprzedają w supermarkecie za dwa dolary. Oho, nie najlepiej.

- Żadnych orchidei?

- Nic z tych rzeczy. Zwykły wiecheć.

- Do licha. Gotujesz przez cały dzień za tani bukiet i zero amorów!

- Amory? Też! I wiesz co? To zabrzmiało trochę dziwnie...

- Nie dla mnie. Mów śmiało.

- Przystojny, lekarz, dobrze wychowany, niby wszystko na swoim miejscu, ale nie ma w nim... sama nie wiem...

- Żaru? Zwierzęcego magnetyzmu? Nieposkromionej żądzy oddania się uciechom cielesnym?

- Chyba trafiłaś w sedno. Mało tego. On jest jak gdyby nudnawy.

- Masz zamiar jeszcze się z nim spotkać?

- Chyba tak, właściwie czemu nie? Nie jestem, jak by to ująć, rozrywana.
- Dlatego postanowiłam żyć w celibacie. Szkoda zachodu.
- Co ty gadasz, dziewczyno? Gdy tylko wymyślimy, jak pozbyć się Amy, celibat pójdzie w odstawkę.

- Daj spokój. Zastanawiałam się nad tym, co mi powiedziałaś, i jakoś tego nie widzę. Zresztą mam inną rybę do usmażenia, jak to mówią tutejsi. Pogadamy później.

Odłożyłam słuchawkę i przez chwilę spoglądałam na telefon, odtwarzając w myślach przebieg naszej rozmowy. Jak zwykle najbardziej interesujące było to, co zostało pominięte. Jakim cudem na świecie jest tyle osób, które chciały żyć w związku, a jednak tyle z nich pozostało samotnych? Pomijam tysiące ludzi tkwiących w nieudanym małżeństwie, które powinno się zakończyć z chwilą wysłania dzieci na studia. Albo ilu mężczyzn w moim wieku uganiało się za dziewczętami wciąż nękanymi przez trądzik. Jasne, istniały racjonalne przyczyny nieudanego życia osobistego: częste wyjazdy służbowe, nadgodziny, narcyzm, bycie maminsynkiem lub córeczką tatusia, impotencja, niekontrolowane wiatry, cuchnący oddech, dolegliwości neurologiczne w rodzaju syndromu Tourette'a, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, odsiadka, uzależnienie od heroiny i tym podobne. No i jeszcze jedno: czasami człowiek przychodzi na świat po prostu brzydki jak noc.

Ale mimo wszystko. Zbyt wielu ludzi męczyło się w toksycznych związkach i zbyt wielu pozostawało samotnych. Naturalnie mnie to nie dotyczyło, ponieważ rozwiązałam problem pożądania, minimalizując swoje pragnienia. Jeśli nie będę niczego oczekiwać, nie doznam zawodu.

Sprawdziłam pocztę i znalazłam wiadomość od Lindsey. „Cześć, mamó. Studia są super! Zabiłaś Gracie? Ściskam, L.". Odpisałam: „Cześć, skarbie! Wszystko gra. Gracie jeszcze dycha. Kocham Cię, mama". Trudno nazwać to namiastką rozmowy, lecz owych kilka zdań w zupełności mi wystarczało. Po prostu chciałam wiedzieć, że u niej wszystko w porządku.

Kończyłam właśnie rozmowę z jednym z naszych dostawców, do którego zadzwoniłam z prośbą o kopię rachunku, kiedy na progu stanął Brad.

- Zajęta?

- Nie, nie. Wejdz, usiadz na chwile. - Dostawca wrócił na linie i zganił mnie za opóźnienie zapłaty. - Proszę przefaksować kopię rachunku, to jeszcze dziś przeleję całą należność. Dobrze, dziękuję. - Odłożyłam słuchawkę i popatrzyłam na Brada. - Co za osioł! Jak mamy mu zapłacić, skoro nie wiemy, ile jesteśmy winni?

- Dobre pytanie. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Amy tu była?

Cholera!

- Och, myślałam, że Louise to zrobiła.

- Dziwne. Ona powiedziała to samo. Masz wizytówkę, którą zostawiła?

Cholera!

- Hm, chyba Louise ją ma. - Moja twarz mieniła się odcieniami czerwieni, co bynajmniej nie było zabawne.

- Dziwne. Louise mówi, że ty. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Warto zaznaczyć, że Brad nie był w najmniejszym stopniu zły bądź poirytowany. Wydawał się wręcz rozbawiony.

- My, to znaczy Louise i ja, martwimy się o twoje zdrowie. A propos, miałeś wiadomość od lekarza?

- Moje zdrowie? Owszem, miałem. Jestem zdrow jak ryba. Dożyję stu dwóch lat. Muszę tylko unikać czerwonego wina i czekolady.

- No i Amy.

- Taa, chociaż jej trudno unikać. Odnoszę wrażenie, że żaden mężczyzna prócz mnie nigdy jej nie odmówił. Dlatego tak ciągle wydzwania, co zaczyna doprowadzać mnie do szału.

- No to dlaczego nie każesz jej się odwalić?

- Ponieważ to nie w moim stylu, panno Jersey.

- Jak chcesz, sama jej to powiem. Sprawি mi to niekłamana przyjemność!

- Louise powiedziała to samo. Wy chyba naprawdę jej nie lubicie, co?

- Owszem.

- Wszystko jedno, chciałbym tylko spytać, dlaczego moje panie rak nie znoszą dziewczyny, której nawet nie znają.

Panie? Dziewczyny? Aluzja do różnicy wieku absolutnie nie przypadła mi do gustu.

- Ponieważ to bezwstydną, wyrachowaną ulicznicą. Louise i ja wiemy, co jest dla ciebie dobre, i na pewno nie jest to Amy. Nic mi się w niej nie podoba, począwszy od farbowanej strzechy do wymalowanych paznokci stóp. Nawet jej głos mnie wnerwia. Teraz już wiesz.

Wygłosiłam to doskonale beznamiętnym tonem, tak jakbym mówiła: „Podaj sól, z łaski swojej”.

- Teraz już wiem. O rany.

Cień ironicznego uśmiechu na jego ustach podziałał na mnie jak płachta na byka. Postanowiłam pójść za ciosem.

- Nie przeszkadza ci, że mogłaby być siostrą Alexa? Czy to nie chore?

- Nie. To znaczy tak, oczywiście, dla kobiety w twoim wieku to afront.

- W moim wieku? Moim wieku? Jesteśmy rówieśnikami! Chyba. W przybliżeniu.

- Mam czterdzieści dwa lata.

- Wobec tego jesteś starszy. Jasne, że afront. Ale z powodów innych, niż myślisz.

W powietrzu zaiskrzyło. Jeśli już się kłóciłam, musiałam dopiąć swego.

- Sęk w tym, że ona wciąż jest świeża i jędrna, a ty urodziłaś dwójkę dzieci, co - spójrzmy prawdzie w oczy - drastycznie wpływa na pewne aspekty fizjologii.

Nie wierzyłam własnym uszom! On chyba nie mówił poważnie. Lecz jeśli tak, początkowe docinki miały przerodzić się w walkę na śmierć i życie. Początkowo nie byłam pewna, co mu odpowiedzieć. Rozmowa przybierała dość prymitywny obrót, lecz choć miałam na koncie współpracę z kierowcami ciężarówek w New Jersey, nie zamierzałam podążać dalej tą drogą. Postanowiłam jedynie rozwiać wątpliwości.

- Chwileczkę. Czy ty naprawdę powiedziałeś to, co powiedziałeś?

- A co twoim zdaniem powiedziałem?

- To, że kobiety, które rodziły dzieci, nie są... hm... takie jak te, które nie rodziły.

Zgadza się? - Miałam tak rozplómienną twarz, że można by na niej usmażyć jajko.

- Owszem.

Zaślepiąca furia nie dbała o to, czy Brad wyrzuci mnie z pracy.

- To najobrzydliwsza rzecz, jaką usłyszałam z twoich ust, i jeśli mam zachować dla ciebie resztki szacunku, lepiej to odszczekaj i przeproś. Mówię poważnie, Brad.

Zrozumiał, że przeholował, i poczerwieniał jak burak. Doceniłam ów fakt, lecz ani myślałam ustąpić.

- Linda, ja... dajże spokój! Nie bądź zła! Ja tylko się z tobą droczyłem!

- Nie. Mówiłeś poważnie! Ty naprawdę w to wierzysz!

- A co, niby tak nie jest?

- A chcesz w nos?

- Spokojnie, panno Jersey! Jezu! Za grosz poczucia humoru!

- Posłuchaj mnie, Bradzie Jackson. Przede wszystkim, to dla mnie uwłaczające, jeśli mężczyzna z mojego pokolenia zaczyna umawiać się z dziewczynkami. Co pozostaje nam, dojrzałym kobietom? Termofor? My rodzimy wam dzieci, a potem wy zastępujecie nas takimi dzierlatkami, aby sobie udowodnić, że nadal jesteście młodzi. Wiesz co? Z tymi dziewczętami jest coś nie tak! Szukają sponsora, taty bądź też wymówki, by w zamian za swoje jędrne ciało pograć się w nieróbstwie. Moim zdaniem to odrażające. Naprawdę. I w niczym się nie różni od prostytutki. Przepraszam za tę tyradę. Chociaż nie, wcale nie jest mi przykro.

- Chyba trafiłem w czuły punkt. Przepraszam. Serio.

- Zabieraj się stąd i zostaw mnie w spokoju.

- Mogę ci postawić kawę?

- Bardzo śmieszne.

Kiedy wyszedł, czy też raczej wyslizgnął się z biura, zamknęłam drzwi. Co się ze mną działo? Jakim cudem dałam się do tego stopnia wyprowadzić z równowagi? Pięć minut później rozległo się ciche pukanie. Kiedy nie odpowiedziałam, drzwi uchyliły się powoli. Do pokoju wjechała karafka z oliwkami na tacy.

- Nie znalazłem gałązki oliwnej, więc może to wystarczy.

- Nie, dziękuję - odrzekłam. - Idź sobie. Niektórzy muszą pracować.

Dwie minuty później rozległo się powtórne pukanie i nastąpiła identyczna sytuacja. Tym razem na tacy był talerzyk ze sporym kawałkiem polanego sosem cytrynowym ciasta Mimi.

- Próbowałaś tego ciasta? Jest obłędne!

- Owszem, moja siostra je piekła. Nie, dziękuję.

- Aha - odpowiedział i ponownie zamknął drzwi.

Po około pięciu minutach otworzyły się ponownie i zobaczyłam kartonową planszę z rysunkiem (dość nieudolnym, rzekłabym) przedstawiającym basseta z chmurką nad głową. W chmurce widniał napis na wspak, jakby wyszedł spod łapy samego psa: „Bogart mówi, że Brad jest psem i dobrze o tym wie. Brad idzie do budy”.

Mimowolnie wybuchnęłam śmiechem.

- Czy najlepszy przyjaciel Bogarta może wejść? Chce ci podziękować za to, że nie pozwałaś go za naruszenie dobrych obyczajów w miejscu pracy.

- Wchodźże - powiedziałam.

Wszedł z tacą, na której stały dwie miseczki zupy gumbo oraz dwie kromki chleba kukurydzianego. Przyniósł też przyprawy, a nawet jeden z wazoników, jakie stawialiśmy na stołach. Tkwiły w nim trzy stokrotki.

- Proponuję rozejm - oznajmił.

- Dzięki. Zapamiętaj, że zawsze można mnie przekupić żarciem. - Doleciał mnie smakowity zapach zupy. - Mmm, cóż za aromat. Louise ugotowała?

Uporządkowałam papiery, żeby mógł postawić tacę.

- Tak, w tej materii bije Duane'a na głowę.

Usiedliśmy i zabraliśmy się do jedzenia.

- Naprawdę przepraszam za to, co powiedziałem. - W chwili gdy wyrzekł te słowa, rozdzwoniła się jego komórka. Zdjął telefon z paska i popatrzył na ekranik.

- Kto dzwoni?

- A jak myślisz? - Potrząsnął głową i ponownie umieścił telefon na pasku. - To już dzisiaj piąty raz.

- Cóż, będziesz musiał z nią porozmawiać.

- Wiem. Na myśl o konfrontacji dostaję gęsiej skórki. Myślałem, że jeśli ją zignoruję, da sobie spokój.

- Tak postąpiłby każdy normalny człowiek - skwitowałam i patrzyłam na niego dopóty, dopóki nie zrozumiał, że mówię serio.

- Hej, słyszałeś, że mam kupca na dom w Montclair?

- Cudownie! Dobra oferta? Przyjmiesz ją?

- Tak, bardzo dobra, przyjmę z radością! Ale muszę tam jechać i pozabierać rzeczy.

- Kiedy?

- W piątek. Już to ustaliłam z Louise. Wylatuję późnym wieczorem i wracam w poniedziałek.

- No to dobrze. Czy mogę na tej podstawie wnosić, że pomimo szefa będę wam zabawisz z nami jeszcze jakiś czas?

- Nie uwolnisz się ode mnie tak łatwo - odrzekłam, czując przy tym bezbrzeżną ulgę.

Właśnie rozmawialiśmy o dzieciach, kiedy naraz do biura zajrzał O'Malley.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedział. - Brad, jakaś pani chce się z tobą zobaczyć.

Zanim Brad zdążył odpowiedzieć, Amy przepchnęła się obok barmana i wparowała do środka. Była nad wyraz rozemocjonowana.

- Dlaczego nie odbierasz moich telefonów? - zapytała, po czym jej wzrok padł na miseczki. - Proszę, proszę.

Brad wstał i chciał ująć Amy za rękę, lecz nim zdążył ją wyprowadzić, dziewczyna gwałtownie zwróciła się w moją stronę.

- Teraz już wiem, dlaczego nie oddzwaniał! - Następnie popatrzyła na Brada. - Dzwoniłam, żeby ci powiedzieć, że dostałam pracę.

Ze świstem wciągnęłam powietrze.

- To wspaniale - odpowiedział. - Tu czy w Atlancie?

- Wolałbyś usłyszeć, że w Atlancie?

Oho. Głos Amy brzmiał, jakby zaraz miała eksplodować. O'Malley i ja wymieniliśmy spojrzenia. Nie miałam jak uciec i chyba został, żeby w razie czego przyjść mi na odsiecz.

- Ależ nie... myślałem tylko... - zaczął Brad.

- Och, a więc to tak! Myślałeś, że wyjeżdżam? Wobec tego bądź łaskaw się dowiedzieć...

Powinłam była zachować milczenie, lecz nieroztropnie zlekceważyłam wszelkie względy ostrożności.

- Mamy tu gości, Amy, więc może być tak...

Nie dane mi było dokończyć zdania. Amy chwyciła miseczkę Brada, zamachnęła się z całej siły i uderzyła mnie prosto w nos. Miseczka pękła, zupa chlusnęła dookoła, a z mojego nosa i czoła pociekła krew.

- O mój Boże! - wyszeptałam. Przez tę zupę i krew prawie nic nie widziałam. Zdarłam z kolan serwetkę i przycisnęłam do twarzy.

- Ja krwawię!

- Boże - powtórzył jak echo O'Malley.

- Zawołaj Louise! - polecił Brad i pchnął Amy na krzesło.

- Kompletnie ci odbiło?

Zaczęła się szarpać, lecz Brad mocno trzymał ją za ramię.

- Puść ją! - wykrztusiłam. - Puść!

Poluzował uścisk i dziewczyna jak oparzona wypadła z biura, mijając po drodze Louise.

- Jezus Maria! Co ta wariatka ci zrobiła?

Louise obeszła biurko i delikatnie odsunęła serwetkę. Trzęsłam się od stóp do głów, zrobiło mi się słabo.

- Przyniesь czyste ręczniki, ciepłą wodę i kubełek lodu. I zadzwoń po karetkę! - powiedział Brad do O'Malleya.

- Boże miłosierny! Nic ci nie będzie, Linda, ale przyda się kilka szwów. Pojadę z tobą do szpitala.

Rozpłakałam się, co tylko pogorszyło sprawę.

- Zadzwońcie do Mimi, dobrze? - Nie mogłam oddychać przez nos, widocznie był złamany. - Cholera!

- Nic się nie martw, kochana - odrzekła Louise. - Zadzwonię do twojej siostry i powiem, żeby od razu pojechała do szpitala. Boże! Ta baba to istny potwór!

Dwie godziny, czternaście szwów i jedno nastawianie nosa później dzięki zręcznym dłoniom chirurga plastycznego mogłam wrócić do domu, gdzie ległam pod kołdrą, kipiąc ze złości. Mimi, Brad i Louise siedzieli w kuchni i mamrotali pod nosem, klnąc na czym świat stoi. W szpitalu dostałam środki przeciwbólowe, które rzekomo powinny ułatwić mi

zaśnięcie, ale sen uparcie nie przychodził. Położyli mi na oczach moką, lodowatą zimną ściereczkę, unieruchomioną dwiema małymi torebkami mrożonego groszku. Mimi twierdziła, że dzięki temu nie będzie siniaków i zmniejszy się obrzęk. Miałam nadzieję, że wie, co mówi. Nie mogłam dotykać nosa, gdyż tkwiły na nim dwa plastikowe zaciski. Górna warga spuchła jak bania: do momentu zdjęcia szwów czekały mnie trzy dni picia przez słomkę i nieświeżego oddechu. Na szczęście wszystko wskazywało na to, że nos zrośnie się jak należy.

Mimi zajrzała do pokoju.

- Śpisz?

- Coś ty! Jestem zbyt wściekła! Jak tylko wstanę z łóżka, odnajdę Amy i ją zamorduję!

- Będziesz musiała stanąć w kolejce. Zrobić ci herbaty?

- Jasne.

- Zaraz wracam.

Wróciła po kilku minutach ze szklanką mrożonej herbaty i słomką.

- Jak się czujesz?

Zdziwiona własnym pragnieniem upiłam potężny łyk: oddychanie przez usta strasznie wysuszyło mi przelyk.

- Nie mogę normalnie oddychać, jestem zamroczona od tych wszystkich środków i łupie mnie w czaszce, ale poza tym w porządku.

- Boże. Cóż, wydaje mi się, iż powinniśmy zmówić modlitwę dziękczynną, że ta wariatka nie celowała w zęby.

Nim zdążyłam rzucić jakąś cierpką uwagę, na progu stanęli Brad i Louise. Wyraz ich twarzy powiedział mi jasno, że wyglądam okropnie.

- Nie martw się o Gracie - oznajmiła Louise. - Lupe obiecała przywieźć ją po meczu razem z Alexem. Już my ją nakarmimy.

- Dobrze. Dziękuję.

- Posłuchaj, Linda, rozmawiałem z Robertem - wtrącił Brad. - Jeśli będziesz chciała wnieść oskarżenie, co moim zdaniem powinnaś zrobić, masz do tego pełne prawo. To po prostu w głowie się nie mieści. Tak bardzo mi przykro.

- Muszę odpocząć. Kiedy indziej o tym porozmawiamy.

- W porządku. Cóż, będziemy chyba wracać do restauracji. Gdybyście czegoś potrzebowali, od razu dzwońcie. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno? Wpadniemy później. Tak przy okazji, rozmawiałem z Lowellem. Garaż jest twój.

- Dobra wiadomość - powiedziała Mimi.

Skinąwszy głową, ostrożnie wsunęłam się głębiej pod kołdrę. Mimi od razu zrozumiała.

- Odprowadzę ich, a potem usiądę sobie w salonie i poczytam. Krzycz, jakbyś czegoś potrzebowała, dobrze?

Zaczęłam odpływać w sen, lecz nim zdążyłam na dobre zasnąć, budziłam się ponownie. Wiedziałam, że ból twarzy to najgorsza konsekwencja urazu; nastawiony nos drastycznie dawał o sobie znać. Wszyscy byli dla mnie tacy dobrzy i tak bardzo ubolewali nad całym tym incydentem. Co za ironia, że otoczona przez lata terrorystami, rabusiami, gwałcicielami, handlarzami narkotyków oraz innymi mętami z nizin społecznych zdołałam uniknąć napadu. Nikt nawet nie zwędził mi portmonetki na Times Square. To niesamowite, że coś podobnego wydarzyło się akurat tutaj. Po prostu brakowało mi słów. No i jak miałam w tym stanie za cztery dni lecieć do Montclair? W masce?

Odniosłam wrażenie, że czuję zapach tytoniu. Niezbyt silny, raczej słodkawy i odległy. To pewnie drewno, pomyślałam. Drewniane domy chłoną zapachy; człowiek wychwytuje je w najmniej oczekiwanej chwili, chociaż pochodzą sprzed wielu lat. Przypomniał mi się starszy mężczyzna ze snu; zastanawiałam się, czy jego poważna mina ostatnim razem nie była związana z napaścią Amy.

Ni stąd, ni zowąd niemalże poczułam jego obecność w pokoju, co przypisałam działaniu środków przeciwbólowych. Zupełnie jakby siedział na krześle przy moim łóżku i czuwał. Tak, wyraźnie czułam czyjaś obecność.

Pomimo zamroczenia lekami wiedziałam, że sama ściągnęłam na siebie złość Amy. Gdybym nie była wobec niej tak nieprzyjemna, nie potraktowałaby mnie jak wroga. Dlaczego to zrobiłam? Pocieszyłam się myślą, że pakowanie się w tarapaty tkwi po prostu w naturze człowieka, lecz bynajmniej nie wpłynęło to na poprawę mojego samopoczucia. Gdybym pilnowała własnego nosa, byłby teraz cały i zdrow. Pomimo braku świadków

złożyłam uroczyste przyrzeczenie, że odtąd nie będę się wtrącać w cudze sprawy. Może kiedyś ocalałam Brada przed czymś znacznie gorszym. Może istniał pomiędzy nami jakiś kosmiczny układ, zawarty gdzieś w zaświatach.

Co za idiotyczne refleksje. Pora odpocząć.

Rozdział dwudziesty

Mówi Gracie

Jeśli w rodzinie dzieje się coś niedobrego, warto mieć kogoś takiego jak ciocia Mimi. Wróciłam z meczu około piątej i widok jej samochodu początkowo wcale mnie nie zdziwił. Kiedy jednak, przeskakując po dwa schodki, dopadłam do drzwi, weszłam i zatrzasnęłam je z hukiem, by następnie obwieścić swój powrót donośnym śpiewem, ciocia Mimi zerwała się z kanapy i położyła palec na ustach. „Ciii, mama śpi!”. Odkąd sięgam pamięcią, staruszka nigdy nie kładła się po obiedzie i zrozumiałam, że coś tu nie gra.

- Hej! - powiedziałam. - A co to za wylegiwanie?

Mimi opowiedziała mi całą historię, która - przyznaję bez bicia - napędziła mi porządnego cykora. Nie ma nic gorszego na świecie niż krzywda wyrządzona twojej mamie. Wystarczy posłuchać bajek, począwszy od Jasia i Małgosi przez Kopciuszka i Śnieżkę (resztę sami sobie dopowiedzcie); żadne z nich nie ma matki. Dlatego kiedy mama ni z tego, ni z owego kładzie się do łóżka, napędza dzieciakowi solidnego pietra. I tak, zanim ciotczyna opowieść dobiegła końca, dygotałam jak nie przymierzając osika.

- Nic jej nie grozi?

- Oczywiście, że nie! Usiądź. To jeden z tych wypadków, gdy człowiek czuje się lepiej, niż wskazywałby na to jego wygląd. Poza tym jestem pewna, że wkrótce się obudzi, a wtedy nie będzie zbyt szczęśliwa. Porządnie oberwała.

- Dzwoniłaś do Lindsey?

- Nie. Może weźmiesz moją komórkę i sama do niej zatelefonujesz?

- Najpierw zajrzę do mamy i zobaczę, czy się obudziła.

Powoli otworzyłam drzwi i na widok mamy ziemia mało nie usunęła mi się spod nóg. Zmiękły mi kolana, a dłonie spocily się w jednej chwili. Biedna mama! Na oczach i policzkach miała okłady z lodu, na czole bandaż i oddychała przez usta. A co to za plastikowe cholerstwo w nosie?

- Mimi? - zapytała.

Przynajmniej jej głos brzmiał normalnie.

- Nie, mamó. To ja, Gracie.

- Ale historia, co?

- Rany, tę babę należałoby zamknąć! Mówię ci! - Podeszłam na palcach i wzięłam ją za rękę. - Boli?

- Nie bardzo. Tylko tak, jakby ktoś ci przyłożył kijem baseballowym. - Uniosła się nieco. - Pomóż mi, skarbie. Chcę przypudrować nos. Przez te tabletki ciągle jestem nieprzytomna.

Nachyliłam się, pomogłam jej wyplątać nogi spod kołdry i usiąść.

- Przede wszystkim nie powinnaś teraz nosić długiej koszuli nocnej, mamó.

Potkniesz się i obijesz sobie tylną część ciała! Nie masz dosyć kłopotów?

- Strasznie wyglądam? Chyba sobie żartowała.

- Nie, wyglądasz bosko! Zrobimy ci zdjęcie i umieścimy je na internetowej swatce.

- Tak, jasne. Po prostu miss świata.

- Masz złamany nos i milion szwów, czegoś się spodziewała? - Zaprowadziłam ją do łazienki. - Hm, mam ci pomóc...?

- Nie, dziękuję, kotku. Dam sobie radę. Powiedz Mimi, że wstałam, dobrze?

Wróciłam do kuchni, gdzie ciocia przetrząsała szafki, zapewne w poszukiwaniu czegoś, co umożliwiłoby jej stworzenie dzieła, które uleczyłoby świat, a zarazem nappełniło nasze żołądki.

- Mama nie śpi - zakomunikowałam. - Jest w łazience.

- O, jak się czuje?

- Fatalnie, ale trudno się dziwić.

- Powinna stale mieć na twarzy okłady z lodu, żeby zapobiec sińcom, chociaż są raczej nieuniknione. Napijemy się coli?

- Pewnie, jest dietetyczna?

- Aha! - Otworzyła puszkę i napełniła dwie szklanki z lodem.

- Kto by pomyślał, co?

- Żebyś wiedziała! Jak można coś takiego zrobić? Czy mama wniesie oskarżenie?

- Nie wiem. Chyba jeszcze się nad tym nie zastanawiała. Masz pojęcie, jak fatalnie czują się Brad i O'Malley?

Stali przecież tuż obok. Brad odniósł wrażenie, że Amy chce po prostu sprawdzić, co jedli.

- Już to widzę. - I dodałam głosem niedoszłej morderczynie: - Mało słone!

- No właśnie. O'Malley został, na wypadek gdyby coś się miało wydarzyć, a kiedy się wydarzyło, nie zdążył nawet kiwnąć palcem!

- Nie popisał się - uznałam.

- To chyba trochę niesprawiedliwy wniosek. Wszystko stało się tak błyskawicznie, że nikt nie zdołałby zareagować. Nawiasem mówiąc, mama miała w ten weekend jechać na terytorium jankesów, ale chyba powinna odłożyć to do przyszłego tygodnia. Wiesz, gdzie schowała bilet? Zadzwońię do Louise i spytam, czy nie będzie problemu z przeniesieniem urlopu, a potem zmienię rezerwację.

Starannie planowała każdy kolejny krok. Cała Mimi. Ja nigdy nie miałam pojęcia, co dalej robić. Chyba nie byłam jeszcze tak dorosła, jak lubiałam o sobie myśleć, ale przynajmniej uświadamiałam sobie własne niedociągnięcia. To już coś.

Mama podała ciotce szczegóły lotu i Mimi zajęła się urabianiem urzędniczki, aby ta przesunęła rezerwację bez dodatkowej opłaty. Oczywiście połączono ją z samą głównodowodzącą, która nie miała zamiaru tak łatwo odpuścić.

- Jeśli pani sobie życzy, mogę przesłać raport z pogotowia - powiedziała Mimi, potrząsając głową. - Naturalnie, że mogę załączyć obdukcję!

Pewnie ludzie wciąż wymyślali niestworzone historie, próbując wymigać się od płacenia, ale to już była przesada. Kiedy ciotce wreszcie udało się przekonać niewzruszoną urzędniczkę i uzyskać nową rezerwację, z ulgą zakończyła rozmowę.

- Co za idiotyzm - oświadczyła z westchnieniem zdolnym przesunąć komodę. - Zadzwońmy do Lindsey, bo zaraz muszę lecieć. Włożyłam do piekarnika mrożone

lasagne. Wyjmij je za pięćdziesiąt minut. Ja wracam do domu i biorę się do pieczenia!
Mama ci mówiła, że mam robić ciasta do restauracji?

A to niespodzianka.

Wybraliśmy numer Lindsey, która oczywiście siedziała w akademiku i kuła. Jakżeby inaczej! Ze słów ciotki wywnioskowałam, że bardzo się zdenerwowała, ale uspokoiła się, gdy porozmawiała z mamą.

- Musimy się uczyć trzymać język za zębami - podsumowała mama.

Lindsey chyba chciała się upewnić, że jej nic nie grozi.

- Och, wyliżę się. - Potem rozmowa przeszła na zajęcia oraz współlokatorkę, niejaką Naomi z Wyoming. Pożegnały się po kilku minutach.

- Hej! Ani słowa z nią nie zamieniłam!

Oczywiście moja skarga padła w próżnię, jak to zwykle bywało, ale dałam spokój. Mimi już wychodziła i widziałam, że mama pada z nóg. Kazałam jej wracać do łóżka.

Później wmusiłam w nią odrobinę rosółu z kurczaka; piła go przez słomkę, a makaron wkładałam jej łyżeczką do ust. Sama skubnęłam trochę lasagne, ale jakoś nie miałam apetytu. Około wpół do dziesiątej ktoś zapukał do drzwi. Właśnie łamałam sobie głowę nad geometrią. Wyobraźcie sobie, jak się zdziwiłam, widząc na progu O'Malleya i Duane'a z kwiatami.

- Mama śpi?

- Chyba nie. Wchodźcie.

O'Malley miał na sobie koszulę i zgnięte szorty, a Duane kucharski fartuch i spodnie w biało-czarną kratę. Obaj starannie przyczesali włosy, co odrobinę zbiło mnie z tropu. Czy Duane nie był gejem, a O'Malley nie miał dziewczyny? Może myśleli, że idą na czuwanie przy zwłokach!

Stanęli przy drzwiach, jakby nie wiedzieli, co ze sobą zrobić.

- Zaraz sprawdzę, czy będzie mogła wstać... - powiedziałam.

- Nie, nie! Niech nie wstaje! - zaproponował Duane.

- Dobrze. Powiem jej tylko, że przyszliście.

Otworzyłam drzwi do pokoju, ale łóżko było puste. Zastukałam do łazienki i usłyszałam, jak staruszka mamrocze coś do siebie pod nosem.

- Mamo?

- Tak?

- Przyszli Duane i O'Malley. Chcą się z tobą zobaczyć.

- O Boże... - Drzwi stanęły otworem i wyszła mama ze spuchniętą górną wargą i zapowiedzią lima pod okiem. - Spójrz na mnie. Mam podbite oczy.

Zobaczyłam kilka fioletowych plam i lekko zażółcone policzki. Ogólnie rzecz biorąc, nie wyglądała gorzej niż przedtem.

- Chodź - ponagliłam. - Wyglądasz prześlicznie. Podążyłam za nią do salonu.

- Cześć - powiedział O'Malley, wręczając mamie prezent. Widziałam, że przeraził się jej wyglądem. - Kupiłem ci poradnik barmana. Uśmiejesz się. I jak? Spisałaś numery tej ciężarówki?

- Wielkie dzięki - odparła mama z bladym uśmiechem. - To była ruda, gigantyczna ciężarówka.

- Jezu! - zawołał Duane. - Co za dziewczyna! Nic się nie martw! Mam taki fajny kompakt Chanel... właściwie należy do mojej siostry, zostawiła go u mnie przez zapomnienie... w każdym razie są tam cztery rodzaje korektorów, którymi można zatuszować absolutnie wszystko! Ale co ty właściwie masz w nosie?

Rzecz jasna nikt nie uwierzył w bajeczkę o kompakcie siostry.

- Zaciski - wyjaśniła mama. - W czwartek mi je zdejmą.

- To musi być okropnie nieprzyjemne - uznał Duane. - Proszę. Przyniosłem ci coś na początek przyszłej kolekcji. W zlewie są kwiaty od nas obu. Connie i Faza też przesyłają pozdrowienia.

Podał jej nieduże pudełko z napisem Williams-Sonoma. Był tam nóż do obierania warzyw.

- Och, jak to miło z waszej strony. Naprawdę nie trzeba było... Widziałam, że mama jest wzruszona ich gestem. Nie spodziewała się aż tyle.

- Hej, ludzie, napijcie się czegoś? - spytałam.

- „Hej, ludzie”? Na miłość boską, Gracie! - Wyraz twarzy Duane'a mówił jasno, iż zwrot „hej, ludzie” jest znacznie gorszy od słowa na „k”.

- No już dobrze, dobrze. Napijcie się czegoś czy nie?

Roześmiali się; widziałam, że są skrepowani. Dziwne, w restauracji czuli się jak ryby w wodzie, a u nas nie wiedzieli, gdzie podziąć oczy. Może po prostu mama wyglądała gorzej, niż się spodziewali.

- Dziękujemy, Gracie, na nas już czas - odrzekł O'Malley. - Jest późno. Chcieliśmy tylko zajrzeć i powiedzieć, że strasznie nam przykro, Linda. Czuję się podle z powodu...

- W ogóle o tym nie myśl - przerwała mu mama. - Nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie.

- Dziękuję, że tak mówisz. Brad jest poważnie wkurzony. Cały wieczór gada przez telefon z Robertem.

- Wiecie co? - powiedziała mama. - Moim zdaniem powinniśmy o tym wszystkim zapomnieć. Nie chcę żadnego procesu. Jeśli to wariackie zdarzenie odsunie ją od nas i od Brada, dostaniemy to, czego chcieliśmy.

- Ustal to z nim - skwitował O'Malley. - My chcieliśmy tylko sprawdzić, jak się czujesz.

- Dobrze. Naprawdę - odpowiedziała.

- Skoro tak twierdzisz. Ale powiedz tylko jedno słowo, a zabiję tę sukę - wyrwał się Duane. Uśmiechnęliśmy się, gdyż był mniej więcej mojego wzrostu i wszyscy łącznie z nim wiedzieli, że muchy by nie skrzywdził, dlatego dodał łagodnie: - Musiałem zobaczyć na własne oczy, że jesteś cała. I tyle. - Wzruszył ramionami. - Wszyscy w restauracji tworzymy jakby rodzinę, trochę pogiętą, ale rodzinę. A ty jesteś jedną z nas, wiesz? Gdybym był wtedy w biurze, trzasnąłbym ją na odlew. Wcale nie żartuję.

- Och, Duane. - Mama uśmiechnęła się trochę krzywo z powodu spuchniętej wargi. - Nikt by tego nie zrobił, nawet gdyby poważnie wziął to pod uwagę, wierz mi. Ale dziękuję. Tobie też, O'Malley.

Wyszli, mama powlokła się z powrotem do łóżka, a ja wstawiłam kwiaty do wazonu. Tego wieczora to ja gasiłam światła i zamykałam drzwi na klucz. Zajrzałam do pokoju mamy i przekonałam się z ulgą, że spała jak suseł. Postawiłam kwiaty na toaletce, żeby je zobaczyła, jak tylko się obudzi. Wróciłam do kuchni i zatelefonowałam do Lindsey.

- Cześć, masz chwilkę?

- Pewnie. Jak mama?

- W porządku. Dochodzi do siebie. Oczywiście nie może teraz polecieć do New Jersey. Ma na nosie zaciski, szwy i tak dalej. Ciocia Mimi przeniosła jej rezerwację na przyszły weekend. Może przyjechałabyś wtedy do Montclair i pomogła mamie?

- Żaden problem. Jak wygląda?

- No cóż, będzie miała gigantyczne sińce pod oczami, co na pewno jej się nie spodoba. Policzki też ma posiniaczone. Wycierpi swoje, zanim wszystko wróci do normy. Ale stanie na nogi. Znasz Linde!

Pożegnałyśmy się, a potem przez chwilę rozmyślałam o szkole. Jutro mieliśmy jechać na wycieczkę i zastanawiałam się, co na siebie włożyć. Przyniosłam budzik od mamy, niech sobie biedaczka trochę pośpi. Potem zadzwoniłam do Alexa, żeby Lupe wpadła po mnie rano.

- Nie ma problemu - odpowiedział. - Jak mama? Wiadomość obiegnęła już chyba cały świat.

- Nieźle. Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze?

- No?

- Że takie rzeczy zwykle ogląda się w serialach. Jak można zrobić coś takiego?

- A pomyślałby kto, że w miarę upływu lat stajemy się cywilizowanymi ludźmi.

- Właśnie. Szkoda gadać. Dobra, muszę jeszcze pozamykać drzwi...

Rano cichutko wymknęłam się z domu, pozostawiwszy mamie wiadomość, że wrócę przed czwartą. Narysowałam na kartce wielkie serce i postawiłam na dole mnóstwo krzyżyków, aby wiedziała, że o niej myślę. W przyływie dobrej woli włożyłam nawet talerz do zmywarki i poszłam do szkoły całkiem z siebie zadowolona.

Ku mojej radości okazało się, że jedziemy do oceanarium. Wsiadliśmy do wielkiego, żółtego autobusu jak grupa pierwszoklasistów i zaśmiewaliśmy się przez całą drogę. Może mama miała rację, że pan Miller jest trochę stuknięty, a afera z protestem przed restauracją była cokolwiek nie na miejscu, ale przynajmniej dzięki niemu mogliśmy na cały dzień urwać się z lekcji.

Dotarliśmy na miejsce i wałęsaliśmy się po korytarzu, czekając na przewodnika, który miał nas oświecić w kwestii zlewisk i ekosystemów. Miller stał się coraz bardziej

poirytowany i co rusz przypominał recepcjonistce, że byliśmy umówieni. Po dziesięciu minutach z pomieszczeń dla personelu wydreptała miła staruszka z filiżanką kawy i stary Jason mało nie dostał ataku serca. Pewnie pomyślał sobie, że niewiele się od niej dowiemy. Dla mnie mogła mieć choćby ze sto lat, grunt, że wymigałam się od geometrii. Okazało się jednak, że kobiecina jest doskonale zorientowana w temacie.

Rozpoczęła od wykładu na temat połowu ryb morskich. Zastrzygłam uszami. Wyszło na jaw, że wiele restauracji w Charlestonie nie podaje już okonia morskiego, gardłosza atlantyckiego i rekina. Cóż, rekina i tak nie brałam do ust; sam w sobie był wystarczająco niebezpieczny. Ostatecznie jesteś tym, co jesz, nie? Ale okoń to delicje! Potem powiedziała nam, że gardłosz dożywa stu lat. Zerknęłam na Alexa.

- Zjadłbyś stuletnią rybę?

- Żartujesz? Wolę hamburgera.

- Jasne. Niech żyją szalone krowy! - Widziałam, jak pochłaniał wszystko, co przed nim stawiano. Pewnie nawet nie wiedział, co je.

Kobieta mówiła dalej; ze zdumieniem przyjąłam informację, że to gatunki zagrożone i wszystkie lepsze restauracje w Charlestonie odstąpiły od ich podawania, dopóki populacja nie wzrośnie. Ciekawe, czy Louise i Duane o tym wiedzą. Pewnie tak. Najlepiej serwować owoce morza z lokalnych wód, przecież ludzie nie po to przyjeżdżają do Shem Creek, żeby jeść egzotyczne ryby z Japonii. Poza tym jeśli kupujemy je od rybaka, który od lat łowi w okolicach Charlestonu, wspieramy miejscowy rynek pracy. Czy to nie lepsze dla gospodarki?

Niemal widziałam, jak na każdą wzmiankę o ochronie przyrody serducho Jasona Millera pulsuje pod koszulą. Strasznie go to nakręcało, co uważaliśmy za idiotyczne.

- Fajnie opowiadała - powiedziałam do Alexa, kiedy w drodze powrotnej mijaliśmy most na rzece Cooper.

- Fajnie.

- Wiesz, że moja mama miała randkę z Jasonem Millerem?

- Chrzaniisz?

- Gdzie tam. Nie przypadł jej do gustu. Uznała go za oszołoma.

- Bo nim jest.

- No tak, ale nie można tak po prostu kogoś skreślić, bo nie odpowiadają nam jego przekonania. Nie stał się dla niej księciem z bajki, ale to nie znaczy, że jest matołem, prawda?

- Wiesz co, Gracie? Moim zdaniem to jedna z tych lekcji, gdzie dostajesz ocenę, wychodzisz i nie oglądasz się za siebie.

- Gadasz zupełnie jak moja matka, Alex. Wy, ludzie, jesteście zbyt konserwatywni.

- Wy kto?

- Ludzie! Trzeba patrzeć poza czubek własnego nosa.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Bis

Telefon dzwonił cały boży dzień, jakby nie miał nic innego do roboty. Najpierw Mimi. „Jak ci się spało?”. „Dobrze - odpowiedziałam - świetnie”. Potem Louise. „Jak się czujesz?”. „Głowa mnie boli” - jęknęłam. Mało powiedziane. Nie miałam pojęcia, że w jednej małej głowie może się zmieścić tyle bólu; mimo końskich dawek aspiryny nie zelżał ani odrobinę i nie mogłam się na niczym skupić. Ale Robert i Susan przysłali gigantyczny bukiet, co trochę poprawiło mi samopoczucie. W porze lunchu przyszedł Brad z zupą oraz sandwiczem z krewetkami.

Otworzyłam drzwi na bosaka, w spodniach od dresu i koszulce; nieuczesane włosy związałam gumką, moje oczy zaś mieniły się tęczą barw. Gdyby Steven Cojocar^{*} stał na wycieracze zamiast Brada, rzekłby na pewno: „Kochana, strasznie mi przykro, ale zapakuj się do pudełka i zapieczętuj wieko”. Jednakże Brad przywitał mnie po swojemu.

** Steven Cojocar - kanadyjski dziennikarz słynący z niekonwencjonalnych wywiadów z gwiazdami, znawca mody.*

- No proszę! Czarująca!

- Wejdz. - Otworzyłam szerzej drzwi. - Zupełnie jakbym nie wiedziała.

- Nie chciałem cię zrywać z łóżka, ale przyszło mi do głowy, że pewnie nie masz ochoty na gotowanie. - Postawił torbę na blacie i zajrzał do środka. - Proszę, zjedz coś.

- Nie zerwałeś mnie z łóżka. Tak sobie tylko leżałam i rozmyślałam o życiu.

Właściwie to nie byłam głodna, dopóki nie zaczęłam jeść. W sumie nie miałam nic innego do roboty, gdyż Bradowi usta się nie zamykały.

- A, o życiu. Zaiste ciekawy przedmiot rozważań. Rozmawiałem z Robertem, wczoraj wieczorem i dzisiaj rano też. Możemy ją pozwać za napaść, jest bez szans. Masz prawo do zwrotu kosztów leczenia, straconej pensji...

Straconej pensji?

- No i choćby częściowej rekompensaty za cierpienie. Oczywiście i tak nie masz powodów do obaw: pokryjemy koszty opieki medycznej, a Robert zgadza się ze mną, że pensja również ci się należy. Przynajmniej tyle możemy zrobić.

Uff!

- Co do rekompensaty moralnej, zapewne nie ma na co liczyć, ale można postawić Amy zarzuty i odizolować ją od świata. A przynajmniej wniesić o przeprowadzenie badań psychiatrycznych i poprosić sąd o rozważenie skierowania jej na przymusowe zajęcia z panowania nad gniewem...

Kiedy pochłonięłam zupełną kanapkę, pikle oraz wszystkie frytki, potok wymowy Brada osłabł i wreszcie zdołałam wtrącić swoje trzy grosze.

- Brad, nie mam zamiaru nikogo pozywać. To nie w moim stylu. Nie lubię jej i ona o tym wiedziała. Znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze i nie umiałam trzymać buzi na kłódkę. Dzięki, że chcesz zapłacić za moje leczenie, ale mam ubezpieczenie, prawda? Ale będę wdzięczna, jeśli zapłacisz mi tygodniówkę. Potraktujmy to jako coś w rodzaju płatnego urlopu.

- Raczej jako żołąd.

Siedzieliśmy przy stole koło okna. Nagle twarz Brada przybrała dziwny wyraz.

- O co chodzi? - spytałam.

Sięgnął przez stół, ujął mnie za rękę i przykrył ją swoją drugą dłonią.

- Tak mi przykro, że to cię spotkało, Linda. Wolałbym znaleźć się na twoim miejscu.

- Dobrze, że ta wariatka nie uderzyła mnie w skroń. Mogła mnie zabić.

- Boże, nawet o tym nie myśl. - Uścisnął mi dłoń, po czym wstał. - Odpocznij sobie.

Co za miły gest. Oczywiście pozbawiony erotyzmu, chyba że Brad gustował w dziwolągach o podbitych oczach i spuchniętych wargach. Nie, był jedynie przyjacielem, ale takim prawdziwym, który rzeczywiście o mnie dbał.

Kretynka.

Chyba najwyższy czas przyznać przed samą sobą, że z rozkoszą stałabym się jego - nie wiem, jak to nazwać? - dziewczyną... kochanką... żoną? Trudno mi było sprecyzować swoje oczekiwania. Tymczasem on podarował mi skarb zaufania, przyjaźni, troski. Próbując zasnąć, mimowolnie zachodziłam w głowę, jak by to było leżeć obok niego - bez żadnych wiadomych podtekstów, po prostu leżeć. Na pewno cudownie.

Kiedy Gracie wróciła do domu, byłam już umyta i ubrana, zgodnie z regułą obowiązującą w naszej rodzinie, wedle której przyzwoity człowiek wstaje z łóżka, bierze prysznic i wkłada przyodziewek.

Gdy weszła, leżałam na sofie i oglądałam wiadomości. Rzuciwszy plecak na podłogę, otworzyła na oścież lodówkę.

- Cześć, mamó! Widzę, że wstałaś. Chyba ci lepiej, co?

- W każdym razie żyję. Przypuszczam, że poczuję się lepiej, dopiero gdy pozbędę się szwów i będę mogła normalnie oddychać. Zaparzyłam herbatę, nalej sobie.

- Aha. Na twoim miejscu chyba dostałabym szału. Tobie też nalać?

- Jasne. Jak w szkole?

Cisza. Uniosłam wzrok i na widok zmarszczonych brwi Gracie zrozumiałam, że coś ją gryzie.

- Mów. Co się dzieje?

Postawiła kubek na stoliku i usiadła na sofie przy moich stopach.

- Obawiam się, że masz limo.

- Taa, śliczne, co?

- Zabiłabym tę babę.

- Daj spokój. Gniew jest jak rak. To wariatka.
- Pewnie tak, ale na twoim miejscu zażądałabym od niej milionowego odszkodowania.
- Z głazu krwi nie wyciśniesz, Gracie. Ona nie ma miliona dolarów.
- No to wpakowałabym ją za kratki.
- Dlaczego wszyscy oczekują, że będę się mścić? Nie mogę po prostu wyzdrowieć i spokojnie żyć dalej?
- Boże, skąd w tobie tyle bierności, mamo?
- Nie chcę zamieszania, to wszystko. To nie wpłynęłoby dobrze na interesy. Poza tym ona jest biedna jak mysz kościelna, a ja dalej otrzymuję pieniądze. Olać ją!
- Moim zdaniem przydałaby jej się lobotomia lub elektrowstrząsy.
- Pewnie by nie zaszkodziły. Ale wiesz co? Gdybym tak nie pyskowała, Amy nie rzuciłaby we mnie zupą. A gdyby Brad grał z nią w otwarte karty, nie przyszłaby do restauracji, dysząc żądzą mordy.
- Skąd ona się tam w ogóle wzięła?
- Była sekretarką Brada w Atlancie, ma na jego punkcie obsesję. Od kilku tygodni śledzi każdy jego ruch. Louise i ja od początku nie mogłyśmy na nią patrzeć, dlatego nigdy nie byłyśmy dla niej zbyt miłe. W kółko wydzwaniała do Brada, on nie oddzwaniał, to w końcu się wkurzyła. Ale nikt nie podejrzewał, że kompletnie straci rozum.
- Dorośli są tak samo stuknięci jak nastolatki.
- Święta racja.
- Ja jej jeszcze pokażę. Już ona mnie popamięta.
- Nie przesadzaj. I tak dostanie za swoje. Karmiczna zasada numer jeden.
- Jasne. Na razie jednak wszyscy moi wrogowie żyją sobie jak pączki w maśle. Ale muszę ci powiedzieć, że dowiedziałam się dziś czegoś bardzo ważnego.
- O czym?
- O zagrożonych gatunkach ryb. Wychodzi na to, że należy do nich około czterdziestu odmian rekinów oraz chilijski okoń morski i gardłosz. Nie podajemy żadnej z tych ryb, prawda?
- Czasami.

- Lepiej wykluczmy je z menu, inaczej Jason Miller i jego banda zrobią z nami porządek.

- Powiem Louise. Skoro mowa o bandzie, jak sprawują się twoje koleżanki?

- Ja nie rozmawiam z nimi, a one ze mną. Odsiaduję swoje i zmykam. Trzymam się z Alexem. A propos, wystąpiłam z klubu, mam.

- Z klubu Millera?

- Tak. Są zbyt bojowo nastawieni. Poza tym incydent przed restauracją był niewybaczalny. - Gracie sięgnęła po pilota i zaczęła przerzucać kanały. Wreszcie zatrzymała się na programie o modzie. - Tego nam trzeba, mam. Przydałaby się metamorfoza.

- Mało powiedziane. Przynajmniej w moim wypadku. Może wstąpisz do klubu dyskusyjnego?

- Banda kujonów. Zresztą w piątek rozpoczynam zajęcia z tańca nowoczesnego w grupie baletowej w Charlestonie. Tylko się nie denerwuj. Mimi obiecała, że będzie mnie zawozić i odbierać. Wiesz co, jak tylko zdejmą ci szwy, pojedziemy do Saksa i zafundujemy sobie profesjonalny makijaż.

- Doskonały pomysł! Może będziemy musiały z tym poczekać do chwili zakończenia transakcji, ale wpiszemy to na listę zadań, dobrze?

- Wcale nie musimy tak długo czekać. Przecież nie trzeba nic kupować. Pomalują nas, a my powiemy: „Dzięki! No to cześć!”.

- Skarbie, te kobiety żyją z prowizji, to nieładnie prosić o darmowy makijaż i niczego nie kupić.

- Nieważne. Idę odrabiać lekcje. Co robimy na kolację?

- Zamówimy pizzę?

- Ja zamówię. Wiesz, że do Święta Dziękczynienia będę miała prawo jazdy?

- Cudownie! Początkowo chciałam sprzedać samochód, ale chyba zostawię go dla ciebie. Co ty na to?

- Niebieskiego buzzarda? Tego z milionem na liczniku? Coś ty, mam, jest dla mnie zbyt dobry.

- No cóż, zawsze możesz sama kupić sobie lepszy.

- Czy wspomniałam, jak bardzo go kocham? Ile mam dla niego sentymentu?
- Niewdzięcznica. Ale fajnie, że znowu będziesz tańczyć.
- Zamówię pizzę.

Tego wieczoru i przez resztę tygodnia jadłyśmy na zmianę pizzę, chińszczyznę i to, co nam przyniesiono. Nie ruszałam się z domu, nawet w okularach przeciwsłonecznych. Mimi wpadała co rusz z orężem kosmetyków mających zatuszować moje podbite oczy, co jednak niewiele dawało.

Pozbyłam się zacisków, a kilka dni później szwów i zostało mi parę sińców oraz spora, czerwona blizna między brwiami, którą zasłaniałam plastrem. Do wtorku czułam się znacznie lepiej i nabrałam ochoty na powrót do pracy. Przynajmniej przestałam się obawiać, że będę straszyć małe dzieci swoim wyglądem. No i, co tu dużo mówić, nudziłam się jak mops.

We wtorkowe popołudnie Brad przywiózł Gracie do domu razem z Alexem. Na szczęście byłam ubrana, gdyż cała trójka bez ceremonii weszła do środka. Siedziałam na tarasie i czytałam gazetę, rozkoszując się przyjemną temperaturą.

- Cześć, mammo!
- Cześć! Jak tam w szkole?
- Przelomowo! Co u ciebie? Masz ochotę na prażoną kukurydzę, Alex?
- Jasne - odpowiedział.

Weszłam do domu. Brad stał przy drzwiach.

- No proszę! Wyglądasz o wiele lepiej!
- Dzięki. I tak się czuję. Tylko te podbite oczy doprowadzają mnie do szału. Miałaś jakieś wiadomości od Amy?

- Nie jest tak źle. Owszem, Amy wróciła do Atlanty.
- Miejmy nadzieję, że na zawsze.
- No. Stuknięta dziewczyna.
- Czyżby?

- Żebyś wiedziała. Zajrzymy do garażu? Skoro chcesz tu przywieźć jakieś meble, będziesz musiała je gdzieś postawić, więc może należałoby go opróżnić? Chodź, zobaczymy, jak wygląda sytuacja.

Nie miałam ochoty ruszać się z miejsca, ale poszłam. Tygodniowy pobyt w domu strasznie mnie rozleniwił. Brad miał rację, prędzej czy później będę potrzebować garażu.

Otworzyłam boczne drzwi, a Brad główne. Światło wpadło do środka, ukazując niewyobrażalną kolekcję śmieci.

- O rany - powiedział. - Istna kopalnia złota!

- Ohyda, nie?

- No. Mój kumpel remontuje dom i wynajął firmę wywożącą odpadki. Dam głowę, że za pięćdziesiąt dolców można by ściągnąć tu tych facetów i uwolnić ten śmietnik od węży i pajaków. Co ty na to?

- Jak na lato! Żywy inwentarz jest do wzięcia. Pająk do muchy, odbiór!

- Odbiór? - powtórzył ze śmiechem Brad. - Czyżbyś oddawała się sekretnym pogaduszkom na CB radio?

- Tak jest. Mam ksywkę Dama ze Śliwką. Niezawodny wabik na macho.

- Pokrecona jesteś. Ktoś ci to już mówił?

- Jedynie typy spod ciemnej gwiazdy, które gustują w takich panienkach jak ja...

- Czym zajmował się Fred?

- Fred? Mój Fred? Mój eksmaż?

- Ten sam.

- Kto pyta i dlaczego?

- Zastanawiałem się, kim był facet, za którego wyszłaś, i tyle. Co robił?

- No cóż, Fred był i nadal jest głównym księgowym.

- A, głównym księgowym? Bajer.

- Tak. Pan Bajer. Cały on.

- Urodzony ryzykant i bojowy typ o ognistym temperamencie, co?

Znieruchomiałam i spojrzałam na niego ze zdumieniem.

- Wścibski jesteś, wiesz? Ktoś ci to już mówił? Nie powinieneś wypytywać mnie o intymne szczegóły, to nie na miejscu.

- Dajże spokój! Jeśli opowiesz mi o Fredzie, ja opowiem ci o Lorecie.

Podniósł zardzewiały rower i wyniósł go na zewnątrz. Własna śmiałość rozbawiła go co niemiara, ja natomiast byłam kompletnie zbита z tropu. Czy to rodzaj flirtu, czy co?

- No dobrze, opowiedz mi o Loretcie.

Przystanął i oparłszy ręce na biodrach, przez chwilę spoglądał na drzewa.

- Niech będzie. Seks z Loretą przypominał wpychanie najlepszego przyjaciela do zamrażarki. Co powiesz na tak romantyczny punkt widzenia? Kolej na Freda.

Zapytacie, co czułam, słysząc te słowa? Trudno powiedzieć. Czułam się jak nastolatka, spragniona pikantnych szczegółów i zawstydzona. Ale seks z Fredem? Któż by to pamiętał? Postanowiłam coś zmyślić.

- Fred nie mył zębów - powiedziałam. - Dlatego kochaliśmy się rzadko i na szczęście niezbyt długo.

- Uroczy obrazek: krótkodystansowiec o cuchnącym oddechu?

- Mniej więcej. Powiedzmy, że mi tego nie brakuje.

- Cuchnącego oddechu czy seksu w ogóle?

- Cuchnącego oddechu. - Po cóż miałabym o tym rozmawiać, jeśli nie dla flirtu?

Sporo mnie to kosztowało. Myślenie o Bradzie to jedno, a intymne zwierzenia to zupełnie inna sprawa. - Seks może poczekać.

- Jak długo?

- Nie wiem. Pewnie do następnego razu. Wracajmy do mojej kupy śmieci.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość.

- Jaka?

- Garaż jest najwyraźniej odporny na wilgoć, można z niego zrobić pokój. Albo po prostu traktować jak garaż. Ale warto by chociaż wstawić dużą szafę na ubrania.

- Jakie ubrania? Nie zauważyłeś, że nie mam żadnych ubrań?

- Aha. No to zrób z niego dodatkowy pokój albo dużą sypialnię z łazienką dla siebie. Trzeba by go tylko ocieplić, doprowadzić media, dobudować schody, na przykład spiralne, zamurować główne drzwi...

- Tylko tyle? Jedziemy do OBI. I to już.

- Kobiety. Zero fantazji.

- Co ty wiesz, kolego. Nie uwierzyłybyś, co przechodzi przez mój radar.

- Nie wątpię. Nie pozwalasz zaglądać sobie w karty, co? Zawsze się zastanawiam, co ci chodzi po głowie.

Ty mi chodzisz po głowie.

- Ograniczmy się do tego, co naprawdę niezbędne. Czy teraz moglibyśmy załatwić firmę przewozową?

- W porządku. Wygrałaś.

W środę wróciłam do pracy i po wejściu do biura od razu zauważyłam, że ktoś wysprzątał je na wysoki połysk. Pewnie Louise. Na biurku spoczywała sterta listów, a katalogami można by wytapetować wnętrze hangaru. Udałam się na poszukiwanie Louise i oczywiście zastałam ją w kuchni, pochłoniętą sprzeczką z Duane'em. To mi dopiero niespodzianka.

- Ryba faszerowana koprem? Doo-wayne? Na tym świecie nie ma nic lepszego niż świeżutki lucjan czerwony, zapiekany z sokiem z cytryny, oliwą oraz solą i pieprzem. Cześć, Linda! Coś nie tak z tą rybą? Nie dość świeża? - Louise mocno mnie uściskała. - W porządku?

- Ta ryba to cud natury! - oznajmił Duane. - Linda! Wyglądasz bosko! Chodź zobacz.

- Dzięki. - Potrząsnęłam włosami, co zauważył jedynie Miguel, nowy pomywacz, który znał może dwa słowa po angielsku i ku mojemu zdziwieniu puścił do mnie oko.

Duane otworzył drzwiczki piecyka, wyjął miedziany rondel i dokoła rozniosła się woń kopru. Osobiście nie przepadam za koprem, w związku z czym trudno mi go sobie wyobrazić jako dodatek do jakiegokolwiek potrawy.

Duane nabił na widelec kawałek ryby i ruszył w moją stronę.

- Wolę nie - powiedziałam.

- No dobrze, ja skosztuję tę cholerną rybę - oświadczyła zrzędliwie Louise. Przez chwilę żuła ją w ustach, po czym wybuchnęła śmiechem. - Dawaj ją tu, Doo-wayne! - Spojrzała na mnie. - Delicje!

Ci dwoje dobrali się jak w korcu maku.

- A propos, dzięki za wysprzątanie biura, Louise.

- O czym ty mówisz? Pojechałam z tobą do szpitala, pamiętasz? To pewnie O'Malley.

Przejrzawszy pocztę, postanowiłam pomóc O'Malleyowi podczas godziny tańszych trunków.

- Dobrze się czujesz?

- W życiu nie czułam się lepiej. Dzięki za przewodnik, teraz mnie nie zagniesz.

Odrobina wiedzy nie zaszkodzi, co?

- Tak jest.

- Co nowego? Co mnie ominęło?

- Nic a nic. W piątek lecisz do New Jersey?

- O ile piątek w ogóle nadejdzie! Przy okazji, dziękuję za sprzątnięcie pobojuwiska w moim biurze.

- Słucham? To nie ja. To pewnie jeden z chłopaków Duane'a.

Spytałam Duane'a, ale zaprzeczył. Wszyscy zgodnie twierdzili, że nawet nie zajrzeli do mojego pokoju. Dziwne.

W piątek byłam tak podekscytowana, jakbym leciała do Paryża. Spakowałam niewiele rzeczy, aby zabrać jedynie bagaż podręczny. Mimi i Gracie odwiozły mnie na lotnisko. Po drodze omówiliśmy mnóstwo spraw zwyczajem desperatów dręczonych obawą, że więcej się nie zobaczą. Być może denerwowałam się tylko perspektywą kolejnej rozłąki i pozostawienia Gracie, choć wiedziałam, że pod skrzydłami mojej siostry nic jej nie grozi. Gadałyśmy bez ustanku, chcąc sobie wynagrodzić ewentualny przyszły deficyt informacji.

Omówiliśmy kwestię garażu oraz tego, co z nim zrobić. Wreszcie doszliśmy do wniosku, że na razie posłuży jako przechowalnia; postanowiliśmy kupić rowery i trzeba będzie gdzieś je bezpiecznie umieścić. Ta stosunkowo niedroga i przyjemna forma rekreacji bardzo nam się przyda. Mimi i Gracie oznajmiły, że jutro pojedą je wybrać. Następnie wysłuchałyśmy Gracie, która zdała nam relację ze swej pierwszej od długiego czasu lekcji tańca.

- W ogóle nie mam kondycji! Nie tańczyłam od miesiąca, ale... Boże! Fajnie było się porozciągać. I fajnie wrócić do szatni!

- Ociekała potem - wtrąciła Mimi.

- Jeśli się nie pocisz, to znaczy, że za słabo się starałaś.

Porozmawialiśmy nawet o na wpół upieczonym związku Mimi z Jackiem Taylorem; „na wpół upieczony” było określeniem ze wszech miar adekwatnym, gdyż od początku znajomości nic tylko dla niego gotowała.

- Znów zero igraszek?

- Fuj! Mamo!

- Gdzie tam! Zastanawialiście się kiedyś, ile życia marnujemy na jedzenie?

Przecież to istne szaleństwo! Mówimy o jedzeniu, kupujemy je, gotujemy, podajemy, sprzątamy ze stołu, a potem przeżywamy tortury na myśl, czy nie zjadliśmy za dużo oraz ile przytyjemy. Głupota, nie? Na dodatek ty pracujesz w restauracji, a ja piekę ciasta do niej!

- Taka jest rola kobiet - stwierdziłam, a Mimi i Gracie przyznały mi rację.

Jechałyśmy trasą 526, mijając po drodze połączenie bagien i wody, rozlane jak okiem sięgnąć. Ich powierzchnia była tak szklista i nieruchoma, że trzciny i omszałe dęby odbijały się w niej jak w lustrze. Żałowałam, że nie mamy czasu przystanąć i popatrzeć.

Wygląd sitowia zwiastował nadciągającą jesień: jaskrawozielone wiechcie zaczynały brązowieć, a u podstawy widniały ciemne ślady pozostawione przez przypływ. Około tuzina czapli brodziło na płyciźnie w poszukiwaniu jedzenia; pewnie polowały na małe ławice piskorzy i cierniaków albo krewetki. Zobaczyłam kołującego sokoła.

- Patrzcie, sokół wędrowny!

- Prowadzę. Mam spowodować wypadek? Opuściłam szybę, co wywołało falę utyskiwań Gracie.

- Tyle hałasu o głupiego ptaka?

- A tak, moja panno, zwłaszcza że ten gatunek niemal całkowicie wyginął za sprawą pestycydów! Widzisz? Nie tylko ty się na tym znasz! Mieszkamy w regionie będącym kopalnią wiedzy o przyrodzie. Powinniśmy jechać na Wyspę Byka i wziąć udział w jednej z ekowycieczek. Zobacysz ptaki tak piękne, że zapomnisz języka w buzi.

- Pojedziemy, jak wrócisz.

- Umowa stoi.

- Ja też chcę jechać - oświadczyła zrzędliwie Mimi.

- Koniecznie! Zobaczymy mnóstwo rybołówów, ostrygojadów i... - Napłynęły wspomnienia ptaków mojego dzieciństwa, ich nazw i zwyczajów; sądziłam, że już o tym wszystkim zapomniałam, ale nie. Mogłabym przekazać tę wiedzę Gracie, tak jak mój ojciec przekazał ją mnie. Kiedy byłam bardzo mała, pokazywał mi zimorodki, wielkie błękitne żurawie lub białego ibisa, którego nogi w okresie lęgów przybierały czerwoną barwę. Czasami podczas spaceru po plaży na Wyspie Palm wskazywał mi gwarki oblegające śmietniki.

Kroczyły powoli, dumnie stawiając nogi, co nas niezmiernie bawiło. „Uważa się za ważniaka, a ucztuje na odpadkach” - mówił tata i wybuchaliśmy śmiechem. - Tak, jak tylko wrócę, pojedziemy razem na Wyspę Byka.

Było dobrze po siódmej; o tej porze słońce i księżyc często rezydowały na nieboskłonie obok siebie. Przyszło mi do głowy, że darzę Lowcountry i jego krajobrazy wielkim sentymentem. Tak jakbym mieszkała tu od zawsze, a lata spędzone w New Jersey należały do kogoś innego. Dziwnie będzie wrócić do dawnego domu, ale przynajmniej zobaczę Lindsey. Nie mogłam już się doczekać.

Dotarliśmy na lotnisko i wysiadliśmy z samochodu.

- Nie musicie ze mną wchodzić - zaproponowałam. - Poradzę sobie, naprawdę.

- Jesteś pewna? - spytała Mimi.

- Całkowicie - odparłam. - Przynajmniej zostanie wam trochę wieczoru. Idźcie do kina!

- Świetny pomysł! Zrobimy sobie babski wieczór! - zawołała Gracie. - Uściskaj ode mnie Lindsey. Powiedz, żeby zadzwoniła!

Mimi wyszarpnęła z torebki swoją komórkę.

- Weź - powiedziała. - Musisz mieć telefon. Ma dobre baterie.

- Dzięki. Rzeczywiście może mi się przydać.

Pożegnałyśmy się, uściskałyśmy i ucałowały; przykazałam Gracie, żeby się dobrze sprawowała, choć po raz pierwszy uważałam te przestrogi za zbędne.

Mój lot miał opóźnienie z powodu burz w okręgu Columbia. Co pewien czas raczono nas komunikatami: najpierw była mowa o półgodzinnym spóźnieniu, które

następnie przeciągnęło się do godziny. Kupiłam sobie w kiosku gazetę, usiadłam wygodnie i przystąpiłam do lektury.

Wreszcie wsiedliśmy i samolot wystartował. Leciałam na zawsze pożegnać mój dawny dom oraz Montclair.

Lindsey miała przyjechać tam po zajęciach i otworzyć dom. Wspaniale jest mieć córkę, która może ułatwić nam życie! Podobno córki w wieku studenckim stają się naszym największym błogosławieństwem. W moim wypadku to się sprawdzało.

Nawet Gracie. Wyrastała na cudowną młodą kobietę. Och, nadal potrafiła zaleźć człowiekowi za skórę i wiedziałam, że czeka mnie jeszcze niejedna przeprawa, lecz ostatnie tygodnie dawały pewną nadzieję na przyszłość. Gracie jakby złagodniała i była bardziej skłonna do wyręczenia mnie w drobiazgach.

Pomijając kłopoty z koleżankami, nieźle radziła sobie w szkole, którą traktowała poważniej niż kiedykolwiek przedtem. Wzięła sobie do serca obowiązki i sama zarabiała na swoje wydatki.

Moim zdaniem należało tu docenić wpływ Alexa, który jak na swój wiek był bardzo poważny. Gracie świata poza nim nie widziała, a żeby zwrócić na siebie uwagę takiego chłopaka, należało zachować się przyzwoicie, nie lubił bowiem, kiedy dziewczęta przeklinały bądź ubierały się prowokująco. Ku mojemu zdziwieniu, Gracie przestała kłać jak szewc i nosić wyzywające stroje. Nie powiem, że nie poprawiło mi to samopoczucia.

Moja młodsza córka najwyraźniej doszła do wniosku, że istnieje wiele sposobów zwrócenia na siebie uwagi; wyglądało na to, iż wreszcie pojęła wyższość zainteresowania pozytywnego nad negatywnym i ostatnio skupiała się na zdobywaniu szacunku otoczenia.

Gdybym miała wskazać przyczyny owej zmiany, moim zdaniem z pewnością wpłynął na to większy kontakt z dorosłymi. Po raz pierwszy słyszała, jak grupa ludzi - Louise, Mimi, Brad, O'Malley, a nawet Duane - jednomyślnie przyznaje mi rację. Przymusowe odosobnienie, jakiego doświadczyłyśmy w New Jersey, zawsze stawiało nas po przeciwnych stronach barykady. Jednym słowem żelazne wsparcie restauracyjnych przyjaciół wyszło nam zdecydowanie na dobre.

Z niecierpliwością czekałam na spotkanie z Lindsey i relację z życia uniwersyteckiego. Chciałam jej opowiedzieć o postępach Gracie, miałam też nadzieję, że

wystarczy nam czasu na wyprawę do akademika. Kiedy samolot podchodził do lądowania, myślałam już tylko o niej. Dochodziła północ, w dole mrugały światła wielkiego miasta. Mount Pleasant zdawało się oddalone o tysiące lat świetlnych.

Wynajęłam samochód i pojechałam Garden State Parkway, a następnie Bloomfield Avenue w kierunku Park Street. Podpierałam się nosem ze zmęczenia. Nie mogłam się doczekać, kiedy wpelzną do swego starego łóżka, ale najpierw musiałam pogadać z moją dziewczynką. Zobaczyłam, że w domu palą się wszystkie światła. Zaraz wbiegnę po schodach i ją uściskam.

Musiała wyczekiwać przy oknie w salonie, gdyż wyskoczyła z domu, gdy tylko znalazłam się na podjeździe.

- Mamo!

Przefrunęła przez podwórko i rzuciła mi się na szyję. Oczywiście rozryczałam się jak niemądra.

- Kochanie! Boże, jak ja za tobą tęskniłam!

- Nie płacz, mamo! Dobrze się czujesz? Pokaż czoło.

- Dobrze, cieszę się, że cię widzę.

Odgarnęłam włosy. Blizna była widoczna nawet w półmroku. Próbowałam ją jakoś zatuszować, ale to niewiele pomagało.

- Rany, a to suka! Musisz mi opowiedzieć wszystko ze szczegółami!

- Suka, bez dwóch zdań. - Wygrzebałam z torebki chustkę i wydmuchałam nos. -

Czekaj, wezmę rzeczy i idziemy do środka. Jest okropnie późno.

Z chwilą gdy stanęłam w progu, ogarnęło mnie niezbite przekonanie, iż owo miejsce przestało być moim domem. Świadomość, że czuję się tu jak obca, przyprawiła mnie o gęsią skórkę. Zgodnie z zapowiedzią Gretchen wprowadziła pewne zmiany, lecz sztuczne kwiaty w połączeniu z brakiem czasopism oraz rodzinnych fotografii nadawały wnętrzu sterylny wygląd. Przestało mi się podobać. Nie mogłam się doczekać, aż tu posprzątam i ta część mojego życia odejdzie w przeszłość, tam, gdzie jej miejsce.

- Głodna? - spytała Lindsey.

- Nie bardzo.

- To dobrze, bo zostało tylko trochę pizzy i cola dietetyczna.

- W takim razie coś zjem. - Postawiłam bagaż w salonie. Przeszliśmy do kuchni, gdzie znowu poczułam się jak intruz. To już nie była moja kuchnia. Wzięłam kawałek pizzy, położyłam go na serwetce, po czym odkręciłam butelkę z colą i usiadłam przy stole.

- Czy ty też dziwnie się tu czujesz?

- No! Jest telewizor, ale wypowiedziałas umowę z kablówką, więc nie ma programów. Są telefony, ale kazałaś je wyłączyć, więc nie można do nikogo zadzwonić.

- Chwileczkę! Mam komórkę!

- Co proszę?

- Mimi dała mi swój telefon.

- Wszystko jasne. Kobiety Brelandów nie mają zacięcia do techniki.

- Czyżby? Zatem mam dla ciebie miłą wiadomość. Przemyślałam to sobie w samolocie. Zaraz po sprzedaniu domu kupię trzy telefony: dla ciebie, dla mnie i dla Gracie.

- Chyba sobie żartujesz.

- Nie, mówię o prezentach gwiazdkowych.

- Super! Będę mogła sobie wybrać?

- Będziesz mogła wybrać wszystkie trzy. Muszę tylko znaleźć korzystną taryfę na cały kraj. Aha, i jeszcze kupię wam laptopy.

- Mamo! Ty... szalejesz! Co ci się stało?

- Nic. Najwyższy czas, żebyśmy weszły w dwudziesty pierwszy wiek. Poza tym, jak będziemy miały laptopy, będę mogła do ciebie pisać z domu. A jak Gracie złapie gumę, będzie mogła do mnie zadzwonić. To wszystko ma ręce i nogi. No i wkrótce wpadnie nam trochę gotówki.

- Czy możemy porozmawiać o samochodzie?

- Wybacz, skarbie. Z tym zwróć się do ojca.

- Wyglądasz na zmęczoną - zauważyła Lindsey. - I masz jeszcze siniaki na policzkach.

Uniosłam rękę do twarzy. Dotyk nadal sprawiał mi ból.

- Jestem zmęczona. Chociaż to mało powiedziane.

- Wobec tego chodźmy spać. Pościeliłam ci łóżko. No, to rozumiem.

Rano poszliśmy na śniadanie do Montclair Grill i opchałyśmy się naleśnikami i kiełbaskami. Potem zrobiliśmy zakupy i wróciliśmy do domu. Czekало nas dużo pracy.

- Ty idź do kuchni, a ja zajmę się łazienkami - powiedziałam. - Wyrzuć wszystkie przyprawy, które leżą dłużej niż rok, a pozostałe rzeczy popakuj w pudełka. Oddamy je jadłodajni dla bezdomnych.

Przejrzałam na w pół opróżnione butelki szamponów i odżywek. Lindsey zabierze je do akademika. To samo zrobiłam z aspiryną i tamponami. Nagle zrozumiałam, dlaczego zawsze brakowało nam pieniędzy: dziewczęta przepuszczały wszystko w drogeriach!

Kiedy nadeszła pora kolacji, byliśmy skonane. Lindsey wyciągnęła się na starej sofie w salonie, a ja padłam na wielki, sfatygowany fotel. Przeszło mi przez myśl, że jeszcze za nim zatęsknię, pomimo rozchwianych poręczy i spłowiałej tapicerki.

- Robimy kolację? - spytałam w nadziei, że Lindsey nie ma ochoty na gotowanie.

- Nie. Nie czuję się na siłach.

- Zadzwońmy do Villa Victoria i zamówmy sałatkę z makaronem.

- Dobrze. Sama pojedę odebrać.

Rzuciłam jej komórkę Mimi. Nieważne, że ubezpieczenie na wypożyczony samochód obejmowało tylko mnie. Raz się żyje, nie?

Do niedzielnego wieczoru uporałyśmy się ze wszystkim. Opatrzyłam cenami sprzęty na sprzedaż i podzieliłam resztę na trzy części: drobiazgi, które mogły przydać się Lindsey, rzeczy do odesłania do Karoliny oraz te dla biednych. Nie zabierałam żadnych mebli ani pościeli, z wyjątkiem ukochanej kołdry, paru zimowych ubrań, płaszczy przeciwdeszczowych oraz kilku kurtek. Spakowałam kilka garnków i rondli, garść przyborów kuchennych, wszystkie przyzwoite noże oraz inne drobiazgi. Rękodzieła Lindsey i Gracie trafiły na osobną kupkę: postanowiłam zapakować je wraz z ozdobami świątecznymi.

Jadłyśmy sałatkę i rozmawiałyśmy o wszystkim naraz. Następnego ranka miałyśmy zrobić porządek z pudłami i pojechać kolejką do miasta.

- Nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoją współlokatorkę i zobaczę kampus - powiedziałam.

- Jest niesamowity. Mam na myśli kampus, nie mój pokój.

Kiedy zamykałyśmy na noc drzwi, przyszło mi do głowy, że Lindsey bardzo wydorosłała. Zapewniała mnie, że wszystko gra, a Fred i Patti zachowują się przyzwoicie. Z ulgą przyjęła wiadomość o przeobrażeniu Gracie. Na studiach nie było łatwo, ale lubiła wyzwania i ogólnie rzecz biorąc, wszystko przebiegało według planu.

Wzięła telefon Mimi, aby zadzwonić do swojej współlokatorki, i życzyłyśmy sobie dobrej nocy. Była prawie północ. Tuż przed zaśnięciem nie mogłam się nadziwić, jak szybko minęły ostatnie dni. Potem zapadłam w głęboki sen.

Znów śnił mi się tamten starszy mężczyzna. Poklepywał mnie po rękę, jak kiedyś Brad. „To ja posprzątałem w twoim biurze - powiedział. - Żebyś wiedziała, że istnieję naprawdę i że nad tobą czuwam”. Potem Lindsey wpadła do pokoju i zapaliła górne światło.

- Mamo! Obudź się! Dzwoni ciocia Mimi! Restauracja spalona, Gracie w szpitalu! Skoczyłam na równe nogi.

- Co? Mimi? To ja! Co się stało? Co z Gracie?

- Nic jej nie będzie. Ma złamaną kostkę, doznała wstrząśnienia mózgu oraz drobnych poparzeń i zadrapań, ale wyjdzie z tego. Jeszcze nie odzyskała przytomności, lekarze zapewniają, że nastąpi to lada chwila.

Serce tak mocno waliło mi w piersi, że byłam bliska zawału.

- Jadę do domu. Proszę, bądź przy niej, aż wrócę. Kto tam jest? Jak do tego doszło? Spojrzałam na zegarek. Dochodziła czwarta.

- Uspokój się, Linda! Nikomu nic nie grozi! Zresztą możesz już się ubrać, bo zarezerwowałam ci lot o wpół do szóstej. Wiedziałam, że będziesz chciała od razu wracać.

- Dziękuję.

- Restauracja była ubezpieczona. Sąsiednia również spłonęła. Brad mówi, że to wszystko kiepsko wygląda. Jeszcze tam nie byłam. Alex też trafił do szpitala, bo wyciągał Gracie z twojego biura i zatrzał się dymem. Podobno ktoś ze znajomych mu powiedział, że Jason Miller zamierzał przykleić na budynkach plakaty. Butaprenem!

- Czy ten człowiek zupełnie upadł na głowę?

- Przymknęli go! Jason w więzieniu?

- Boże, nie mogę w to uwierzyć. On chyba oszalał.

- Brad widział, jak go zabierali. Kiedy włączył się alarm przeciwpożarowy, firma ochroniarska zadzwoniła do Brada. Jednak Alex i Gracie na dźwięk syren wskoczyli na rowery i dotarli tam pierwsi. Oglądali film, podczas gdy ja spałam, za co możesz mnie ukamienować. Obudził mnie dopiero telefon Brada. Możesz mi wierzyć, że mało nie padłam trupem.

- Mimi, jak mogłaś przewidzieć, że coś takiego się wydarzy? Jasne, pozostawienie ich w ciemnym pokoju sam na sam z telewizorem nie było może najlepszym pomysłem, ale nikomu nie przyszłoby do głowy, że pognają do pożaru. Przestań się obwiniać. Jesteś pewna, że Gracie nic nie grozi?

- Tak. Nie odstąpię jej ani na krok.

- Po co ona polazła do biura?

- Żeby wyjąć z sejfów pieniądze. Bała się, że ktoś może je ukraść.

- Ta dziewczyna wpędzi mnie do grobu.

- Ta dziewczyna myślała, że robi coś bohaterskiego i szlachetnego. Bądź łaskawa wziąć to pod uwagę.

Rozdział dwudziesty drugi

Brad czeka

Chciałem, żeby wstało słońce. Kiedy to nastąpi, świat odzyska jasne barwy. Siedziałem przy łóżku Gracie razem z Mimi, Louise, Alexem i Robertem. Robert zadzwonił do O'Malleya, a Louise do Duane'a, aby im powiedzieć, co się stało. Obiecali, że przyjdą z samego rana. Poprosiłem, żeby najpierw zatelefonowali do informacji, bo może do tego czasu już nas tam nie będzie, jak Bóg da.

Alex wciąż odczuwał skutki zatrucia dymem, jednak lekarze twierdzili, że nic mu nie grozi. Chciałem, aby pojechał do domu i odpoczął, ale uparł się zostać przy Gracie. Nawet nie próbowałem z nim dyskutować.

Przed chwilą wyszedł neurolog; zapewnił, że Gracie również jest cała i zdrowa, lecz jakoś nie mogłem w to uwierzyć, zwłaszcza że nadal nie odzyskiwała przytomności. Jak można powiedzieć o nieprzytomnym człowieku, że jest cały i zdrowy?

Mimi ruszyła za neurologiem, chcąc zapytać po raz tysięczny, czy ten aby na pewno mówi prawdę i nic nie ukrywa. Świetna kobieta z tej Mimi.

- Pomyślałem o Gracie. Co za żywioł! Wiedziałem, że kocha taniec, i gryzłem się, czy złamana kostka nie zniweczy jej planów. Już ja dopilnuję, aby przeszła konieczną rehabilitację. Zastanawiałem się nieraz, jak by to było mieć córkę; Gracie, ze swą nieokiełznaną osobowością i rozumem stała się dla mnie kimś w rodzaju przybranego dziecka. Pokochałem tego dzieciaka, nie, tę młodą kobietę. Boże, co ja bym zrobił, gdyby umarła? I co by się stało z Lindą?

- O czym myślisz, Brad? - spytał Robert.

- Chciałbym, żeby Gracie się obudziła. I żeby już przyszedł dzień. Słońce zawsze budzi we mnie optymizm.

Przyjaźnie poklepał mnie po ramieniu.

- Jak coś takiego mogło się stać! - wykrzyknął. - Dosłownie wychodzę z siebie. Czy ktoś widział takiego wariata jak Miller? Ten człowiek jest nienormalny. Mam nadzieję, że wsadzą go na tysiąc lat. Osobiście tego dopilnuję.

- Trzymam cię za słowo - odparłem, ujmując Gracie za rękę.

- Obudź się, skarbie, dobrze? - Żadnej reakcji. - Szkoda, że nie ma tu Lindy.

- Niedługo przyjedzie - wtrąciła Louise. - Nie mogę przestać myśleć, co by było, gdyby straciła Gracie. Boże, niech ona wreszcie się obudzi. Niech się obudzi i coś powie.

- Przyniosę kawę... chcecie coś? - zapytał Robert.

- Ja poproszę czarną - powiedziałem.

- Ja też - dorzuciła Louise.

Alex tylko potrząsnął głową i dalej wpatrywał się w twarz Gracie. Przez kolejnych kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, pogrążeni w oczekiwaniu na jakąkolwiek zmianę.

- Wygląda, jakby spała - zauważył Alex.

- W pewnym sensie tak jest. Jestem z ciebie strasznie dumny, synu. Uratowałeś jej życie.

- Amen - uzupełniła Louise. - Jesteś prawdziwym bohaterem, Alex.

- Na moim miejscu każdy zrobiłby to samo - odrzekł. - Mówiłem, żeby tam nie szła, ale chciała za wszelką cenę wyjąć pieniądze z sejfu.

- Dzielna dziewczyna - powiedziałem. - Nie wiedziała, że jest ogniotrwała. Masz pojęcie, co by było, gdybyś jej stamtąd nie wyciągnął? Mielibyśmy powiedzieć Lindzie, że Gracie nie żyje? Chyba nigdy nie widziałem kobiety, która bardziej troszczyłaby się o swoje dzieci. Lindsey jest niesamowita! Niesamowita! Mądra, zaradna... Ale ta tutaj to żywe srebro; bardzo jestem ciekaw, co z niej wyrośnie. Gdyby zginęła w tym pożarze, Linda by tego nie przeżyła. - I dodałem po namyśle: - Nie rozumiesz, Alex. Ocaliłeś nie tylko Gracie, ale Linde, Lindsey i tak naprawdę nas wszystkich. Nigdy bym tego nie przeboleał. I wiecie co?

Drzwi otworzyły się z impetem i do sali wszedł Robert z kubkami na kartonowej tacy.

- Proszę - odezwał się, stawiając kawę na stoliku przy łóżku.

- Uważajcie, gorąca.

- Dzięki - odpowiedziałem, ale nie puściłem dłoni dziewczyny, żeby zdjąć pokrywkę i upić łyk. - Nie wyobrażam sobie świata bez Gracie. Byłby cholernie pusty.

- Istotnie - przyznał Robert. - Ale nie myśl już o tym. Niebezpieczeństwo minęło. Popatrzyłem na Louise, która nie spuszczała ze mnie wzroku.

- O co chodzi, Louise?

- Moim zdaniem sam pan nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo mu zależy na Lindzie i jej córkach.

- Nie rozumiem.

- Ona mówi, że jesteś zakochany, stary - oświadczył Robert. - Zakochałeś się w Lindzie i nawet o tym nie wiesz.

- Nie, on kocha je wszystkie - uściśliła Louise. - Powiem wam coś, panowie. Linda Breland to wojowniczką. Kocha z zaciętością, jaką widziałam tylko u siebie. Dlatego znalazłyśmy wspólny język. Jest lojalna aż do bólu i pracowita do przesady. Mówi to, co myśli, a ja zgadzam się niemal z każdym wypowiedzianym przez nią słowem.

- Ja też - dodałem.

- Dzielna kobieta - uzupełnił Robert.

- Kiedy spotyka się kogoś takiego, nie sposób go nie kochać. I tyle.

Wreszcie położyłem dłoń Gracie na kołdrze i wstałem. Zesztywniałem od długiego siedzenia i musiałem się przeciągnąć. Mimi wróciła do sali i zajęła moje miejsce, a ja sięgnąłem po kawę, po czym postanowiłem pójść się przewietrzyć.

- Co mówi lekarz? - zapytała Louise.

- Gracie bez zmian?

- Bez - odrzekłem. - No i co powiedział?

- Nic. Tyle lat nauki, a nie stać go na więcej niż: „idźcie odpocząć i wróćcie rano”.

Przede wszystkim już jest rano... prawie. Właściwie powtórzył to, co powiedział przy was. Że Gracie nic nie grozi i wkrótce odzyska świadomość.

- Za pięć minut jestem z powrotem - oznajmiłem.

Minąłem krótki korytarz, z którego drzwi otworzyły się automatycznie. Było około wpół do szóstej i na wschodzie rysowała się zapowiedź słońca. Wilgotne poranne powietrze stanowiło miłą odmianę po klimatyzacji. Odstawiłem kubek na niski murek i

potarłem ramiona, żeby się rozgrzać. Po przejściu kilku kroków w stronę parkingu uświadomiłem sobie ogrom własnego zmęczenia. Nie mogłem się doczekać przyjazdu Lindy; wiedziałem, że póki to nie nastąpi, nie odzyskam spokoju.

Dzisiejszej nocy nasze dzieci osiągnęły coś, na co my, dorośli, nigdy byśmy się nie odważyli. Zachodziłem w głowę, skąd oboje czerpali taką siłę. Ale nie musiałem się długo zastanawiać.

Sposób, w jaki Alex bez namysłu zrobił to, co należało zrobić, nasunął mi wspomnienie mojego ojca. Ktoś inny, może nawet Robert czy ja, najpierw oceniliby stopień ryzyka, a następnie uznał, że to zadanie dla zawodowca.

A Gracie? Cała Linda. Uśmiechnąłem się na myśl o nastoletniej Lindzie, która musiała dawać otoczeniu niezły wycisk. Przypomniałem sobie, jak na mnie napadła za porównanie młodych lasek z matkami. Walczyła jak lwica! Nie dbała o to, że mogę ją wylać; ba, gdybym jej nie przeprosił, sama by odeszła. Jezu, co za kobieta!

Albo Lindsey. Założę się, że nie była zachwycona koniecznością powrotu do college'u, podczas gdy tu działy się tak istotne rzeczy.

Najpierw napaść na Lindę, teraz wypadek Gracie. Zapytam Lindę, czy chce, żeby na następny weekend Lindsey przyjechała do domu. Na mój koszt, to nie problem. Są ze sobą zbyt mocno związane, aby w takich chwilach pozostawać osobno. Ewentualnie wezmę kamerę i jak tylko Gracie odzyska przytomność, nakręcę krótki film, po czym wyślę do Lindsey kurierem. Będzie mogła zobaczyć siostrę i posłuchać jej niewyparzonego języka. Doskonały pomysł. Tak właśnie zrobię.

Otworzyły się drzwi za moimi plecami i Robert wyszedł na zewnątrz.

- Hej, Robert, masz kamerę?

- Tak. Czemu pytasz?

Kiedy wyłuszczyłem mu swój plan, wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak bawi?

- Hm, Bradford. Czy twoja troska jest zwykłą troską pracodawcy? Opłacisz przelot jej córce. Nie, zaraz! Nagrasz kasetę, wyślesz kurierem, a potem opłacisz przelot.

Przejrzyj na oczy, człowieku!

- Chciałem tylko...

- Jasne! Jesteś niesamowity!

- Słucham?

- Pamiętasz historię o mężczyźnie ustawiającym leżaki na Titanicu?

- Tak. I co z tego?

- Człowieku, ty idziesz na dno! Cha, cha, cha! Toniesz!

- Tnę? Wiesz co? Ty i Louise doprowadzacie mnie czasami do białej gorączki.

- Mów, co chcesz. Nieważne. Jest, jak jest. - Ruszył w stronę samochodu, po czym przystanął. - Stanie się to, co ma się stać, wszystko w swoim czasie. Jadę się przespać, później przyjadę obejrzeć ten cały bajzel.

- Pozdrów Susan! - zawołałem. - Zadzwoń, jak wstaniesz.

- Dobrze. A ty zadzwoń, jak Gracie się obudzi.

Skinąłem głową i odprowadziwszy go wzrokiem, uznałem, że pora wracać do sali. Może Louise ma rację. Może naprawdę jestem zakochany, a to nie byle co. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek zależało mi tak na jakiejś kobiecie. Martwiłem się, jak Linda to zniesie, i odetchnę z ulgą, gdy sytuacja wróci do normy. Muszę w tym uczestniczyć, nie ma innej rady.

Linda stanowiła przeciwieństwo Loretty. Wobec Loretty nigdy nie żywiłem podobnych uczuć, wcale. Linda jest dobra. To takie utarte określenie, ale co jak co, na świecie przydałoby się więcej dobroci. No i na swój sposób była też bardzo ładna. Właściwie piękna. Na dodatek zabawna i bystra jak mało kto. Nie, naprawdę jest obłądna.

Bóg mi świadkiem, że rzeczywistość bez Lindy i jej córek jawiła mi się jako coś koszmarnego. Niepostrzeżenie wszystkie trzy stały się częścią mojego świata.

Bądźmy poważni. W końcu co ja wiedziałem o miłości? Raczej niewiele. Linda Breland znajdowała się na wyciągnięcie ręki, a dopiero teraz zrozumiałem, jak jestem nią oczarowany. Ciekawa rzecz. Kiedy głębiej się nad tym zastanowiłem, wspominając nasze rozmowy o garażu, dzieciach bądź restauracji, doszedłem do wniosku, że przekomarzaliśmy się z sobą jak stare dobre małżeństwo. A że jedna myśl prowadzi do następnej, siłą rzeczy zacząłem rozmyślać, jak by to było ją pocałować. Pewnie... chwileczkę. Jeżeli energia, z jaką Linda traktowała sprawy codzienne, przekładała się na łóżko, ta kobieta musiała być niesamowita! I na pewno jest!

Być może nadszedł czas na jakieś odważne posunięcie, na sprawdzenie, czym w gruncie rzeczy jest miłość. Dać się ponieść. Poczuć się Włochem, smakować życie i zakochać się, tak naprawdę. Byliśmy do siebie przywiązani. Darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem. Co jej powiem? Prawdę. Powiem jej, jak bardzo przeraził mnie widok pożaru, jak bałem się o życie dzieci i jak zdałem sobie sprawę, że nie chcę żyć bez niej ani bez Lindsey i Gracie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Tylko miłość

Lindsey obiecała pozamykać dom, zadzwonić do Gretchen z prośbą o rozdysponowanie wszystkich pudeł, no i wrócić do college'u. Wiedziałam, że mogę na nią liczyć, a i Gretchen też w miarę możliwości stanie na wysokości zadania.

Wracałam zupełnie nieprzygotowana. Czułam, że w moim gardle czai się krzyk. Nikt nie rozumiał, ile znaczyły dla mnie obie córki. Stanowiły przedłużenie kropli migotliwego światła, które trzymało mnie przy życiu i dawało nadzieję na przyszłość. Gdyby coś przytrafiło się jednej z nich, moje życie ległoby w gruzach.

Samolot włókł się niemiłosiernie. Modliłam się przez całą drogę. „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Mario”, cokolwiek przychodziło mi do głowy. Większość modlitw sprowadzała się do słów: „Boże, błagam Cię z całego serca”. Potem łaskawa opatrzność zesłała na mnie krótki sen, który pozwolił mi przetrwać resztę lotu.

Na lotnisku w Charlestonie panowało poranne zamieszanie. Zastanawiałam się w panice, czy wszyscy ludzie spieszą do swych bliskich z podobnych przyczyn jak ja. Nie, z pewnością nikt nie czuł tego samego. Serce tak bardzo ciążyło mi w piersi, a myśli w głowie, że doprawdy nie wiem, jakim cudem zdołałam stawiać jedną nogę przed drugą, aby iść naprzód. Paralizującą mnie siłę strachu równoważyło obezwładniające pragnienie, aby jak najszybciej znaleźć się przy moim dziecku. Wystarczyłby przypadkowy dotyk

przechodnia lub pytanie pracownika ochrony, a z moich ust popłynąłby potok słów. Powiedziałabym wszystko, jednym tchem, byle tylko uwolnić się od nieznośnego ciężaru.

Bez przeszkód opuściłam terminal; Louise czekała na mnie w hali przylotów. Widok jej twarzy sprawił mi bezbrzeżną ulgę. Sądziłam, że będę musiała złapać taksówkę, ale znacie Louise. Nie pozwoliłaby, aby przyjaciel wracał sam, zwłaszcza obciążony takim balastem trosk jak ja.

- Nic jej nie grozi, Linda - powiedziała. Tylko tyle.

Wybuchnęłam płaczem, ona tak samo. Mijający nas ludzie pomyśleli zapewne, że nie umiemy nad sobą panować albo oplakujemy utratę przyjaciela bądź członka rodziny. W istocie płakałyśmy ze strachu i bezsilności.

- Chodźmy. Szkoda czasu na moczenie tego taniego chodnika. W drodze do samochodu Louise zrelacjonowała mi sytuację.

- Gracie nadal jest nieprzytomna, ale niedługo się obudzi i w pełni odzyska zdrowie. Dzieci szybko dochodzą do siebie. Założyli jej maskę tlenową, aby dostarczyć czyste powietrze do płuc. Uprzedzam cię, żebyś się niepotrzebnie nie zdenerwowała. Podłączyli ją do kroplówki, ale to normalne. Ma usztywnioną kostkę i przez jakiś czas nie będzie mogła tańczyć.

- Moje biedactwo!

- Nic jej nie będzie. Lekarze powiedzieli, że wszystko się ładnie zrośnie. Dobrze, że nie próbowała iść. Alex znalazł ją nieprzytomną i wyniósł na zewnątrz. Coś musiało spaść i uderzyć ją w głowę. W nocy on też dostał tlen, ale teraz już siedzi przy łóżku Gracie razem z Bradem i Mimi. Bardzo się niepokoi. Tak jak wszyscy.

- Muszę tam iść i ją uściskać - powiedziałam.

- Zrobisz to za pięć minut. Dzwoniłam do mojego kościoła; nasze kółko modlitewne działa na pełnych obrotach.

- Dziękuję, Louise. Naprawdę. Bardzo ci dziękuję.

Zobaczyłam, że się uśmiecha; obie wyraziłyśmy w duchu nadzieję, że starania kółka modlitewnego nie spełzną na niczym. Potem umilkłyśmy, wymieniając tylko parę uwag na temat odwagi Alexa oraz zniszczenia sąsiedniego lokalu, po czym dałyśmy upust niedo-

wierzaniu i zgrozie wobec tego, co się stało. Człowiek nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w całej sprawie maczał palce sam diabeł.

- A któż inny mógłby skłonić Millera do takiego czynu? Kochana, to opętanie w najczystszej postaci!

- Święta racja, Louise.

- Wiesz co? Ludzie, których ze sobą ściągnął, nie wiedzieli, że przywiózł kanister benzyny. Widząc, że oblewa fundamenty, podobno próbowali go powstrzymać.

- Kompletny wariat.

- To samo napisali dziś rano w „Post and Courier”.

- Skąd taka błyskawiczna reakcja?

- Zbieg okoliczności. Bill Thompson, reporter zajmujący się zwykle innymi sprawami, zasiedział się do późna u znajomego i w drodze powrotnej do Charlestonu zobaczył pożar. Pojechał tam więc i był świadkiem całego zajścia.

- Czysty obłąd.

- Samo życie, nie?

- Tak jest. Samo życie.

Miałam wrażenie, że podróż z lotniska do szpitala East Cooper Community trwała wieczność.

Pobiegłam w stronę wejścia i na korytarzu zobaczyłam Brada. Przywołał mnie gestem, tak jakby to było konieczne; przeleciałam obok niego jak na skrzydłach i wpadłam do sali.

Mimi siedziała przy łóżku, zmywając z twarzy i rąk Gracie resztki sadzy i przemawiając do niej czułym tonem.

- Mama przyjechała, Gracie. Chcesz się przywitać?

Na widok mojej pięknej córki, nieprzytomnej, ubranej w szpitalną koszulę, musiałam przytrzymać się łóżka w obawie, że upadnę. Moja śliczna dziewczynka, sponiewierana i błądząca myślami nie wiadomo gdzie. Czy ona coś słyszy? Nie bacząc na Mimi, usiadłam na łóżku i pocałowałam Gracie w czoło.

- Jestem tutaj, kochanie. To ja, mama. Otwórz oczy, dobrze? Proszę, otwórz oczy! Powiedz mi, jak się czujesz. Wszystko będzie dobrze. Wyzdrowiejesz. Musisz

wyzdrowieć. - Łzy napłynęły mi do oczu i rozszlochałam się mimowolnie. Podniosłam jej rękę z wenflonem, ucałowałam i przytuliłam do policzka. Poczułam na ramieniu dłoń Brada; spojrzawszy na niego, zobaczyłam, że też płacze. Płakali również Alex i Mimi, no i oczywiście Louise.

- Powinienem był ją powstrzymać, pani Breland - wykrztusił Alex. - To wszystko moja wina. Tak strasznie mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć.

- Przestań, Alex - rzekłam stanowczo. - Uratowałeś jej życie! Czy nie rozumiesz, że gdyby nie ty, straciłabym córkę?

- Wiem, ale w ogóle nie powinna była tam się znaleźć.

- Postąpiłeś bardzo odważnie i wszyscy jesteśmy z ciebie dumni. I bardzo wdzięczni.

- Czy ja wiem? - odparł. - To nie powinno było się stać.

- Alex - wtrącił Brad - ktoś zawinił, jednak na pewno nie ty. Nie chcę nawet o tym słyszeć. Linda ma absolutną rację. To jej dziecko leży na tym łóżku, a skoro ona cię nie wini, sam też nie powinieneś tego robić.

- Tata ma rację - powiedziała Mimi.

- Amen - dorzuciła Louise.

Ktoś cicho zapukał do drzwi i chłopiec poszedł, aby otworzyć. Na progu stał O'Malley z gerberami w małym wazonie.

- Cześć - szepnął. - Jak ona się czuje?

- Chciałabym, żeby już się obudziła - odpowiedziałam i znów zaczęłam płakać.

Brad otoczył mnie ramieniem, a ja ukryłam twarz na jego piersi, wstrząsana szlochem.

Gładził mnie miarowo po plecach; czułam, że też płacze.

- O Boże - powiedział O'Malley. - Złamała nogę?

- Kostkę - odrzekła Mimi.

- Posłuchaj, Linda - zaczął Brad. - Zaraz po przyjeździe do szpitala zadzwoniłem po świetnego neurologa z Akademii Medycznej, żeby zbadał Gracie. Nazywa się Philip Ragone. Jest najlepszy na całym południowym wschodzie. Powiedział, że nic jej nie będzie. Zapewnił mnie, Mimi i Louise, że Gracie odzyska przytomność. Musimy uwierzyć, że wie, co mówi. Rozumiesz? Uspokój się, proszę.

- Tak bardzo się boję.

- Oczywiście. To zrozumiałe.

Drzwi ponownie się otworzyły i wszedł Duane z kawą i pudełkiem ciastek na tacy.

- No co, musimy jeść, nie? - powiedział, kładąc wszystko na stoliku. Pocałował mnie w policzek. - Los ostatnio was nie oszczędza, co? - Sięgnął do pudełka i wyjął ciastko. - Dalej, częstujcie się. - Podniósł ciastko pod nos Gracie. - Gracie, Gracie, Gracie, Doo-wayne przyniósł ci pączusia. Mniem, z polewą czekoladową. No, kwiatuszku! Duane zabierze cię na zakupy! Pojedziemy do nowego sklepu z ciuchami i kupisz sobie, co zechcesz! U Boba Ellisa jest wyprzedaż butów!

Powieki Gracie wyraźnie zadrżały.

- Patrzcie! - zawołał Duane.

Wszyscy wlepiliśmy w nią wzrok, po czym jeden przez drugiego zaczęliśmy wykrzykiwać jej imię.

- Gracie? Gracie? - Potrząsnęłam ją za ramię. - No już, obudź się, skarbie!

Duane okrążył łóżko i połaskotał piętę uniesionej nogi. Nie doczekawszy się reakcji, sięgnął pod kołdrę i przystąpił do łaskotania drugiej stopy.

- Może nie ma łaskotek - wyraziła przypuszczenie Louise, odpychając go na bok. Podeszła do łóżka z drugiej strony. - Gracie? - szepnęła jej do ucha. - To ja, Louise. Pora wstawać, kochanie. No już. Bądź grzeczną dziewczynką i otwórz oczka.

- Po co? - burknęła moja córka. - Dajcie człowiekowi pospać.

Przez pokój przetoczyła się fala radosnych okrzyków, modlitw dziękczynnych, a nawet braw. Obudziła się! Nie wiedzieliśmy, czemu to zawdzięczać: modlitwie, naszym głosom, obietnicy zakupów czy też pączkowi. Gdybym była na miejscu Gracie, na pewno skusiłaby mnie smakowita woń czekolady.

Później zawieźliśmy ją do domu, gdzie wkuśtykała po schodach wsparta na ramieniu Alexa. Posadziliśmy ją z podniesioną nogą na sofie, aby zmniejszyć obrzęk. Dostała do ręki dietetyczną colę ze słomką, pilota oraz ostatni numer magazynu „InStyle” kupiony w drodze ze szpitala, a my mogliśmy wreszcie skupić się na sprawach związanych z restauracją. Oczywiście planowaliśmy jak najszybciej ją odbudować. Rozmowa zesłała na ewentualnych wykonawców, a Duane i Louise zaczęli się wyklócać o

układ nowej kuchni. Mimi, która miała blade pojęcie o budownictwie i prowadzeniu biznesu, służyła wszystkim bezcennymi radami. Nawet Gracie wtrąciła swoje trzy grosze, postulując postawienie budynku nieco dalej od wody i stworzenie po obu stronach bezpiecznego systemu odprowadzania ścieków. Zważywszy na fakt, że mało nie straciła życia, mogła być pewna, iż jej słowa nie przejdą bez echa.

Zaniosłam torbę do sypialni i rzuciłam na łóżko. Brad towarzyszył mi jak cień.

- Chcesz obejrzeć pogorzelnisko?
- Nie wiem, czy powinnam ją zostawić...
- Bez obaw, Lupe już tu jedzie. Wszystkiego dopilnuje.
- Lupe? Nie ma mnie!
- Ładnie to tak? - zapytał z naganą w głosie.
- Rany, przecież żartuję!
- Widziałaś garaż?
- Nie! Wywieźli śmieci?
- Owszem. Chodź, pokażę ci.

Powiedziałam Mimi, Louise, Duane'owi i O'Malleyowi, że zaraz wracam i mogę przywieźć im kanapki.

- Czekaście, tylko wezmę coś do pisania!

Pomyślicie, że jedzenie zawsze stanowiło główną oś naszego życia, i chyba w gruncie rzeczy tak właśnie było.

Spisałam wszystkie życzenia. Były jednak tak zróżnicowane i skomplikowane, że oświadczyłam wreszcie:

- Jadę do Bessingera. Dostaniecie to, co przywiozę. Koniec pieśni.
- Och, szaszłyki! - zapiała Louise. - Wieki nie jadłam szaszłyków!
- Tylko bez cebuli! - uprzedziła Mimi.
- Z cebulą! Z cebulą! - dopominał się Duane.
- Pójdę po piwo - zaofiarował się O'Malley.
- Bud light! - zażądał Duane.
- Corona light! - powiedziała Mimi.
- Niech będą dwie - wtrąciła Louise, klepiąc ją po ramieniu.

- Heineken! - pisnęła Gracie. Kiedy wszyscy umilkli, wlepiając w nią oczy, dodała:
- Jezu, czy już nikt nie zna się na żartach?

Brad wypchnął mnie za drzwi.

- Niech ktoś zadzwoni do Lindsey, dobrze? - zawołałam przez ramię. - Pewnie się zamartwia.

- Nie jest na zajęciach? - spytała Mimi.

- Nie wiem. Po prostu wybierz swój numer. Zostawiłam twój telefon w New Jersey.

- O! Aha. No tak. Już po moim telefonie. Niech go sobie zatrzyma.

Zamknęłam drzwi i zeszłam za Bradem po schodach. Gdy otworzył drzwi do garażu, nie wierzyłam własnym oczom. Nie licząc jednego pudła, wewnątrz było puste i zamiecione do czysta. Wydawało się przeogromne.

- Co ty na to? - zapytał z uśmiechem.

- Jesteś nieoceniony. Jak ja ci się odwdzięczę?

- Coś wymyślę - odparł z tajemniczą miną.

- Bradzie Jackson, znam ten lisi uśmiech! - Czy ja śnię?

- Tak, to zdecydowanie lisi uśmiech, Lindo Breland.

- Co go spowodowało? - Zaczęłam się cofać, niepewna, czy oboje myślimy o tym samym.

- Co za różnica? - Brad zrobił krok w moim kierunku.

- Chcę znać twoje intencje!

- Wysprzątałem ci garaż. Moje intencje są ze wszech miar szlachetne.

- Co jest w tym pudle?

- Rzeczy Lowella. Nie zmieniaj tematu. I przestań się wiercić, przecież nic ci nie zrobię!

- Nie rozumiesz, Brad. Dobrze to ująłeś. NIC. Widziałam, jak potraktowałeś Amy.

Uklęklam i otworzyłam pudło. Następnie zamknęłam je i podniosłam, próbując uniknąć kontaktu z człowiekiem, o którym marzyłam właściwie od chwili jego poznania.

- A ja widziałem, jak potraktowała ciebie. Ona doprowadzała mnie do furii, ty doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- Taa, jasne. Osioł jesteś.

- Bynajmniej. Masz pojęcie, ile trwa odbudowa restauracji? Odstaw to cholerne pudło.

Karton wylądował z hukiem na ziemi.

- Pół roku? Rok? - Wzięłam głęboki oddech.

- W każdym razie długo. Masz jakieś plany?

- O co ci chodzi? - Przyparł mnie do ściany, odcinając drogę ucieczki.

- O to, co ze sobą zrobimy.

- Sugerujesz, że powinniśmy w tym czasie uciąć sobie romansik?

- Nie, sugeruję, że powinniśmy się pobrać. Daj spokój, Linda. Wszyscy wiedzą, że się kochamy, oprócz ciebie.

O mój Boże! Mało nie zemdlalam.

- Naprawdę? - Czułam, że zaczynam się pocić. A głupie serce wrywało się z piersi jak szalone.

- Tak.

- Nie rozumiesz, Brad. Ja się nie zakochuję. Ja wychowuję dzieci. Martwię się... w tym jestem najlepsza. W martwieniu się.

- Czym się martwisz?

- Nie wiem. Cóż, przyznaję, że pojawiła się zdawkowa, niewinna myśl...

Brad parsknął śmiechem.

- Zdawkowa? Niewinna? Co ty opowiadasz?

- Przestań! Jezus Maria, chcesz się ze mną ożenić? Ożenić? Nigdy nie przyniosłeś kwiatów, nie zabrałeś mnie do kina ani nawet nie pocałowałeś! Czy to nie obłąd?

- Mam wrażenie, jakbyśmy byli ze sobą od miesięcy. W myślach całowałem cię tysiące razy. W myślach przyniosłem ci tuziny róż...

- Gadanie!

- Wcale nie!

- Może chociaż zaczniemy od kwiatów? Ze śmiechem potrząsnął głową.

- Lindo Breland, mam zamiar wesoło zestarzeć się u twego boku. I kropka.

- Czy wolno spytać, co wpłynęło na tę decyzję?

- Niech będzie. Jak sądzę, zachodzisz w głowę, dlaczego ja, który nigdy nie pochwaliłem nawet twojej fryzury, ni stąd, ni zowąd wyskakuję z propozycją małżeństwa?

- Owszem. Ten mały szczegół nie daje mi spokoju.

- To się zaczęło po śmierci Loretty, kiedy zwróciłem uwagę na dwie interesujące sprawy. Przede wszystkim, podobnie jak Alex, uświadomiłem sobie kruchość życia. Powinniśmy grzebać starców, a nie rówieśników, prawda? Po drugie zaś nie czułem ani odrobiny żalu, co bardzo mnie zastanowiło.

- I do jakiego wniosku doszedłeś?

- Takiego, że nigdy jej nie kochałem. Pewnie dalej tkwiłbym w tym żalonym i pozbawionym uczuć małżeństwie, lecz los wymusił na mnie zrobienie czegoś innego. Pamiętasz, jak wydaliśmy przyjęcie dla Lindsey? Obserwowałem cię, widziałem twoje wzruszenie i zrozumiałem, że nikt nigdy nie dbał o mnie w ten sposób. No, może oprócz matki. Zrozumiałem też, że twoja miłość do Lindsey przewyższa troskę o własne dobro. Potem zostałaś napadnięta i powiedziałaś: „Rany, dobrze, że nie uderzyła mnie w skroń”. Wiedziałem, że masz rację. Parę centymetrów wyżej, a z pewnością pękłoby kilka serc. Afera z pożarem wystraszyła mnie nie na żarty. Zrozumiałem, że naprawdę kocham Gracie i że świat bez niej byłby nie do zniesienia dla ciebie, a tym samym i dla mnie. Myślałem o twojej miłości do córek i siostry, o tym, jak wzajemnie się o siebie troszczycie; podobnie było w mojej rodzinie, kiedy byłem dzieckiem. I dotarło do mnie, że to wychodzi od ciebie. Wszystko wychodzi od ciebie. Postanowiłaś opuścić Jersey i przekreślić blisko dwadzieścia lat życia po to, aby poprawić swoje relacje z dziewczętami. I zapragnąłem uszczknąć odrobinę tej miłości dla siebie. Nie chodzi tylko o to, że mi się podobasz... a propos, wspomniałem już, że mi się podobasz? Masz po prostu piękną duszę. To wszystko. Tak mi się wydaje.

- Aha - odpowiedziałam. - No cóż, wobec tego...

Wówczas Brad uniósł mój podbródek i pocałował mnie w usta. Boże, jak ten facet umiał całować. Wtedy też odkryłam, że całowanie się przypomina jazdę na rowerze: pomimo braku wprawy człowiek nigdy nie zapomni, jak to się robi.

- Chodź - powiedział. - Pokażę ci zgliszca.

- Dobrze - odparłam lekko oszołomiona.

Trzymając się za ręce, wyszliśmy z garażu.

Lupe wjeżdżała właśnie na podwórko, Louise stała na szczycie schodów. Lupe wskazała na nas, zasłaniając usta ręką. Kiedy spojrzeliśmy na Louise, uśmiechała się szeroko.

- Podoba mi się to, co widzę - powiedziała, grożąc nam palcem. - Oj, podoba.

Brad otworzył przede mną drzwiczki do samochodu i wsiadłam do środka. Zamknął drzwi; kiedy obchodził auto, obserwowałam go zachłannie. Był taki przystojny, że jego twarz powinna widnieć na monetach. Jeszcze chętniej zaś ujrzałabym ją na własnej poduszce.

Usiadł na fotelu kierowcy i zwrócił się w moją stronę.

- No i? - powiedział.

- Co?

- Wyjdiesz za mnie? - Spojrzał wyczekująco.

- Jasne. Czemu nie?

- Tak po prostu?

- Tak po prostu.

- Zatem postanowione.

Kiedy wycofywał samochód, wybuchnęliśmy śmiechem. Dosłownie nie mogliśmy przestać. Na przemian powtarzaliśmy sobie, że jesteśmy stuknięci i wspaniali.

Nieobliczalni i zbyt konserwatywni. Następnie znów przykrył ręką moją dłoń i delikatnie ją uścisnął. I tym drobnym gestem trafił w sedno.

- Kochałaś Freda?

- Tak mi się zdawało, kiedy za niego wychodziłam. A czy ty kochałaś Lorette?

- Chyba uważałem, że dokonuję słusznego wyboru. Ale nigdy nie czułem do niej tego, co do ciebie.

- Ja też nie.

Zadzwonił telefon komórkowy Brada. Odebrał, po czym dał mi znak, że to Robert.

- Pewnie, właśnie tam jadę.

Dojazd do Shem Creek zabrał nam dokładnie cztery minuty. Nie wierzyłam własnym oczom. Nadal oszołomiona po wypadku Gracie i oświadczeniach Brada, na

widok pogorzelniska mało nie zemdlałam. W powietrzu unosił się potworny smród; wiedziałam, że musimy jak najszybciej uprzątnąć teren, gdyż ucierpią na tym interesy pobliskich lokali. Część budynku wprawdzie jeszcze stała, lecz byłe podmuch wiatru groził zawaleniem całej konstrukcji. Nie mieściło mi się w głowie, że działania jednego szaleńca mogły w krótkim czasie spowodować taką katastrofę.

- To wprost niewiarygodne.

Zobaczyłam, że Brad kombinuje, jak tu się dostać do środka.

- Co ty wyprawiasz?

- W sejfie musi być jakieś dziesięć tysięcy. Chciałbym je wyjąć...

- Nic z tych rzeczy! Będziesz łaskaw poprosić o pomoc fachowców. Nie uważasz, że mieliśmy dosyć wrażeń? Już widzę te nagłówki! „Bezsensowna śmierć w pogoni za dziesięcioma tysiącami dolarów!”. O nie. Wykluczone.

- Masz rację. Oczywiście, że masz rację. Co też mi przyszło do głowy.

- Czasami naprawdę mnie przerażasz.

- Tylko poczekaj do zmroku.

- O przepraszam, myślałam, że zaczniemy od kwiatów.

- Racja! Zadzwoń do Belvy!

Podjechał Robert. Wsiadł z samochodu i Zdjąwszy okulary, popatrzył zmrużonymi oczami na szczątki restauracji.

- Buda i tak nadawała się do remontu - stwierdził. - Cześć, Linda, cieszę się, że wróciłaś. Przykra sprawa z tym wypadkiem Gracie. Jak ona się czuje?

- Pomijając złamaną kostkę, wstrząs mózgu i zadrapania, nie jest źle - odpowiedziałam. - Grunt, że odzyskała przytomność.

- Tak, słyszałem od Brada. Byłem w nocy u niej w szpitalu.

- Wiem. Jestem ci bardzo wdzięczna. Leży teraz w domu i odpoczywa.

Robert potrząsnął głową.

- Cóż, jak to mawiał mój dziadek, mogło być gorzej, nie? Prawda? Na szczęście nie jest. Susan wysłała kwiaty. Dajcie znać, czy dotarły.

- Dzięki - powiedziałam. - Gracie chyba nigdy dotąd nie dostała kwiatów.

- Bez obaw, jeszcze nadrobi zaległości - zapewnił Brad. - Robert, w sejfie są pieniądze, ale nie możemy się do nich dostać.

- Ile?

- Linda twierdzi, że niewiele w porównaniu z ryzykiem, jakie łączy się z próbą ich wydobycia.

- Linda? Od tygodni powtarzam Bradowi, żeby za nic nie pozwolił ci odejść! Jesteś najmądrzejszą kobietą, jaką poznałem od lat!

- Wymyśliłem niezawodny sposób, Robert. Właśnie poprosiłem Lindę o rękę!

- Co? CO? O rękę? Nabierasz mnie! To wspaniale! Czekać, muszę zadzwonić do Susan! Ty draniu! - Klepnął Brada w plecy, a następnie uściśnął mu dłoń. - Chodź, Linda, niechże cię ucałuję! Rany, to niesamowite! - Wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do żony.

- Cześć, mówi Robert. Zastałem Susan? Jasne, poczekam. - Zasłonił ręką słuchawkę. - Obłąd, nie? Kazali mi czekać. Nie wiedzą, że każę sobie płacić za godzinę?

Parsknęłam śmiechem i spojrzałam na Brada. Stał w słońcu, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Nie miałem pojęcia, że się spotykacie!

- Tak, właśnie się spotykamy - odparł Brad.

- Właśnie zaczęliśmy! - dodałam.

- Lepiej późno niż wcale. - Robert ponownie przemówił do słuchawki. - Dzwon do Cypress albo Peninsula Grill i zamów na wieczór stolik dla czterech osób! Brad i Lindę biorą ślub! Tak, ślub! Co? Kolacja z Rileyem? A co tam, zadzwon do jego sekretarki. Przecież można przełożyć! Dobrze. Oddzwon, jak to załatwisz. - Wyłączył telefon i popatrzył na nas. - Niewiarygodne. Wiedźcie, że najszcześniejsze lata mojego życia to te spędzone z Susan. Wam życzę tego samego.

- Dzięki, Robert - odrzekł Brad i ponownie uściśnęli sobie ręce. Wyciągnęłam dłoń i Robert odskoczył.

- Co to, to nie! Nie trzeba! Może lepiej się uściskamy?

- Boże, zawsze o tym zapominam! Wymieniliśmy przyjacielski uścisk.

- Warto mieć chociaż jedną wadę, panno Lindo - oznajmił Robert. - Inaczej nikt nie uwierzy, że jesteś człowiekiem.

- Panno Lindo? - powtórzyłam.

- Skoro ty i Brad jesteście zaręczeni, co nie wymaga wyjaśnień i nie budzi absolutnie żadnych zastrzeżeń, przestałaś być wolna, a ja... ja... do licha. Zresztą nieważne. „Panno Lindo” ładnie brzmi.

- Kupmy coś do jedzenia - zaproponował Brad. - Potem pojedziemy do domu, nakarmimy wojsko i załatwimy parę telefonów. Trzeba tu posprzątać, bo nasi sąsiedzi będą niepokieszeni.

- Brzmi nieźle - uznał Robert. - Pojadę za wami.

- Lepiej z nami - odparł Brad.

- Cholera! - zawołał Robert. - Wiedziałem, że miałem ci coś jeszcze powiedzieć!

Ale najpierw zamieszanie z zaręczynami, potem ten okropny widok...

- O co chodzi? - spytał Brad.

- Kiedy tu jechałem, zadzwonił do mnie pełnomocnik Loretty.

Wygląda na to, że w ramach prezentu na trzydzieste urodziny Theo przepisał na nią dom.

- Nigdy mi o tym nie wspominała.

- Nie zostawiła testamentu. Dom należy do ciebie, łącznie ze wszystkim, co się w nim znajduje.

- Boże miłosierny! - wyjąkał Brad. Zbladł jak ściana. - Czy wiesz, ile może być wart?

- Owszem. Zadzwoniłem do kuzynki, która jest tam pośrednikiem. Niedawno sprzedała w okolicy dom podobny do twojego. Trzy przecinek dwa.

- Trzy przecinek dwa co? - spytał drżącym głosem Brad.

- Miliony, kolego! Trzy miliony dwieście tysięcy dolarów! - Na widok oszołomionej twarzy przyjaciela Robert wybuchnął śmiechem. - Po lunchu idź kupić Lindzie pierścionek z brylantem. Mam rację, Linda? Mam rację czy nie? Trzeba to uczcić! Ale później. Po lunchu. Dokąd jedziemy?

- Do Bessingera - odpowiedziałam.

- Do Bessingera? Chyba sobie żartujesz! Cóż, wobec tego zjem kanapkę z kurczakiem.

- Odkąd to jesteś zwolennikiem koszernej jedzenia, Robert?

- Od chwili kiedy dziś rano wszedłem na wagę!

Cha, cha, cha! Razem ruszyliśmy w stronę samochodu. Twarz Brada jeszcze nie odzyskała normalnego zabarwienia.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam.

- Trzy dwieście?

- Głowa do góry. Może uda się wyciągnąć trzy trzysta.

Miałam co świętować i gdyby nie ogromne zmęczenie, na pewno uczyniłabym to z radością. Kiedy pierwsza euforia minęła, postanowiliśmy poinformować bliskich o naszych zaręczynach i spokojnie poczekać na rozwój sytuacji. Po odbudowie restauracji, o ile zauroczenie nie minie, potwierdzimy oficjalnie nasz związek.

Mimo to wiedziałam, że wszystko dzieje się naprawdę; czułam w tym moc sprawczą potężnej istoty, która powołała nas do istnienia. No bo jak inaczej wytłumaczyć wzloty i upadki mojego życia? Ani Brad, ani nowe miejsce, w którym się znalazłam, nie budzili najmniejszych zastrzeżeń. Wydarzenia, które doprowadziły mnie do tego punktu, stanowiły zaledwie pierwszy krok, a reszta potoczyła się w tak zawrotnym tempie, że na próżno doszukiwać by się w tym przypadkowości.

Po fantastycznej kolacji w Peninsula Grill oraz kolejnej butelce szampana z Mimi i Louise, które wspólnie doglądały Gracie, otuliłam moją córkę, raz po raz całując ją w czoło. Następnie usiadłam obok niej na łóżku.

- Ale mi napędziłaś strachu.

- Wiem. Przepraszam, mamó. Już nigdy nie zrobię nic tak głupiego.

- Wierzę.

- Mamó? Naprawdę wyjdiesz za pana Jacksona?

Wydałam westchnienie kobiety, która chciałaby zaufać mężczyźnie.

- Prawdę mówiąc, to nie wiem, Gracie. Nie wiem, czy oświadczył mi się z radości, że ty i Alex wyszliście cało z pożaru, czy może utrata restauracji przygnębiła go tak bardzo, że na gwałt potrzebuje czyjś wsparcia. Naprawdę nie wiem. Czas pokaże. Jak przyniesie brylant, chyba będziemy mogli uznać sprawę za oficjalną.

- A może on po prostu cię kocha, mamó. Myślałaś o tym?

- Tak, dużo o tym myślę.

- A czy ty go kochasz? To znaczy, naprawdę jesteś zakochana? Miękkie kolana i te rzeczy?

- Tak, chyba tak. Zobaczmy. Prześpij się teraz, dobrze? Zostawię uchylone drzwi, jakbyś czegoś potrzebowała, to krzycz.

- Dobrze. Kocham cię.

- Ja ciebie też, słońce. Przyniosę coś z garażu i zaraz wracam.

Poszłam po pudło. Czułam, że muszę sprawdzić, co jest w środku. Poza tym jego widok pomoże mi pamiętać, bym zadzwoniła do Epsteinów. Otworzywszy drzwi, od razu je zobaczyłam: leżało w tym samym miejscu, gdzie wcześniej je odstawiłam. Oparłam je na biodrze, zamknęłam drzwi, a następnie przystanąłam. Wokół było tak cicho, powietrze pachniało tak cudownie. Postawiłam pudło na schodach i przeszłam na skraj podwórza, skąd rozciągał się widok na port. Stałam tam kilka minut, spoglądając na widoczne w oddali wody zatoki. Nade mną migotały tysiące gwiazd, świat powoli układał się do snu. Byłam zmęczona, jakbym przebiegła maraton; uświadomiłam sobie, że przecież spałam zaledwie parę godzin, a mój dzień rozpoczął się w środku nocy. Mimo to nie ruszałam się z miejsca, nasłuchując plusku fal. Szkoda, że nie ma tu przystani. Może jeśli zostanę tu dłużej, sama ją wybuduję. Przez chwilę podziwiałam jeszcze księżycową poświatę oblewającą ziemię i wreszcie uznałam, że czas na zasłużony odpoczynek.

Zamknęłam drzwi i postawiłam pudło na szafce. Odchyliwszy wieko, zobaczyłam, że w środku znajdują się rodzinne albumy. Z ciekawości otworzyłam jeden z nich i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Wszystkie zdjęcia przedstawiały mężczyznę z moich snów, uwiecznionego na poszczególnych etapach życia. Gdybym miała jeszcze jakieś łyżki bądź zapas energii, aby je przywołać, chyba wypłakałabym rzekę. Dał mi znak poprzez granicę dzielącą życie i śmierć, abym wiedziała, że tam jest, troszczy się o nas i czuwa nad naszym bezpieczeństwem.

Poszłam spać; było za późno, aby zadzwonić do Mimi i opowiedzieć jej o moim odkryciu. Ona mi uwierzy. Tak samo Louise. Słuchały takich historii od dziecka.

Zastanawiałam się, czy podobne rzeczy kiedykolwiek mogłyby się wydarzyć w New Jersey. Nie, nic takiego nie obilo mi się o uszy. Tutaj jednak działa się bez przerwy. Magia Lowcountry. Niebo zawsze znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Epilog

Wszyscy wiemy, że rozmowy o pieniądzach są wulgarne, lecz abyście mogli zyskać szersze pojęcie o bieżących wydarzeniach, musimy na chwilę wkroczyć na ów śliski temat. Pamiętacie Mimi? Mistrzynią kruchych ciasteczek i królową placka z Old Village w Mount Pleasant? Energiczną czterdziestolatkę z platynową grzywką, elegantkę, która nigdy nie pokazywała się bez różowej szminki? Spryciuła! Od dwunastu lat co miesiąc odkładała dziesięć procent z alimentów i kupowała akcje Microsoftu. Cały świat wie, jak zyskiwały na wartości. Obecnie Mimi może sobie pozwolić na rajstopy Donny Karan bez rabatu. Nie, żeby kiedykolwiek musiała zaciskać pasa, ale kto by pomyślał, że uciuła taką sumkę?

- Odkładam na starość - tłumaczyła. - Myślę jednak, że chciałabym mieć własną cukiernię. Udostępnilibyście mi trzydzieści metrów kwadratowych w nowej restauracji? Nawet dwadzieścia, jeśli Duane pozwoli mi korzystać z piecyków. Moglibyśmy tam również zorganizować punkt sprzedaży na wynos i rozkręcić usługi cateringowe.

Był to wspaniały pomysł. Coraz więcej osób nie miało ochoty czekać na stolik, a sprzedaż na wynos zawsze u nas odrobinę szwankowała. Jeśli klienci nie wiedzieli, że istnieje taka możliwość, zazwyczaj krępowali się o to pytać.

- Chcesz zainwestować? - spytał Brad. - Czy to właśnie masz na myśli?

- Owszem - odrzekła Mimi. - Jeżeli mnie przyjmiesz do spółki. Myślałam też, że jeśli obok mojego wejścia wybudujemy schody, mogłabym wysyłać klientów na taras, żeby na przykład czegoś się napili. Zainstalowalibyśmy brzęczyki; widywałam je w innych lokalach. W ten sposób nie musieliby czekać w cukierni i nie pętałiby mi się pod nosem.

- Moim zdaniem to wyborny pomysł, Mimi. Z rozkoszą przyjmę twój udział! Zadzwoń do Roberta, aby to przeanalizował od strony formalnej. Czy ktoś miał jakąś wiadomość od O'Malleya?

Duane oznajmił, że nasz barman jest w tej chwili u swojej dziewczyny. Podobno rozmawiał z Fazą oraz kilkorgiem z pozostałych o powrocie do restauracji po jej otwarciu, które miało nastąpić pierwszego lutego.

- Faza owszem - powiedziałam. - Ale reszta? To przypomina tresowanie kotów!

- Racja! - poparła mnie Louise. - Tresowanie kotów? Podoba mi się!

Do powyższej rozmowy doszło podczas uroczystego obiadu w Święto Dziękczynienia, który odbył się u Mimi z udziałem niemal wszystkich zainteresowanych. Dzień był piękny; pomimo chłodu niebo jaśniało czystym błękitem i wszystko wydawało się skąpane w słońcu i miłej atmosferze.

Nie muszę mówić, że gotował Duane, lecz zapewne rozbawi was informacja, że zarówno Louise, jak i teraz również Mimi udzielały mu rad w zakresie wyrafinowanej sztuki przyrządzania indyka, godnych okładki magazynu „Kuchnia”. „Zabezpiecz końce skrzydeł folią aluminiową!”, „Obróć ptaka!”, „Polej go tłuszczem!”. Mimi upiekła ciasta, rolady i herbatniki. Louise zrobiła farsz oraz gulasz z ostryg. A biedny Duane cierpiał męki.

Gracie i Alex, przyjaciele na śmierć i życie, mieli nowe sympatie. Gracie umawiała się z kolegą Alexa, Alex zaś chodził (cokolwiek to oznaczało) z uczennicą drugiej klasy. Dość rzec, że spotykali się teraz we czwórkę. Gracie zyskała to, co pół roku wcześniej znajdowało się w sferze marzeń, a mianowicie normalną egzystencję nastolatki, wypełnioną pogaduszkami z grupką rozchichotanych przyjaciółek oraz samochodowymi wypadami za miasto. Uznawszy, że nigdy nie sprosta wymaganiom tańca nowoczesnego, postanowiła ćwiczyć hip-hop. I choć jej kostka dawno się zrosła, dalej chodziła na fizjoterapię, aby ją wzmocnić.

- Grunt, że mogę tańczyć - mówiła. - Reszta się nie liczy. Zresztą hip-hop jest fajniejszy.

Jeśli częstotliwość, z jaką składała owe deklaracje, mogła świadczyć o prawdomówności, należało jej wierzyć na słowo.

Trwała budowa restauracji; projekt uwzględniał rozmaite kwestie ekologiczne. Nowy budynek miał być równie solidny (grunt to tradycja), lecz teraz dochodziła jeszcze cukiernia Mimi oraz najprawdopodobniej spiralne schody na taras.

Podczas świątecznego obiadu Gracie wystąpiła z propozycją zawieszenia tablicy informacyjnej z wycinkami prasowymi na temat aktualnego stanu wód Shem Creek oraz ewentualnymi postulatami działań na rzecz ochrony środowiska. Obiecała zająć się aranżacją tej gazetki, a nim doszliśmy do placka orzechowego, Brad zgodził się jej za to płacić. Jeśli nie byliśmy w stanie sami powstrzymać deweloperów, mogliśmy przynajmniej propagować wiedzę ekologiczną wśród okolicznych mieszkańców. Oczywiście informacja o Jasonie Millerze, w którego sprawie wyrok miał zapaść w drugim tygodniu stycznia, kilkakrotnie obiegnęła cały stół.

Lindsey oczywiście przyjechała do domu na święta i uraczyła nas tak barwnymi opowieściami z życia w Greenwich Village, że obiecaliśmy niebawem ją odwiedzić. Pomyślałam, że cudownie będzie zabrać Brada i Alexa do Rockefeller Center, pokazać im choinkę, obejrzeć razem wystawy. Może pójdziemy do teatru albo obejrzymy świąteczne show w Radio City Music Hall? Wiedziałam, że Rockettes na pewno przypadną im obu do gustu. Te nogi! Przypominały ludzką stonogę.

Tak więc dzień po Święcie Dziękczynienia zrobiłam rezerwację w Grand Hyatt dla wszystkich, to znaczy dla siebie, Brada, Gracie i Alexa, i znalazłam dobre połączenie przez Winston-Salem. I pierwszego dnia ferii wsiedliśmy w samolot do Nowego Jorku.

Gracie i ja miałyśmy spać w jednym, Alex i Brad w sąsiednim pokoju. No tak, już słyszę, jak mówicie, że ze mnie stara hipokrytka, i że nikogo by nie obchodziło, gdybym spała w pokoju z Bradem. Doszłam jednak do wniosku, iż są po temu poważne przeszkody, chociażby obecność dwojga nastolatków, którzy co? Mieliby spać razem? Nigdy! Zapewne do niczego by nie doszło, jednak uznałam, że lepiej nie kusić losu. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Wyobraźcie sobie, że Brad zadzwonił do Hyatta i zmienił rezerwację na apartament z dwiema sypialniami i salonem. Uznałam to za zbyt dużą rozrzutność, ale był innego zdania.

- A jeżeli Lindsey zechce u nas przenocować? - powiedział. - Dodatkowy pokój będzie jak znalazł, najdroższa.

- To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, kochanie - odrzekłam, cmokając go w policzek.

Owszem, mówiliśmy do siebie „najdroższa” i „kochanie”. Słyszając to, Alex i Gracie szturchali się łokciami. Nie miałam im tego za złe, lecz prawdę powiedziawszy, z każdym pieszczotliwym zwrotem stawałam się coraz bardziej zakochana. Po raz pierwszy byłam czyjaś „najdroższą”!

Nadal nie miałam pierścionka, co siłą rzeczy budziło moją niepewność, zgoła idiotyczną, zważywszy na fakt, że Brad na każdym kroku dostarczał mi dowodów prawdziwości swych uczuć. Na marginesie muszę przyznać, że idea bycia z jedną osobą do końca życia zapierała mi dech w piersi. Lecz bez względu na moje rozterki kochałam Brada z żarliwością, jakiej wcześniej nie znałam. Nie przypuszczałam, że w ogóle jestem zdolna do takiej miłości.

Kiedy przyjechaliśmy do hotelu, miałam lekki mętlik w głowie. Nasz apartament okazał się cudowny. W środkowym pokoju znajdowały się cztery fotele, wielka sofa, która po rozłożeniu zamieniała się w szerokie łóżko, stół z ośmioma krzesłami i barek. Prócz tego były tam również dodatkowa łazienka oraz sprzęt audio-wideo. Oczywiście młodzież od razu chciała zamówić gry telewizyjne, ale postawiliśmy stanowcze weto. Nie po to jechaliśmy taki kawał do Nowego Jorku, żeby teraz gnili przed ekranem, karmieni bezwartościową papką multimedialną, która zamieni ich mózgi w sieczkę. Wykluczone. Nie ważcie się nawet zdejmować kurtek!

Jako najlepiej zorientowana w terenie przyjąłam rolę samozwańczego przewodnika. Planowałam zabrać ich taksówką do FAO Schwarz, a następnie przejść kilka przecznic do choinki, oglądając po drodze wystawy. Dalej moglibyśmy zajrzeć do katedry Świętego Patryka i zapalić świeczkę, po czym kupić pomarańczowe krążki w czekoladzie u Teuschera w Rockefeller Center. Na koniec wymyśliłam przejażdżkę metrem; po zabraniu Lindsey z akademika moglibyśmy zjeść kolację w Village.

Ale mój plan spalił na panewce.

- Dziewczyny, może zajrzycie sobie tutaj - zaproponował Brad, kiedy wysiedliśmy przed domem towarowym Bergdorf Goodman. - Spotkamy się za godzinę.

Uznałam, że to świetny pomysł. Mogłybyśmy pobiec szybko do działu męskiego i poszukać niebanalnego prezentu gwiazdkowego dla Brada. Miałam już dla niego piękny sweter, kupiony w Berlin's w Charlestonie oraz wodę kolońską od Saksa, ale marzyłam o nietypowym podarunku. Takim, jakiego próżno by szukać w Karolinie.

Ruszyliśmy ulicą, lawirując wśród nieprawdopodobnych tłumów amatorów świątecznych zakupów.

- Już zapomniałam, ilu tu mieszka ludzi! Prawie brakuje miejsca na chodniku!

- To nie nowojorczyki! - odrzekłam. - Pewnie przyjechali z Iowa. Nikt o zdrowych zmysłach nie odwiedza Nowego Jorku przed Gwiazdką!

- No to co my tu, u diabła, robimy?

- Widać twoja mama czasem odchodzi od zmysłów - skwitowałam ze śmiechem. -
Idziemy!

Obeszliśmy dział koszul i krawatów. Po upływie pół godziny zrozumiałam, że nie znajdę tu nic szczególnego. Gdyby Brad pracował na Wall Street, mogłabym mu kupić krawat od Hermesa. Wiedliśmy jednak tak zwyczajne życie, że postanowiłam raz jeszcze poszukać czegoś po powrocie do domu. Może po prostu sprawię mu kajak.

- Chodźmy stąd - powiedziałam.

- Chwała Bogu! - odrzekła Gracie. - Taki tu ścisk, że lada moment rzuciłabym się komuś do gardła.

- Tak, wychodzimy.

Na rogu Pięćdziesiątej i Pięćdziesiątej Siódmej kupiłyśmy gorące precle i zaczęłyśmy na chłopaków. Ściemniało się, był przenikliwy ziąb. Mimo stosunkowo wczesnej pory wydawało się, że to już środek nocy.

Brad i Alex wyrosli przed nami jak spod ziemi. Nawet nie widziałyśmy, że nadchodzą. Mieli czerwone nosy, my pewnie też.

- Złapmy taksówkę - zaproponował Brad.

- Myślałam, że pójdziemy do katedry, a potem obejrzymy choinkę - zaproponowałam.

- Nie. Dzwoniłem do Lindsey, chce iść z nami. Pojedziemy po nią, zobaczymy choinkę, a potem zjemy kolację na Trzeciej Alei. Chciałbym tam zajrzeć do pewnej włoskiej restauracji. Zamówiłem stolik na szóstą.

Musiałam zrobić niezadowoloną minę, gdyż Brad rzucił mi pytające spojrzenie.

- O co chodzi?

Nici z mojego planu, ale postanowiłam to przemilczeć.

- Dzwoniłeś do Lindsey? - spytałam tylko. Dziwne.

- Tak, a co w tym niezwykłego? Czy nie lepiej zrobić wszystko razem?

- Jasne, masz rację.

Pojechaliśmy z zawrotną prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę samochodem pozbawionym resorów i prowadzonym przez mężczyznę o nazwisku, którego za nic nie potrafiłam wymówić. Na wieść o tym, że będziemy wracać do śródmieścia w piątkę, zacy kierowca odmówił ponownego kursu. Na szczęście drugą taksówką dojechaliśmy do Rockefeller Center w mgnieniu oka.

Zaczął prószyć lekki śnieżek; stanęliśmy przed długim rzędem podświetlonych aniołów na promenadzie wiodącej ku gigantycznej choince ozdobionej tysiącami lampek. Było dokładnie tak, jak się spodziewałam. Brad objął mnie w talii, dzieci wyprzedziły nas kawałek. Spotkaliśmy się przy lodowisku.

- Możemy pojeździć na łyżwach, mamó? - spytała Gracie.

- Ja nie umiem - zakomunikował Alex.

- Nauczmy cię, ośle! Idziemy! - odparła Gracie. - Lindsey?

- Jazda! - I już ich nie było.

Przez kolejne pół godziny patrzyliśmy, jak moje dziewczęta fruują po tafli, trzymając między sobą Alexa. W pewnym momencie Gracie oderwała się od pozostałych i wykonała kilka widowiskowych piruetów, przyjętych entuzjastycznie przez Alexa i Lindsey. Potem Lindsey wyjechała na środek lodowiska, prezentując podskok, kilka obrotów oraz obowiązkową jazdę do tyłu. Zachwycony Alex kiwnął na nas, żebyśmy nie przegapili.

- Czyż wszyscy troje nie są wspaniali? - zapytałam.

Nieprzerwanie padał śnieg. Czyste białe płatki osiadały nam na włosach i leciały na ramiona. Brad objął mnie mocniej.

- Owszem - przytaknął. - Będziemy wspaniałą rodziną. Wtedy zobaczyłam małe, lecz jakże wytęsknione pudełko z nadrukiem „Tiffany”.

- To dla ciebie, Linda. Wesołych świąt. Kocham cię. - Włożył mi je do ręki.

- Brad?

- Kupiłem coś jeszcze, ale to chciałem ci dać od razu.

- Brad?

- Słucham?

- Czy to...?

- Otwórz! Nie będzie dalszego ciągu, dopóki nie otworzysz!

- Och! Przepraszam!

- Szybciej! Szanowna pani blokuje rozwój sytuacji!

- Otwieram, już otwieram!

Przecież nie miałam z góry ustalonego scenariusza. Fred Breland nie dawał mi brylantów.

Ujrzałam, że dzieci podążają w naszą stronę, i postanowiłam na nie zaczekać.

- Co tam masz, mamó? - spytała Gracie, z góry znając odpowiedź.

- Otwórz! - zażądała Lindsey.

- Nic nie powiesz, Alex? - zapytałam.

- Już go widziałem - odrzekł. - Dam głowę, że ci się spodoba. Kiedy zrywałam czerwoną, satynową wstążkę, ręce mi drżały.

Lindsey chwyciła upadającą kokardkę i schowała ją do kieszeni. W pudełku znajdowało się aksamitne pudierko, w nim zaś przepiękny, okrągły brylant osadzony w platynie.

- Zdejmij rękawiczki - polecił Brad, po czym wziął ode mnie pierścionek i przyklęknął. - Linda, czy zostaniesz moją żoną?

- I moją mamą? - dorzucił Alex, również opadając na kolano.

Zupełnie jakby ktoś odkręcił kurek z łzami. Brad wsunął mi pierścionek na palec.

- To dla mnie zaszczyt, Alex! - zawołałam, mocno tuląc go do siebie. - Jestem zaszczycona. Tak! I obiecuję za bardzo się nie rządzić!

Na widok ich szklistych oczu ponownie wykrzyknęłam „tak”, po czym zaczęliśmy się wszyscy ścisnąć i całować. Była to najbardziej widowiskowa chwila w moim życiu, a zarazem oficjalny początek naszej wspólnej drogi.

Od powrotu do Charlestonu aż do dzisiaj, czyli do dnia świętego Walentego, dni upływały nam w stanie ekstatycznego delirium. Obiecaliśmy sobie, że po otwarciu restauracji pierwsze prywatne przyjęcie będzie naszą uroczystością weselną. Rzeczywistość pokazała, iż była to nader niepraktyczna decyzja. Zaczniemy od tego, że Lindsey kończyła zajęcia w czerwcu, a ja nie wyobrażałam sobie ślubu bez niej. Och, pewnie mogłabym ściągnąć ją do domu na weekend i sklecić coś naprędce, ale nie tak to sobie zaplanowałam. Po drugie zaś ponowne otwarcie lokalu wymagało więcej wysiłku, niż się spodziewaliśmy.

Tak czy inaczej, jeśli ludzie postanowią się pobrać i nie istnieją ku temu żadne przeszkody, stanie się to we właściwym czasie.

Wiedziałam, że Brad prowadzi z Lowellem rozmowy na temat kupna dużego domu. Epsteinowie i tak większość czasu spędzają na wyspie Pawleys. W dużym domu jest pięć sypialni, dwa kominki oraz nowa kuchnia. Piękna posiadłość. Brad napomyka o zatrzymaniu Lupe, która mogłaby mieszkać w chatce, dzięki czemu obie strony zyskałyby nieco prywatności. Może ojciec Lowella odwiedzi ją we śnie i poradzi, żeby mniej paplała i nauczyła się uważniej słuchać? Jej ciągła obecność wcale mi się nie uśmiechała, lecz odkąd Brad zatrudnił pomywacza Miguela do pracy w ogrodzie, ci dwoje znaleźli wspólny język i bardzo się zaprzyjaźnili. Poza tym Lupe jest gospodynią, jakiej ze świecą szukać. Pozostawało mi mieć nadzieję, że skieruje całą swoją uwagę na Miguela. Cóż, nie ma róży bez kolców.

Jednym słowem wróciliśmy do pracy, a sąsiedni lokal miał otworzyć podwoje za kilka tygodni. Uporczywy stukot młotków doprowadzał nas do szału, ale co mieli powiedzieć właściciele pozostałych okolicznych restauracji?

O'Malley zajął swoje dawne miejsce za barem. Faza objął stanowisko tresera kotów: tym razem miał do dyspozycji nowy zespół. Duane i Louise szaleli po kuchni, starym

zwyczajem skacząc sobie do oczu. Moja najdroższa siostra Mimi zaś królowała w cukierni, a jej niezrównane wypieki cieszyły się nieopisanym powodzeniem, zwłaszcza wśród samotnych mężczyzn.

Przeszłam przez restaurację, wypełnioną po brzegi żądnymi stawy zakochanymi parami. Na zewnątrz stała niewielka grupa oczekujących. Niektórzy czytali listę wypieków oferowanych przez Mimi bądź gazetkę Gracie, inni po prostu rozmawiali. Weszłam na taras, rozglądając się za Bradem. Tu go nie było. Panował taki ziąb, że taras świecił pustkami. Jednakże trudno przewyciężyć dawne nawyki; odgadłam, że Brad wymknął się cichaczem, żeby obejrzeć zachód słońca.

Niebo miało barwę jaskrawej czerwieni, przetykanej tu i ówdzie pasmami złota i fioletu. Był to chyba najbardziej niesamowity zachód słońca, jaki kiedykolwiek przyszło mi oglądać. Podążyłam wzrokiem wzdłuż strumienia, aż do miejsca, gdzie łączył się z migotliwymi wodami portu w Charlestonie. Wiedziałam, że ów cudowny widok będzie mi towarzyszył do końca dni.

Od powrotu do Lowcountry stałam się poważną kobietą, która nauczyła się cenić każde uderzenie serca niczym bezcenny dar. Odkryłam, że ciepły dotyk słońca na twarzy i słone powietrze we włosach są mi niezbędne do życia. Nie mogłam pojąć, dlaczego tak długo sobie tego odmawiałam. Może ich wspomnienie zatarło mi się w pamięci, podobnie jak świadomość własnego ja.

Wciąż nie mogłam odżałować lat zmarnowanych na bezdusznej egzystencji wypełnionej jałową walką o byt. Szarpałam się bezustannie zamiast dostrzegać miłość córek chociażby podczas wspólnego śniadania. Nie mogłam odzyskać tamtych chwil. Przemineły, bezpowrotnie skreślone z kalendarza mojego życia.

Dostałam jednak drugą szansę na założenie rodziny, zyskując na dodatek syna. Wiedziałam, że Alex na zawsze pozostanie dzieckiem Loretty, postanowiłam jednak ofiarować mu tyle miłości, ile zapewne dałaby mu rodzona matka. Ja zaś miałam u swego boku wspaniałego mężczyznę, którego moje dziewczęta mogły podziwiać i który je nauczy, co tak naprawdę znaczy kochać rodzinę.

Ochrzciałam przyszłość wodą z Shem Creek, wiedząc, że zawieram sekretny pakt. Dotąd podchodziłam do życia z wielką niepewnością, ale w Lowcountry odzyskałam

wiarę we własne siły i postanowiłam jeszcze raz spróbować. Naprawdę spróbować. Życie tam, gdzie nie pasujemy, to jedna z najsmutniejszych pomyłek człowieka. Lecz może potrzebowałam owego czaru cierpienia i samotności, aby móc docenić powrót do domu.

Miałam zamiar poznać od nowa każdy skrawek okolicznych wysp, rzek oraz samego Charlestonu, żeby móc się nazwać jego godną mieszkanką. Następnie podzielę się tą wiedzą z Gracie i Alexem. A gdy tylko się ociepli, pojedziemy na obiecaną wyprawę na Wyspę Byka. Brad też. Zabiorę lornetkę, którą mi podarował na Gwiazdkę, i spróbuję odgadnąć nazwy wszystkich ptaków.

Podobnie jak kochankowie przeglądają się we własnych oczach, tak i my ogarniemy wzrokiem Lowcountry, przejrzymy się w jego krajobrazie i zachowamy ów obraz w pamięci po wsze czasy.

Wciągnęłam powietrze w płuca i postanowiłam poszukać Brada. Bądź co bądź mieliśmy walentynki. Ponownie spojrzałam na wodę, nie mogąc oprzeć się myśli o wielu pomysłach i planach, jakie powstały nad tą wodą przy mrożonych drinkach oraz koszykach ze smażonymi owocami morza. Miałam nadzieję, że magia strumienia podziałała na nie tak samo jak na mnie.

Zauważyłam ze zdumieniem, że to, czego najbardziej się obawiałam - dorastanie dziewcząt oraz pragnienie sprostania ich potrzebom - obecnie nie budziło we mnie najmniejszego lęku. Rok temu moje przyszłe życie jawiło mi się niczym bezkresny chaos. Teraz miałam przy sobie Brada, Alexa i wiele innych bliskich osób. Otaczali mnie ludzie, którzy kochali nas i siebie nawzajem. I ogarnęła mnie wielka radość, że wytrwałam na wyboistej drodze do szczęścia.

Mroczne sekrety wypiekania ciasteczek

Każdy z poniższych przepisów na ciasteczka służy innemu celowi. Pierwszy to przepis podstawowy. Jest właściwie niezawodny. Drugi jest nieco trudniejszy, lecz upieczone według niego ciastka po prostu rozplývają się w ustach. Ostatni zaś nadaje się w sam raz na przyjęcia.

Moja babka, Olivia Kent Benton, mawiała, że ciasteczka „najpierw muszą być zimne, a potem szybko się rozgrzać”. Dlatego ważne jest, aby porządnie nagrzać piekarnik. Tłuszcz i mleko natomiast muszą być dobrze schłodzone. Pamiętajcie, aby jak najkrócej wyrabiać ciasto. Jeśli przesadzicie, ciastka nie urosną. I niech wam nie przyjdzie do głowy przygotować ciasto dzień wcześniej, ponieważ zrobi się twarde i gumowate. Delikatnie rozwałkujcie je omączonym wałkiem i wycinajcie ciasteczka omączonymi foremkami.

CIASTE CZKA MIMI

2 filiżanki mąki

łyżka proszku do pieczenia

1/2 łyżeczki soli

1/3 filiżanki tłuszczu roślinnego

3/4 filiżanki mleka

Nagrzać piekarnik do 230 stopni. Do przesianej mąki dodać proszek i sól. Wkroić tłuszcz i wymieszać z mlekiem. Położyć ciasto na omączonej stolnicy i delikatnie ugniatać około 15-20 razy. Rozwałkować na grubość około półtora centymetra. Wycinać omączonymi foremkami. Piec 10-12 minut. Podawać gorące. Wychodzi około 15 ciasteczek.

KRUCHE CIASTE CZKA MIMI

2 filiżanki mąki

łyżka proszku do pieczenia

2/3 filiżanki tłuszczu

2/3 filiżanki mleka

Nagrząć piekarnik do 230 stopni. Wysypać mąkę na omączoną stolnicę, wkroić tłuszcz i lekko wyrobić palcami. Następnie zrobić na środku rowek i powoli wlać mleko, łącząc z pozostałymi składnikami, aż masa zrobi się kleista. Wyrobić gładkie ciasto, rozwałkować na grubość około półtora centymetra, wyciąć ciastka oznaczonymi foremkami i ułożyć na suchej blasze. Piec 10-12 minut. Wychodzi około 15 ciasteczek.

FIRMOWE CIASTECZKA MIMI

2 filiżanki mąki

łyżka proszku do pieczenia

filiżanka kremówki bądź kwaśnej śmietany

Nagrząć piekarnik do 220 stopni. Połączyć składniki i wyrobić ciasto na omączonej stolnicy. Rozwałkować na grubość półtora centymetra, wycinać małymi foremkami i piec na lekko wysmarowanej blasze przez 10-12 minut. Wychodzi około 15 ciasteczek.

PLACEK MIMI

3 filiżanki mąki

345 g słonego masła

3 filiżanki cukru

filiżanka kremówki

6 dużych jaj

2 łyżki wanilii

Nagrząć piekarnik do 165 stopni. Obficie natłuścić i oprószyć mąką blachę. Trzykrotnie przesiać mąkę. Utrzeć masło z cukrem na puszystą masę. Kolejno dodać jajka i całość dobrze wymieszać. Dosypać filiżankę mąki, następnie 1/2 filiżanki śmietany. Po wymieszaniu dodać kolejną filiżankę mąki i resztę śmietany. Dosypać pozostałą mąkę i dodać wanilię.

Przełożyć masę na blachę, wyrównać powierzchnię. Włożyć do piekarnika i piec przez godzinę i kwadrans lub do momentu, gdy góra zyska jasnobrązowy odcień i ciasto

zacznie odstawać od brzegów. Wyjąć z pieca. Po 10 minutach przełożyć na talerz. Nie przykrywać, dopóki nie ostygnie.

(Ważne!)

POLEWA CYTRYNOWA

2 łyżki skrobi (albo mączki) kukurydzianej

1/8 łyżeczki soli

3/4 filiżanki cukru

2/3 filiżanki wody

3 łyżki soku z cytryny

1 białko

starta skórka z cytryny łyżka masła

Wymieszać skrobię z solą i cukrem. Przełożyć do garnka z grubym dnem, dodać wodę, sok z cytryny i białko. Podgrzewając na dużym ogniu, dosypać suche składniki. Gotować, aż masa zgęstnieje i pojawią się pęcherzyki powietrza. Zdjąć z ognia, dodać skórkę z cytryny i masło. Ostudzić i wylać na ciasto.

POLEWA KARMELOWA

1 opakowanie brązowego cukru

3/4 filiżanki kremówki

115 g masła

Połączyć w garnku wszystkie składniki i podgrzewać na małym ogniu aż do zagotowania, mieszając od czasu do czasu. Gotować przez 5 minut lub do momentu, gdy kropla masy zetnie się w kontakcie z zimną wodą. Zdjąć z ognia i ubijać do uzyskania rozciągliwej konsystencji. Jeżeli masa stanie się zbyt zwarta, dodać niewielką ilość gorącej wody. Pokryć boki, a następnie wierzch ciasta.